

WIZJE SERCA

Ciemnobłękitne oczy Miriam Sutcliffe wywoływały zawsze w męskich sercach zamęt. Jeden z jej wielbicieli twierdził, że oczy te były jedyną częścią ciała Miriam zawierającą odrobinę ciepła. Młody człowiek, siedzący owego marcowego dnia 1813 roku w londyńskim salonie Miriam, mógł wyczytać z błękitnych głębin jedynie chłód.

-Jeśli to żart, Hamiltonie Greer, to w bardzo złym guście.

-Bardzo bym chciał, aby to był żart - odparł ponuro młody człowiek.

-Jak możesz wyjeżdżać do Ameryki, gdy za trzy tygodnie ma być nasz ślub? Zaproszenia są wysłane, muzycy zamówieni. Chcesz powiedzieć, że musimy przesunąć termin?

PHANTOM
PRESS

Wizje Serca



Emily
Carmichael

ROZDZIAŁ I

Ciemnobłękitne oczy Miriam Sutcliffe wywoływały zawsze w męskich sercach zamęt. Jeden z jej wielbicieli twierdził, że oczy te były jedyną częścią ciała Miriam, zawierającą odrobinę ciepła; jednak nawet ten rozczarowany dżentelmen musiał przyznać, że były one w stanie rozpalić ogień w mężczyźnie, nawet wtedy, gdy nieczułe serce damy dławiło wszelki płomień. Młody człowiek, siedzący owego marcowego dnia 1813 roku w londyńskim salonie Miriam, mógł wyczytać z błękitnych głębin jedynie chłód. Spojrzenie tych oczu było rzeczywiście tak zimne jak powietrze styczniowego powietrza.

- Jeśli to żart, Hamiltonie Greer, to w bardzo złym guście.

- Bardzo bym chciał, aby to był żart - odparł ponuro młody człowiek.

- Jak możesz wyjeżdżać do Ameryki, gdy za trzy tygodnie ma być nasz ślub? Zaproszenia są wysłane, muzycy zamówieni. Chcesz powiedzieć, że musimy przesunąć termin?

- Nie, kochanie. Nie to miałem na myśli - Hamilton zwiesił głowę i zmęczonym ruchem dłoni potarł czoło. - Jak już powiedziałem, jestem w okropnych tarapatach. Muszę wyjechać. Nie mogę powiedzieć, jak długo mnie nie będzie.

- Okropne kłopoty, kuzynie? Jak można być tak nieodpowiedzialnym? I to teraz! - Rozdrażniona Miri wstała z krzesła i srogo spojrzała na narzeczonego. Widać, że ma kłopoty. Jego ubranie, zazwyczaj wymuskane z perfekcją dandysa, było teraz ruiną.— Buty wellingtony były zdarte i opryskane błotem. Obcisłe pantaloney z kozłej skóry miały trawiastą plamę na kolanie. Żakiet był

w nieładzie, a fatalnie zawiązany krawat sterczał krzywo. Nawet modny kołnierz stracił swą zwykłą sztywność.

- Jakiegoż to rodzaju kłopoty masz tym razem, Ham? Długi hazardowe? Zupełnie nie pojmuję, dlaczego jeszcze wpuszczają cię do White'ów, sposób...

- Nie, nie - westchnął Hamilton. - To jest coś, czego nie zrozumiesz, moja droga. Przykro mi, naprawdę przykro.

- Coś, czego nie zrozumiem? Śmieszne. Jesteśmy zaprzyjaźnieni od dzieciństwa, spędzaliśmy je razem w tym domu. Niedługo mam zostać twoją żoną, Hamiltonie. Nikt nie rozumie cię tak jak ja.

Hamilton potrząsnął głową, patrząc z łagodnym żalem na drobną, impertynencką twarz Miri, na jej wysunięty stanowczo podbródek i kasztanowate loki.

- Ty jesteś rzeczywiście kimś, Miri. Nie wątpię, że zmieniłabyś mnie w przyzwoitego, chrześcijańskiego męża. Żadnego hazardu, żadnych przekleństw, żadnych cygar w salonie. Tak, niewątpliwie potrafiłabyś tego dokonać. Gdybyśmy się pobrali rok temu, gdy oświadczyłem się pierwszy raz, nic złego by się teraz nie stało.

- Hamiltonie! - Miri usiadła, zdecydowana nie popadać w panikę, a głos jej stwardniał. - Nalegam, żebyś powiedział, co się wydarzyło. Sądzę, że mam prawo wiedzieć. Czy ty nie rozumiesz, że to jakbyś mnie zostawił samą przy ołtarzu? Pomyśl o moim położeniu i reputacji! Zostanie zszargana i ta okropna pani Polham będzie zachwycona możliwością rozgłaszania kolejnego skandalu w rodzinie Sutcliffe'ów.

- Przykro mi, Miri, naprawdę. - Hamilton czuł, że jest mu coraz mniej przykro, gdyż głos Miri stawał się coraz ostrzejszy, ale usiłował ukryć swe uczucia.

- Przysięgam, że żaden mężczyzna nie czekał na swe wesele z większą radością niż ja, ale zostając w Londynie jeszcze trzy tygodnie, będę raczej martwy aniżeli żonaty. Muszę wyjechać natychmiast, moja droga.

Oczy Miri zwięzły się lekko. -I
nie powiesz mi dlaczego?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, wierz mi.

- Dobrze. Zatem musimy ogłosić przesunięcie terminu ślubu.
- Obawiam się, że to niemożliwe. Nie mam pojęcia, kiedy będę mógł wrócić.

- Czyli przesunięcie bezterminowe.

Hamilton znów potarł czoło.

- Przykro mi, Miri, ale nie zgadzam się na mieszanie ciebie do moich spraw. Chociaż łamie mi to serce, zwalniam cię z obietnicy. Możesz ogłosić, że poznałaś się na mnie i mądrze dałaś mi kopniaka. Będiesz gwiazdą sezonu, zapewniam cię.

Miri w milczeniu patrzyła na kuzyna. Naprawdę był w okropnym stanie. Oburzenie Miri było doskonale usprawiedliwione; być porzuconą, to nie drobiazg. Ale może Hamilton ma poważne kłopoty. W takim razie należałoby mu pomóc. W końcu był nie tylko narzeczonym, należał też do rodziny.

- Jeśli jesteś w niebezpieczeństwie, Ham, przypuszczam, że muszę ci dobrze życzyć i starać się zrozumieć.

Hamilton uśmiechnął się słabo.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Miri.

Wyglądał teraz tak, jakby sam diabeł dzierżył go za uszy. Miri pomyślała, że będąc przyzwyczajona do wad Hamiltona, nie przywiązywała do nich należytej uwagi. Namiętność do hazardu niejednokrotnie już powodowała kłopoty. Miri dziwiła się zawsze, że pozycja Hamiltona w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jakkolwiek prestiżowa, pozwalała mu na takie oddawanie się wszelkim przyjemnościom. To wszystko skończyłoby się po ślubie, gdyby Miri wzięła sprawy w swoje ręce. W odróżnieniu od innych wielbicieli, Hamilton podzielał jej entuzjastyczne zainteresowanie właściwymi manierami i okazywał szczerą chęć poskromienia swych, pożałowania godnych, słabostek. Oczy Miri spoglądały teraz nieco łagodniej na twarz kuzyna. Jego, zwykle nienagannie uczesane włosy były teraz w nieładzie, a oczy zmęczone.

- Ham, musisz mi powiedzieć, czy jest coś, w czym mogłabym ci pomóc.

- Nic nie możesz zrobić, moja droga. - Usiłował się uśmiechnąć. - Przykro mi. Przeżywasz ciężkie chwile przeze mnie. Zawsze będę czuł się winny w stosunku do ciebie.

- Powiedz mi w końcu, gdzie jedziesz.

Popatrzył niepewnie.

- Jak ci powiedziałem, jadę do Ameryki. Myślę, że może... może twój ojciec mógłby mnie ukryć do czasu, gdy się to wszystko wyjaśni.

- Mój ojciec? - W głosie Miri pojawił się ostry ton.

- Wiem, nie widziałem go od czasu jego wyjazdu, gdy byliśmy dziećmi, ale on jest jedyną osobą, która mogłaby mi pomóc. Ameryka jest znakomitym miejscem do ukrywania się. Jest to najodleglejsza część świata, jaka przychodzi mi na myśl.

- Tak. - Palce Miri bębniły nierówno po Biblii leżącej obok na stole. - Z pewnością. Ale spędzisz chyba ten wieczór u nas, zjesz coś dobrego i odpoczniesz.

- Nie, nie mogę. Wiesz, Miri, nie mogę zostać długo. Byłbym wdzięczny, gdybyś pożegnała ode mnie ciotkę Elizę. Czas ucieka.

Miri wstała z zaciśniętymi ustami, chcąc spełnić polecenie Hamiltona. Już przy drzwiach zatrzymał ją jego głos.

- Kocham cię, Miri. Bóg mi świadkiem. I... przykro mi.

- Wiem, Ham, i życzę ci szczęśliwej drogi.

Piętnaście minut później Miri wędrowała tam i z powrotem po swym pokoju, spoglądając przez okno na mglistą noc.

- Możesz to sobie wyobrazić? - zwróciła się do drobnej, przypominającej ptaka kobiety, usadowionej na jej łóżku.

- Czy możesz uwierzyć, że Hamilton zrobił coś podobnego?

- O tak, moja droga - zaszczębiotała Eliza Edwards. Wysłuchała już całej tyrady swej siostrzenicy na temat perfidii Hamiltona i kiwała teraz głową.

- Pozory mylą, jak wiesz. Zawsze podejrzewałam, że Hamilton jest taki jak jego matka. Latawica! Żadnej lojalności ani uczuć rodzinnych. Czy wiesz, że kuzynka Charlotta nie uznaje mnie, ani nie uznawała twojej matki od czasu tego głupiego zamieszania, jakie powstało wokół twego ojca?

- Tak, ciociu. Mówiłaś mi. Wiele razy - dodała Miri w myślach.

- On jest wiernym odbiciem swej matki. Ten chłopiec ma bdną twarz, ale ani odrobiny charakteru.

Miri osunęła się na łóżko obok ciotki.

- Będzie skandal - westchnęła. - Akurat to, czego rodzina potrzebuje. Nowy skandal. Wszyscy, ale to wszyscy, będą mnie wytykać palcami i szeptać, snując złośliwe domysły. Och, ciociu Elizo!

- Spokojnie, spokojnie, moja droga. -Mała kobietka poklepała Miri po ramieniu i wręczyła jej chusteczkę do otarcia łez. - Każdego dnia zrywane są jakieś zaręczyny. No, może każdego miesiąca. To nie jest taka znowu klęska. Jesteś o wiele za dobra dla takiego tępaka jak Hamilton.

- To nieprawda - upierała się Miri. - Hamilton doskonale do mnie pasuje: jest uprzejmy i wyrafinowany. I jestem mu bardzo oddana, bez niebezpieczeństwa... no... zbytniego zaangażowania się.

- Zbytniego zaangażowania! Eliza zachichotała. - Mam nadzieję, że nie wobec tego dandysa! Przysięgam, że gdyby Hamilton był puddingiem, to z pewnością waniliowym albo może z tapioki. Zaslugujesz na kogoś lepszego i bardziej interesującego.

Miri fuknęła rozdrażniona i utkwiała spojrzenie w i .

- Ciekawe! Pewnie na kogoś takiego jak mój ojciec, tak?

- On był interesujący - przyznała Eliza, uśmiechając się lekko.

- Tak - odparła Miri. Zeskoczyła z łóżka i znów zaczęła chodzić nerwowo po pokoju.

- Mój ojciec był bardzo interesujący. Sposób, w jaki złamał serce mojej matce i naraził na szwank jej reputację; przez swój brak odpowiedzialności i dojrzałości, był rzeczywiście fascynujący. Wolę waniliowy pudding, piękne dzięki! Pikantne potrawy zbyt długo zalegają w żołądku.

- No, no, moja droga! Naprawdę nie powinnaś tak mówić. Twój ojciec bardzo kochał twoją matkę, wiesz o tym. On tylko wżaden sposób nie mógł się przystosować do zatłoczonych salonów i niemądrych zasad obowiązujących w Londynie. On był zbyt przywiązany do swych lasów czy też jezior, cokolwiek oni tam mają w tych koloniach. Powinnaś być bardziej wyrozumiała dla ludzkich słabości, kochanie. Każdy ma jedną lub dwie, jak sama wiesz.

- Phi! Jak możesz jednym tchem potępiać Hamiltona i bronić mego ojca? Tego nie rozumiem.

Miri rzuciła ciotce ostre spojrzenie. Podejrzewała zawsze, że Eliza była trochę zadurzona w mężu swej siostry i dlatego uspra-

wiedliwiła go tak łatwo. Czasem ktoś może być tak zaślepiiony przez miłość, że usprawiedliwia postępek człowieka, który opuścił kochającą żonę i siedmioletnią córkę, tylko dlatego, iż tęsknił za przekłętymi amerykańskimi lasami. Jeśli tak tęsknił za jakimś głupim lasem, mógł go znaleźć niedaleko Londynu.

- Chcę zapomnieć o ojcu, nie zaś mówić o nim - powiedziała Miri zdecydowanie. Jak mogła zapomnieć o żalu i upokorzeniu swej matki; o melancholijnym wyrazie jej twarzy po śmierci? Ciotka Eliza myliła się. Kobieta winna Bogu dziękować, mogąc poślubić młdego Hamiltona Greera, nie zaś mężczyznę pokroju ojca Miri. No, mamy teraz bardziej palące problemy. Boże! Chciałabym wiedzieć, co teraz robić!

Eliza podskoczyła na obszernym łóżku z baldachimem i ziewnęła.

- Wymyślisz coś, moja droga. Jak zawsze. - Poklepała Miri pocieszająco po ramieniu. - W końcu ten skandal miał miejsce - kiedy to było? - szesnaście lat temu. Nikt tego już nie pamięta. A ty możesz powiedzieć tym wścibskim, zaproszonym gościom, że wyrzuciłaś Hamiltona za drzwi. Nikt nie powie o tobie złego słowa, moja droga.

- Tak. Wymyślę coś. Dobranoc, ciociu Elizo.

Wymyślę coś, obiecywała sobie Miri, gdy włożywszy peniuar, zeszła na dół do salonu. Usadowiła się w swym ulubionym krzesle i zaczęła obmyślać treść ogłoszenia, które musiało się ukazać w Timesie. Poświęciwszy jedną czy dwie myśli Hamiltonowi i jego problemom, zaczęła prawie życzyć sobie, by człowiek, któremu Hamilton winien był pieniądze lub przeprosiny, schwytał winowajcę. Ham dostałby wtedy nauczkę za swe dziecinne postępowanie. Nagle Miri zawstydzila się swego braku serca. Ktokolwiek spowodował ucieczkę jej kuzyna do Ameryki i do jej ojca, musi być zaiste przerażającym człowiekiem.

Zegar na kominku wydzwoni! północ. Miri zmęczonym ruchem odrzuciła głowę w tył, na oparcie krzesła. Powinna być już w łóżku, ale nigdy nie miała w głowie takiego zamętu jak dzisiaj. Z westchnieniem wzięła do ręki Biblię leżącą obok na stole, otworzyła zaczytaną Księgę Psalmów i trzydzieści minut później,

o wiele spokojniejsza, weszła na górę do sypialni i położyła się do łóżka.

* * *

Kapitan Michaels wyprężył się po wojskowemu i skinął na sierżanta, każąc mu zastukać do frontowych drzwi domu. Rozejrzał się wokół siebie i zauważył, że ogród wokół domu był doskonale utrzymany, drzewa troskliwie przycięte, zaś przy czysto wymiecionych drózkach stały ławeczki. "Miłe zacisze" - pomyślał Okolica tylko dla zamożnych. Dom nie rzucał się w oczy, ale wiele detali zdradzało ukryte bogactwo. Trzeba mieć niechlą fortunę, by tu mieszkać. Dlaczego ludzie nie cenią tego, co mają? Dlaczego zawsze robią zamieszanie, pakują się w kłopoty, by zdobyć jeszcze trochę więcej pieniędzy, jeszcze trochę więcej sławy, jeszcze trochę więcej władzy?

Drzwi otworzyła zaspana gospodyni, która widocznie ubierała się w pośpiechu. Czepek miała przekrzywiony i nie dopięte guziki. Było jeszcze tak wcześnie, że nawet służba mogła liczyć na trochę spokoju. Kapitan Michaels uśmiechnął się na widok zaniepokojenia kobiety. Lubił spełniać pewne obowiązki bardzo wcześnie. Większość ludzi, a wśród nich szubrawcy, złodzieje i zdrajcy byli mniej czujni bardzo wcześnie rano.

- Czy to rezydencja pańien: Elizy Edwards i Miriam Sutcliffe?
- spytał sierżant basem.

Gospodyni spoglądała podejrzliwie z ukosa na mężczyzn.

- A chto chce wiedzieć, mogie spytać?

Sierżant przybrał srogą minę, lecz Michaels uprzedził jego odpowiedź, wznosząc dłoń.

- Jestem kapitan Gerald Michaels i mam sprawę urzędową do panny Sutcliffe i jej ciotki. Czy mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?

- Pani Simmons - odparła kobieta, pociągając nosem - gospodyni. Trochę za wcześnie na wizyty, panowie.

- To nie jest wizyta towarzyska, pani Simmons. - Uprzejmie, lecz zdecydowanie Michaels poprowadził sierżanta i dwóch kawalerzystów do wnętrza domu, ignorując protesty gospodyni.

- Eee, nie pchać się! - Pani Simmons cofnęła się do tyłu z oburzeniem, gdy jeden z kawalerzystów niechcący otarł się o jej obfity biust. - Panienki jeszcze nie wstały. Zostawcie bilet wizytowy, to jim zaniese.

- To nie będzie konieczne - nalegał Michaels. - Czy byłaby pa ni uprzejma zbudzić panie? Obawiam się, że moja sprawa jest wyjątkowo pilna.

Dzielna pani Simmons gotowa była odmówić, ale rzut oka na kapitana spowodował, że zmieniła zamiar. Rzuciła więc na niego spojrzenie i ruszyła w stronę schodów prowadzących na górę, do pokoi sypialnych.

Miri zeszła na dół po dwudziestu minutach. Skwitowała słowa prezentacji Michaelsa sztywnym ukłonem, po czym zaprosiła przybyszy do salonu, wysyłając panią Simmons po herbatę.

- Jakaż to pilna misja sprowadza pana do mego domu o tak wczesnej porze, kapitanie? Może mi pan to wytłumaczyć?

Michaels uśmiechnął się słabo.

- Sądzę, że wie pani doskonale, panno Sutcliffe.

- Naprawdę nie wiem.

- Bardzo ładnie udaje pani urażoną niewinność, ale to zupeł-

nie niepotrzebny wysiłek. Proszę się nie trudzić. I tak wiem wszystko.

Przez moment Miri wyglądała na zmieszaną, lecz zaraz gniewnie zmarszczyła brwi.

- Coś niebywałego! Pan wie wszystko. To z pewnością więcej, niż ja mogłabym powiedzieć, szczególnie w tej chwili. Mógłby pan być dokładniejszy?

Michaels stłumił gwałtowną chęć śmiechu. Impertynenckie ziółko z tej Miriam Sutcliffe. Spodziewał się raczej ofermowatej starej panny. Przyznał w duchu, że ten Greer miał dobry gust, przynajmniej względem kobiet. Co za hańba, że taka dziewczyna pozwoliła się wykorzystać nędzemu kombinatorowi.

- Zatem będę bardziej precyzyjny, panno Sutcliffe, jeśli pani sobie tego życzy. Przyszedłem tu po dokument, który pan Hamilton Greer zostawił u pani wczoraj. Będzie o wiele lepiej dla pani, jeśli mi go pani zwyczajnie odda. Oszczędzi mi pani sporo czasu.

- Dokument? Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, kapitanie. Pan Greer był tu wczoraj wieczorem, nie przeczę. Nie mówił jednak o żadnym dokumencie i niczego mi nie zostawił.

"Mała flirciarka staje się trochę męcząca" - pomyślał Michaels z zalem. Co za wstyd. Była ładniutka, zaś iskierki gniewu w nieprawdopodobnie wielkich oczach i rumieniec na twarzy czyniły ją jeszcze ładniejszą. Jej włosy wyglądały jak płomień, jak topiona miedź, lśniąc w blasku porannego słońca. Michaels czuł prawie litość. Niezamężne kobiety zawsze były łatwym łupem dla takich kanalii jak Greer.

- Panno Sutcliffe. Naprawdę nie mam czasu. Nie jestem bez serca i rozumiem, że niezamężna dama łatwo może ulec wpływowi...

- Nikt nie ma na mnie wpływu, zapewniam pana. I nie nastraszysz mnie łatwo, kapitanie.- Miri dumnie uniosła głowę.

Michaels westchnął.

- Grupa moich ludzi śledziła Hamiltona Greera wczorajszego wieczora.

- Nie przeczę, że był tu.

- Proszę pozwolić mi dokończyć, panno Sutcliffe. Wiem, że Greer miał przy sobie pewien dokument, gdy tu przyszedł i nie miał go, gdy wychodził.

Pani Simmons wtargnęła do pokoju, niosąc tacę z herbatą i gorącymi placuszkami owsianymi. Spoglądając na żołnierzy z nieukrywaną niechęcią, odsunęła ze stołu Biblię i inne książki, ustawiając tacę.

- Herbaty, kapitanie? - zaproponowała Miri lodowato.

- Dziękuję, nie. Jak-już mówiłem, pani Greer został zatrzymany, gdy opuszczał pan dom. - Michaels z satysfakcją zauważył zaskoczenie, malujące się na twarzy Miri. - Nie miał przy sobie dokumentu.

- To dlaczego jego pan nie spyta, co zrobił z dokumentem, tylko prześladowuje pan niewinną kobietę?

- Uciekł nam - przyznał Michaels, patrząc z wyrzutem na swego sierżanta - ale oczywisty wniosek jest taki, że dokument ma pani.

- Zatem musi pan wysnuć mniej oczywisty wniosek, kapitanie, gdyż pan Greer niczego mi nie dał wczoraj wieczorem. Czy mogę wiedzieć, jakież to cenny dokument ukrywam rzekomo u siebie?

Michaels westchnął z niecierpliwością. Ta mała czarownica udaje, że nie wie. Cóż to za grę prowadzi, siedząc w swym salonie, popijając poranną herbatę, jakby wcale nie była zamieszana w najgorszy rodzaj zdrady i w dodatku przyłapana na tym? Zaności się na cholernie długi poranek.

- Jeśli musimy dalej grać w tę grę, panienko, to wyjaśnię, że pan Greer, wykorzystując swą pozycję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, uzyskał dostęp do pewnych informacji. Zdobył, oprócz innych rzeczy, listę brytyjskich informatorów w amerykańskim rządzie i armii. Zamierzał sprzedać swe informacje Amerykanom, ale udaremniłszy mu to, przechwytyjąc jego łącznika. Pan Greer uciekł, gdy dowiedział się o aresztowaniu Amerykanina. Pan Greer wie, że nie możemy aresztować go bez dowodów winy, zaś ja jestem przekonany, że on ukrył dokumenty w bezpiecznym miejscu.

Twarz Miri zbladła lekko.

- To odrażające. Jeśli to prawda, to może on wrzucił listę do rzeki.

- Pani narzeczony jest człowiekiem chciwym, panno Sutcliffe. Nie zaprzepaściłby szansy zrobienia sporej fortuny. - Rzucił jej zdecydowane spojrzenie. - Czy jest lepsze miejsce na schowanie dokumentów niż dom kochającej narzeczonej, będącej poza wszelkim podejrzeniem?

Miri odstawiła filiżankę niepewnie i ze stukiem. Wstała i zaczęła chodzić po salonie, spoglądając na kapitana niepewnie.

- Być może to, co pan powiedział o Hamiltonie, jest prawdą, choć trudno mi uwierzyć, że mógł być zamieszany w spisek. Prawdopodobnie jest to nieporozumienie. Czy Amerykanin podał wam nazwisko Hamiltona?

- Nie. Odmówił zdecydowanie odpowiedzi, bez względu na perswazje. My mamy jednak inne dowody, panno Sutcliffe. To nie jest nieporozumienie.

Miri wpatrywała się w kapitana swymi niepokojącymi błękitnymi oczami i napotkała spojrzenie piwnych oczu, równie uparte jak jej własne. Westchnęła i spuściła wzrok.

- Być może - przyznała. - Hamilton był... jest... czasami chciwy i niemądry, ale on wie, że ja nigdy nie zgodziłabym się na udział

w podobnej sprawie. Nie mam tego, czego pan szuka, kapitanie Michaels.

- Nie masz czego, dziecko? - Ciotka Eliza weszła do salonu, poprzedzając wystraszoną panią Simmons. Włosy ciotki otaczały szarą chmurą jej twarz, zaś jej oczy były nabrzmiące od snu.

- Miri, co robisz tutaj ci niemili ludzie? Słońce dopiero wzeszło!

- Ciociu Elizo, nie musiałaś schodzić na dół.

- Nie musiałam, powiadasz! Jak można spać przy tym gwarze dochodzącym z dołu? - Zwróciła zirytowane spojrzenie na kapitana.

- I kim są ci ludzie, co?

- Kapitan Michaels, madame. - Kapitan skłonił się niedbale w stronę Elizy. - Jestem...

- Kapitan Gerald Michaels szuka kuzyna Hamiltona, ciociu. Sądzi, że Ham zbiegł z informacjami, których nie powinien posiadać.

- Uff! Nic, tylko kłopoty z tym chłopcem. Taki jak jego matka. Ciągle jednak nie widzę powodu budzenia Bogu ducha winnych kobiet o tak nieludzkiej porze. Sądziłam, że królewscy oficerowie są dżentelmenami, ale żaden dżentelmen...

- Ciociu - przerwała jej Miri - kapitan jest przekonany, że Ham zostawił tu pewien dokument. Czy wiesz coś o tym?

- Z pewnością nic. Nasze pożegnanie było bardzo krótkie. I gdybym wiedziała, co on ci zrobił, nie pozwoliłabym mu na pożegnalny pocałunek.

Michaels natychmiast stał się podejrzliwy.

- Co on zrobił pani, panno Sutcliffe?

- Jeśli już pan tak nalega - odparła Miri z wahaniem - to mój kuzyn przyszedł tu wczoraj, aby zerwać zaręczyny. Powiedział, że jest w kłopotach i musi wyjechać. Nie chciał mi powiedzieć, jakie to są kłopoty i... i gdzie wyjeżdża.

Michaels zauważył rumieniec winy na twarzy Miri. Część tej opowieści była kłamstwem, możliwe nawet, że cała opowieść.

- I nic u pani nie zostawił?

- Nie.

- Zatem nie będzie pani miała nic przeciwko temu, by moi ludzie przeprowadzili rewizję w pani domu.

- Ależ z pewnością, tak! - zaprotestowała Eliza. - To jest bardzo niestosowne. Nie zgadzam się! Miri, powiedz tym wstrętnym ludziom, żeby się wynosili!

Miri uspokajała ciotkę i obejmowała jej wiotką talię.

- Proszę zatem szukać, kapitanie. Dlaczego mam protestować? Nie ma powodu.

Ludzie Michaela byli bardzo sprawni, przyznała Miri w duchu. Otworzyli każde biurko i szufladę, przeszukali każdą szafę, każde łóżko zostało odkryte, zaś materace przewrócone. Cała służba była poruszona. Kucharz złorzeczył na wtrącanie się do spraw kuchni; twarz pani Simmons stawała się coraz czerwiejsza w miarę przewracania kolejnych prześcieradeł; pokojówka Miri, Lucy, była we łzach, widząc, co zrobiono z rzeczami jej pani. Miri odmówiła towarzyszenia ekipie Michaela. Usiadła w salonie wraz ze swą zapłakaną ciotką i udawała spokój. Piła herbatę, jadła placuszki i usiłowała powstrzymać się od chęci gryzienia wszystkiego z wściekłości. Ten przeklęty Hamilton! Niechby go złapali i ugotowali żywcem! Straszne kłopoty, rzeczywiście! Nie ma się co dziwić, że uciekał do dzikiego kraju. Mógł ją ostrzec, powiedzieć coś. A jeśli zostawił w tym domu choć skrawek czegoś, co sprawi kłopot jej lub Elizie, to niech te amerykańskie dzikusy upieką go na ogniu i zjedzą do herbaty!

- Świetnie, panno Sutcliffe! Wydaje się, że bardzo dobrze schowała pani listę pana Greera. - Michael stanął w drzwiach salonu, wyglądając jeszcze bardziej surowo niż przedtem. Wyprostowany sztywno wyglądał na wyższego, niż był w istocie, zaś szkarłatno-biały uniform stwarzał aurę groźby.

- Nie ukryłam niczego, kapitanie. - Twarz Miri przybrała wyraz niewinności, ale Michael nie był skłonny jej wierzyć.

- Przykro mi, że nie ufam pani. To niezbyt miłe prześladować damę, ale nalegam, by oddała pani listę w ciągu dwudziestu czterech godzin. W przeciwnym razie oskarżę panią o zdradę.

- Zdradę! - wybełkotała oburzona Miri. - Nie ośmieli się pan! Nie ma pan dowodu, ani cienia dowodu, z wyjątkiem pana własnych, szalonych podejrzeń! Sam pan powiedział, że musi pan mieć konkretne dowody!

- Znajdę je, jestem pewien. To tylko kwestia czasu, panno Sutcliffe. Nie sądzę, by miała pani ochotę czekać na to w więzieniu. Radzę, by była pani rozsądna.

W oczach kapitana Miri wyczytała absolutną determinację i wiarę we własne słowa. Nie można więc było próbować prosić, zwodzić sztuczkami i desperackimi pogroźkami.

- A zatem dwadzieścia cztery godziny. Przyjdę jutro rano, by oszczędzić pani wizyty w moim biurze. - Skłonił się w najbardziej zdawkowy sposób i wyszedł.

Miri i Eliza wezwały natychmiast całą służbę. Dom został dosłownie przewrócony do góry nogami. Początkowo Miri myślała, że dokument nie może być ukryty w obrębie domu. Hamilton był tylko w salonie i stale ktoś mu towarzyszył. Potem jednak przypomniała sobie, że wyszła z pokoju po ciotkę, z którą Hamilton chciał się pożegnać. Minęło wtedy dziesięć minut, nim Eliza ze szła z góry - mnóstwo czasu, by dotrzeć do jednej z licznych kryjówek, do jakiegoś kącika, w którym bawiono się w dzieciństwie.

Przeszukując kolejne kryjówki, Miri wspomniała dzieciństwo, które spędziła wspólnie z Hamiltonem. Ostatnio Hamilton nie mieszkał w tym domu, ale był tu stałym gościem. Jego rodzina bywała tu tak często, że Miri miała wrażenie, iż Hamilton jest jej bratem, nie zaś dalekim kuzynem. Byli sobie bardzo bliscy w dniach niewinnej młodości. Rodzina Miri spędzała wtedy wiele czasu w wiejskiej rezydencji w hrabstwie Kent. Będąc rówieśnikiem Miri, Hamilton woził ją konno po całej okolicy, gdy jego rodzina przybywała z wizytą. Z kolei w Londynie oboje musieli spędzać czas na zabawach w parku i grze w chowanego. Bawili się w magazynach, starych tunelach, szafach i skrytkach, które nazywali tajnymi przejściami. Dom zbudowany został za czasów Cromwella i były w nim tajne pokoje, zaś Hamilton znał je wszystkie.

Całodzienne poszukiwania nie dały rezultatu i Eliza wraz z Miri zasiadły zdesperowane w bawialni, gdy służba układała wszystko na miejscu, mamrocząc z niezadowoleniem.

- To beznadziejne - jęczała Miri. - Jeśli Hamilton zostawił tutaj, nigdy jej nie znajdziemy. Przeszukałyśmy wszystkie miejsca, które znam. Boże! Co mam robić? Ten okropny kapitan przyjdzie rano, by mnie zabrać do więzienia.

Eliza patrzyła w zamyśleniu.

- Sądzę, że powinniśmy udać się do kuzyna Harolda. Jest ostatecznie głową rodziny, j'est lordem. Powinien mieć pewne wpływy, chociaż ostatnio, gdy byłam u niego z wizytą, był bardzo nieuprzejmy.

- Kuzyn Harold nie pozwoli, byj'ego pozycję towarzyską nad-szarpnęły kłopoty Sutcliffe'ów - stwierdziła Miri smętnie. - A poza tym nie wierzę, by kapitan Michaels, tak pewny siebie, dał się przestraszyć jakiemuś pomniejszemu lordowi.

- Dobrze - westchnęła Eliza. - Sądzę, że więzienie nie jest najgorszym miejscem. Przypuszczam, że trochę pieniędzy uczyni zeń całkiem przyzwoitą siedzibę. Ja mogłabym przynosić owoce i świeży chleb... - ciągnęła dalej na widok zaskoczenia Miri.

- Skoro mówisz, moja droga, że nic nie można zrobić, to trudno. A może zechciałabyś spytać Hamiltona, gdzie schował listę? Miri nie wierzyła niewinnemu uśmiechowi ciotki.

- Co to znaczy: zapytać Hamiltona? Znając mego drogiego kuzyna, przypuszczam, że odpłynął już do Ameryki jednym z tych statków, które nielegalnie przekraczają blokadę. Kiedy on ucieka przed czymś, nie traci czasu.

- Tak, skarbie. Ale są jeszcze inne statki do Ameryki. Możesz jechać za nim.

Miri stwierdziła, że ciotka przekroczyła granicę między ekscentrycznością i szaleństwem. Jechać do Ameryki! Cóż za śmieszny pomysł - przerażający pomysł.

- Jesteśmy w stanie wojny z Ameryką - oponowała Miri.

- Fiii! Ta błaża wojenka? Burza w szklance wody! Zresztą możesz pojechać do Kanady, nie jesteśmy w stanie wojny z Kanadą.

- Ciociu, to niemożliwe. Nie wiesz, że niemożliwe?

Tak, to było niemożliwe. Ameryka to okropne, dzikie miejsce. Matka wychowała Miri na wytworną damę, nie zaś na podróżniczkę, polującą w głuszy na zbłąkanego kuzyna. Ponadto Miri obiecała matce nigdy nie pisać i nie spotykać się z ojcem, zaś Hamilton pojechał do jej ojca właśnie. Chcąc znaleźć Hamiltona, trzeba spotkać się najpierw z ojcem. Nie do pomyslenia!

- Nie - powtórzyła Miri stanowczo. - Nie ma mowy!

- Ależ tak, moja droga, masz rację. - Okrągłe oczy ciotki Elizy lśniły z rozbawienia. - To głupie z mojej strony sugerować ci podróż. Więzienie będzie o wiele lepszym miejscem, jestem pewna. Nie wiem tylko, czy łatwo będzie naprawić twoją reputację, gdy wszyscy dowiedzą się o twoim pobycie w Newgate.

- Samotna podróż do Ameryki tak samo zniszczy moją reputację.

- Oczywiście. Masz rację. Ale Lucy, twoja pokojówka, może pojechać z tobą, zaś my możemy powiedzieć, że jedziesz odwiedzić ojca. Ludzie łatwiej wybaczą ci to, niż pobyt w więzieniu z... no... z tymi wszystkimi okropnymi typami.

Miri spojrzała na ciotkę z ukosa. Starsza pani miała słabość do ojca Miri i zawsze nalegała, by Miri znalazła sobie kogoś bardziej "interesującego" niż londyńscy dandysi. Czy ciotka usiłowała zmusić ją do niebezpiecznej przygody, która nie mogła się przecież dobrze skończyć? Miri nie bała się podróży, lecz żywiła do całego kontynentu amerykańskiego głęboką niechęć. Nie lubiła też statków. Było przecież inne rozwiązanie. Mogłaby... mogłaby... Boże! Co mogłaby zrobić? Nie ma nikogo, kto mógłby pomóc. Rodzina matki, z wyjątkiem ciotki Elizy, zrobiła wszystko, by zapomnieć o istnieniu Miri, jak poprzednio zapomniała o ojcu i o rozwodzie. Na pewno nie będą chcieli stanąć w obronie swej siostrzenicy.

Eliza uśmiechnęła się, widząc zmieniający się wyraz twarzy Miri.

- Nie martw się, moja droga. Jestem pewna, że kuzyn Harold pomoże ci wyjść z więzienia po paru miesiącach, bez względu na to czy nas lubi, czy nie. A ja będę wysyłać każdego tygodnia świeże owoce.

Miri spochmurniała. Dzika Ameryka lub londyńskie więzienie. Ładny wybór. Westchnęła z rezygnacją. Ostatecznie w lesie nie trzeba będzie znosić nieuniknionych komentarzy pani Polham dotyczących zerwania zaręczyn.

- Nie będziesz się musiała troszczyć o owoce, ciociu. Pojadę za Hamiltonem do Ameryki.

Reszta wieczoru została wypełniona przygotowaniami. Lucy była niezadowolona, że musi towarzyszyć swej pani i narzekała

na dzikusów i lasy, gdy pakowała rzeczy Miri: suknie, halki, rękawiczki, pantofle i długie pantalony, wydające się być niezwykle potrzebne w dzikich okolicach.

- Nie możemy zabierać za dużo rzeczy - myślała głośno Miri - bo musimy przenieść wszystko przez podziemny tunel i magazyn w lesie. Kapitan Michaels mógł zostawić tego okropnego sierżanta, by obserwował dom!

- Och, panienko! - jęczała Lucy. - Czy panienka na pewno dobrze robi? Mąż mojej siostry był kiedyś w Ameryce. On mówi, że te dzikusy zdzierają ludziom włosy z głowy.

- Nie spotkamy żadnych dzikusów, Lucy. Przystań jęczeć. Mój ojciec żyje w wielkim ośrodku handlu futrami, całkiem cywilizowanym, jak sędzę. Jedziemy po prostu znaleźć mego kuzyna i szybko wrócimy do Anglii. Będziemy w domu, nim się skończy lato.

Pakowanie skończyło się o północy. Kufer Miri i maty bagaż Lucy zniesiono na dół, do spiżarni, gdzie znajdowała się ruchoma ściana z półkami, odsłaniająca wejście do starego tunelu, używanego niegdyś przez rojalistów. Tunel prowadził od spiżarni, oddzielonej od głównej części domu, do lasu. Trzeba było iść przez las, by ukryć się przed strażnikami Michaelsa i dotrzeć do głównej drogi. Henry, syn ogrodnika, miał odprowadzić kobiety do gospody, w której należało czekać na wyjazd do kolonii. Znalazł się nawet środek transportu, prosta furmanka, i Miri musiała pogodzić się z takim sposobem podróżowania, chociaż nie była do niego przyzwyczajona.

Gdy bagaże zostały wyniesione, ciotka Eliza wyszła wraz z niešťczęsną Lucy, zaś Miri wróciła. Stanąwszy przy oknie, spoglądała na ogród zalany światłem gwiazd. Przez wiele miesięcy nie będzie go oglądała, a po jej powrocie żywe kolory późnego lata zostaną zastąpione przez brązy i szarości zimy. Kapitan Michaels nie będzie już groźny i życie wróci do normy. Będzie można zapomnieć o Hamiltonie i jego przekletej liście, i o Ameryce. Miri ciągle myślała o obawach Lucy. Ameryka! Kraj dzikusów i prostackich łobuzów. Czowała, że serce w niej zamiera, gdy tak patrzyła w chłodną, nieczulą noc i zastanawiała się nad tym, któremu świętemu powierzyć swój ponury los.

ROZDZIAŁ II

Miri zadrżała i szczerzej otuliła się szalem. Było chłodno jak na początek czerwca; rześka bryza burzyła błękitne wody północnego kanału jeziora Huron. Jeszcze jeden dzień, powiedziała do siebie Miri, może jeszcze dwa, i ta koszmarna podróż wreszcie się skończy. W czółnie z brzozonej kory znajdowało się, oprócz Miri, ośmiu mężczyzn. Byli to podróżni, których zawodem stało się przewożenie towarów z Montrealu do ośrodków handlowych na zachodzie. Za towary dostawali pęki skór z bobrów, królików, wydr i piżmoszczurów i wysyłali je do europejskich kuśnierzy. "To bardzo niewygodny sposób podróżowania - pomyślała Miri - ale najważniejszy jest teraz pośpiech". Przed opuszczeniem Londynu Miri dokładnie przestudiowała listy ojca. Wynikało z nich, że najkrótsza droga do siedziby ojca na wyspie Michilimackinac wiodła wzdłuż rzeki Ottawa. Im szybciej skończy się ta żalosna przygoda, tym szybciej będzie można wrócić do Londynu i do wygód. Od samego początku podróży działo się coś złego. Najpierw Miri i Lucy spędziły trzy tygodnie w marnych warunkach, czekając na możliwość wyjazdu do Kanady, zaś płynąc przez Atlantyk, cierpiały na chorobę morską. Potem był Montreal. Miri osądziła, że trudno go było nazwać miastem, zaś na przedstawicielach Kompanii Północno-Zachodniej nazwisko ojca Miri nie wywarło spodziewanego wrażenia. Tak, Dawid Sutcliffe był ich partnerem handlowym, lecz jego córka nie zasługiwała na szczególne względy. Po długich naleganiach Miri uzyskała zezwolenie na podróż wodą do Michilimackinac. Pozostali pasażerowie czółna uważali Miri za kłopotliwy dodatek i traktowali ją gorzej niż przewożony ładunek. Traktowano ją grubiań-

sko i agresywnie. Czółna płynęły razem. Miri patrzyła na Lucy, machającą do niej z sąsiedniej łodzi. Odpowiedziała jej niedbalym skinieniem dłoni, dziwiąc się entuzjazmowi swej pokojówki, która tak była przeciwna podróży w dzikie okolice. A były one o wiele dziksze, niż Miri przypuszczała. Obiecywała przecież Lucy, że nigdy nie spotka tubylców, lecz teraz widywało się ich co krok - Irokezów, Algonkwiniów, Maskegonów, Missisaków i Czipewejów. Podróźni spędzili nawet noc w wiosce przyjaznych Algonkwiniów i Miri była zarówno przerażona, jak i zafascynowana ich prymitywnym i nieskrępowanym stylem życia. Lucy, tak nieśmiała w Londynie, wydawała się cieszyć z całej przygody jak dziecko, które nagle i nieoczekiwanie znalazło się w świecie baśni. Wdawała się w rozmowy z Indianami - z jej strony był to angielski i język znaków, z ich zaś strony pomruki i gesty. Znosiła upał, zimno, długie szybkie spływy czółnem i nie narzekała. Pasażerowie w jej łodzi żartowali, śmiali się i rozmawiali, podczas gdy towarzysze podróży Miri spoglądali na jej modną suknię, miękkie pantofelki i falbanki zdobiące parasolkę jak na szczególnie odpychający i bezużyteczny ładunek.

Minał właśnie miesiąc od dnia, gdy cztery czółna wyruszyły z Lachine, portu ładunkowego na rzece Św. Wawrzyńca nieopodal Montrealu. Po kilku dniach opuściły tę rzekę i teraz wiosłowano w stronę Ottawy, zwanej przez podróżnych rzeką Qutaquais. Zatrzymywano się nieraz, by naprawić czółno lub przemieścić towary obok niezeglownych wodospadów. Potem była rzeka Matawan, prowadząca na spokojne wody jeziora Nipissing. Stamtąd, gwałtownie w dół, pojeźlowano do jeziora Huron i tylko jeden dzień podróży dzielił Miri od celu.

Fort Michilimackinac, jak Miri rozumiała z listów ojca, położony był na małej wyspie w cieśninie Mackinac, będącej wąskim pasem wody łączącym jeziora Huron i Michigan. Fort stał się własnością Amerykanów pod koniec ich rewolucji, ale w 1812 roku przejęli go Brytyjczycy dowodzeni przez kapitana Roberta. Ojciec pisał także, że najważniejszy był handel futrami, nie zaś przynależność fortu do określonego państwa. Fort był miejscem, do którego wysyłano towary i gdzie wymieniano je na skóry dostarczane przez Indian. Miri nie była wcale zainteresowana

handlem futrami, ale cieszyła się, że miejscem, do którego zdążyła, zarządzali jej rodacy. Na cywilizowanych Brytyjczykach można polegać, zaś w Amerykanów Miri wątpiła.

Jeden z pasażerów, siedzący na rufie, zaczął żagle mamrotać szybko po francusku. Większość mężczyzn była francuskimi Kanadyjczykami i Miri nie rozumiała prawie ich rozmów, jakkolwiek sama mówiła znośną salonową francuszczyzną. Czasem mężczyźni czynili wysiłki, by Miri ich zrozumiała, ale zdarzało się to bardzo rzadko. Dziewczyna podejrzewała, że była obiektem żartobliwych rozmów prowadzonych w czólnie. Teraz jednak ton gwałtownej rozmowy nie był z pewnością żartobliwy. Człowiek na dziobie zaczął krzyknąć do innych pasażerów i czólnie Miri skrzywiło w stronę brzegu.

- Co się dzieje? - spytała Miri nerwowo.

- Mamy przeciek, panienko. Zostaniemy tu na noc i naprawimy to. Inne łodzie popłyną dalej, jesteśmy już blisko Michilimackinac. Rozumie pani?

Miri struchlała.

- Myślałam, że czólna płyną zawsze razem, dla bezpieczeństwa.

Podróżny uśmiechnął się.

- Qui, mademoiselle. Tak się robi, ale teraz nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Trudy podróży skończyły się. To tylko dzień zwłoki.

- Wiem. - Miri wiedziała, ale nie była zadowolona. Inne czólna były już na horyzoncie. Lucy odpłynęła i Miri została sama z perspektywą spędzenia nocy wśród ośmiu prostackich mężczyzn. Wyglądali oni na bardziej niebezpiecznych niż Indianie spotkani po drodze. Niech diabli wezmą to głupie czólnie - zaczęło przeciekać teraz, pod sam koniec podróży.

Po kilku minutach osiągnięto skaliste wybrzeże. Miri zniosła ponizienie bycia niesioną przez narzekających mężczyzn; stałe się to powtarzało, gdy trzeba było wyciągnąć czólnie na brzeg. Ciężko wylądowane czólnie nigdy nie podpływały do samego brzegu w obawie przed uszkodzeniem delikatnej brzozy kory, z której były zrobione. Miri zdecydowała, że woli być noszona przez prostackich mężczyzn, niż moczyć swe spódnice, pantalony, pończo-

chy i pantofelki i brudzić je błotem lub piaskiem. Trzeba było wybierać mniejsze zło.

Okazało się, że czółno ma więcej niż jeden przeciek. Prawdę mówiąc, przeciekało od czasu spływu rzeką Francuską. Siedząc na pniu drzewa Miri obserwowała mężczyzn stojących po pas w wodzie i podających sobie z ręki do ręki kolejne towary, opakowane w skrzynie i starannie oznakowane. Ogółem było sześćdziesiąt stofuntowych pojemników, zawierających koce, płaszcze, perkal, płótno, koszule, getry, wstążki, paciorki, proch strzelniczy, stalowe krzesiwa, śruby, brandy i rum, sztućce, kociołki, strzelby, grzebienie, lusterka, tytoń, naboje i śrut, słowem wszystko, co dawało się w zamian za skóry przywożone przez Indian z ich zimowisk.

Rozładowywanie czółna zajęło dwie godziny. Potem je naprawiono i dopiero wtedy mężczyźni zajęli się rozbiciem obozowiska. Dwaj wybrali się na poszukiwanie świeżego mięsa, zaś pozostali moczyli korę brzoźową i topili żywicę, by jeszcze starannie uszczelnić łódź.

Miri patrzyła bezradnie i beczynn timer siedziała, gdy inni rozbijali obóz i przyrządzali królika, bulgocącego teraz w kociołku nad ogniskiem. Na początku podróży ofiarowała niepewnie swą pomoc, lecz po skosztowaniu tego, co ugotowała, mężczyźni przeznaczili jej rolę obserwatora. Spędziła zatem wieczór w poczuciu własnej bezużyteczności, tęskniąc za towarzystwem Lucy. Mężczyźni, skupieni przy ognisku, gawędzili w swej niezrozumiałej francuszczyźnie i Miri położyła się na swe legowisko, zrobione z koców i gałęzi sosnowych, świadoma, że nikt nie zauważył jej odejścia.

Nastał ranek, najchłodniejszy od chwili opuszczenia Montrealu. Powietrze było wilgotne, a słońce prawie niewidoczne zza nisko wiszącej, grubej warstwy chmur. Można było sądzić, że jest środek zimy, nie zaś późna wiosna. Mężczyźni byli ożywieni i weseli; jeszcze tylko dzień wiosnowania i wylądują na wyspie Michilimackinac, gdzie czekają kobiety, rum i ciepłe, suche łóżka. I dla Miri, i dla jej towarzyszy podróży wyspa była wytęsknioną przystanią.

Tymczasem chmury gęstniały i gromadziły się coraz niżej, dotykając prawie szarej wody. Cienka gazowa suknia i jedwabna tunika Miri były krzykiem mody w Londynie, lecz nie dostarczały zbyt wiele ciepła ich właścicielce, która marzyła teraz o ciepłym palcie, zapakowanym do kufra, spoczywającym w czółnie pod stosem ładunku. Co gorsza, podróżnicy zmienili trasę podróży biegnącą wzdłuż brzegu i wiosłowali teraz przez środek jeziora Huron. Wielkie wyspy, widoczne jeszcze rano, zniknęły teraz całkowicie we mgle i chmurach. Dla Miri jezioro było oceanem i myśl, że kruche czółno z kory brzoźowej jest jedyną ochroną przed nieogarnionym obszarem wód, powodowała dreszcze, nie tyle zimna, co strachu. Niebawem Miri straciła z oczu wszelki ląd. Jeśli był niedaleko, to ukryty za gęstymi chmurami. Fale stały się coraz większe. Były wyższe i krótsze niż fale oceanu i wydawały się groźniejsze od tamtych; być może małeńkie rozmiary czółna czyniły je takimi. Żołądek Miri zaczął odmawiać posłuszeństwa, podobnie jak w czasie podróży przez Atlantyk. Owinęła się szalem i zaczęła marzyć, by zwodnicza wyspa ukazała się już wreszcie na horyzoncie. W południe Miri zrezygnowała ze swej porcji suszonej kukurydzy z tłuszczem. Takie jedzenie było zawsze niesmaczne, szczególnie zaś teraz, gdy żołądek Miri buntował się. Ku jej zaskoczeniu, niektórzy mężczyźni też zrezygnowali z południowego posiłku. Wyglądali tak samo źle jak ona. Czyżby sytuacja była tak niezwykła, że nawet mężczyźni zaczęli chorować?

W ciągu dnia wiatr stawał się coraz silniejszy. Twarze podróżnych zdradzały zaniepokojenie. Do wyspy była jeszcze godzina wiosłowania, ale nie można było dostrzec celu podróży w gęstniejącej mgle, która przerodziła się nagle w gwałtowny deszcz. Niesione wichrem fale przelewały się przez burty; dwaj mężczyźni przerwali wiosłowanie, by czerpać wodę z dna czółna. Miri pojęła, że znajduje się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Mężczyźni już dawno przestali rozmawiać i żartować, Miri zaś, widząc napięcie na ich twarzach i pracę mięśni pod przemocznymi koszulami, zrozumiała więcej, niż chciała wiedzieć. Sięgnęła po małą Biblię, którą ciotka Eliza dała jej na wyjeździe. Przez całą tę okropną podróż Miri czerpała pociechę z samej bliskości

książki, ale teraz nie potrafiła. Mogła myśleć tylko o tym, że fale wyglądają jak góry, i o tym, że ona i reszta podróżnych jest zupełnie bezradna w maleńkim, kruchym czólnie.

Łódź poruszała się coraz niepewniej na ciężkich falach, przelewających się pod jej dnem. Kolejni mężczyźni rzucili się do wybierania wody, zostawiając tylko czterech do manewrowania czólnem. Z niezwykle gwałtownym szarpnięciem dziób łodzi podniósł się w górę po zboczu fali, a potem runął w dół, gdy grzywa wody przetoczyła się po nim. Czekala już następna wielka fala, ale czółno już się nie podniosło, przygniecione ciężarem wody. Jeden z mężczyzn wymamrotał coś po francusku, co wyglądało na modlitwę, przeżegnał się i rzucił się do wiosł. Za późno.

Małe czółno huśtało się na falach nie opodal wyspy Michilimackinac. Dwaj Czipewejowie - jeden zwalisty i beczkowaty, drugi wysoki i wysmukły - siedzieli swobodnie z wędkami w dłoniach.

- To był dobry poranek - powiedział wysoki. Odnosiło się to raczej do połowu niż pogody, gdyż wiał ostry wiatr i nawet przy brzegu fala była nieprzyjemna.

- Dobry dla ciebie - odparł zwalisty Indianin. - Za dobrze cię uczyłem, Oczy Ducha. Jak na kogoś, kto niedawno zaczynał, jesteś zbyt szybki. Nie sądziłem, że doczekam dnia, gdy będziesz lepszym rybakiem ode mnie.

Oczy Ducha uśmiechnął się, co złagodziło jastrzębie ostre rysy jego twarzy. Większość ryb, które leżały na dnie czółna, została złowiona harpunem, nie wędką. Polowanie z harpunem wymagało bystrego oka i szybkiej ręki, a on był w tym szczególnie biegły. Dopiero teraz, gdy złapał dość ryb na dwa obfite posiłki i zostało ich sporo do uwędzenia, można było odpocząć z wędką w ręce.

- Mój brat, Ujeżdżający Falę, powinien pamiętać, że dobry uczeń to duma dla nauczyciela. - Złośliwy uśmiech zadawał kłam jego pokornym słowom.

Ujeżdżający Falę zamamrotał coś niewyraźnie.

- Uczeń usiłuje pokonać nauczyciela. Tancerka Jeziora będzie musiała przez tydzień palić ognisko, by to wszystko uwędzić. A

może ja ci pokażę mistrzowski połów i przyniosę dwa razy tyle, ile ty złapałeś na harpun.

Oczy Ducha mruknął niedowierzająco.

- Ale tu chodzi o twoją siostrę, więc nie przyniesiesz. No i pogoda się psuje. Ryby schodzą w głębinę, żeby się ukryć. - Nie - wiele było rzeczy, które Oczy Ducha umiał robić lepiej od swego brata, więc jeśli było coś takiego, lubił to podkreślać. To utrzymywało Ujeżdżającego Fale w pokorze.

- To prawda - odparł dobrodusznie Ujeżdżający Fale. - Ciesz się, że to rozumiesz.

Spojrzał na nisko wiszące chmury i otarł z twarzy pierwsze krople deszczu.

- Myślę, że zima wraca na chwilę, mój bracie. Woda zaczyna się burzyć i jeśli moje kości nie kłamią, ten deszcz zamieni się w śnieg.

- Prawdziwy Czipewej nie przejmuje się drobiazgami - odparł Oczy Ducha z udawaną pokorą.

Ujeżdżający Fale podniósł wiosło i ruszył do brzegu.

- Mądry Czipewej siedzi w swym wigwamie i grzeje ręce przy ognisku, gdy wiatr zaczyna wiać w lesie.

Dwaj mężczyźni wyładowywali ryby na brzeg, kuląc się w siekącym deszczu, gdy Oczy Ducha zauważył handlowe czółno, walczące z wichrem i falami. Dotknął ramienia brata i wskazał ręką na jezioro.

- Zwariowani biali nie powinni tego robić - skomentował Ujeżdżający Fale. - Nawet dziecko wie, że nie wypływa się daleko na jezioro przy takiej fali.

- Przypuszczalnie przy płynęli od północnego wybrzeża. Ci, którzy dotarli tu wczoraj, mówili o jednym czólnie, mającym się opóźnić o dzień. W taką pogodę powinni zostać na brzegu i przeczekać wicher.

Ujeżdżający Fale skinął głową. Teraz obydwaj patrzyli ponuro na czółno podrzucane falami i tracące z każdą minutą zdolność utrzymywania się na wodzie. W końcu nastąpiło nieuniknione. Czółno było na tyle blisko, że dwaj Indianie mogli usłyszeć krzyki podróżnych, gdy pokład przechylił się na bok i ładunek zsunął się do jeziora. Wiatr niośł wołania i jeden przeraźliwy wrzask, który

mogła wydać z siebie tylko kobieta. Ujeżdżający Fale ruszył brzegiem po pomoc, zaś Oczy Ducha skoczył we wzburzone fale jeziora. Za późno. Wszystkie wysiłki podróżnych też były daremne. Czółno nabrało zbyt dużo wody, zaś przerwy między kolejnymi falami były zbyt małe, by pozwolić łodzi na odzyskanie sterowności. Czółno zanurzyło się w następną falę. Lodowata woda zalała je od dzioba po rufę, wypełniając je aż po okrężnicę. Przesuwało się powoli na jeden bok i nie przestawało się przekrzywiać. Mężczyźni klęli i krzyczeli, Miri wrzeszczała. Po chwili zeszywniała. Czowała, że tonie; załadowane towarem skrzynie tonęły wraz z nią, podskakując na falach.

Miri żałowała przez sekundę, że nigdy nie nauczyła się pływać. Nie wydawało się to konieczne. Nie lubiła wody i nie rozumiała w dzieciństwie swoich rówieśników, którzy z upodobaniem tańczyli w strumieniach i stawach młyńskich. A teraz jezioro stało się wymagające i zapraszające; nie można się mu było oprzeć. Śmierć chichotała w ciemnej lodowatej głębinie.

Płatki latały Miri przed oczami, płuca rozdzierał ból. Ręce i nogi zdawały się być oderwane od ciała. Dziewczyna nie poddawała się jednak. Walila w wodę ciężkimi zamachami ramion i kopała nogami jak z gumy, naśladując ruchy Hamiltona, który kiedyś pływał wstawie obok letniego domu. Wciąż naprzód i naprzód, uderzenie za uderzeniem, przebijając się między skrzyniami tańczącymi na wodzie i grożącymi jej poranieniem, walczyła o życie, nie czując już bólu.

Minęła wieczność cała, nim jej głowa wysunęła się nad powierzchnię wody. Miri zaczerpnęła powietrza gwałtownym haustem i zakrztusiła się, gdy fala przetoczyła się nad jej głową, wypełniając wodą jej usta i nos. Szarpnęła się znowu, ale tym razem suknia oblepiła szczelnie jej nogi. Walka była bezowocna. Bezsilna Miri zaczęła tonąć.

Nie czuła już prawie nic, gdy jakaś ręka uchwyciła jej ramię i pociągnęła ją w górę. Wynurzyła się ponad powierzchnię wody, by uświadomić sobie, że ciągle żyje i ktoś walczy wraz z nią, usiłując utrzymać jej głowę nad wodą. Woda chlusnęła znów do jej nosa i Miri wpadła w panikę. Jej ręce usiłowały zacisnąć uścisk, którego ani fale, ani jej zbawca nie mógłby rozerwać. Oddycha-

nie stało się jedynym celem i nic, ani szalejąca burza, ani wzburzone piekło jeziora Huron, nie były w stanie wciągnąć jej znów w głębinę. Miri chwyciła gwałtownie czyjeś ręce, czując twarde mięśnie usiłujące ją odepchnąć. Zaciśnęła uchwyt jeszcze bardziej kurczowo, wciągając kogoś pod wodę. Pod palcami czuła czyjeś ucho i włosy. Wynurzyli się razem na powierzchnię i Miri ledwie zdążyła zaczerpnąć powietrza, gdy pięść jej wybawcy rąbnęła ją w szczękę. Miri nie odczuła bólu, lecz fajerwerki eksplodowały w jej głowie i rozluźniła uchwyt. Nim mogła pomyśleć, brązowe ramię otoczyło jej plecy i dotknęło piersi, trzymając ją bezsilną, gdy pływak dążył przez fale i prąd ku bezpiecznemu brzegowi.

Miri była półprzytomna, gdy jej nogi dotknęły skał plaży. Walka nie skończyła się jednak jeszcze, gdyż jezioro, chcące ich zatrzymać, teraz postanowiło ich uwolnić, ale pozostawiwszy uprzednio okrutne ślady. Fale rzucały nimi jak szczątkami rozbitego statku, rozbijając ich o skały. Spieniona woda szarpała nimi w tył i w przód, wlokąc ich w paszczę ostrych głazów i cofając się, nim ich stopy znalazły oparcie. Przez cały czas Miri czuła, że jest mocno przyciśnięta do silnego, twardego jak skała ciała. Jej wybawca nie wypuścił jej ze swego uchwytu; gdyby to zrobił, utonąłaby w wodnym grobie. Wreszcie wszystko się skończyło i Miri była zbyt zmęczona i oślepiała, by uświadomić sobie, iż jest bezpieczna. Wydawało się jej, że nadal ma kłopoty z oddychaniem i nawet niezbyt dziwiła się deszczowi ze śniegiem, który niewiele różnił się od groźnych fal.

- Odwróć się, do cholery!

Ostry głos przywiódł Miri do przytomności na tyle, że poczuła, iż ktoś wlecze ją po plaży i układa twarzą do ziemi. Myślała o sobie jak o kimś obcym. "Pewnie umarłam" - pomyślała. Inaczej musiałaby być przerażona, widząc półnagiego mężczyznę, siedzącego na niej okrakiem i okładającego pięściami jej bezwładne ciało. Czuła tylko niewielkie zdziwienie, patrząc na działania mężczyzny i zadowolenie, że nie jest tym okładanym kułakami ciałem.

- Oddychaj, psiakrew! Oddychaj!

Tym razem Miri usłyszała głos z bardzo bliska i uświadomiła sobie, że ciężar dalszego życia spadł na nią ponownie. Kaszłała, dyszała, wdychała piasek i kaszłała znowu. Gardło miała jak w ogniu, płomień zdawały się lizać całe jej ciało.

- No, nareszcie! Oddychaj, babo!

Oddychała. Jej ciało konwulsyjnie wyrzucało z siebie ogromne ilości wody o kwaśnym smaku. Oddychała głębiej, zgodnie z rytmem dyktowanym jej przez silne - regularne uciski na jej plecach. Kamienie wbijały się boleśnie w jej biodra, piersi i ramiona w miarę, jak dłonie ratownika ją ugniatały.

- Prze... stań! - wydyszała, usiłując zrzucić z siebie bolesny ciężar. - Proszę!

Zadowolony widocznie, że wypompuwał z jej płuc część jeziora Huron, mężczyzna stoczył się z niej na bok i rozciągnął się na ziemi, oddychając głęboko i nic sobie nie robiąc z deszczu i śniegu. Uniósł się na łokciu, by przyjrzeć się obszarpanej istocie, którą wyciągnął na brzeg.

Czucie powoli wracało do ciała Miri i uświadomiła sobie, że jest przeraźliwie zimno. Nie była w stanie się ruszyć. Trzęsła się z chłodu i zmęczenia, niepewna nawet, czy cieszy się, że żyje.

- Wstawaj.

Mężczyzna podniósł się i widząc, że ona nie ma zamiaru go posłuchać, chwycił ją za ramię, szarpnięciem zmuszając do powstania.

- Ściągnij te przemoczone kiecki, zanim zamarzniesz.

- Co? - Zęby Miri zaczęły szczekać i pewna była, że robi się sina. Chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa i runęła prosto w mokre objęcia mężczyzny. Z niecierpliwym pomrukiem podniósł ją i zaniósł wyżej, do granicy drzew, gdzie leżało małe czółno odwrócone do góry dnem. Postawił ją na wyściółce z gałęzi i spytał:

- Możesz stać?

- Oczywiście - wydusiła z siebie Miri zza dzwoniących zębów.

- Jeśli tylko mógłbyś...

- Zdejmij te mokre rzeczy. - Schylił się i sięgnął pod czółno. - Koc powinien być suchy.

Miri gapiała się na niego osłupiała.

- No już. Ściągaj to wszystko.
Ten idiota chciał, żeby się rozebrała? Tutaj? W czasie burzy, na dworze, stojąc przed nim? Co on sobie myśli, że kim ona jest?

- Jeśli pan mnie zabierze do najbliższego domu, to ja...
- Och, na Boga, nie bądź tak upartą suczką! Czy chcesz zamarznąć na śmierć albo złapać zapalenie płuc?
- Tylko proszę mnie zabrać gdzieś, gdzie jest ciepło, panie...
- Oczy Ducha. - Wstał i jego wzrost stał się nagle przytłaczający. Czubek głowy Miri sięgał ledwie jego ramion.
- Panie... Oczy Ducha. - Ducha, rzeczywiście! Wyglądał zbyt cieleśnie jak na takie imię. Miri cofnęła się i nerwowo odgarnęła pasmo zapiaszczonych włosów. Drżała prawie konwulsyjnie i z trudem formułowała słowa. Jej ubranie było teraz lodowatym płaszczem, wysysającym z niej każdą odrobinę ciepła, ale pod żadnym warunkiem nie zdjęłaby go z siebie. Była przecież dobrze wychowaną kobietą i jeśli musiała zamarznąć, by to udowodnić, to trudno.

Indianin zrobił krok naprzód. W niepewnym świetle Miri zobaczyła mglisty zarys potężnego męskiego ciała, które zupełnie przypominało monstrum z jej dzieciennych koszmarów. Cofnęła się.

- Nie po to wydobyłem cię z jeziora, żeby ci pozwolić zamarznąć na brzegu, ty bezrozumna kobieto. Ściągnij te kiecki i owiń się kocem pod czółnem. Zabiorę cię gdzieś, gdzie się tobą opiekują.

- Wołałabym...
- Ni cholery mnie nie obchodzi, co wołałabyś!

Chwyił ją, nim mogła się ruszyć. Jedną ręką przytrzymał ją w stalowym uchwycie, drugą sięgnął do szarfy owijającej jej stanik. Jego palce pocierały mokry jedwab okrywający jej piersi, budząc w niej dziwne drżenie.

- Puść mnie, ty nieokrzesany dzikusie! Co ty sobie myślisz ... och!

Jedwabna tunika bezceremonialnie została ściągnięta przez jej głowę i rzucona na pastwę wiatru. Potem jego ręce zerwały stanik. Wrzaski Miri stawały się coraz głośniejsze, w miarę jak męskie dłonie przesuwały się po jej zimnym ciele i dotykały

miejsc, których żaden mężczyzna nie miał prawa dotykać. Czują się jak dojrzała śliwka obierana ze skóry, ale wszelkie jej skręty, uniki, drapanie, gryzienie i kopanie nie robiło żadnego wrażenia na jej napastniku. Zaczęła rozpaczliwie jęczeć, gdy jej pantalony przesunęły się w dół, wzdłuż ud, kolan i kostek. Jej gołe nogi - i o wiele więcej - były teraz wystawione na widok tego odrażającego zwierza, który tak ją upokorzył. Ostatnia opadła koszula, rozdarta lodowatymi szponami. Miri była naga jak noworodek i tak samo przerażona.

- Nie wiem, o co się tak wściekasz, głupia kobieto. Powinnas być zadowolona, że... Uuuuh!

Kolano Miri wylądowało w najwrażliwszym miejscu męskiego ciała. Uwolnił ją natychmiast z uchwytu. Zaskoczona swą chwilową swobodą zawahała się i sięgnęła po koc. Owijając się nim ruszyła między drzewa, ignorując okrzyki za plecami.

- Wracaj tutaj, ty niewdzięczna kocico! Czy wiesz, do diabła, gdzie idziesz?

Miri nie wiedziała. Stała. Może w lesie są jeszcze gorsi barbarzyńcy niż ten, który ją prześladował. Chwilowa odwaga wyparowała, nogi zaczęły mięknąć, a las wirować.

- Mała wredna kocica! Prawie mnie pozbawiłaś męskości! Dzikie szarpnięcie odwróciło ją do tyłu. Serce zaczęło jej walić ze strachu. Wahała się trochę za długo.

- Dotknij mnie jeszcze raz i...

- Co zrobisz, kobieto? Najgorsze już zrobiłaś.

Deszcz ze śniegiem zamienił się w lekką mżawkę. Chmury zaczęły się podnosić i wodniste światło przedarło się przez mgłę. Miri spojrzała po raz pierwszy w twarz Indianina i to, co zobaczyła, oczarowało ją. Był to widok szokujący dla delikatnej damy, która nie powinna patrzeć na surową dzikość i prymitywizm. Wysoki, barczysty, z mięśniami jak stal pod miedzianą skórą, Oczy Ducha był wspaniałym okazem dzikiej męskości. Serce Miri załomotało nierówno, ale nie mogła odwrócić oczu od kształtów rysujących się pod opaską lędźwiową i nogawkami legginsów. Zrozumiała teraz, skąd wzięło się jego imię, Oczy Ducha. Oczy jego były srebrzystoszare, wystające kości policzkowe i wy-

datne brwi nadawały jego twarzy jastrzębi wyraz, złagodzony tylko przez szerokie, wydatne usta.

Jego onieśmielająca męskość zaparła Miri dech w piersiach, ale to, co zobaczyła na koniec, wprowadziło ją w kompletne osłupienie. Głowa dzikusa była dokładnie wygolona wokół kosmyka na czubku - Miri widziała już ten styl, spotykając Indian podczas podróży czólnem, ale ta głowa była zupełnie inna. Ten dzikus, stojący przed nią w pełni swej prymitywnej urody, nosił gęsty, gruby kędzior koloru blond, nieprawdopodobnie złocistego.

Po raz pierwszy w życiu Miri zemdląła jak prawdziwa dama.

ROZDZIAŁ III

"Puchowe łóżko jest najlepszym wynalazkiem człowieka od czasu, gdy wymyślono sen" - myślała Miri leniwie. Czula się tak, jakby płynęła, otoczona miękkimi ciepłymi chmurami, które otulały jej zmęczone ciało i kusiły, by znów zatonać w drzemce. Jak długo trwało, nim mogła zatonać w łóżku puchowym?

Miri otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła, nie wierząc samej sobie. Bielone ściany zasłony przy oknach z drukowanej bawełny?

Znów otworzyła oczy i spojrzała z ukosa na promienie słońca, przedzierające się przez zasłony. Przez wiele tygodni jej łóżkiem była wilgotna ziemia, a surowy koc stanowił jedyną ochronę przed chłodem. Jak to się stało, że leży teraz wśród miękkich poduszek, kołder i watowanych ocieplaczy? Koronkowa serwetka okrywała stolik znajdujący się obok łóżka. Po przeciwnej stronie pokoju, na rzeźbionej dębowej górnicy stał porcelanowy dzbanek i miednica. Obok wisiały niepokalanie białe lniane ręczniki. Czy umarła i jest w niebie?

- Gdzie ja jestem? - wyszeptała Miri. Na pewno nie w niebie, zdecydowała szybko. Tylko śmiertelnik może czuć się tak źle. Głos miała zachrypnięty, gardło ją bolało, zaś całe ciało składało się jakby z samych węzłów. Ból przywrócił jej pamięć - burza, gigantyczna fala, tonięcie, ratunek...

- O Boże! - Nagle przypomniała sobie półnagiego dzikusa, który wyciągnął ją z jeziora i gwałtownie usiadła na łóżku. Ból przeniknął jej piersi, a kaszel rozrywał płuca. Każde poruszenie było jak uderzenie noża. Usłyszała, że drzwi się otwierają, ale nie odwróciła głowy.

- No, no. Uspokój się, dziewczyno.

Pulchna dłoń poklepała Miri po plecach, a druga podtrzymała jej głowę. Szarpiące bóle powoli ustępowały i Miri z ulgą położyła się na plecach.

- Tak jest dobrze. Leż i wypij to.

Zjawiała się filiżanka wody. Miri piła powoli i patrzyła na swego dobroczyńcę. Była to miła pulchna kobieta w średnim wieku, która spoglądała z wyrazem sympatii na leżącą dziewczynę.

- Biedactwo. Musisz być strasznie zakłopotana.

Miri przytaknęła ruchem głowy, bojąc się mówić.

- Jesteś tu bezpieczna, złotko, nie martw się o nic. Ja jestem wdowa Peavey. Jesteś u mnie na farmie, na wyspie Michilimackinac. Jordan Scott przyniósł cię tu wczoraj wieczorem. Byłaś bezwładna jak szmaciana lalka, biedactwo, aż do teraz.

- Jordan... kto? - zaskrzeczała Miri.

- Widzę, że nie przedstawił ci się. Mówię ci, ten człowiek ma maniery muła i jest dwa razy bardziej uparty.

- Ten... jasnowłosa Indianin?

- Tak, ten sam. - Wdowa uśmiechnęła się i Miri stwierdziła, że uśmiech nadaje pulchnej twarzy wyraz piękności.

- Przypuszczam, że w głowie ci aż kipi od pytań, czyż nie tak? Ładny miałaś sposób na przybycie tutaj. Myślę, że teraz jednak powinnaś odpocząć. - Poprawiła poduszki Miri i pogniecione ocieplacze. - Oberwałaś niezłe i masz przekrwione gardło. Leż sobie, a ja przyniosę ci trochę pożywnej zupy. Mamy jeszcze mnóstwo czasu na rozmowy.

Nagle Miri poczuła się bardziej bezpieczna niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni. Ułożyła się wygodnie i przymknęła oczy. Wdowa wyszła z pokoju, szeleszcząc obfitymi spódnicami. "Trudno uwierzyć: jestem bezpieczna i żyję, choć czuję się marnie" - myślała Miri. Największym cudem z tego wszystkiego jest dotarcie do celu podróży. Teraz trzeba tylko odnaleźć ojca i Hamiltona, wydusić z niego wiadomości dotyczące ukrycia dokumentu i można już będzie wracać do Londynu. Tam będzie mogła zapomnieć o tej upiornej podróży - przerażających przełomach rzek, uciążliwym transporcie, męczących insektach i ordynarnych żeglarzach. Będzie mogła w ogóle zapomnieć o ist-

nieniu Ameryki. No i o... tak, o tym brutalnym nieokrzesanym dzikusie, który nazywał siebie Oczy Ducha, a naprawdę nosił imię Jordan... jak? O nim również będzie mogła zapomnieć.

- Proszę bardzo. - Wdowa Peavey weszła do pokoju z miską, z której unosiła się smakowita woń. Usta jej rozciągnęły się w macierzyńskim uśmiechu. - Rosół z kaszą jęczmienną. Jak mówią moje córki - "zupa z małych oczek". Zjedz trochę, panno Sutcliffe i od razu poczujesz się lepiej.

Miri podniosła zdziwione oczy na swoją opiekunkę.

- Och tak, moja droga - odparła na nie wymówione pytanie wdowa Peavey. - Wszyscy wiedzą, że miałaś przyjechać. Twoja mała Lucy znalazła się tu wraz z resztą brygady dzień przed sztor mem. Wiadomości rozchodzą się szybko na tak małej wyspie. Wszyscy się ciebie spodziewali.

"Wszyscy? To dlaczego nie ma tu ojca? Może już był. Może czeka w sąsiednim pokoju, aż ona nabierze sił, by móc się z nim zobaczyć, ale dlaczego wdowa nic nie mówi na ten temat?" - myślała Miri, z zamkniętymi oczami oddając się fantazjowaniu. A może David Sutcliffe nie miał wcale ochoty spotkać się z córką, którą opuścił szesnaście lat temu. Wysyłał jednak sporo listów.

- Przypuszczam, że martwisz się o swoją małą pokojówkę - powiedziała wdowa pocieszająco. - Lucy jest tutaj i czuje się zna komicie. Muszę przyznać, że świetnie zniosła podróż, jak na miejską dziewczynę.

Miri spróbowała zupy, której smak był wyborny, a ciepło ogrzewało żołądek i rozchodziło się po całym ciele. Zmęczenie Miri było jednak tak wielkie, że z trudem mogła jeść.

- A mężczyźni z mojej łodzi? - wychrypiła.

- Obawiam się, że są na dnie jeziora razem z towarem. Masz szczęście, że Jordan zauważył wywrotkę łodzi i wyciągnął cię na brzeg. To cud, że nie utonęliście oboje w tej wodzie. - Wdowa potrząsnęła głową.

Miri leżała cicho, dziwiąc się żalowi, który ją ogarnął na myśl o obcych mężczyznach, będących towarzyszami jej podróży. Zebrała w sobie siły i zadała pytanie, które ją męczyło.

- Czy... czy mój ojciec wie, że jestem tutaj?

Na twarzy wdowy Peavey pojawił się wyraz, który potwierdził najgorsze obawy Miri. A zatem nie chciał jej widzieć.

- Twój ojciec... - Wdowa zawahała się i wyraz współczucia pojawił się w jej oczach. - Nie jest mi łatwo powiedzieć ci o tym, moje dziecko. Twój wspaniały ojciec, kochany przez nas wszystkich, zmarł na zapalenie płuc ostatniej zimy. Ojciec Carroll pisał do ciebie, ale list musiał widocznie zagać.

- Mój ojciec... umarł?

Miri nigdy nie pomyślała o tym, że jej ojciec może kiedyś umrzeć. W jej myślach był kimś większym od życia, bo tak bardzo go nienawidziła. Odszedł. Trudno uwierzyć, że to możliwe.

- Był takim dobrym człowiekiem, panno Sutcliffe. Wszyscy tu tutaj dzielimy pani żal.

Dobry człowiek. Nie. Nigdy. Nieoczekiwanie łzy wypełniły oczy Miri i popłynęły po jej policzkach.

- Ja... ja nie widziałam go od czasu, gdy miałam siedem lat. - To były jedyne słowa, jakie zdołała wymówić.

Wdowa poklepała ją po ręce z nieśmiałą czułością.

- Wiem, kochanie. Twój ojciec ciągle opowiadał przyjaciółom o córce, którą zostawił w Anglii. Byłby dumny, widząc na jakую damę wyrosłaś. Myślę, że Bóg bywa czasem zbyt surowy.

Łzy popłynęły po twarzy Miri gorącym strumieniem, choć sama nie wiedziała, dlaczego płacze.

- Myślę, że chcesz teraz zostać sama, moja droga. Tutaj, w szufladzie jest Biblia - wskazała na stolik przy łóżku - jeśli potrzebujesz pociechy. Za wołaj, jeśli zechcesz się wypłakać na moim ramieniu. Jestem przyzwyczajona.

Wdowa cicho zamknęła drzwi za sobą. Twarz Miri zalewały potoki łez. Kogo tak opłakiwała? Jej ojciec był podłą kreaturą, nieczułym potworem. Nie zasłużył na długie życie. Złamał serce matce, opuścił jedyne dziecko, naraził rodzinę na pogardę i plotki w całym Londynie. Piekło było za dobre dla gruboskórego łotra, jakim był David Sutcliffe.

Miri otarła mokre policzki śnieżnobiałym prześcieradłem. Pomyślała o paczce listów ojca, które przywiozła ze sobą z Londynu. Nigdy nie odpisała na żaden z nich, ale czytała je ciągle, sama nie wiedząc dlaczego, i przechowywała je troskliwie w ma-

łej szkatułce na gotowalni. Teraz wszystkie były na dnie jeziora Huron wraz z innymi jej rzeczami, z Biblią ciotki Elizy i prostaczkami, lecz energicznymi mężczyznami. Wszystko przepadło na zawsze tak, jak jej ojciec.

Strumień łez popłynął znów z oczu Miri. Przypomniała sobie postać ojca, takiego jakiego pamiętała z dzieciństwa. Siedmioletniej dziewczynce wydawał się ogromny; wielkie, żylaste ręce, twarz otoczona bokobrodami, donośny głos i ochryple śmiech powodujący, że wszystkie głowy odwracały się w jego stronę. W dniu, gdy opuszczał Anglię, nosił kozłowe spodnie i puszył się nimi jak honorowym odznaczeniem. Miri pamiętała, że wyglądał śmiesznie. Wszyscy patrzyli nań z dezaprobatą, ale on to ignorował. Miri nigdy nie widziała nikogo tak szczęśliwego i zarazem tak smutnego. Najlepiej pamiętała jednak jego szczęśliwy uśmiech, gdy patrzył na statek, który miał go zabrać. Stojąc tak w tych dziwacznych skórach, próbował wyjaśnić powód wyjazdu, ale siedmioletnia Miri niczego nie zrozumiała. Teraz, w wieku dwudziestu trzech lat, nie rozumiała nadal, dlaczego jej ojciec porzucił wszystko - rodzinę, wygodę, cywilizację w ogóle - by wrócić do kraju dzikusów i prymitywnych osad. Jej matka też nie mogła tego zrozumieć. To ciotka Eliza ścisnęła rękę Miri, gdy ojciec wchodził po trapie na statek. Matka nie chciała oglądać jego odjazdu. Po dwóch latach orzeczono rozwód.

Miri otarła łzy. Teraz obydwójce rodzice nie żyli. Ciekawe, czy spotkają się w zaświatach i załagodzą spory, które ich rozdzieliły za życia. "Raczej nie" - dumiała Miri smętnie. Jej ojciec nie lubił nieba, tak samo jak Londynu. Jego dusza powróci niewątpliwie do pustkowi, jezior i strumieni, razem z muchami.

Zmęczenie skłoniło Miri do snu, lecz myśli o duchach przypomniły jej o Indianinie - wybawcy. Oczy Ducha. Dziwaczne imię. Rozumiała jednak, skąd się wzięło. Srebrzystoszare oczy spoglądały jakby z innego świata. Ich spojrzenie powodowało dreszcz wzdłuż kręgosłupa; nawet sama myśl o nich. Obraz dzikusa towarzyszył Miri, gdy zasypiała.

Gdy się obudziła, słońce nadal świeciło, ale teraz było to różowe światło poranka, a nie wczesnego popołudnia. Przespała zatem cały dzień i noc.

- Dzień dobry!

Miri odwróciła głowę na dźwięk głosu. Zobaczyła trzy twarze dziewczynek stojących rzędem: od najwyższej do najniższej.

- Ja jestem Margaret Peavey - poinformowała ją najwyższa z powagą prawdziwej damy - a to...

- Sama potrafię, Mag! - Średnia siostra szturchnęła Margaret.

- Jestem Mary Beth. A to jest Marta. - Wskazała na najmłodszą siostrę, która wyjęła palec z buzi, by okazać dobre maniere, lecz nie uśmiechnęła się.

- Pani jest Angielką, prawda? Jak te pokraki z fortu. Mama tak mówiła.

- Mary Beth! - zaprotestowała Margaret. - Jesteś niegrzeczna. Mama nikogo nie nazywa pokraką. Panna Sutcliffe jest gościem.

- Tak, właśnie. - rozległ się od drzwi głos wdowy. - I mówiłam wam, że nie wolno jej przeszkadzać. Co wy tu robicie?

- Wszystko w porządku - powiedziała Miri łagodnie. Gardło nie bolało jej już tak bardzo, ale ciągle jeszcze mogła mówić tylko chrypliwym szeptem. - Już nie śpię.

- Dobrze. - Wdowa Peavey odsunęła dzieci, zagarniając je jak kwoka kurczęta. - Czujesz się lepiej, złotko? Może byś coś zjadła? Na wzmiankę o jedzeniu żołądek Miri zaburczał.

- Tak. Myślę, że mogłabym coś zjeść. - "Całego wołu, jeśli to możliwe" - pomyślała. Była niesamowicie głodna.

- Kąpiel też by ci się przydała. Twoja Lucy podgrzewa wodę, czekając, aż się obudzisz. Akurat masz czas na śniadanie.

Błogosławiona Lucy! Miri miała wrażenie, że błoto i piasek jeziora Huron wcisnęły się w każdą fałdę jej ciała.

- Dziękuję, pani Peavey.

- Nazywaj mnie Grace, moja droga. Nie jesteśmy tutaj bardzo formalistyczni. No, posłę dziewczynki po wannę.

Lucy wybuchnęła płaczem na widok swej pani, siedzącej na brzegu łóżka. Omal nie upuściła parującego kotła, który niosła. Postawiła go niepewnie i chwyciła dłonie Miri.

- Och, panienko! Myślałam, że już panienka nie żyje. Tak! A teraz widzę panienkę znowuż! Ja płakała za panienkom, ach!

Ale zobaczyłam tego Indianę z panienkom przerzuconom przez ramię.

- Przerzuconą przez ramię? - zachrypiała Miri.
- Tak blada panienska była, żem myślała, co już po paniencie. - Pokojówka znów zaczęła płakać i Miri domyśliła się, że jej wygląd nie jest najlepszy.
- Jestem pewna, że jak się wykapię i zjem coś, będę lepiej wyglądać. Lucy, tak...
- Już zaraz, panienko...
Grace weszła niosąc naręczce ubrań.
- Pozwól, że ci pomogę wstać. Przyniosłam suknie.
Miri podeszła na sztywnych nogach do wanny. Uchwyciła przelotnie swe odbicie w lustrze gotowalni. Minęła chwila, nim uświadomiła sobie, że mozaika czerni i siności to jej twarz.
Oczy Grace spotkały się ze spojrzeniem oczu Miri w lustrze.
- Nie przejmuj się, Miriam - mogę cię nazywać Miriam? - Będziesz wyglądała wspaniale za parę tygodni.
W wannie okazało się, że reszta ciała wygląda nie lepiej. Grace twierdziła, że nie ma żadnych złamań; same tylko brzydkie zadrapania od tonących skrzyń. Jedno czerwone opuchnięcie pochodziło od twardej pięści męskiej. Wiele rzeczy pozostawiło mgliste i niejasne wspomnienie, lecz jeden moment Miri zapamiętała wyjątkowo wyraźnie.
Podczas całej podróży Miri tęskniła za prawdziwą kąpielą, za luksusem wyciągnięcia się w ciepłej, pachnącej wodzie i obserwowania leniwie, jak obłoczki pary ulatują w powietrze.
Teraz nie mogła moczyć się długo w wodzie, gdyż wszystkie jej zadrapania boleśnie protestowały przeciw temu. Zmyła tylko brud ze skóry i przesunęła mydłem po włosach.
- Och, te włosy. - Lucy westchnęła, splukując poplątaną masę.
- Te biedne włosy. Co my z nimi zrobimy, panienko?
Grace pomogła Miri wyjść z wanny i otuliła ją w ogromny ręcznik. Przesunęła pulchnymi palcami po gęstwinie kasztanowych włosów, sięgających Miri prawie do pasa.
- Obawiam się, że nic się nie da zrobić. Musimy je obciąć.
To był ostateczny cios. Miri nigdy nie uważała się za kobietę próżną, ale myśl o utracie włosów była nie do zniesienia.
Krótkie włosy były właśnie krzykiem mody w Londynie, ale Miri szczyliła się zawsze swymi długimi, jedwabistymi lokami.

- Nieceee! - zajęczała. - Ja to rozczeszę. Lucy mi pomoże.

Lucy patrzyła z powątpiewaniem, Grecy zaś tylko potrząsnęła głową.

- Nigdy nie rozplączesz tych supłów. Nie dąsaj się na nas.

Nikt nie oczekuje od dziewczyny wyciągniętej z jeziora Huron, że będzie wyglądała jak królowa. Nawet taka dama jak ty.

Miri płakała otwarcie, gdy obcinano jej włosy. Nie sądziła, że jest tak próżna. Lucy próbowała ją pocieszyć, ale patrząc na sterkę kasztanowych loków, rosnącą na podłodze, Miri nie miała odwagi spojrzeć w lustro. Pamiętała uwagi Lucy o Indianach skalpujących ludzi. Gdyby teraz któryś z nich natrafił na Miri, ze śmiechem odrzuciłby nóż.

- No, to wcale źle nie wygląda. - skomentowała Grace i cofnęła się o krok, by ocenić swoje dzieło. - Powiedziałabym, że nawet ładnie.

Ładnie nie było. Miri stwierdziła, spojrzawszy w końcu w lustro, że wygląda jak stara miotła. Włosy otaczały jej twarz aureolą miękkich, rudawych loków. "Wyglądam jak opuchła i wyblakła mara ze snu, pomyślała."

- Tak jest ładnie - upierała się Lucy.

Miri chrząknęła niezrozumiale.

- Popatrz tutaj - zaproponowała Grace. - To bielizna i sukienka Margaret. Myślę, że obie jesteście tych samych rozmiarów. Możesz to nosić na razie, a jak się lepiej poczujesz, zaczniemy szyc dla ciebie sukienki. W składzie w mieście są najładniejsze perkale i wełny, jakie możesz sobie wyobrazić.

Miri próbowała się uśmiechnąć, choć bolała ją twarz. Pozwoliła się uczesać i ubrać, potem usiadła do śniadania. Wyglądała jak pajac o rudej czuprynie, purpurowo-sinej twarzy i śmiesznej sylwetce, przyodzianej w niemodną suknię dorastającej dziewczyny z farmy. Jeśli znajdzie kiedyś Hamiltona i tę jego listę, to udusi łotra jego własnym krawatem. On ją w to wszystko wciągnął.

Następne trzy dni Miri spędziła śpiąc, pochłaniając ogromne porcje, które Grace Peavey stawiała przed nią i okładając się kaptażkami. Lucy przysięgała, że usuną ból z ciała i opuchliznę z twarzy. Czwartego dnia pamięć zaczęła Miri dokuczać bardziej

niż skaleczenia. W domu była otoczona rojem służby, zaś tutaj, w prostej chacie farmerskiej nikt nikogo nie rozpieszczał. Miri zdawała sobie sprawę, że gościnność Grace Peavey wynikała jedynie z faktu, iż srebrnooki Indianin przyniósł do jej domu uratowaną osobę. Teraz Miri nie chciała być ciężarem dla wdowy, której fundusze na pewno nie były wielkie. Miri pragnęła tylko znaleźć kuzyna i wyciągnąć zeń informacje. Może uda się na nim zemścić i potem pozostanie już tylko powrót do cywilizacji. Na razie Miri usiłowała zrewanżować się Grace za jej gościnność.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, panienko. Proszę mi wybaczyć. - Lucy wykazywała wiele cierpliwości, ucząc swą panią sycia prostym porządnym ściegiem. Grace wróciła z miasteczka obładowana bawełnianymi, muślinowymi i wełnianymi materiałami, przeznaczonymi na suknie dla jej gościa. Kategorycznie odmawiała przyjęcia pieniędzy, spiętrzyła przed Miri nożyce, wykroje, nici i szpilki, po czym zajęła się swymi sprawami. Miri, zawstydzona własną nieudolnością, zdała się na Lucy. Chciała jednak ująć jej trochę zajęć.

- Masz swoje obowiązki domowe, Lucy. Myślę, że mogę robić to samo. Grace nie przyjmie pieniędzy za nasze utrzymanie i nie ma innego sposobu odpłacenia się za jej dobroć.

- Ależ panienko! Jestem nawykła do pracy na farmie. Wychowałam się na farmie w Kornwalii. Ziemia tam twarda. Tu je lepsza. Robota nie nowina dla mnie. Wiem, żem coś warta. Dziwne, ale Miri nie wiedziała, że Lucy pochodzi z farmy. Zawsze uważała swą pokojówkę i resztę służby za stały element wyposażenia domu, a nie za prawdziwych ludzi.

- Będę tu niezbyt długo, Lucy, i możesz mi wierzyć, że potrafię się na coś przydać. Postaram się.

Grace chichotała i kręciła głową, gdy Miri zaproponowała swój udział w pracach domowych. Nalegania dziewczyny sprawiły jednak, że Mary Beth, dumna i zachwycona zadaniem, zabrała Miri na obchód gospodarstwa. Był to spory kawał ziemi i Miri bardzo zdziwiła się, usłyszawszy, że wszystkie prace wykonuje wdowa z córkami.

- Nie jest tak źle - zapewniła Mary Beth z dumą jedenastoletki
- Uprawiamy prawie wszystko - kukurydzę, cebulę, ziemniaki,

rzepę. - Skrzywiła się. - Ale zwierząt mamy mało. Tylko świnię i kurczaki, no i cztery kozy.

- Żadnych krów? - spytała Miri.

- Nie. Tylko kozy. Trzy samice i kozioł. Chodźmy do nich. Czas na dojenie. Będą złe, jeśli zaraz tego nie zrobię.

Miri nie była zachwycona, dowiedziawszy się, że wspaniałe mleko i masło, które jadła, pochodziły od kóz. Kiedy zobaczyła te stworzenia, była jeszcze mniej zachwycona. Grace zdecydowała, że jednym z obowiązków Miri będzie pomoc przy dojeniu.

Dojenie kojarzyło się Miri zawsze z rumianolicą dojarką i tłustą potulną krową. Te zwierzęta, które ujrzała, nie były krowami i nie były tłuste. Spojrzenie ich oczu było niemile.

- Pokażę, jak to się robi - zaproponowała Mary Beth ze złością w błysku w oku.

Tylko przyzwoitość nie pozwoliła Miri zwalić wszystkiego na Lucy i udać choroby. Posłusznie wykonywała instrukcje Mary Beth, która kazała jej narzucić sznur na szyję kozy i nakłonić zwierzę pieszczołami, by stanęło jak należy.

- To jest Petunia - Mary Beth dokonała prezentacji. - Daje dużo mleka, ale czasami przy obcych jest nieśmiała.

Miri wcale tak nie uważała. Petunia popatrzyła na nią jadowicie. Nie była wcale nieśmiała, raczej złowroga.

- Ona ma dobre cycki. - Mary Beth zlekceważyła rumieniec na policzkach Miri. - Uchwycić je dwoma palcami i teraz... - Zade monstrowała podłużne ruchy palców, ciągnących sutki.

Miri osłupiała. "Ta bezczelna smarkuła chce, żebym robiła coś podobnego? Czy nie ma żadnych innych zajęć? W kurniku albo w domu?"

Dojenie nie szło najlepiej. Palce Miri nie chciały przesuwają się równym rytmem a Petunia miała ochotę wpakować nogę do skopka z mlekiem. Mary Beth potrząsnęła głową z dezaprobatą i sama wzięła się za dojenie. Miri była zaszokowana łatwością, z jaką dziewczynka wydobywała z wymion kozy strumień mleka, spływający do skopka.

- Czy widziałas Jordana, gdy przyszedł dziś rano? - Złośliwy uśmiešek wykrzywił usta Mary Beth.

- Pan Scott był z wizytą?

- Dzisiaj rano. Pewnie leżałaś w łóżku.

Miri zrozumiała przyganę i poczuła się winna. Nieważne, że ten mężczyzna potraktował ją brutalnie, ale uratował jej życie, ryzykując własnym. Powinna zdobyć się na wysiłek i podziękować mu osobiście.

- Czy mnie szukał? - spytała.

- Och, nie, skądże! On często nas odwiedza. Był dobrym przyjaciелеm mego ojca i jak tata umarł, Jordan zaczął pilnować, czy mamy dość jedzenia.

No tak! A teraz doszła jeszcze jedna gęba do wykarmienia, no i Lucy. Miri zdenerwowała się.

- Nie sądziłam, że jedzenie jest problemem.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Tylko w zimie. Jezioro zamarza, wiesz, no i śnieg przeszkadza w polowaniu. Ale nam jest zawsze dobrze. Jordan nauczył mamę wędzenia ryb, tak jak to robią kobiety Czipewejów. On zawsze dba, żebyśmy miały dość ryb na zimę. - Mary Beth wyduła wargi z niesmakiem. - Kiedy przychodzi marzec, mam powyżej dziurek od nosa tych wędzonych ryb.

Petunia kopnęła i omal nie przewróciła wiadra.

- No, bądź cierpliwa, staruszek. Już kończę.

Po wydojeniu kóz trzeba było nakarmić świnię i poszukać jajek w kurniku. "Jajkowanie" było czymś, czego łatwo się można nauczyć, zapewniała Mary Beth. Kury znosiły często jajka poza kurnikiem i trzeba było ich szukać w pomieszczeniach dla świń. Należało tylko nie stawać tyłem do świń i nie zbliżać się zbyt blisko do nich. Pod koniec dnia Miri czuła się tak podziobana, wyszturchana i podeptana, że wydawało jej się, że znienawidziła pracę na farmie do końca swoich dni.

Nazwisko Jordana pojawiło się znów przy obiedzie i to dzięki Mary Beth. Smarkata wyczuła wrażliwe miejsce w myślach Miriam i złośliwie w nie celowała.

- Powinnaś poznać Tancerkę Jeziora - nalegała.

- Tak - wtrąciła się mała Marta. - Tancerka Jeziora jest piękna. Wyzwanie zawarte w słowach spotkało się natychmiast z karzącym spojrzeniem Grace.

- Kto to jest Tancerka Jeziora? - spytała Miri.

Odpowiedziała jej Grace.

- Tancerka Jeziora to kobieta Czipewejów, która wyciągnęła Jordana z przełomów Sainte Marie. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - Trudno w to uwierzyć, widząc go teraz, ale trzeba ci było widzieć Jordana, gdy tu przybył - jakieś dziesięć lat temu. On i jego towarzysze byli zupełnymi żółtodziobami. Jordan był prosto po jakiejś wytwornej szkole w Bostonie, a jego kolega był kapitanem na jeziorach. Usiłowali przebić się przez przełomy, gdy woda była wysoka i wpakowali się w tarapaty. Tancerka Jeziora, wtedy prawie dziecko, wyciągnęła na brzeg Jordana. Ten drugi utonął. Odtąd Jordan mieszka wśród Czipewejów.

- Tancerka Jeziora jest jego żoną - rzuciła Mary Beth sarkastycznie.

Miri uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Pan Scott ożenił się z Indianką?

- Tak - potwierdziła Grace. - Ale Czipewejowie nie robią z tego ceremonii. Jeśli mężczyzna pragnie jakiejś kobiety, to wprowadza się do jej wigwamu. I to wszystko. Jeżeli oboje mają dość małżeństwa, to jedno się wyprowadza. Nie ma żadnych solennych obietnic i rozwód nie powoduje ogólnego potępienia...

- Urwała gwałtownie na widok purpurowej twarzy Miri. - Wybacz mi, Miri. Byłam zupełnie bezmyślna.

- Nic się nie stało - odparła sztywno dziewczyna z twarzą w rumieńcach. Wiadomo, że ci ludzie słyszeli o skandalu, skoro byli znajomymi ojca.

- No i - kontynuowała wdowa - Jordan Scott jest już kawał czasu z Tancerką Jeziora. Jest jej szczerze oddany, na swój sposób.

- Czy oni mieszkają na wyspie?

- Nie - odparła Graca. - Letnia wioska jest po drugiej stronie jeziora, prosto przez cieśninę. W zimie każde gospodarstwo jest przenoszone na własne, odrębne łowiska.

- Tancerka Jeziora nauczyła mnie, jak naszywać paciorki na mokasyny - powiedziała Marta z dumą. - Jordan mówi, że to najbardziej odpowiednie mokasyny, jakie widział kiedykolwiek.

- Obawiam się, że dziewczynki traktują Jordana jak namiastkę ojca - powiedziała przepraszająco Grace. - Mówią o nim bez przerwy, jeśli tylko mogą.

- To jest całkiem w porządku - odparła Miri. - Uważam pana Scotta za... interesujący temat. Winna mu jestem podziękowanie. Przykro mi, że nie mogłam tego zrobić dzisiaj rano.

- Możesz pójść do niego do wioski! - zaproponowała ochotczo Mary Beth. - Mogę pójść z tobą.

- Spokój, Mary Beth - strofowała Grace. - Zostaw Miriam. Ona na pewno nie ma ochoty iść do dzikusów. Jordan nie sądzi, że zrobił coś nadzwyczajnego.

Miri poczuła się niepewnie. Zwykła uprzejmość wymagała podziękowania wybawcy, nawet dzikusowi. On mógł zapomnieć o cywilizowanych obyczajach, ale ona nie mogła. Boże! Jak mógł biały człowiek, zaznawszy dobrodziejstw chrześcijańskiego wychowania - i to człowiek wykształcony, jak mówiła Grace - upaść tak nisko i wybrać życie prymitywnego dzikusa? Jakże by nie było jego pochodzenie, stanowił hańbę dla białej rasy.

- Miri, jeśli chcesz, to możesz popłynąć przez cieśninę. To nic trudnego przy dobrej pogodzie. Myślę, że Margaret chętnie cię zabierze. - Grace odparowała protesty Mary Beth ostrym spojrzeniem. - Margaret jest najstarsza, Mary Beth. Pamiętaj o swoich manierach, mała damo. Zresztą Margaret musi przywieźć skóry królicze, które jej obiecał Mały Pies.

Miri westchnęła i zmusiła się do uśmiechu. Wpadła w pułapkę, którą zastawiła na nią własna godność, wspomagana przez dobroduszną naturę Grace.

Następnego dnia, wczesnym rankiem Miri i Margaret ruszyły przez cieśninę. Wiała łagodna bryza i większą część drogi można było przebyć na żaglu. Ku uldze Miri podróż trwała krótko i nie zdążyła obudzić ponurych wspomnień sprzed tygodni.

Wioska Czipewejów wyglądała tak źle, jak to sobie Miri wyobrażała. Chude, nędzne psy podniosły okropny hałas. Wszędzie biegały półnagie dzieci, bardzo źle wychowane. Powitały dziewczęta skokami i wrzaskami radości, przypominając Miri stadko małych, brązowych małpek. Wojownicy, którzy pomogli wyciągnąć czółno na brzeg, byli niewiele lepsi. Powitali Margaret, z cał-

kowitą swobodą demonstrując swą nagość, której widok spowodował rumieniec na twarzy dziewczyny.

Miri powiedziała sobie zdecydowanie, że jest w głuszy, gdzie sprawy mają się inaczej niż w Londynie. Trudno było zaakceptować jednak tę inność. Gdy jeden z wojowników chwycił rękę Miri, by pomóc jej wyjść z łodzi, podziękowała mu uprzejmie i próbowała nie patrzeć na szczególnie wyeksponowane fragmenty jego anatomii. W rezultacie nieuwagi spowodowanej zamieszaniem potknęła się i wpadła w męskie ramiona, ze wzrokiem utkwionym w jego nagi torsie. Z płonąca twarzą odsunęła się gwałtownie. Indianin zamrugał z rozbawienia oczami. Wymówił coś gardłowo, po czym wyciągnął rękę i dotknął krótkich kasztanowych loków Miri.

- Co on powiedział? - spytała Miri, gdy uśmiechająca się Margaret prowadziła ją do wioski.

- Powiedział, że twoja twarz jest takiego samego koloru, co twoje ogniste włosy. - Dziewczyna zachichotała. - Nawet twoje zadrapania poczerwieniały, Miri.

Miri czuła, że jej twarz płonie jeszcze bardziej. Och, mieć tę całą przygodę za sobą i wrócić do Londynu, gdzie ludzie są przyzwyczajeni do ubrania, kobieca wrażliwość jest podziwiana, a nie ośmieszana!

- To jest wigwam Jordana. - Margaret wskazała na szałas zbudowany z pni drzewa i prymitywnie splecionych mat. Był identyczny jak dwadzieścia innych szałasów, rozrzuconych niedbale wokół polany.

- Idę do wigwamu Małego Psa, o, tam. - Dziewczynka wskazała przeciwległe szałas. - Zawołaj, kiedy będziesz chciała wracać.

- Czy ja... ja mam wejść tam sama? - wyjąkała Miri.

Margaret uśmiechnęła się nieco złośliwie.

- Przecież już poznaliście się, prawda? - odeszła, machnąwszy ręką.

Miri zebrała całą swą odwagę i ruszyła w stronę wigwamu.

Wejście doń zasłaniał koc. Jak można zapukać w koc? "To zupełnie bez sensu" - przyznała w duchu Miri. Dobre maniere zupełnie zniweczone!

- Mnie pani szuka?

Miri odwróciła się gwałtownie.

- Pan Scott! Zaskoczył mnie pan, podchodząc tak cicho.

Stał przez chwilę nieruchomo i wpatrywał się w nią spokojnie.

Jeśli nawet był zdziwiony, widząc ją stojącą przed wejściem do swego wigwamu, wyglądającą jak obszarpaniec z przytułku, to nie okazał tego. Skinął głową w końcu.

- Panno Sutcliffe.

Był wyższy niż Miri pamiętała i tak samo niewystarczająco okryty jak inni wojownicy w wiosce. Mięśnie rysowały mu się pod skórą w miejscach, gdzie przywoity mężczyzna w ogóle nie ma mięśni. Jego spojrzenie irytowało i onieśmiało Miri. Ostatecznie, kilka swych zadrapań zawdzięczała jego brutalności.

- Ja... myślałam tylko... to znaczy...

-Tak?

Miri próbowała ułożyć kilka sensownych zdań, ale język się jej plątał. Nagłe przypomnienie niedawnych wydarzeń - dotyku jego chłodnej skóry, jego palców rozdzierających jej suknie, twardości jego ud, gdy przygniatał ją sobą na plaży - pozbawiło ją zdolności myślenia. Stała i gapiła się na niego, jej serce waliło nieprzytomnie, jakby chciało rozsadzić piersi.

- Przyszłam... myślałam... chciałam złożyć wizytę i podziękować panu za uratowanie mi życia.

Świadomość wreszcie wróciła, co pozwoliło jej zauważyć błysk rozbawienia w jego oczach. Śmiał się z jej zmieszania, cham! Może śmiał się z jej podrapanej twarzy, idiotycznie obciętych włosów, źle leżącej pożyczonej sukni.

- Przypuszczam, że mam dług wobec pana.

- To nic wielkiego, panno Sutcliffe.

- Nie uważam mego życia za drobiazg, panie Scott.

Znów zauważyła w jego oczach błysk rozbawienia. Podniósł koc zasłaniający wejście i Miri niechętnie zwróciła uwagę na grę mięśni na jego wysmukłym ramieniu.

- Zechce pani wejść? - zapytał.

- Dziękuję panu.

Miri zdecydowanie przestąpiła próg. Natychmiast pojęła, że wizyta była zdecydowanie idiotycznym pomysłem, gdy zobaczyła czekające na nią zadymione wnętrza.

ROZDZIAŁ IV

Przez chwilę oczy Miri przystosowywały się do mroku panującego w wigwamie. Gdy mogła już rozróżnić szczegóły, zobaczyła kobietę siedzącą pod przeciwległą ścianą i cofnęła się do wejścia. Stojący za nią Jordan uniemożliwił ucieczkę.

- Tancerko - powiedział - to jest ta kobieta, którą wyciągnąłem z jeziora.

Kobieta uśmiechnęła się i z wysiłkiem wstała, by przywitać się formalnie.

- Witam w moim wigwamie.

Wcale nie wstydziła się swego stanu, o którym nie wypadało nawet mówić.

- To jest Tancerka Jeziora - poinformował Jordan ze swego miejsca z tyłu. Stał bardzo blisko i Miri słyszała wyraźnie rozbrawienie w jego głosie. Naśmiewał się z niej, sądząc zapewne, że uczucia kobiet są celem kpin. Marzyła, by móc się odwrócić i wymierzyć mu policzek.

- Sądzę, że Tancerka Jeziora jest pana... żoną - Miri rzuciła Jordanowi pytające spojrzenie.

Jedyną odpowiedzią był głupkowaty uśmiech. Rumieniec oblał twarz Miri. Tego już było za wiele - półnagi mężczyzna z wszystkowiedzącym uśmiechem i kobieta, tak przyziemna i zmysłowa, jak tylko może być kobieta ciężarna.

- Zechce pani usiąść? - spytała Tancerka Jeziora nienaganną angielszczyzną.

Miri usiadła wyprostowana, z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

Jordan przeszedł przez całe pomieszczenie i pomógł Tancerce usiąść wygodnie na podłodze. Indianka wpatrywała się w niego z uwielbieniem. Cisza wisiała w powietrzu.

- Nie chcę być intruzem - powiedziała Miri niepewnie.

Boże! Co trzeba powiedzieć, by wydać się uprzejmą? Żadna przyzwoita kobieta nie przyjmuje wizyt w tak zaawansowanym stanie. Trudno po prymitywnych ludziach spodziewać się kultury, ale dziewczyna mogłaby mieć trochę wstydu! Tunika, którą nosiła, podkreślała raczej, niż ukrywała jej stan, a jej twarz promieniała dumą, choć powinna być zawstydzona. Miri postanowiła być uprzejma za wszelką cenę.

- Przyszłam podziękować panu Scottowi i... wyrazić moją wdzięczność za uratowanie mi życia. Jestem jego dłużniczką.

Tancerka Jeziora uśmiechnęła się miło i rzuciła mężowi spojrzenie pełne podziwu.

- Nie ma długu. To dobrze, gdy mocny pomaga słabszemu.

- Tak... ale jestem nadal wdzięczna.

Słaby, patrzcie no! Miri mogła być słabsza fizycznie, ale na pewno była moralnie mocniejsza od Jordana Scotta. Siedział tu zadowolony i dumny z tego, co zrobił tej biednej Indiance. Jak cywilizowany, wykształcony mężczyzna mógł zapomnieć o przeszłości? Czy uciekał przed prawem? Może była w nim jakaś słabość, która spowodowała, że wybrał surowe życie nieoświeconego dzikusa?

- Musi pani wypić herbatę - powiedziała Tancerka Jeziora.

Zdjęła drewniany kubek z półki ciągnącej się wzdłuż ściany wigwamu, napełniła go aromatycznym płynem z kociołka parującego nad ogniskiem i wręczyła naczynie Miri.

Miri ostrożnie spróbowała i skrzywiła się, natychmiast żałując tego, gdyż twarz Indianki posmutniała.

- Jest bardzo dobra - wykrztusiła. - Bardzo, naprawdę.

- Zrobiona z gałązek dzikiej wiśni - rzekł Jordan.

Miri wypła następny łyk podrażniona złośliwym uśmiechem na jego twarzy. Ten gbur naśmiewał się z niej znowu i cyniczny wyraz jego oczu powodował, że natychmiast chciała sobie pójść. Niech ją jednak licho porwie, jeśli pozwoli tej kreaturze wytrącić się z równowagi. Po trzecim łyku przyzwyczała się do smaku herbaty.

Cisza znów zapanowała i Miri usiłowała powiedzieć coś uprzejmego i neutralnego.

- Mówi pani znakomicie po angielsku - zwróciła się do indiańskiej dziewczyny, rozmyślnie ignorując jej męża.

Tancerka Jeziora rozpromieniła się. Jej uśmiech był tak życzliwy, że trudno mu się było oprzeć.

- Wszyscy w wiosce mówią po angielsku. Angielscy kupcy wprowadzili swój język wiele lat temu. Jordan nauczył mnie właściwej... właściwej....

- Gramatyki - dodał Jordan.

- Gramatyki - powtórzyła dziewczyna.

Była tak dziecinna - niewinne dziecko, nie zdające sobie sprawy z tego, że mężczyzna, którego uwielbiała, wykorzystuje jej prostolinijną naturę.

- Tak, mówi pani pięknie.

No, obowiązek spełniony i można podnieść się z niewygodnego siedzenia na podłodze.

- Obawiam się, że już muszę iść. Jak już mówiłam, chciałam tylko podziękować. Proszę nie wstawać - zwróciła się do Indianki, która chciała wstać z podłogi. - Sama znajdę drogę. Było mi bardzo miło porozmawiać z panią, eee... pani Scott. I dziękuję bardzo za herbatę.

Jordan ruszył za Miri i stanął obok niej, gdy machała gwałtownie do Margaret, dając jej znak, że zakończyła wizytę. Margaret, siedząca swobodnie i gawędząca z parą Indian, pomachała do niej, lecz nie wykazała chęci, żeby wstać.

- Chciałaby pani zobaczyć resztę wioski? - zapytał Jordan niezachęcającym tonem.

- Nie, dziękuję - odparła Miri. - Widziałam już dość. Nie musi się pan kłopotać i zajmować mną. Panna Peavey i ja wypływamy za chwilę.

Ruszyła w stronę czółna, spoglądając na dziwaczne dzieci i psy. Jordan ciągle szedł za nią.

- Przysięgłbym, że nie podoba się tu pani - powiedział.

- Czy to ma znaczenie?

- Nie. Radzę pani jednak, żeby pani nie okazywała swej dezaprobaty tak otwarcie, jeśli chce tu pani zostać przez jakiś czas,

panno Sutcliffe. Indianie z Wielkich Jezior są dumni i nie tolerują białych patrzących na nich z góry. W przeszłości prowadziło to do niemiłych incydentów.

- Nie wyraziłam dezaprobaty w stosunku do czegokolwiek i kogokolwiek, panie Scott.

- Czyżby? Przed chwilą w wigwamie powietrze omal nie dymiło od pani pogardy. Przeraziło to Tancerkę Jeziora, a ja nie chcę wiedzieć, jak jest jej przykro.

Miri spojrzała na niego lodowato.

- Nie miałam najmniejszego zamiaru obrażać pańskiej żony, panie Scott. Mam wiele sympatii dla tej uroczej dziewczyny.

- Doprawdy? - Usta skrzywiły mu się w nieznacznym uśmiechu. Nie zmiękczyło to twardych rysów jego twarzy. - A zatem ta pogarda była skierowana w moją stronę, jak sądzę.

- Jeżeli nawet, to czy pan się tym przejmuje?

- Ani trochę.

- Tak myślałam. - Głos Miri był pełen lekceważenia, ale nie mogła znieść spojrzenia srebrzystych oczu.

Dotarli do czołna. Chmara dzieci i psów zainteresowana była jakimś polowaniem nad wodą. Miri desperacko pragnęła, by Margaret zakończyła swe pogawędki i przyszła jej z pomocą. Czuła się coraz mniej pewnie. Wszyscy jej dotychczasowi znajomi byli dobrze wychowani i przyzwoicie ubrani. Nie byli wcale tacy jak ten mężczyzna, który celowo niszczył wszystkie konwenanse i cieszył się chyba ze swego braku przyzwoitości. Nawet teraz, gdy nachylił się, by sprawdzić czołno Grace, był niebezpiecznie blisko. Miri nie mogła nic poradzić na to, że musiała zauważyć węzły jego mięśni pod gładką brązową skórą i poczuć zapach męskiego potu, dymu i powietrza. Odsunęła się od niego i zakaszła. Cisza, która zawisła między nimi, była nie do zniesienia.

- Tancerka Jeziora jest uroczą dziewczyną - zaczęła mówić Miri, starając się znaleźć najbezpieczniejszy temat do rozmowy.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Jordan.

- Kiedy się pobraliście?

Jordan rzucił jej lodowate spojrzenie.

- Żyjemy razem od ośmiu lat. Czipewejowie nie robią ceremonii z tego powodu.

- Ale Grace powiedziała, że Tancerka Jeziora jest pana żoną, więc pan musiał... - Oczy Miri rozszerzyły się na myśl, że prawdopodobnie nie musiał. Pragnienie bezpiecznej rozmowy ustąpiło miejsca słusznemu oburzeniu. - Ależ pan na pewno wziął chrześcijański ślub z Tancerką!

- Powiedziałem, że Czipewejom nie zależy na takich ceremoniach.

- Ależ jest pan białym człowiekiem. Chyba chce pan, by pana dziecko miało właściwe nazwisko, czyż nie? Może to nie moja sprawa, ale...

- To nie pani sprawa. - Głos Jordana był pełen wrogości. - Tancerka Jeziora jest moją żoną w oczach Boga i Czipewejów. To zupełnie nam obojgu wystarcza.

Miri podjęła wyzwanie, gdyż jego chłodna arogancja prowokowała jej natarczywość.

- Nie jestem pewna, czy to biedne dziecko zgodzi się z panem, gdy będzie dość duże, by to zrozumieć.

- Myślę, że go to nie zrani. Bycie bękartem nie przekreśla niczyjego człowieczeństwa.

Miri przezornie nic nie powiedziała na to.

- Czy to panią szokuje, panno Sutcliffe? - Jordan podniósł cynicznie brew. - A może Grace zapomniała panią poinformować, że Scott to nazwisko mojej matki? Tylko Bóg, albo może raczej diabeł, zna nazwisko mego ojca.

Patrzyła na niego jak na demona. "Zawsze możesz odróżnić złą krew" - mawiała ciotka Eliza. Teraz Miri spotkała się z pierwszym konkretnym przykładem ilustrującym powiedzenie ciotki.

- Jesteś gotowa do odjazdu?

Nagle zjawienie się Margaret zaskoczyło Miriam. Posłała Jordanowi ostrzegawczy gest, dając mu do zrozumienia, że należy przerwać dyskusję w obecności niewinnego dziecka. Wybuchnął Śmiechem, który całkowicie odmienił jego surową twarz i złągodził metaliczne lśnienie jego oczu. Przyłapała się na tym, że przygląda mu się i odwróciła gwałtownie wzrok.

- Tak - odparła zdławionym głosem. - Jestem gotowa.

Odwróciwszy się plecami do Jordana, pomogła Margaret zepchnąć czołno na wodę, usiadła w łodzi z trudem ukrywając ulgę.

Jordan stał i parzył na odpływające czołno, gdy Tancerka Jeziora wsunęła mu pod pachę swoją rękę. Podeszła tak cicho, że popatrzył na nią z zaskoczeniem.

- Ona jest bardzo ładna - skomentowała indiańska dziewczyna w języku Czipewejów.

- Ładna? - sarknął Jordan. - Wygląda jak dziwka po bijatyce w knajpie. Z trudem nazwałbym ją ładną.

- Jesteś niemiły, mój mężu. Pod tymi zadrapaniami kryje się prawdziwa piękność. Jest w niej też odwaga i kobiece serce, tylko pokrywane tą zarozumiałością. Zobaczysz któregoś dnia... gdy poznasz ją lepiej.

- A ty poznałaś ją tak dobrze? - Jordan poklepał dłoń żony i pokręcił głową. Nie miał ochoty na kontynuowanie znajomości z tą kołtunką. Poznał Miriam Sutcliffe wystarczająco dobrze. Jak zwierciadło odbijające przeszłość, tchnęła życie w stare wspomnienia, które winny były umrzeć. Gdyby miał odrobinę oleju w głowie, to powinien ją utopić w jeziorze w chwili ich pierwszego spotkania.

Następny tydzień na farmie poprawił nastrój Miri. Nauczyła się doić kozy, choć dwa razy wolniej niż Mary Beth. Zaczęła być dumna, że umie wydobywać jajka spod straszących skrzydła kur. I co najważniejsze, zadrapania z jej twarzy zniknęły, podobnie jak przebarwienie skóry. Gęsta masa loków falujących wokół twarzy Miri była bardzo ładna, zaś humor ich właścicielce poprawił znacznie fakt posiadania dwóch modnych sukien z muślinu. Miri i Lucy szyły teraz następne części garderoby.

Dobry wygląd zdecydowanie zmienił Miri stosunek do świata; poczuła się znów ludzką istotą. Wraz ze zdrowiem wróciło pragnienie jak najszybszego znalezienia kuzyna i uporządkowania spraw.

- Och, kochana! - zachwyciała się Grace. - Wyglądasz jak dama w każdym calu!

Miri okręciła się wkoło. Suknia kosztowała ją sporo nerwów i pokłutych palców, ale rezultaty warte były swej ceny. Muślin opływał wdzięcznie jej biodra i nogi. Wysoka talia i przymarszczony

stanik nadawał jej słodki, dziewczęcy wygląd, a kwadratowe wycięcie stanika podkreślało wszelkie wypukłości w sposób wysoce przyzwoity.

- Będiesz przedmiotem zazdrości każdej kobiety na wyspie. Gdybym ja miała taką figurę... to... no, nie wiem, co bym zrobiła.

Miri nie troszczyła się o zazdrosne spojrzenia innych kobiet. Najbardziej zależało jej na respekcie i szacunku, który miał pomóc jej w uzyskaniu audiencji u komendanta Fortu Michilimackinac. Nie wiedziała, skąd może zdobyć informacje o Hamiltonie. Nikt nie miał pojęcia, gdzie znajduje się młody człowiek, który parę tygodni temu szukał jej ojca.

- Myślisz, że zechce mnie przyjąć? - pytała lekliwie, stając przed jedynym w domu lustrem, by poprawić włosy.

- Byłby ostatnim durniem, gdyby tego nie zrobił - Grace aprobując obejrzała swego gościa. - Któż mógłby sądzić, że przemoczony i zszarpany kociak, którego Jordan wyciągnął z jeziora, przemieni się w taką piękność?

- Och, nie - zarumieniła się Miri. - Wcale nie piękność. Nie z tym zadartym nosem i okrągłymi policzkami. I z takimi włosami.

- Potrząsnęła lokami, aż zafalowały. - Ale to może wystarczy do oczarowania kapitana - jak on się nazywa? Roberts? Może udzieli mi jakichś informacji.

- Rzeczywiście, moja droga. Jeśli ktokolwiek wie coś o twoim kuzynie, to tylko kapitan Roberts. Niewiele może umknąć jego uwadze. Nie ma mowy, by nie wiedział o jakimś Brytyjczyku przejeżdżającym przez wyspę.

Jak przewidywała Grace, strażnicy w forcie byli pod takim wrażeniem wyglądu i wymowy Miri, że przepuścili ją przez wartownię i pozwolili jej spotkać się z zastępcą komendanta, porucznikiem Renquistem.

- Kapitan Roberts przyjmie panią za kilka minut - powiedział porucznik po wyjściu z biura komendanta. - Byłaby pani uprzejma usiąść?

Miri posłała mu najczarowniejszy uśmiech i usadowiła się na prostym krześle, będącym jedynym meblem w pokoju poza biurkiem. Fort Michilimackinac nie wyglądał jak ostatni bastion brytyjskiej cywilizacji i nie był wzorem dla Indian oraz Ameryka-

nów, którzy mieszkali w pobliżu. Była to grupa prymitywnych zabudowań otoczonych murem i zajmowanych przez taką samą hałastę jak ta za ogrodzeniem. Jedyną szczególną cechą fortu było jego położenie na kamiennym urwisku górującym nad miastem, zaś jedynym znamieniem grzeczności był młody oficer, uprzejmy i zaciekawiony. Mosiężne szczegóły na jego szkarłatnym mundurze lśniły, jego buty były nieskazitelnie wypucowane, fular i bryczesy zaś niepokalanie białe. Włosy, jakkolwiek częściowo zasłonięte kapeluszem, uczesane były według ostatniej mody. Wziąwszy wszystko razem, był pierwszym znakiem wyrafinowania i cywilizacji napotkanym przez Miri od czasu opuszczenia Londynu. Oficer myślał o niej podobnie; widać to było po jego zachowaniu.

- Proszę wybaczyć mi, panno Sutcliffe, że przyglądam się tak natarczywie, ale jest pani pierwszą damą o takiej delikatności i wytworności, jaką spotykam w tej głuszy. Pani widok przypomina mi, że piękno i uroda wciąż jeszcze istnieją.

Miri odpowiedziała rumieńcem obowiązującym w takiej sytuacji damę.

- Pan mi pochlebia, poruczniku. Obawiam się, że nie ogląda mnie pan w mojej najlepszej formie. Miałam ostatnio ciężkie przeżycia na tej wyspie.

- Słyszałem o przedwczesnej śmierci pani ojca - ze współczuciem powiedział porucznik. - I o pani przerażającym wypadku. Muszę wyrazić moje głębokie i samolubne zadowolenie, że panią widzę, bo to oznacza, że czuje się pani lepiej. W przeciwnym razie nie przyszłaby tu pani. Mam nadzieję, że zostanie tu pani przez jakiś czas?

- Zostanę tylko do czasu znalezienia mojego kuzyna, który przyjechał odwiedzić mego ojca tuż przed moim przybyciem. Mam nadzieję, że z pomocą kapitana Roberta niebawem będę w drodze do Anglii.

Renquist uśmiechnął się ze smutkiem.

- Doskonale rozumiem pani chęć wyjazdu. Dzikie lasy, jeszcze bardziej dzicy Indianie i Amerykanie - skrzywił się - trochę tego za wiele dla tych z nas, którzy cenią zdobycze cywilizacji. Pani odjazd będzie jednak dla mnie wielką stratą.

Miri zaczęła już delectować się kwiecistymi komplementami porucznika, gdy drzwi otworzyły się i kapitan Roberts zaprosił ją do swego biura. Uśmiechnęła się czarująco do swego wielbiciela i ruszyła za kapitanem do jego pokoju, który był tak samo spartański jak poczekalnia.

Kapitan Roberts stanowił kolejny powód rozczarowania Miri.

Był starym człowiekiem o świszczącym oddechu i ziemistej twarzy chorego; trudno było uwierzyć, że to przebiegły wojownik, który wypędził bez jednego wystrzału Amerykanów z fortu. Mimo złego wyglądu zachowywał bystrość umysłu i słuchał z uwagą nieprawdopodobnych wyjaśnień Miri, tłumaczącej konieczność znalezienia kuzyna. Miri wypraktykowała już swe kłamstwa, gdyż tę samą historię opowiedziała Grace i jej rodzinie.

Po wysłuchaniu jej opowieści kapitan milczał przez chwilę.

Przyglądał się dziewczynie w zamyśleniu i bębnił palcami po biurku. Miri zaczęła się obawiać, że wieść o zdradzie Hamiltona dotarła już do Ameryki, ale kapitan nagle uśmiechnął się do niej.

- Tak, panno Sutcliffe, wydaje mi się, że pamiętam tego gościa. Nie zgadza się tylko nazwisko. Nie wydaje mi się, by nazywał się Hamilton Greer; raczej Kenneth Shelby. Ten facet był wysoki i miał czarne włosy, jak pani mówi, no i dopytywał się o pani ojca.
- Kapitan rzucił podejrzliwe spojrzenie. - Może z jakiegoś powodu zmienił nazwisko?

- No, nie wiem... nie słyszałam o tym. Nie widziałam Hamiltona od kilku lat.

Następne kłamstwo. Boże! Kiedy to się skończy?

- Ten typ, Shelby, wydawał się nieco zawiedziony, dowiadując się o śmierci pani ojca, ale zamierzał nadal zajmować się swoimi sprawami. Przypuszczam, że kupił czółno z ładunkiem towarów i wyruszył na zachód wraz z przewodnikiem. Ten przewodnik nazywa się Gage Delacrobc.

- Czy pan wie dokładnie, dokąd się udali?

Kapitan zachichotał.

- Przypuszczam, że ten młody człowiek sam nie wie, gdzie po dąży. Nie miał pojęcia o Ameryce, ale wyglądał na kogoś, kto się śpieszy. Nie martwiłbym się o niego na pani miejscu, choć to pa-

ni kuzyn. Gage to dobry przewodnik. Jest półkrwi Irokezem i zna ten kraj lepiej niż większość tutejszych Indian. Miri usiłowała ukryć rozczarowanie.

- Tak, dobrze... dziękuję bardzo, kapitanie. Był mi pan niezwykle pomocny.

- To drobiazg - zapewnił ją. - Próbuję mieć na oku wszystko w tym rejonie, rozumie pani. Szczególnie zaś sprawy związane z rodakami.

- Był pan niezwykle uprzejmy, że poświęcił mi pan czas.

- To dla mnie przyjemność, panienko. Jest pani miłym widokiem dla starych oczu. - Westchnął. - Jestem już zmęczony rozmowami z Indianami, handlarzami futer i farmerami. Szkoda, że pani kuzyn wyjechał. Może udałoby się namówić was oboje do pozostania na wyspie i uraczenia nas wieściami z Londynu. Teraz chyba będzie pani chciała wracać jak najszybciej.

- Nie... nie zdecydowałam jeszcze.

Komendant wstał, myśląc już o czymś innym.

- Tak, jeżeli mogę w czymś pomóc, panienko, proszę zawiadomić porucznika. Już go pani poznała.

- Nie omieszka i raz jeszcze dziękuję. - Uśmiechnęła się, gdy pochylił się nad jej dłonią. - Do widzenia.

Nie było całkowitą prawdą to, co Miri powiedziała kapitanowi. Natychmiast, gdy dowiedziała się, że Hamilton przejeżdżał tędy, postanowiła nie rezygnować ze swych poszukiwań. Wiedziała już nawet, kogo będzie mogła zatrudnić, by węszył za jej kuzynem - albo myślała, że wie.

Następnego dnia wstała o świcie i poprosiła Grace o czółno.

Usłyszawszy, że Miri wybiera się do wioski po drugiej stronie cieśniny, Mary Beth błagała, by ją zabrać. Obiecywała wiosłować przez całą drogę, lecz Miri upierała się przy samotnej wyprawie. Usta dziewczynki wygięły się w podkówkę.

- A kto wydoi kozy? - spytała Miri.

- Mag może to zrobić. Ona i tak tylko siedzi i szyje, albo pomaga mamie gotować. Czas, żeby wzięła się za prawdziwą robotę.

- Nie wiem, ile czasu tam spędzę, Mary Beth. Mama może nie wypuścić cię na cały dzień.

- Zgodziłaby się, gdybyś ją poprosiła. Jedziesz odwiedzić Jordana i Tancerkę Jeziora? Założę się, że jak poprosisz, to Jordan pokaże ci swoje skalpy. Nie chciał ich pokazać mnie, ale może teraz się zgodzi.

Miri skrzywiła się.

- Nie bądź śmieszna. Pan Scott nie ma żadnych skalpów.

Oczy Mary Beth rozszerzyły się i jadowity uśmiezek rozjaśnił jej buzię.

- Ależ ma. Margaret mi powiedziała. Każdy wojownik z wioski ma skalp od czasu wojny z Siuksami. Jordan ma ich najwięcej. On jest dowódcą wojennym i najlepiej walczy.

- Nabierasz mnie, Mary Beth. I tak ci to nie pomoże. Nie zabiorę cię ze sobą. Mam prawatną sprawę do pana Scotta i muszę z nim sama pomówić.

- No dobrze. - Dziewczynka wzruszyła ramionami z rezygnacją. - Nie doprowadzaj go do szału. Ani nikogo innego stamtąd. - Obserwowała kątem oka efekt swych słów. - Margaret powiedziała, że wojownicy byli pod wrażeniem koloru twoich włosów, gdy je oświetliło słońce. Na twoim miejscu byłabym ostrożna.

- Och, ty! - Miri chwyciła skopek na mleko i wcisnęła go do ręki Mary Beth. - Idź do swoich obowiązków i zapomnij o tych idiotyzmach. Skalpy, rzeczywiście!

Mary Beth była złośliwą małą bajarką. "Każdy rozsądny człowiek powinien ignorować takie gadanie" - powiedziała sobie Miri.

Zdrowy rozsądek nie potrafił jednak wygrać z wyobraźnią dziewczyny, która wiosłowała teraz sama przez cieśninę. Grace opowiadała jej krwawe i przerażające historie o masakrze w 1763 roku, gdy Czipewejowie wyrznęli w pień całą załogę brytyjskiego fortu, wrywając serca ofiarom i kąpiąc się w ich krwi.

Czipewejowie i Siuksowie regularnie walczyli ze sobą od pokoleń. Czyżby część opowieści tej małej była prawdziwa? Czy Jordan Scott - biały człowiek, cywilizowany i wykształcony - mógł hołdować takim dzikim obyczajom? A jeśli tak, to czy był godzien zaufania w sprawie kuzyna?

Miri rozważała swe wątpliwości. Jordan Scott był jedynym człowiekiem, który mógł odnaleźć jej kuzyna. Jeżeli Hamilton

nie będzie zachwycony rodzajem ludzi, jacy go szukają, to sam sobie jest winien. Narobił tyle kłopotów.

Słońce stało prawie w zenicie, gdy Miri dotarła do wioski. Wiosłowanie było bardziej męczące, niż sądziła. Ręce i ramiona miała zaczerwienione od słońca, a sukienka była wilgotna od potu. Nie miała ochoty pokazywać się Jordanowi i jego żonie w takim stanie, ale nie było innego wyjścia.

Dzieci, psy i skapo odziani wojownicy pozdrowili ją, jak poprzednio, przyjaznymi uśmiechami i okrzykami. Uśmiechnęła się i powiedziała, że nie chce przeszkadzać, lecz prosi tylko o zaprowadzenie jej do wigwamu Tancerki Jeziora.

Koc przy wejściu był podwiązany i Miri zawahała się w progu. W tym momencie Tancerka stanęła przed nią, uśmiechając się z pewnym zaskoczeniem.

- Panna Sutcliffe, to dla mnie zaszczyt. Proszę wejść i usiąść. Zaraz podam herbatę.

Miri przesunęła się przez drzwi i stanęła niepewnie, patrząc na Tancerkę Jeziora zajęętą kociołkiem.

- Ja... ja chciałam porozmawiać z panem Scottem. Czy... czy on jest tutaj?

- Tak. - Tancerka Jeziora skinęła głową. - Mój mąż niebawem wróci. Pomaga komuś naprawić czółno. Proszę usiąść i wypić herbatę.

Miri usiadła i przyjęła ofiarowaną czarbkę. Herbata z gałązek wiśniowych była tym razem mniej gorzka. Może to kwestia przyzwyczajenia. Tancerka Jeziora usiadła ze swoją czarbką po drugiej stronie ogniska.

- Mówiono mi, że szuka pani swego mężczyzny - powiedziała Indianka z prostotą.

- Słucham, co takiego? - wybelkotała Miri znad herbaty.

- Pani - jakie to słowo? - narzeczonego. Jeden z naszych ludzi dowiedział się o tym od białych w mieście.

"Wieści rozchodzą się tu szybko" - pomyślała Miri. Zasięgnęła informacji u kapitana Roberta, u katolickiego księdza, anglikańskiego pastora i u kilku kupców, no i wieści już dotarły do wioski Czipewejów.

- Tak - odparła. - Szukam mego kuzyna. Z tego powodu do tarłam aż tutaj.

Tancerka Jeziora patrzyła z powątpiewaniem.

- Wyszłaby pani za kuzyna? Tego nie rozmiem. Nam, Czipewejom nie wolno poślubić kogoś z tego samego klanu. Oczy Ducha jest z klanu Wilka, chociaż jest adoptowany przez naszą rodzinę, ja zaś jestem Zębacz.

- Hamilton jest dalekim kuzynem - tłumaczyła Miri. - On nie jest wcale z mojego... mojego klanu. Teraz zresztą nie jestem pewna, czy się pobierzemy. Myślę, że życie byłoby znacznie miłsze bez mężczyzn.

- To dobrze, że pani czeka - powiedziała Tancerka Jeziora z aprobatą. - Ale nie jest dobrze kobiecie żyć samej. Jest pani piękna, miła i odważna. Silny mężczyzna byłby szczęśliwy mając taką żonę.

Głos Tancerki był przyjazny i pełen uczucia, ale jej oczy smutne. Miri miała wrażenie, że zaczęła czytać opowieść w środku książki. Było w tej rozmowie coś nieuchwytnego.

- Pochlebia mi pani, pani Scott. Przecież nie zna mnie pani.

Dziewczyna Czipewejów uśmiechnęła się.

- Znam bardzo dobrze pani twarz. I pani naturę. Niebawem, już niedługo, powiem, gdzie spotkałyśmy się. Do tego czasu proszę myśleć o mnie jako o swojej siostrze, o swojej przyjaciółce. Będzie pani tu przychodzić i opowiadać mi o ludziach ze świata mego męża, a ja będę panią uczyć życia Czipewejów. Nauczymy się obie tego, czego potrzebować będziemy, nim bogowie wezmą nas w swe dłonie.

Miri poprosiła o wytłumaczenie tych słów, ale w tym momencie wrócił Jordan. Tancerka Jeziora powitała męża krótko, wstała i wyszła z wigwamu bez słowa. Miri była zaskoczona widokiem wilgotnych policzków dziewczyny, gdy ta stanęła w blasku słońca.

Jordan z furią skierował się ku Miri.

- Mówiłem, że nie chcę widzieć mojej żony zasmuconej. Co pani jej powiedziała?

- Zapewniam pana, panie Scott, że nie powiedziałam nic, co mogłoby ją obrazić. Ona mówiła jakieś dziwne rzeczy. Czy jest pan pewien, że ona dobrze się czuje?

- Dość dobrze. - Patrzył w ślad za żoną, jego wzrok przeczył niedbałym słowom. - Indianki nie pozują i nie trzęsą się nad sobą tak jak białe kobiety. Są rozumniejsze. Co ona powiedziała?

Miri nie umiała powtórzyć dziwnych słów Tancerki Jeziora, ani wytłumaczyć swego dziwnego niepokoju.

- To nieważnego. Przyszłam porozmawiać z panem, nie z nią.
- Postawiła czarkę i wstała zdecydowanie. - Czy możemy porozmawiać na zewnątrz? Tu jest zbyt duszno.

W obecności Jordana, którego szerokie ramiona zasłaniały wejście, Miri czuła wyjątkową ciasnotę chaty. Znalazszy się na zewnątrz, owiana świeżym powietrzem, zdobyła się na odwagę przedstawienia swej propozycji. A Jordan miał chęć śmiać się.

- A po co mam szukać pani kuzyna? Nie obchodzi mnie pani ani pani mężczyźni.

- On nie jest "moim mężczyzną" - zaprzeczyła Miri. - A pan mógłby to zrobić za pieniądze. Nie mam ich przy sobie, wszystko utonęło w jeziorze, ale wystarczy, że napiszę do Londynu po pieniądze z banku. Zapewniam, że zapłacę panu bardzo dobrze.

Twarz Jordana przybrała złośliwy wyraz.

- Nie wątpię, że pani zapłaci dobrze, panno Sutcliffe. Ale nie interesują mnie pani pieniądze ani żadne inne pani propozycje. Nawet jeśli byłoby inaczej, nie mogę zostawić żony, która ma rodzić za kilka tygodni.

Miri nie podejrzewała Jordana o taką troskliwość. Większość mężczyzn z kręgu jej znajomych- byłaby szczęśliwa, gdyby mogła zniknąć na czas "babskich spraw", czyli porodu i porożenia.

- Doceniam pańską troskę o żonę, panie Scott, ale...

- Żadnych ale. Nie jestem zainteresowany.

- Ależ jest pan moją jedyną nadzieją.

- Jest pani upartą kobietą, panno Sutcliffe. Powinna się pani nauczyć słuchać, gdy mężczyzna mówi "nie".

- To pan jest uparty - zaatakowała Miri. - Hamilton wyjechał dopiero dwa tygodnie temu. Przy odrobinie szczęścia może pan go znaleźć i wrócić przed porodem Tancerki Jeziora.

- Powiedziałem "nie".

- Mogę panu zapłacić.

-Nie.

Metaliczne lśnienie szarych oczu ostrzegło Miri przed wypowiedzeniem następnych słów. Ten mężczyzna był nieustępliwy jak blok granitu i podobnie nieczuły.

- Świetnie - stwierdziła, zadzierając głowę. - Jestem pewna, że poradzę sobie bez pańskiej pomocy. Są na pewno tacy, którzy się podejmą zadania.

- Takich może pani znaleźć, ale pani pieniądze i wielkoświatowe fomy nie zawsze pani pomogą, panno Sutcliffe.

Oczy Miri chłodno patrzyły na Jordana.

- Jestem pewna, że nie wszyscy są tak pozbawieni manier jak pan, panie Scott. Znajdzie się ktoś, kto pomoże damie w potrzebie.

Jordan tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Miri zwróciła mu taki sam uśmiech i wyrzekła lodowato:

- Życzę dobrego dnia, sir.

W drodze do czółna spotkała Tancerkę Jeziora, która z zaniepokojeniem spojrzała na wyraz twarzy Miri.

- Nie jest pani zadowolona z mego męża?

Miri złagodziała nieco wyraz swych ust, myśląc, że Tancerka Jeziora nie jest celem jej gniewu.

- Pani mąż potrafi być bardzo irytujący.

- Ale będzie pani nadal mnie odwiedzać?

Miri zawahała się. Dziewczyna wydawała się pragnąć jej towarzysztwa. A czy można zrezygnować z okazji oświecenia biednej duszy i wprowadzenia jej na drogę cywilizacji?

- Będę panią odwiedzać, jeśli mąż pani na to pozwoli.

- Pozwoli. - Dziewczyna radośnie skinęła głową i ruszyła w stronę Jordana, który obserwował kobiety z ponurym wyrazem twarzy i tak już złowrogiej. - On powiosłuje z panią do wyspy. Jest pani zmęczona, prawda? Nie nawykła pani do takiego zajęcia.

- Nie miałabym odwagi prosić go o to - odparła Miri jadowicie.

- Ależ to nic wielkiego. Mężu - zwróciła się do Jordana, który właśnie odchodził - czy nie przewiózłbyś panny Sutcliffe przez cieśninę? Przy okazji kupiłbyś mi nowy kociołek?

- Jak sobie życzysz - Jordan spojrzał na żonę niezadowolony.

Na Miri wcale nie zwracał uwagi.

Płynęli przez cieśninę w czółnie Jordana, drugie było doczepione z tyłu. Podróż odbywała się w kompletnej ciszy i nieprzyjemnej atmosferze. Miri patrzyła na dno łodzi, na wodę, na zbliżającą się wyspę, na niebo; wszędzie, byle nie na mężczyznę na przeciwko. Mimo wszystko przyciągał jej spojrzenie i zauważyła, że jego oczy utkwione są w jej postać. Wyglądał tak dziko i groźnie, że zdawał się być zdolny do zrywania ludziom skalpów z głów i noszenia ich z dumą wokół pasa. Teraz Jordan jakby rozważał możliwość dodania do swej kolekcji kasztanowego kędzierzawego skkalpu.

Cóż ona zrobiła, czym zasłużyła na taką niechęć? Była jego dłużniczką, uratował jej życie, zachowywała się bardzo uprzejmie, mimo niesprzyjających okoliczności, zaś on rewanzował się jej brakiem szacunku i skandalicznymi manierami.

Biedna Tancerka Jeziora. Jak mogła tak miła dziewczyna tolerować podobnego męża, być starym obiektem humorów tego łajdaka, jego wybuchów i... jego żądy? Miri rzuciła znów ukradkowe spojrzenie na twardą, męską twarz i mięśnie pod brązową skórą. Groźny wygląd Jordana łagodziły tylko usta, pięknie wykrojone i nie mogące wzbudzić krytyki nawet najzgorzalszego wroga. Wyobraźnia poniosła Miri i kazała się jej zastanawiać nad tym, jak czułaby się w ramionach tego okropnego człowieka. Niepożądane obrazy Jordana, który brutalnie bierze w posiadanie swoją żonę, wirowały w myślach dziewczyny i budziły w niej dreszcze. Zdecydowanie odrzuciła te myśli, mówiąc sobie, iż to dreszcze strachu - nic więcej.

- Zimno pani?

Miri spojrziała znów w utkwione w nią oczy Jordana. Zdawało się, że zna ją na wylot i odczytuje wszelkie jej myśli. W tym momencie można było uwierzyć, że jest jedynym z tych sławnych wróżbitów indiańskich, wzywających na swe usługi niezmiernie moce. Zadrzała znów i spuściła wzrok na dno czółna.

- Nie, nie jest mi zimno.

Boże uchojaj, by stała się tak przesądna jak prymitywne dzikusy. Z listą Hamiltona czy bez niej, musi szybko wracać do cywilizowanego świata.

RODZIAŁ V

- To naprawdę śliczne - oceniała Margaret nową suknię Miri.
- Rzeczywiście! - zgodziła się Grace. - Stałaś się bardzo zręczną szwaczką, miła moja. Pomyśleć tylko, że trzy tygodnie temu nie umiałaś trzymać igry! Te bufiaste opadające rękawy są urocze. Skąd ci to przyszło do głowy?
- Damy w Montrealu noszą podobne suknie - odparła Miri, nie dodając, że bez względu na jakość amatorskiego krawiectwa, nie nosiłaby takiej sukni w Londynie.
- Petunii mogłaby się spodobać ta koronka na staniku - ostrzegła Mary Beth. - Lepiej nie noś tego przy niej.
- Margaret spojrzała na siostrę z pogardą starszej osoby.
- Nie nosi się takiej sukni do dojenia kóz, Mary Beth. Nawet ktoś taki jak ty powinien to wiedzieć.
- A skąd ty wiesz, jakie suknie nosi się do dojenia? Prawie nigdy nie wchodzisz do obory i nie brudzisz rąbek przy robocie. To Miri pomaga mi przy kozach, kurach i świniach - warknęła Mary Beth.
- Margaret zadarła nos.
- I tak mam mnóstwo pracy bez kóz, kur i świń. To przez ciebie, bo zostawiasz odkurzanie, szorowanie, zmiatanie, ślanie łóżek, szycie i gotowanie dla mnie, ty mały leniu. Bądź cicho, bo jak dorośniesz, to zobaczysz, na czym polega praca kobiety.
- Mary Beth zerwała się z krzesła, ale Grace zabrała głos.
- Uspokójcie się obie. Jeśli nie umiecie się przyzwoicie zachować, proszę, możecie się przenieść między dzikusów. Obydwie się tam nadajecie. Żadna nie jest przepracowana i zamiast narzekać, naśladowujcie Lucy. Ona potrafi pracować ciężko i pozostać

dobrze wychowaną panną. No i Miriam też - dodała po namyśle.
- Nigdy nie widujecie tych pań walczących ze sobą jak kocury, prawda?

Słowa Grace zdumiały Miri. Nigdy nie myślała, że może być zakwalifikowana do jednej grupy z Lucy. Trzeba było jednak przyznać, że mała służąca miała jakąś prymitywną kulturę; ostatnio zresztą obydwie pracowały bardzo ciężko i Miri była dziwnie zadowolona, że pochwalono ją za pracę fizyczną. Nie pochwaliby się tym przed londyńskimi przyjaciółmi, ale czuła się usatysfakcjonowana.

Mary Beth pociągnęła nosem z pogardą.

- Chciałabym zobaczyć minę Lucy, gdyby zobaczyła połów przyniesiony przez Jordana zeszłej zimy i musiała czyścić i wędzić te wszystkie ryby! I Miri tak samo. Damy! Nie podeszłyby nawet do tego stosu ryb!

Miri postanowiła być uszczypliwa względem Mary Beth.

- Będiesz wszystko robiła sama, Mary Beth, gdy obydwie z Lucy wrócimy do Londynu. Czekamy tylko na pana Delacroix z wiadomościami od mego kuzyna.

- Jordan mówi, że Gage Delacroix jest szczęśliwy, jeśli może znaleźć swoje... - odparowała Mary Beth.

- Mary Beth! - ostrzegła Grace. - Nie słuchaj jej, Miri. Gage i Jordan żartobliwie rywalizują ze sobą od lat. Czasami nie pamiętają, że ich żarty nie są odpowiednie dla uszu dziewczynek.

- Nie jestem małą dziewczynką - spierała się Mary Beth.

- Jeśli Miri naprawdę chce znaleźć kuzyna, musi poprosić o to Jordana. On znajdzie każdego.

Miri milczała. Nie powiedziała nikomu, że już to zrobiła i że jej odmówiono. Rodzina Peaveyów sądziła, iż wizyta dotyczyła Tancerki Jeziora. Wiedząc o uczuciach Grace i jej córek dla Jordana, Miri nie powiedziała niczego złego o ich świetlanym bohaterze. Grace ciągle opowiadała Miri o wyprawach, które Jordan odbywał wspólnie z jej zmarłym mężem. Wdowa rozplywała się w zachwytach nad charakterem Jordana. Widocznie nie знаła go naprawdę. Miri usprawiedliwiała Grace, gdyż ta żyła przecież wśród nie ucywilizowanych Amerykanów.

Grace tłumaczyła zachowanie się renegata jego złymi doświadczeniami w Bostonie. Jego matką była Jane Scott, dziewczyna z dobrego domu, która miała nieszczęście zajść w ciążę nie wychodząc za męża. Została wyrzucona z domu i wyklęta przez całe towarzystwo. Stała się bogatą kurtyzaną, a jej śmierć uczyniła z Jordana dziedzica niezłej fortuny. Pieniądze prostytutki pozwoliły bękartowi na studia w Harwardzie, ale nie mogły kupić szacunku społeczeństwa. Grace podejrzewała, że to jakiś niestosowny romans spowodował ostateczną ucieczkę Jordana z Bostonu i zaszycie się w głuszy nad północno-wschodnią granicą. Mąż Grace nie chciał jednak mówić na ten temat.

Miri słuchała opowieści Grace z litością i niesmakiem. Przeszłość Jordana wyjaśniała wiele, ale go nie usprawiedliwiała. Ludzie winni się wznosić ponad przeszkody stawiane im przez ich pochodzenie. Jordan Scott był tylko degeneratem. Sama Grace przyznawała, że większość białych osadników patrzyła na Jordana złym okiem, ale składała to na karb ignorancji i uprzedzeń wobec Indian. Indianie nie byli wcale tacy straszni, twierdziła Grace. Urządzili co prawda około pięćdziesięciu lat temu masakrę Brytyjczyków, ale - tu spojrzała na Miri przepraszająco - ci byli sami sobie winni. Także stałe walki z Siuksami (przyznawała, że Jordan brał w nich udział, lecz zaprzeczała, że zdobywał skalpy) nie były gorsze niż krwawe porachunki między białymi. Grace uważała, że Jordan stanowi dla białych osadników dowód względności teorii o wyższości rasy białej nad kolorową.

Miri uprzejmie zgadzała się ze swą gospodynią, ale w duchu sądziła, że Jordan w pełni zasługiwał na niechęć osadników. Tancerka Jeziora natomiast była uroczą dziewczyną, choć dość prymitywną. Miri miała ochotę wrócić do wioski przynajmniej raz, by dotrzymać obietnicy odwiedzenia żony Jordana. Po pierwszej wizycie przyszła jednak następna i rosnąca przyjaźń z Tancerką Jeziora zmuszała Miri do kolejnych odwiedzin. Indiańska dziewczyna nie zachowywała się już dziwnie, nie wspominała o spotkaniu się z Miri w przeszłości i sprawiała swym wdziękiem, że odwiedziny u niej były bardzo przyjemne. Rozmawiały o miastach na wschodzie, o Londynie, o wielu sprawach. Miri czytała głośno poezje z książki należącej do Jordana. Tancerka Jeziora narze-

kała, że jej mąż nie chce jej czytać książek białych ludzi. Nie chciał też opowiadać jej o swoim życiu w mieście. Chciała poznać świat, w którym jej mąż kiedyś mieszkał.

Rewanżując się Miri za jej opowieści, Tancerka Jeziora przypominała legendy o swym plemienu, które zwała Anishanabe, "pierwszy człowiek", a które sąsiedni Indianie zwali Ojibwa. Snuła opowieści o wielkich totemach; o Gitchimanido - wielkim duchu; o pomniejszych duchach-strażnikach, które zsyłały na śmiertelnych wizje mądrości i potęgi. Mówiła o wielkich bitwach, czarownikach, wielkim szatanie, o słodczy miłości i o odwadze.

Miri była tak zafascynowana opowieściami, że zostawała często przez wiele godzin w wiosce. Mimo wielu różnic, między dwiema kobietami nawiązała się prawdziwa przyjaźń i bliskość. Miri czuła, że może otworzyć przed Tancerką Jeziora swe serce, czego nigdy nie mogła uczynić przed ciotką Elizą. Mogła opowiadać o swych rodzicach, o dzieciństwie i o marzeniach. Nie bała się surowego osądu. Sama zaś chętnie słuchała o pragnieniu macierzyństwa, jakie żywiła Tancerka od lat. Przez osiem lat była bezpłodna i teraz spełniło się wielkie marzenie. Nigdy już nie pojawiła się między nimi dziwna obcość i smutek z pierwszej wizyty; Miri sądziła, że to ich spotkania poprawiały humor Indianki. Widocznie potrzebowała tylko sympatii i uważnego słuchacza.

Pewnego ciepłego lipcowego popołudnia Miri zatrzymała się w miasteczku, wracając z wioski zipewejów. Nie zwracała uwagi na piękno dnia i na pozdrowienia nielicznych przechodniów. Myśli jej wypełniała troska o Tancerkę Jeziora. Indiańska dziewczyna była dzisiaj trochę dziwna, jakaś melancholijna. Miri chciała zostać dłużej i upewnić się, że jej przyjaciółka nie jest chora, ale wrócił niespodziewanie Jordan. To zmusiło ją do wyjścia.

Miri była zadowolona, że niezbyt często spotykała się z Jordaniem w czasie wizyt u Tancerki Jeziora. Widząc ją, wychodził natychmiast. Jeśli wrócił wcześniej, to Miri skracała wizytę. W chwili, gdy wchodził do wigwamu zaczynała czuć na sobie jego niepokojące spojrzenie. Nie wiedziała, jaki rodzaj złego czaru

rzucal na nią Jordan Scott i nie chciała wiedzieć. Może zły czar pryśnie, gdy się go będzie lekceważyć?

Cienie popołudnia zaczynały się już wydłużać, gdy Miri zmierzła w stronę kościoła anglikańskiego. Grace prosiła ją o wstąpienie do proboszcza i zaproszenie ojca Carolla na niedzielny obiad. Biedaczysko miał tak mało przyjaciół na wyspie, bo handlarze i brytyjscy wojskowi woleli tawerny niż kościół, a bardziej religijni francuscy Kanadyjczycy uczęszczali do dużego kościoła katolickiego.

Miri tak była zatopiona w swych myślach, że nie usłyszała kroków za sobą.

- Miłe popołudnie, panno Sutcliffe. - Słowa były nieco bełkotliwe, ale głos pełen grzeczności.

- Co? - spytała, wyrwana z zamyślenia. - Och, tak, rzeczywiście. - Zatrzymała się i natychmiast tego pożałowała. - Pan pił, poruczniku? - Nie musiała pytać. Ciężki odór alkoholu dosięgnął jej nozdrzy, gdy porucznik zbliżył się.

- Moja pani - rzekł z uśmiechem - tak, piłem. Któż nie upiłby się po wiadomości, że musi spędzić jeszcze rok w tej zaplutej dziurze? Nawet jeśli trzeba zadowolić się rumem, uchodzącym za alkohol w tej wioszczynie.

Miri poczuła nikłą sympatię do porucznika. Mogła doskonale zrozumieć chęć ucieczki z tej głuszy i pragnienie powrotu do cywilizacji. Czyż ona nie czuła tej samej potrzeby? Nie miała jednak zamiaru ulegać współczuciu.

- Poruczniku - powiedziała stanowczo - rum nie ułatwi panu pobytu tutaj.

Zaśmiał się niepewnie.

- Może ma pani rację, urocza damo. Towarzystwo pani bardzo by mi pomogło. Czy mogę pani towarzyszyć? Widok pani twarzy i dźwięk pani głosu będą... epp... balsamem dla mojej... mojej znękanej duszy.

Miri zmarszczyła brwi z niesmakiem i odparła stanowczo.

- Nie wydaje mi się, poruczniku. Śpieszę się. Muszę być w domu przed zmierzchem.

- Dlaczego? - wybełkotał. - Gdy noc zapada... pani staaje sssię cieniem? Może leniem? - Zarechotał - Staje się pani leniem jak reszta leni na tej wyspie. Bardzo stosownie i właściwie.

Miri miała już tego dosyć. Porucznik wydawał się być dżentelmenem. Czy ten upiorny kraj robi z mężczyzn degeneratów? Odwróciła się i ruszyła w swoją stronę, ale Renquist zastąpił jej drogę.

- Nie odchodź, piękna damo. Jesteś pierwszą piękną osobą, jaką widzę od... od kiedy? Od rrrroku lub więcej.

- Proszę odejść, poruczniku.

- Oddałbym moje prawe ramię za jedno miłe słowo. - Złożył mokry pocałunek na jej dłoni i uchwycił silnie jej rękę. - Umarłbym za jeden pocałunek.

Miri bezskutecznie usiłowała wyrwać rękę z uścisku porucznika.

- Ależ panie poruczniku Renquist! Doprawdy!

- Tak, rzeczywiście. To ja, porucznik Renquist.

Nagle inny głos zmusił ich do spojrzenia na wysoką postać o skrzyżowanych na piersi ramionach i szeroko rozstawionych nogach.

- Założyłbym się, że poślubiłby pan tę damę dla pocałunku, ale wątpię, czy to by się panu opłaciło. Dlaczego nie zostawi jej pan i nie pójdzie w swoją stronę, poruczniku Renquist?

Renquist zeszywniał i niepewnie zaczął zastanawiać się, kto właściwie został obrażony - on czy Miri.

- Ta dama nic pana nie obchodzi - powiedział w końcu wyzywającym tonem.

- Ani pana - odparł Jordan spokojnie. - Dlaczego pan nie pójdzie gdzieś i nie odeśpi swojej małej zabawy? - Oczy Jordana zwęziły się, widząc, jak ręka Renquista przesuwają się w stronę pistoletu za pasem. - Nie robiłbym tego - ostrzegł - chyba że chce pan skrócić swój pobyt na tej wyspie w niezbyt miły sposób.

Usta Renquista zacisnęły się i przez chwilę przebierał palcami przy uchwycie pistoletu. Potem czknał i opuścił dłoń.

- Brudny dzikus! - Splunął pod nogi Jordana, odwrócił się na pięcie, zachwiał i ruszył w stronę portu.

Miri westchnęła z ulgą i spojrzała uważnie na Jordana.

- Sądzę, że znów muszę panu podziękować, panie Scott. Wydaje się, że pan zawsze zjawia się w porę, by mi pomóc.

- Czy to jest dla pani ideał dżentelmena? - Usta Scotta wykrzywił niechętny grymas. - Przypuszczam, że powinienem wziąć od niego kilka lekcji dobrego wychowania, panno Sutcliffe.

- Porucznik nie był sobą, jakkolwiek zachował się źle i winna jestem panu...

- Nie teraz, panno Sutcliffe. Może mi pani wyrazić swą wdzięczność w drodze na farmę. Muszę pilnie porozmawiać z Grace.

- Co się stało? Dopiero opuściłam wioskę. Czy...?

- Tancerka Jeziora rodzi. Przyszedłem tu po lekarza z fortu, ale on nie ma zamiaru trudzić się dla indiańskiej dziewczyny. Grace musi być położną.

- Ale, ale! - Miri usiłowała dorównać jego długim krokom, zapominając całkowicie o zaprosinach dla proboszcza. - Czy wszystko jest w porządku?

- Nie wiem. Kobiety Czipewejów rodzą łatwo na ogół. Tancerka jednak usiłowała bezskutecznie od lat mieć dziecko i wolałbym, żeby pomógł jej ktoś jeszcze oprócz kobiet z wioski.

Miri usłyszała w jego głosie prawdziwą troskę i przez chwilę jej serce zmiękło. Potem przypomniała sobie, że to przez niego Tancerka Jeziora znalazła się w tym stanie i to bez chrześcijańskiego ślubu.

Grace, usłyszawszy wieści, zaczęła gromadzić czyste płótna, ostry nóż, brzydko wyglądające kleszcze, linkę i szal.

Kazała Miri i Jordanowi iść za sobą i ruszyła do drzwi.

- Nie bój się tak - rzekła do Jordana. - Czy ty myślisz, że to pierwsze dziecko, które ma przyjść na świat? Tancerka będzie się dobrze czuła, bez obaw!

Tancerka nie czuła się jednak dobrze. Przeniesiono ją do małego wigwamu, który służył kobietom w wiosce do porodów. Było tam legowisko z cedrowych gałęzi, wyłożone matami, i tu leżała Tancerka Jeziora, blada i cicha. Gdy przychodził ból, ścisła ręce kobiet - pomocnic.

- Zaraz zrobimy z tym porządek! - zadeklarowała Grace, gdy zobaczyła wszystko. - Uśmiechu Poranka - wskazała na jedną z kobiet - zabierz te brudne wykładziny i maty. Wyrzuć je. Nie obchodzi mnie żadna cholerna tradycja!

Kobiety wyniosły maty i garbowane skóry z wyściółki legowiska, przyniosły czyste skóry i rozpostarły na nich płótna przyniesione z farmy Grace.

- Miri - rozkazała Grace - pomóż Tancerce podnieść się. W porządku. Teraz spacerujcie powoli naokoło. To pomoże w bólach. A wy dwie - wskazała na Indianki spoglądające na nią z oburzeniem i zaskoczeniem - przynieście gorącej wody. Dwa pełne kociołki. No, ruszajcie się!

Kobiety wyszły, mamrocząc coś w swym języku. Miri pomogła Tancerce oprzeć się o siebie i rozpoczęła się powolna wędrówka naokoło wigwamu. Co parę minut przystawały, bo ból związał Tancerkę Jeziora w pół. Indiańska dziewczyna nie zwracała uwagi na Miri i Grace. Robiła, co jej kazano, ale nie wymówiła ani słowa. Jęczała tylko i syczała z bólu rozrywającego ją od stóp do głów. Wydawało się, że całe swe siły skierowała do swego wnętrza. Była całkowicie zaabsorbowana dramatem rozgrywającym się w jej ciele.

Minęły dwie godziny. Do szalasu wsunął się zwalisty Indianin. Oczy Miri rozszerzyły się z przerażenia i szybko okryła Tancerkę leżącą teraz na posłaniu.

- Wszystko w porządku - powiedziała Grace. - To brat Tancerki. Ujeżdżający Fale, poznaj Miriam Sutcliffe.

Ujeżdżający Fale skinął głową. Jego twarz była posępna. Wręczył Grace kubek z jakimś płynem. Skrzywiła się niemile.

- Pewnie Uśmiech Poranka przysłała cię tutaj, bo ją wyrzuciłam. Jak na bystrą kobietę, za bardzo wierzy w pogańskie hokus-pokus!

Wręczyła mimo to kubek Miri i kazała jej podać Tancerce parę łyków.

Miri patrzyła nieufnie na różowawy płyn w kubku.

- Co to jest?

- Krew węża zmieszana z wodą. Indianie uważają, że to pomaga przy trudnych porodach.

Żołądek Miri zaczął się buntować. Spojrzała na Grace z niedowierzaniem.

- No, zrób to. Nie zaszkodzi jej to. Możesz być pewna, że Ujeżdżający Fale i tak stąd nie wyjdzie, dopóki jego siostra tego nie wypije.

Dziwne lekarstwo Czipewejów nie pomogło Tancerce. O północy nie było śladu dziecka, a krzyk dziewczyny słychać było w całej wiosce. W pewnej chwili do wigwamu wpadł Jordan. Z rozpaczą w oczach, blady, domagał się, by ktoś zrobił coś, cokolwiek, by pomóc jego żonie. Nic jednak nie można było zrobić. Dwaj rośli Indianie z trudem wypchnęli go z wigwamu, gdyż jego widok pogarszał jeszcze stan Tancerki Jeziora.

Słońce wznosiło się znad horyzontu, gdy Tancerka Jeziora urodziła w końcu córkę, która wydostała się na świat pośladkami. Sine i zupełnie ciche dziecko potrzebowało dwóch minut, by zaczerpnąć powietrza po raz pierwszy. Było to zresztą powolne, wahające się oddychanie, jakby noworodek nie był pewien swych zamiarów. Dziecko było zbyt słabe, by płakać.

Miri stwierdziła, że dziecko to jest najbrzydszą istotą, jaką kiedykolwiek oglądała. Cały proces narodzin był odrażający i tylko surowy wzrok Grace powstrzymywał ją od ucieczki podczas ostatniego etapu porodu. Widok twarzy Tancerki, gdy położono jej w ramionach dziecko, był niezwykły. Miri nigdy nie widziała kogoś tak promiennego. Tancerka Jeziora wyglądała tak samo źle jak jej dziecko - miała wpadnięte, podkrążone oczy i szarą twarz - ale uśmiech czynił ją piękną.

Grace wyszła z wigwamu i pociągnęła Miri za sobą. Zaraz przed wejściem spotkały Jordana. Wyglądał przeraźliwie.

- Powiem ci otwarcie, przyjacielu - Grace unieruchomiła go swym spojrzeniem. - Twoja żona i córka żyją, ale nie będzie ich na tej ziemi za godzinę. Dziecko było źle ułożone, a Tancerka zbyt drobna. W środku jest poszarpana na kawałki. Nie umiem zatamować krwawienia. Dziecko jest tak słabe, że dziwię się, iż urodziło się żywe.

Miri poczuła się słabo. Nie sądziła, że jest aż tak źle. Zobaczyła skurcz na twarzy Jordana i pochylenie się jego ramion, jakby złożono nań zbyt wielki ciężar.

- Wejdz i pożegnaj się z żoną - poleciała Grace. - Masz ją odeśłać szczęśliwą z tego świata, rozumiesz? Ta dziewczyna jest najdzielniejszą, najśłodsza osobą, jaką spotkałam kiedykolwiek.

Jordan spoglądał na nie obydwie z granitową twarzą. Gniew i żal czały się w jego oczach. Miri zastanawiała się, czy gniew odnosił się do okrutnego losu, czy do kobiet, które nie umiały uratować życia Tancerki. Bez słowa wślizgnął się do wigwamu.

Miri usiadła na pobliskim pniu i ukryła twarz w dłoniach. Całe jej ciało drżało z wyczerpania, zaś każdy zakątek jej umysłu wypełniał żal i przerażenie. Słodka, miła, piękna Tancerka Jeziora. Jakże to niesprawiedliwe, że musi umrzeć w takiej niedoli, rodząc nieślubne dziecko takiemu draniowi jak Jordan. Łzy płynęły po jej twarzy gorącą strugą.

- Tancerka Jeziora chce cię widzieć.

W pierwszej chwili Miri chciała krzyknąć, zaprotestować. Nie miała siły znieść tego wszystkiego. Chciała uciec, schować się i zapomnieć o całej tej nocy. Spojrzenie Jordana zmusiło ją do wstania z pnia i spełnienia polecenia. Oczy Jordana straciły swój blask i były teraz martwe jak kamienie.

Wigwam wypełniała cisza. Nie było już krzyków trzymających w napięciu całą wieś. Wszystko było skończone. Dla Tancerki Jeziora prawie wszystko było skończone. Grace poruszała się powoli po szalasię, porządkowała go i zbierała zakrwawione płótna. Spojrzała na Miri ze zmęczonym uśmiechem.

- Dobre dziecko - poklepała ją po ramieniu. - Teraz uśmiechnij się. Dla Tancerki, zrób to.

Tancerka Jeziora leżała spokojnie na swym posłaniu, trzymając w ramionach swe nieszczęsne dziecko. Oczy miała zamknięte, ale błysk życia pojawił się na jej twarzy, gdy usłyszała głos Miri.

- Tancerko Jeziora. - Miri uklękła obok posłania. Cóż można powiedzieć przyjaciółce, która jest już na ścieżce śmierci?

- Miriam. - Chłodna dłoń Tancerki dotknęła ręki Miri. Oczy otwały się. - Jestem szczęśliwa, że tu jesteś.

- Jestem, Tancerko. Ale... czy twój mąż nie powinien być z tobą?

- Jordan... Jordan już się pożegnał. - Tancerka uśmiechnęła się słabo. - Był najlepszym z mężów. Jego serce było tylko w po-

łowię moje, ale to mi wystarczało. - Utkwiła spojrzenie w twarzy Miri. - Jestem... taka zadowolona, że jesteś piękna. I dobra. - Tancerka urwała i zadrżała. - Widzę ducha jeziora. Mój strażnik przyszedł po mnie.

- Tancerko - rzekła Miri drżącym głosem - mam przyprowadzić Jordana?

- Muszę powiedzieć ci o mojej wizji. - Dziewczyna uśmiechnęła się i głos jej nabrał nieco siły. - Miałam sen, wiele miesięcy temu. Mój duch-stróż przyszedł do mnie i pokazał mi, co się stanie przed upływem roku. Pokazał mi twoją twarz i powiedział, że będziesz matką dla mojego dziecka i żoną dla mojego męża, więc nie muszę się o nich martwić. Powiedział... powiedział, że muszę pójść z nim tam, gdzie duchy tańczą razem z bogami.

- Tancerko, nie mów tak.

Uścisk dłoni Tancerki zacieśnił się na ręce Miri.

- Czy ty myślisz, że ja nie wiem, iż umieram? Znam mój los od miesięcy. Sny nie kłamią. - Spojrzała w twarz Miri. - Masz łzy w oczach. Nie płacz po mnie. Jestem zadowolona, że idę tam, gdzie idę. Ty będziesz opiekowała się moją córką i uczynisz mego męża szczęśliwym, jak mi to mój sen obiecał.

Miri nie mogła mówić. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Będziesz?

- Będę się opiekować twoją córką.

Tancerka Jeziora uśmiechnęła się i przymknęła oczy. Ciało jej zdawało się odpoczywać.

- Nazwałam ją Jasny Duch. Przyniesie ci radość, tak jak mnie.

Dziewczyna nie zaczerpnęła już powietrza. Miri patrzyła na spokój osiadający na twarzy Tancerki. Z wyrazem hołdu i przeżalenia sięgnęła po dziecko i wyjęła je z ramion matki.

Popołudniowe słońce stało nad migoczącym jeziorem i ogrzewało piasek, skały, drzewa i trawy. Był piękny, letni dzień. Ptaki śpiewały, drzewa szumiały łagodnie, gdy powiew wiatru poruszał ich liśćmi i igłami.

Jordan mógł jednak myśleć tylko o ironii losu, który spowodował, że Tancerka Jeziora umarła w takim dniu. Nie słyszał ptaków, nie czuł ciepła na twarzy, nie wdychał zapachu drzew. Ona

była już poza radością - zimna i sztywna - ukryta przed oczami tych, którzy ją kochali, pod całunem z brzoźowej kory.

Mała grupa Czipewejów, rodzice Tancerki, jej krewni i przyjaciele, śpiewała smętnie, gdy Ujeżdżający Fale tańczył z powagą wokół świeżo wykopanego grobu. Jordan nie przyłączył się do śpiewu. Stał milczący i nieruchomy jak posąg, rozpamiętując wszystkie lata, całe szczęście, jakie ofiarowała mu Tancerka Jeziora. Uratowała mu życie, gdy był młody, szalony i pewny siebie. Jej brat stał się jego bratem, jej ojciec i matka stali się kochającymi rodzicami, których nigdy nie miał. Było całkiem naturalne, że zamieszkali razem i Tancerka została jego żoną; najmilszą i najmniej wymagającą ze wszystkich żon. Dała mu wszystko. A co on dał jej w zamian za to?

Był jej mężem, który nie mógł jej kochać tak, jak na to zasługiwała; dał jej dni samotności, gdy tygodniami polował albo wojował; odwzajemniał jej miłość zdawkowymi gestami, niewiele lepszymi od obojętności; w końcu dał jej dziecko, które ją zabiło. A teraz odeszła - słodka Tancerka, śmiejąca się z jego ponurych nastrojów, zmywająca z niego gorycz i ucząca go, że miłość to więcej niż namiętność; ucząca go też, że może nie będzie umiał nigdy nikomu dać więcej. Zawsze śmiejąca się i szczęśliwa, rozkoszująca się każdym dniem, wydawała się zadowolona tym, co dostawała od niego. Teraz, gdy odeszła, wiedział, że mogła dostać więcej. Powinien dać jej więcej.

Ujeżdżający Fale zatrzymał się. Wszyscy uciszyli się, gdy zaczął swą mowę.

- Twoje stopy stąpają teraz drogą duszy, moja siostrze. Byłaś z nami krótko i brak nam ciebie, nam, którzy cię kochaliśmy. Byłaś dzielną kobietą, wierną żoną, kochającą córką i siostrą drogą memu sercu.

Jordan patrzył na Miri, stojącą obok żałobników. Ujeżdżający Fale chwalił odwagę Tancerki, lecz przez moment mała Angielka była jedynym celem myśli Jordana. Poczul się winny. Nie rozmawiał prawie z dziewczyną, którą wyciągnął z jeziora przed miesiącem. Nigdy jej nie dotknął. Dlaczego zatem czuł się tak, jakby zdradził Tancerkę z tą zimną i nadętą dziewczynką? Widział jej twarz w snach i prześladowała go na jawie. Dlaczego? Nie była

to piękna twarz - nie taka jak twarz Elizabeth, przyćmiewająca wszystkie piękności w Bostonie dawno temu. Nos miała zbyt zadarty, dziecinny. Podbródek był zbyt wystający i uparty, oczy za wielkie, policzki zbyt okrągłe. I była kołtuńską, małą hipokrytką, taką jak Elizabeth, przekonaną, że jej pruderia i moralność stawiają ją na równi z Bogiem i świętymi.

Gdziekolwiek jednak ją widział, jego serce biło szybciej, oczy biegły w jej stronę i niepożądane ciepło ogarniało jego łądźwie - nie kontrolowana reakcja, którą usiłował ignorować. Czuł się jednak wciąż winny. Pozwolił, by błękitne oczy Miriam Sutcliffe i gęstwina jej kasztanowych loków nie opuszczały jego wyobraźni. Tancerka Jeziora zasługiwała na lepszego męża.

Mowa pogrzebowa zakończyła się. Dwaj mężczyźni podnieśli ciało Tancerki, owinięte w brzoszową korę spiętą pasami i łagodnie złożyli je do grobu, układając zwłoki stopami na zachód, w kierunku wędrówki duszy w zaświaty. Na całunie z kory położono ulubione nosidła Tancerki, jej kociołek, nóż i łyżkę, by służyły jej w czterodniowej podróży do kraju duchów. Potem każdy podchodził do grobu i żegnał się. Wiedząc, że duch Tancerki jest jeszcze w pobliżu, dawano jej dobre rady w pożegnalnym prezencie.

Ludzie rozeszli się i Jordan zobaczył, że Miri trzyma w ramionach niewielkie zawiniątko. Cichy pisk powiedział mu, że zawiniątko to jego nowo narodzona córka. Nie czuł nic do dziecka i nie poświęcił mu ani jednej myśli, odkąd Tancerka umarła. To była ta ohydna istota, która zabrała życie jego żonie. Przypominała mu jego beztroskie, namiętne lokowanie nasienia, które doprowadziło do śmierci tej słodkiej dziewczyny. Grace powiedziała mu, że dziecko umrze i Jordan nie zmartwił się tym. Dlaczego ta przeklęta dziewczyna pcha się tam, gdzie jej nie chcą?

Matka Tancerki, Uśmiech Poranka długo siedziała nad grobem córki i mówiła do niej. Recytowała imiona duchów pomocnych w podróży. Jordan zastanawiał się, jak długo jeszcze ma tu stać? Jak długo można stać z godnością i nie dać ujścia żalowi? Oczy jego spojrzwały na Ujeżdżającego Fale. Spojrzenia ich spotkały się. Ich smutek połączył się i nagle stał się niemożliwy do zniesienia dla jakiegokolwiek człowieka.

Uśmiech Poranka wstała z twarzą zalaną łzami. Grób powoli wypełniał się ziemią. Jordan odwrócił wzrok od pagórka okrywającego ciało jego żony. Tancerka Jeziora odeszła. Pokryta miękką glebą znów stanowiła część natury. Odeszła na zawsze.

Wzrok Jordana znów spoczął w miejscu, gdzie przed chwilą stała Angielka trzymająca na rękach jego córkę, ale ich już też nie było.

ROZDZIAŁ VI

- Miriam, dziecko, musisz trochę odpocząć. Co ja zrobię, jeśli ty zachorujesz? - Grace odgarnęła lok z twarzy Miri.

- Popatrz na siebie. Wyglądasz jak duch. Nie spałaś i jadłaś jak ptaszek. Zajmę się dzieckiem, a ty prześpij się.

Miri uniosła głowę i zobaczyła swe odbicie w lustrze. Jej oczy były większe niż kiedykolwiek, skóra blada, okrągłe niegdyś policzki zapadły się teraz głęboko. Przez ostatnie dwa dni nie ruszała się prawie z bujającego fotela, stojącego między kuchnią i jadalnią.

- Ona musi jeść, Grace. Musi jeść, inaczej umrze. Biedactwo.

Grace opadła ciężko na krzesło przy kuchennym stole, gdzie Mary Beth i Marta jadły obiad. Popatrzyła na piszczący tobolek i zrezygnowana wzruszyła ramionami.

- Jadła choć odrobinę?

- Nie - odparła Miri. - Ani mleka, ani wody. Nie wiem już, co robić, Grace. Nic nie pomaga.

Cieniutki, żalony pisk dziecka nie ustawał od chwili, gdy Miri zabrała je z ramion matki. Jasny Duch nie machała rączkami, nie kopała i nie wierciła się jak normalne, zdrowe dziecko. Leżała nieruchomo w objęciach Miri, z pomarszczoną twarzyczką, i piszcziała. Nawet ten pisk nie był silny, wysilony i nierówny doprowadzał wszystkich do kresu wytrzymałości. Miri próbowała wszystkiego. Grace i Margaret pomogły jej zrobić smoczek z palca od rękawiczki, ale dziecko nie chciało ssać koziego mleka. Nie chciało też ssać wody.

- Mogę ją spróbować nakarmić? - spytała Mary Beth. - Ja po trafię przecież tak dobrze karmić młode koźlęta.

- Nie teraz - odparła Grace ze zmęczonym uśmiechem. - Może jak będzie trochę większa.

Mała Marta obserwowała uważnie dziecko i żuła chleb.

- Myślę, że jest brzydka - zaanonsowała. - Jest fioletowa. I nie ma nic oprócz zmarszczek.

- Jest chora i głodna - broniła dziecka Miri.

Marta włożyła palec do buzi i zamyśliła się. Potem przesunęła swój kubek mleka w stronę Miri.

- Może wziąć moje.

Miri zdławiła łkanie, w kącikach jej oczu ukazały się łzy.

- Czy wy dwie nie macie innych zajęć? - spytała Grace.

Mary Beth skrzywiła się i wzięła za rękę młodszą siostrę.

- Chodź, Marto. Mama chce coś powiedzieć i nie chce, żebyśmy to słyszały. Pomożesz mi wyczyścić kurnik.

Gdy dziewczynki wyszły, Grace utkwiała w Miri ponury wzrok.

- Idź teraz do łóżka. Ja zajmę się dzieckiem. Albo Lucy.

- Ona umiera - załkała Miri, tracąc siły.

Nie pozwalała nikomu zajmować się dzieckiem od chwili przyniesienia go do domu.

- Może tak będzie lepiej. Nie będzie jadła ani spała. A teraz tylko leży i krzyczy. Może powinna iść do swej matki.

- Nie - wyszeptła Miri. - Obiecałam Tancerce Jeziora, że będę się nią opiekować.

Grace wstała i podeszła bliżej. Spojrzała na niemowlę.

- Z nią nie jest dobrze. Pótód trwał zbyt długo i nie tylko Tancerka poniosła szkody. Po co walczyć o życie dziecka, gdy to życie będzie tylko kilkoma miesiącami cierpienia? Każdy, kto spojrzy na to dziecko, powie ci, że nie przeżyje ono pierwszego roku. Jeśli nawet przeżyje, to nigdy nie będzie normalne.

- Nie zgadzam się z tym. Gdyby tylko jadła! Wiem, że jak zacznie jeść, wszystko będzie dobrze.

Grace westchnęła i założyła ręce na piersiach.

- Nigdy nie zmusisz jej do jedzenia, jeśli sama się rozchorujesz ze zmęczenia, a już się na to zanosi. Daj mi dziecko Obiecuję, że cię zbudzę, jeśli coś się zmieni.

Miri wstała i wręczyła Grace cenne zawiniątko.

- Idź spać. Zawołam cię. Obiecuję.

Miri miała zamiar zdrzemnąć się tylko, ale spała dziesięć pełnych godzin i nawet potem nie obudziła się łatwo. Gwałtowne szarpanie Margaret postawiło ją w końcu na nogi.

- Jordan jest tutaj - powiedziała Margaret bez wstępow.

Miry zamrugała nieprzytomnie. Po co on tu przyszedł? Po dziecko. Oczywiście, po dziecko. Ogarnęła ją panika.

- A co z dzieckiem?

- Bez zmian - odparła Margaret. - Ciągłe płacze. Mama nie dała rady jej nakarmić. Wygląda okropnie. Jordan przeraził się, kiedy ją zobaczył. Stał tylko i patrzył, jakby była ohydny kreaturą.

- Pozwoliłyście Jordanowi zobaczyć dziecko?

- Jest ostatecznie ojcem - wzruszyła ramionami Margaret.

- Tak, oczywiście.

Miri szybko włożyła pończochy, pantalonki i peniuar, przesunęła palcami po burzy kręconych włosów i ruszyła do drzwi.

Jordan spojrzął na Miri, gdy weszła do kuchni. Uświadomiła sobie, że Scott ma bardzo stosowne imię. Oczy Ducha. Te srebrzyste tęczówki z pewnością należały do złowrogiego ducha. Zapadliny w policzkach pod wysokimi kośćmi były jeszcze głębsze niż poprzednio. Wyglądał jak głodny wilk, ale dwakroć groźniejszy. Miri przeniosła spojrzenie na Grace, która siedziała na bujaku i usiłowała wcisnąć dziecku smoczek do buzi.

- Jadła?

- Ani kropelki, biedne dziecko.

Miri wzięła dziecko na ręce i zaczęła je kołysać łagodnie.

- Może powinniśmy wziąć mniejszy smoczek.

- Po co próbować? - spytał chrapliwie Jordan. - To nie jest przeznaczone do życia.

Miri odwróciła się, oczy jej płonęły gniewem.

- Jasny Duch nie jest "to". Ona jest pańską córką. Jak pan śmie tu przychodzić i mówić coś takiego. Nie do życia!

Miri była przerażona myślą, że Jordan zechce zabrać jej dziecko, ale teraz zobaczyła, iż ten ohydny łajdak nie dba wcale o swą córkę. Patrzył na niemowlę, jakby było kawałkiem bezdusznej gliny. Rozjuszyło to Miri do ostateczności.

- Po co panu tu przyszedł? Nagle pan sobie przypomniał o córce, po dwóch dniach? Nie pamięta pan, że Tancerka oddała

życie, by ją urodzić? A może pan przyszedł sprawdzić, czy dziecko umiera, żeby miał pan z nim spokój?

- Miriam - ostrzegła ją Grace. Znała Jordana zbyt dobrze, by nie dojrzeć groźnego błysku w jego oczach.

- Daj mi dziecko - rozkazał Jordan krótko.

Miri cofnęła się i przytuliła dziecko obronnym gestem.

- On ma prawo, Miri - przypomniała jej Grace. - Jest jej ojcem.

- Ale ja obiecałam Tancerce Jeziora opiekować się nią.

Jordan wyciągnął ręce i Miri posłusznie oddała mu zawiniątko. Dziecko płakało tuż przy twarzy Jordana i przez chwilę błysk życia pojawił się w jego szarych oczach. Był to jednak tylko moment i po sekundzie twarz była znów surowa, jakby stężała.

- Dlaczego mężczyście to nieszczęsne stworzenie? Ono nie będzie żyło.

Miri zacisnęła pięści. Gdyby tak można uderzyć tę kamienną twarz, spoliczkować, bić tak długo, aż ukaże się na niej odrobina uczucia. Dziecko było jego córką. Jak mógł o nią nie dbać? Jak mógł trzymać na rękach dziecko i nie czuć potrzeby walki o jego życie?

- Ona nie jest stworzeniem. To pana córka. I będzie żyła. - Wyciągnęła ręce. - Proszę mi ją oddać. Nakarmię ją.

- Nie, zabieram ją do wioski z powrotem.

- Ale nie może pan tego zrobić! Nie macie kóz. Ona musi mieć mleko, i ciepło, i!...

- Ona jest za słaba do życia. Nawet niemowlę powinno mieć prawo do Śmierci w spokoju i z godnością, bez tego babskiego paplania i zmuszania go do czegoś, czego nie chce.

Odwrócił się, aby odejść z dzieckiem, ulokowanym w zgięciu ramienia.

- Nie! - Miri chwyciła go za nagie ramię, co spowodowało u obojga istny wstrząs; odskoczyli od siebie jak oparzeni. Miri splonęła rumieńcem, lecz nie ustępowała.

- Nie wolno panu tego robić, panie Scott. Ona może żyć. Obiecuję. Proszę tylko dać mi jeden dzień więcej i nauczyć ją jeść. Błagam! Tylko jeden dzień.

Jordan odwrócił się i spojrzał na nią ponuro.

- Jest pani upartą kobietą, panno Sutcliffe. Ale to jest moja córka. Sama pani powiedziała.

- Tak. To jest pańska córka. Ma pan prawo ją zabrać, ale Tancerka Jeziora prosiła mnie o wzięcie dziecka pod opiekę. Myślę, że jest za wcześnie na rezygnację. Proszę tylko o jeden dzień więcej.

Nastąpiła pełna napięcia cisza, którą zakłócił tylko pisk niemowlęcia. Miri wstrzymała oddech. Jordan spoglądał na nią spod zmarszczonych brwi, a Grace przyglądała się im obojgu w zamyśleniu. Miri myślała już, że upadnie pod wpływem ciężkiego spojrzenia, gdy Jordan przemówił.

- Dostaje pani jeden dzień i to wszystko.

Nie patrząc na dziecko, włożył je w ramiona Miri i wyszedł.

- Jeszcze jeden dzień - powtórzyła Miri, spojrzała na sinawą twarzyczkę dziecka i uśmiechnęła się.

Grace położyła na jej ramieniu swą pocieszającą dłoń.

- Zdecydowałaś się na ostateczność, kochanie. Przykro mi to mówić, ale Jordan ma rację. Powinnaś pozwolić jej odejść, zanim się do niej przywiążesz.

- Ona będzie jeść - Miri nie słuchała prawie Grace. - Ja wiem, że będzie.

Minęło popołudnie i noc, ale dziecko nie przyjmowało mleka ani wody. Miri zrezygnowała ze smoczka i próbowała podawać mleko kroplami prosto na język niemowlęcia, które jednak nie umiało przetykać, więc mleko wylewało się na jego zapadnięte policzki. Rankiem ustało nagle żalosne zawodzenie; Jasny Duch była zbyt słaba, by wydawać jakieś dźwięki.

Wszyscy domownicy zajęci byli przy gospodarstwie i Miri siedziała sama w małej jadalni. Dziecko leżało nieruchomo na jej kolanach. Zaslony były zaciągnięte i w domu panował mrok, ale jeszcze większy mrok ogarnął duszę Miri. Była już skłonna do rezygnacji. Przedłużyła tylko agonię przez ten swój upór. Sama nie rozumiała swych uczuć; półżywe dziecko stało się dla niej niesłychanie ważne. Może sprawiła to Tancerka Jeziora, która wzniosła się ponad dzielące je różnice i dotknęła miejsca nie dotkniętego jeszcze nigdy. Może to dziecko - samo - bezradne, słabe, osierocone i zdane na brutalność świata - ujęło jej serce. Co-

kolwiek spowodowało, że Miri walczyła o wątłe życie, to coś nie zapobiegło klęsce. Miri zawiodła siebie, Tancerkę Jeziora i biedną malutką dziewczynkę.

Do jadalni weszła Grace z Jordanem. Miri nie powiedziała nic. Wygląd dziecka mówił sam za siebie; ledwie już oddychało. Jordan ukląkł przy fotelu i delikatnie dotknął twarzy dziecka. Miri była ciekawa jego myśli, ale jego twarz była nieruchoma jak zwykle. Tylko zaciśnięte szczęki były dowodem, że człowiek ten ma jakieś uczucia.

- Czy ona żyje?

To nie Jordan zadał pytanie. Zaskoczona Miri spojrzała teraz na drugiego Indianina, który przyszedł z Jordanem. Rozpoznała Ujeżdżającego Fale, brata Tancerki Jeziora.

- Ledwie żyje - odpowiedział Jordan, podnosząc się z klęczek.

- No to musimy spróbować - powiedział Ujeżdżający. - Po-
wiem memu ojcu.

- Co... co zamierzacie zrobić? - spytała Jordana Miri.

- Otrzyma imię - odparł.

- Ona ma już imię. Tancerka nazwała ją Jasnym Duchem.

- To jest pieśzcotliwe przezwisko. Nic nie znaczy. Ujeżdżający Fale przyprowadził swego ojca. On nada jej imię potęgi. Chwytający Dym jest szamanem Midewiwin wysokiego stopnia.

-I co?

- Midewiwin to Wielkie Stowarzyszenie Lekarskie. Jego członkowie są uzdrowicielami i wróżbiarzami. Ceremonia nadawania imienia nie jest przeprowadzana, nim dziecko nie jest dość duże, by zrozumieć sens imienia. Teraz jednak trzeba odstąpić od zasad. Moja... moja córka potrzebuje siły już teraz.

Miri wstała z dzieckiem w objęciach.

- Czy to ma znaczyć, że to biedne dziecko, którego dusza już odchodzi do Stwórcy, będzie poddawane jakimś pogańskim obrzędom? I pan mnie oskarża o torturowanie go! Nigdy nie słyszałam o czymś równie idiotycznym!

- Ceremonia może uzdrowić chorego. Imię mocy da jej ducha stróżującego, który uchroni ją od złego.

Jordan wstał. W przyćmionym świetle wydawał się być tak wielki, że przytłaczał Miri. Mogłaby upaść pod ciężarem jego spojrzenia.

- Same nonsensy! - przemówiła znów Miri. - Jak może pan, biały człowiek, wierzyć w takie pogańskie wróżbiarstwo! Powinien pan już raczej wezwać pastora Carolla i ochrzcić to biedac two. Trzeba mu dać jakieś chrześcijańskie imię.

Jordan westchnął i w jego głosie zabrzmiało zdecydowanie.

- Nie przywiązuję wiele wagi do chrześcijańskich ceremonii, panno Sutcliffe. Nie sądzę, żeby to było ważne także dla Boga. Prawdę mówiąc, nie robi już teraz najmniejszej różnicy. Jednak Ujeżdżający Fale chce spróbować, a dziecko jest córką jego siostry. Muszę szanować jego życzenie.

- Jeśli pan musi, proszę nadać dziecku także chrześcijańskie imię. Ona jest dzieckiem dwóch światów, więc niech ma imię pogańskie i chrześcijańskie.

Spojrzenie Jordana powędrowało w stronę dziecka. Współczucie, nienawiść, podziw? Nie wiadomo, co kryło się w tym spojrzeniu.

- Bardzo dobrze. Nazwę ją Jane. Jane Scott. - Jego usta wykrzywił grymas, gdy sięgnął po dziecko i wyjął je z rozpaczliwego uścisku Miri.

- Jane Scott - powiedział łagodniej, patrząc na dziecko podpuchniętymi oczami. - Może będziesz miała więcej szczęścia niż twoja poprzedniczka.

Jane Scott. Miri pamiętała, że Jordan był synem kurtyzany czy kogoś w tym rodzaju o imieniu Jane. Doskonale imię dla niewinnego niemowlęcia! Czego się jednak można spodziewać po człowieku, który uważa przyzwoitość i moralność za żarty?

Miri nie zdążyła już nic powiedzieć, gdyż wszedł Ujeżdżający Fale, prowadząc za sobą wysokiego Indianina. Człowiek ten wzrostem dorównywał Jordanowi. Wiek pobielił jego włosy i pobruździł twarz, ale starzec stał prosto i dumnie, a jego oczy wyrażały mądrość dojrzewającą w człowieku przez długie lata. Miri widywała go podczas swych wizyt u Tancerki Jeziora, ale nie domyśliła się, że był ojcem dziewczyny. Na pewno nie wyglądał jak czarownik z wyobraźni Miri.

Wysoki Indianin wszedł do pokoju jak do swego domu i ruszył prosto ku Miri. Stał przed nią, obejrzał ją i lekko się uśmiechnął. Odezwał się nieskazitelną angielszczyzną.

- Jesteś białą kobietą, która zaprzyjaźniła się z moją córką i opiekuje się moją wnuczką. Tancerka Jeziora mówiła o tobie z wielką sympatią i ja, Chwytający Dym, jestem wdzięczny za to, co zrobiłaś.

Miri wskazała bezradnie na dziecko w ramionach Jordana.

- Ja nic nie zrobiłam - rzekła miękko.

Chwytający Dym patrzył na niemowlę z uwagą. Spojrzenie jego było tak przenikliwe, że Miri poczuła się nieswojo, jakkolwiek nie było skierowane na nią. Gdyby nie wykształcenie i cywilizacja, uwierzyłaby, że starzec jest czarownikiem.

- Oczy Ducha, mężu mej córki, czy naprawdę chcesz, by twoja córka żyła?

Jordan zawahał się. Spojrzał na Miri i ta przez moment mogła dojrzeć jego rozterkę. Czy nienawidził dziecko, bo zabrało życie Tancerce? Czy nienawidził jego żalosnej słabości? Czy w ogóle miał odrobinę uczucia dla tego małego strzępka z własnej krwi i kości? Miri nie umiała określić uczuć, które ujawniły się w jego oczach, ale ucieszyło ją, że ten człowiek jest w ogóle zdolny do jakichś uczuć.

Jordan spojrział teraz na Chwytającego Dym.

- Chcę, by żyła, mój ojczu.

- A zatem zaczynamy.

Dziecko zostało umieszczone na kocu rozciągniętym na podłodze. Gdy Grace, trzy dziewczynki, Jordan, Ujeżdżający Fale i Miri stanęli dookoła, Chwytający Dym zaczął śpiewać w języku Czipewejów.

- Co on śpiewa? - wyszeptała Miri do Margaret.

- On mówi i o śnie, o wizji, o tym, jak wybrał imię. Imię da jej moc wzywania ducha opiekuńczego.

- Nonsens - odparła Miri szeptem. - Nie wierzysz chyba w te brednie, co?

Margaret wzruszyła ramionami i uciszyła ją. Chwytający Dym podniósł dziecko i zaczął doń łagodnie przemawiać. Potem podniósł oczy do góry i zaśpiewał głośno. Pieśń ciągnęła się bez koń-

ca. Potem nagle urwała się i zapadła cisza. Chwyający Dym od-
dał dziecko Jordanowi i zaczął coś mówić w języku Czipewejów.
Margaret spokojnie tłumaczyła jego słowa.

- Nazwał ją Strzyżkiem. To mały ptak, który przylatuje do nas
tylko na część roku. Jesienią odlatuje do... nie wiem gdzie, nie
znam tego słowa. Ale przynosi radość tym, którzy słuchają jego
śpiewu.

"Jakieś imię potęgi" - pomyślała Miri. Biedna Jasny Duch.
Była na świecie przez trzy krótkie dni i otrzymała już trzy imiona
- brzydkiego ptaszka, bostońskiej ladacznicy i imię nadane przez
umierającą matkę. Mogła zginąć pod ciężarem tych wszystkich
imion.

Mała Jane nie cierpiała jednak i jej żalosne popiskiwanie
umilkło, gdy Chwyający Dym uroczyście ogłaszał imię mocy.
Pod koniec ceremonii zasnęła w ramionach swego ojca.

- Czy zajmiesz się nią do czasu, aż będzie silna? - zapytał stary
Indianin, zwracając się do Miri.

Miri spojrzała na Jordana. Nie odezwał się, pozostawiając jej
podjęcie decyzji.

- Tak. Zajmę się - odparła i dodała w myślach: póki nie umrze.

Chwyający Dym uśmiechnął się.

- Jesteś obdarowana bardziej niż przypuszczasz.

Jordan wręczył dziecko Miri i wyszedł z pokoju bez słowa.
Chwyający Dym i Ujeżdżający Fale skłonili się ceremonialnie
przed Grace i ruszyli za nim.

"Chwyający Dym jest tak samo zwariowany jak jego córka" -
myślała Miri. Podobni do siebie. A zważywszy na to, jaki był Jor-
dan, należałoby życzyć małej Jane śmierci.

Mała Jane przespała resztę dnia. Nie obudziła się też w nocy,
gdy Miri układała ją w kołysce przyniesionej przez Grace ze stry-
chu. Miri nie próbowała karmić dziecka. Umierało. Miri straciła
nadzieję, choć oddech dziecka stał się głębszy i kolor jego skóry
zdrowszy. Mimo wszystko było już w drodze do swej matki.

Było jeszcze ciemno, gdy obudził Miri płacz Jane. Był to płacz
zupełnie inny niż poprzednio, torturujący uszy wszystkich do-
mowników. Ten płacz był oznaką głodu.

Działając intuicyjnie, Miri pozwoliła swemu sercu podyktować kolejne czynności. Narzuciła peniuar, popędziła do kuchni, rozpałała ogień i zaczęła ogrzewać mleko. Wydawało się jej, że trwa to wieki. Do kuchni wpadły rozbudzone płaczem Jane Grace i Mary Beth. Bez słowa podążyły za Miri, gdy ta chwyciła dziecko i włożyła smoczek do jego otwartej szeroko buzi. Jane natychmiast zaczęła ssać. Wypiła połowę mleka i znów zapadła w sen.

- Ona nadal jest brzydka - skomentowała Mary Beth.

- Wszystkie noworodki są brzydkie. - Grace uśmiechnęła się i pogładziła główkę Jane. - Ale teraz ona ma szansę z tego wyrosnąć.

Następny tydzień był dla Miri niezwykłym doświadczeniem. Jane jadła i nabierała ciała, ale jej skóra miała wciąż sinawy odcień, a oczom brak było wyrazu ciekawości. Miri stale przypominała sobie słowa Grace, że dziecko nie będzie normalne, ale nie chciała się tym zbytnio przejmować. Wystarczało na razie, że dziecko było bezpieczne i wypełniało w jej życiu pustkę, o której istnieniu nie miała dotychczas pojęcia.

Jordan był stałym gościem na farmie. Ilekroć przybywał, Miri nastawiała się na najgorsze, ale Jordan nie miał zamiaru zabierać dziecka. Indianie nie mieli kóz, zaś Jane piła tylko kozie mleko. Możliwe było znalezienie mamki indiańskiej, lecz Grace powiedziała Miri, że Indianie rozdzielają się przed zimą i każda rodzina podąża na swe własne tereny łowieckie. Gdyby Jordan wyruszył na zimowisko z rodziną swej żony, nie miałby możliwości znalezienia opiekunki do dziecka.

Wizyty Jordana denerwowały jednak Miri. Mówił niewiele i spędzał czas, wpatrując się w swą małą córeczkę. Gdy patrzył na Miri, w jego spojrzeniu kryła się niechęć, ale też i coś, co przypominało dziewczynie ich pierwsze spotkanie i brutalną intymność jego działań. Miri czuła się nieswojo w obecności Jordana. Nie umiała dłużej żywić niechęci do tego człowieka, chociaż usiłowała. Musiała jednak przyznać w duchu, że niewielu mężczyzn z jej otoczenia pozwoliłoby dziecku na ssanie swych palców lub oplukiwanie ramion i dłoni. Czasami spadała z twarzy Jordana maska obojętności i widać było, że ten człowiek toczy walkę z samym

sobą. Nie wiadomo było, o co walczy. Miri wiedziała teraz tylko tyle, że Jordan Scott nie był nieczułym łajdakiem i uświadomienie sobie tego faktu sprawiało, że czuła się niepewnie.

Jordan Scott nie był zresztą ośrodkiem zainteresowania Miri. Z biegiem czasu myślała coraz częściej o swoich problemach. Gage Delacroix powinien był już wrócić, nawet jeśli doprowadził Hamiltona do najdalszego zakątka ziemi. Myślała też z troską o ciotce Elizie, której mógł się nieźle dać we znaki mściwy kapitan Michaels. Istniała też możliwość, że wiadomość o zdradzie Hamiltona - i przypuszczalnego udziału w niej Miri - dotrze do brytyjskich dowódców w Ameryce, którzy niewątpliwie przekazaliby ją kapitanowi Robertowskiemu w Forcie Michilimackinac.

Co noc, leżąc w łóżku i zamykając oczy, Miri wyobrażała sobie Londyn. Kwiaty w jej ogrodzie pewnie kwitły wspaniale. Ciotka Eliza robiła zapewne codziennie świeże bukiety. Bez względu na rodzaj wspomnień, nie wzbudzały one w Miri gwałtownej tęsknoty za domem. Zbyttno związała się widocznie z ludźmi z tego zapadłego kąta świata. Grace i jej córki - Margaret z pretensjami do dorosłości; Mary Beth ze swoją bezczelnością; nawet mała Marta z jej nieśmiałością - stały się rodziną, jakiej Miri nigdy nie miała. Byłoby ciężko rozstać się z nimi. I jak można byłoby żyć bez małej Jane? Miri przypominała ciągle samej sobie, że Jane nie należy do niej i Jordan kiedyś ją zabierze, choćby nie miał na to ochoty. Miri myślała o powierzeniu dziecka Grace na czas poszukiwania Hamiltona, ale te myśli wcale jej nie uspokojary. Pozostawienie dziecka byłoby rzeczą najtrudniejszą w świecie.

Gdy minął sierpień i zaczęły się wrześniowe chłody, Miri zdecydowała, że ma dość cierpliwego czekania. Była tak zajęta dzieckiem, szyciem ubrań i pracami w gospodarstwie, że nie miała czasu wybrać się do miasteczka. Kapitan Roberts zapomniał z pewnością, że obiecał donieść jej o powrocie przewodnika, dawno też nie wypytywała miejscowych handlarzy. Delacroix mógł już wrócić i popijać w tawernach. Włożywszy zatem czepek i lekki płaszcz, Miri udała się do miasta.

Fort wznosił się nad jedynym miastem na wyspie. Osobom przyzwyczajonym do starych zamków angielskich Fort Michilimackinac nie wydawał się zbyt imponujący, choć wznosił się na

kamiennym urwisku. Miri pomyślała, że żołnierze i gwardziści przy bramie wyglądają dość nędznie.

Przystawała i gawędziła z kupcami, wypyując ich o przewodnika i dowiedziała się, że zaopatrzenie brytyjskie bardzo się pogorszyło. Komendant fortu chciał kupować żywność od cywilnych kupców; podejrzewano, że Brytyjczycy nie mają dość zapasów na zimę. Miri nie wierzyła w to. Armia brytyjska była najwspanialszą armią świata i jej wycofanie się stąd byłoby prawdziwym upokorzeniem.

Porucznik Renquist powitał Miri w poczekalni dowództwa. Spodziewała się, że może zostanie odesłany do Anglii, ale były to próżne nadzieje. Rzut oka na jego twarz przekonał ją, że on nie zapomniał ich ostatniego spotkania.

- Panna Sutcliffe - powitał ją z zimnym uśmiechem. - Czym mogę służyć?

Miri westchnęła. Mężczyźni łatwo usprawiedliwiają swe potknięcia, ale rzadko darują kobietom, które były świadkami owych potknięć. Nie zależało jej na względach tego człowieka. Nie był wcale w jej guście, ale nie lubiła być obiektem wrogich uczuć.

- Chciałam zobaczyć się z kapitanem Robertsem. Wiem, że jest szalenie zajęty, ale zabiorę mu tylko minutę.

Usta Renquista zacisnęły się w wąską linię.

- Ja też chciałbym się zobaczyć z kapitanem Robertsem, bo jest właśnie w drodze do Anglii, gdzie ja powinienem się znajdować.

- Co takiego?

- Kapitan Roberts wyjechał tydzień temu, zwolniony z powodów zdrowotnych.

- Ach, rozumiem. To może przyjąłby mnie nowy komendant. Kapitan Roberts powiedział mi... widzi pan... No dobrze, nie będę panu sprawiać kłopotu, poruczniku. Nie mogłabym porozmawiać jednak z komendantem?

- Jak sobie pani życzy. Wszedł na plac ćwiczeń parę minut temu - zachichotał nieprzyjemnie - ćwiczyć naszych tropicieli. Ma fioła na punkcie musztry. Taki typ.

- Czy byłby pan uprzejmy wskazać mi go?

- Proszę bardzo. - Wstał i poprowadził ją do okna. - Jest tam.
- Wskazał na mężczyznę stojącego jakieś dziesięć metrów od okna. - Będzie ich musztrował z godzinę, o ile znam tego faceta. Wątpię, czy zechce to przerwać - nawet dla osóbkki tak interesującej - ale proszę spróbować.

Miri nie odpowiedziała na niegrzeczną uwagę Renquista. Lodowaty dreszcz przeszył ją całą. Zaparło jej dech w piersiach. Nie było najmniejszych wątpliwości: człowiekiem, którego wskazał Renquist, był Gerald Michaels.

ROZDZIAŁ VII

- Margaret, ten dekolt nie pasuje do sukienki młodej dziewczyny. Proszę przyszyć jeszcze jeden kawałek koronki.

- Mamo! - Margaret odwróciła się od lustra i wpadła do kuchni, gdzie Grace zagniała ciasto... - To niesprawiedliwe! Widziałas sukienkę Miri? Ona mówi, że jest to najnowszy!...

- Miriam jest dorosłą kobietą - odparła Grace - a nie trzynastolatką, która chodzi do szkoły.

- Nie jestem już dzieckiem! Mama Caroline Fraser wyszła za mąż w tym wieku. Tancerka Jeziora powiedziała mi, że dziewczyna miesiączkująca jest już dojrzałą kobietą!

- Tylko bez takiego tonu, moja panno! Mogę cię jeszcze przełożyć przez kolano i... co się dzieje?

Drzwi otworzyły się gwałtownie, wpadła przez nie Miri, zatrzasnęła je gwałtownie i oparła się o nie plecami, dysząc ciężko.

- Miriam, dziecko! Na litość boską... co się stało? - Grace porzuciła ugniatanie ciasta i ruszyła w stronę Miri. - Jesteś chora? Ranna?

Miri dowlokła się do krzesła.

- Czuję się dobrze, nic mi nie jest, tylko biegłam przez całą drogę z miasta. Boże! Nigdy bym siebie o to nie podejrzewała, że potrafię tak biegać.

- Co ci się przytrafiło? Wyglądasz, jakbyś była ścigana przez diabła.

- On jest. Jest samym diabłem. Kto mógłby przypuszczać, że to się stanie?

- Że co się stanie? - Margaret z żywym zaciekawieniem przysunęła się do Miri. - Czy usłyszałaś w forcie o czymś ciekawym? Czy Amerykanie atakują?

- Cicho bądź - upomniła ją Grace - i nie gadaj głupstw! Lepiej przynieś Miri trochę wody. A ty - zwróciła się do Miri - powiedz nam o wszystkim, zanim nie zemdlejemy ze zmartwienia.

Miri nabrała tchu i wypła trochę wody.

- Niemożliwe, że to się mogło stać. Myślę, że powinnam wam wszystko opowiedzieć i może mnie zrozumiecie. Powiedziałam wam, że szukam mego kuzyna Hamiltona z powodu kłopotów rodzinnych. To prawda, ale... Och, od czego mam zacząć?

Popłynęła opowieść o Hamiltonie, zdradzieckiej liście, o zjawieniu się Geralda Michaelsa i próbie załatwienia spraw.

- No więc widzicie - zakończyła - jaki jest prawdziwy powód mego przyjazdu tutaj. Muszę znaleźć Hamiltona, który ukrył gdzieś tę przekłętą listę. Dopóki jej nie znajdę, nie mam po co wracać do Londynu. Tam mnie czeka więzienie. Jestem pewna, że kapitan Michaels wniósł już oskarżenie i wsadzi mnie na statek do Anglii.

- Och! To przerażające! - Margaret podskoczyła z podniecenia. - I pomyśleć, że on ścigał cię aż tutaj!

Miri wstała i zaczęła chodzić po izbie. Powoli się uspokajała.

- Michaels nie ścigał mnie. To tylko nieprzyjemny zbieg okoliczności. Ostatecznie mamy wojnę między Brytanią i Stanami Zjednoczonymi. Całkiem słusznie został tu przysłany.

- Wszystko pięknie, Miri - rzekła Grace. - Ale ten człowiek na pewno dowie się o twoim pobycie na wyspie. Znają cię wszyscy kupcy, wszyscy tropiciele, właściwie każdy cię zna. I oni wszyscy świetnie wiedzą, że mieszkasz tu, na farmie.

- On może być już w drodze tutaj - zgodziła się z nią Miri. - Porucznik Renquist mógł wymienić moje nazwisko przy nim. Jestem tego pewna. Byłam tak zaszokowana widokiem kapitana, że straciłam rozum. - Przesunęła dłonią po włosach. - Wybiegłam z pokoju tak gwałtownie, że Renquist uważał mnie chyba za szaloną. Boże! Michaels mógł mnie nawet widzieć, gdy uciekałam z fortu. Och, Grace! Co mam robić?

- Spokojnie, spokojnie! Usiądź i przestań lamentować. Pomyślimy nad tym. Jesteś prawie członkiem rodziny. Jeśli jakiś marny żołnierz myśli, że zwinie cię nam sprzed nosa, to czeka go niespodzianka. Będzie ją miał!

- Och, Miri! Czy oni będą chcieli cię powiesić? - spytała przerażonym głosem Margaret.

Miri spojrzała na Margaret i z trudem przełknęła ślinę. Taka możliwość nigdy nie przyszła jej do głowy, ale ludzie na ogół byli wieszani za zdradę, czyż nie?

- Tego już za wiele! - krzyknęła Grace na córkę. - Proszę mi natychmiast iść do sypialni i zajrzeć do Jane. Ja muszę porozmawiać z Miri.

- Nie - zaprotestowała Miri. - Sama zajrzę do Jane. Zbudziłam ją pewnie swymi krzykami.

Odeszła do sypialni i powróciła za chwilę z dzieckiem w ramionach.

- Czy obudziłaś się, skarbie? - powiedziała, głaszcząc kędzie rzawą główkę dziecka. - O, jaka jesteś grzeczna. I tak ci błyszczą oczka.

Grace pomyślała, że nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby oczu Jane błyszczącymi, ale Miri zachowywała się jak matka, ślepa na niedoskonałości dziecka. Armia brytyjska mogła deptać jej po piętach, ale ona potrafiła stworzyć sobie wewnętrzny świat, w którym była tylko ona i osierocone przez matkę dziecko. Dziwne, że dziecko tak odmieniło nadętą pannicę i wyzwoliło w niej tyle odpowiedzialności, gdy tymczasem ojciec małej zachowywał się powściągliwie i nieczule.

Nagła myśl przyszła Grace do głowy i spowodowała, że wyszła z domu córkę, wyszeptawszy jej uprzednio jakieś polecenie do ucha. Margaret wybiegła w pośpiechu.

Dwie godziny później Miri omal nie wydeptała już ścieżki w podłodze, Grace była zmęczona ukrywaniem swego wyczerpania i zdenerwowania, a Lucy, dowiedziawszy się o wszystkim, popłakiwała w kącie. Mała Marta usiadła u stóp matki i przyglądała się Miri i Lucy szeroko otwartymi oczami.

Im dłużej Grace rozmyślała nad swym planem, tym bardziej się jej podobał. Jordan na pewno będzie warczał jak wilk w puła-

pe, a Miri dostanie ataku furii zarozumialstwa, ale oboje zrozumieją w końcu, że nie ma innego wyjścia. Grace była pewna, że oboje sobie to uświadomią.

Drzwi otworzyły się i wpuściły Jordana, Margaret i Mary Beth.

- Co to wszystko znaczy? - spytał, ogarniając spojrzeniem całe zgromadzenie. - Margaret powiedziała, że nagle coś się stało z Jane. Co się stało?

Miri przestała wędrować po pokoju i spojrzała zaskoczona.

- Jane nie stało się nic złego. Co pan tu robi?

- Też chciałbym wiedzieć. Margaret...?

Margaret cofnęła się pod badawczym spojrzeniem Jordana.

- To nie moja wina. Mama kazała mi cię natychmiast przypro-
wodzić.

- Usiądź, Jordan - rozkazała Grace. - Kazałam Margaret przy-
prowadzić cię, obojętnie jakim sposobem. Nic się nie stało Jane,
ale Miri ma kłopoty.

Jordan nauczył się już przebywać z Miri w jednym pokoju wcale na nią nie patrząc. Jej twarz i postać robiły na nim takie wrażenie, że nie mógł tego zaakceptować. Regularnie przekonywał samego siebie, że gdyby nie opieka nad Jane, zapomniałby o nadętej Angielce już dawno. Teraz słowa Grace zmusiły go do spojrzenia na dziewczynę. Jaka szkoda, że te wszystkie urocze okrągłości kobiece kryły taką tępą i napuszoną istotę.

- Nie wiem, jakie są kłopoty panny Sutcliffe, i nie mam zamia-
ru w niczym jej pomagać, Grace. Wyjeżdżam na pobyt zimowy
już za parę dni.

Grace uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- O tym właśnie chcę z tobą porozmawiać.

Grace wyniszczyła sprawę i Jordan poczuł, że szczęki stalowej
pułapki zamykają się wokół niego. Spojrzał parę razy na Miri i
zrozumiał, że propozycja zaskoczyła ją tak samo jak jego. Jej
twarz zbladła i próbowała przerwać Grace, ale ta uciszyła ją sku-
tecznie.

- No więc widzisz - podsumowała Grace - że oboje będziecie
mieli wszystko, czego potrzebujecie. Ty, Jordan, będziesz miał
kobietę dla swojej córki. Ty, Miri, będziesz miała męską opiekę
i bezpieczne schronienie. Brytyjczycy nigdy nie będą cię szukać

wśród Czipewejów, a jeśli nawet, to ja też nie znam zimowisk indiańskich. Na wiosnę ludzie Michaela mogą już wyjechać albo twój kuzyn się odnajdzie.

Zapadła cisza przerywana tylko chichotem Mary Beth, którą zresztą Margaret szybko przywołała do porządku. Miri i Jordan zaczęli mówić jednocześnie. Miri poczerwieniała, gdy mocny głos Jordana zaczął zagłuszać jej słowa.

- Do cholery, Grace! Straciłaś rozum!

Miał ochotę wyzwąć ją wszystkimi wulgarnymi słowami, by wyrazić jej swoje zdanie o projekcie, ale ostrzegawcze spojrzenie Grace powstrzymało go. Popatrzył na Mary Beth, chcąc usłyszeć każde słowo, i zwrócił się do niej ostrym tonem.

- Wracaj do swoich obowiązków i zabierz siostry ze sobą.

- Au, Jordan! - jęknęła Mary Beth. - Będiesz kłaf?

- Róbcie, co wam powiedział. Wszystkie trzy. - Grace poparła Jordana i poklepała Mary Beth po plecach. - Wasz wujek Jordan ma zamiar zrobić z siebie bałwana i nie chce, żebyście to widziały.

Jordan poczekał do chwili wyjścia dziewczynek i spojrzał z determinacją na Grace.

- Jeśli myślisz, że zabiorę ze sobą napuszoną angielską pannicę na zimowy obóz, to jesteś szalona. Obydwie jesteście zwariowane, do cholery! - Rzucił okiem na Miri, która nie wyglądała na szczęśliwą. - Ona nie wytrzyma tygodnia. Nawet dnia. Byłaby bardziej bezradna niż to dziecko i jeszcze bardziej kłopotliwa.

Grace uciszyła gniewną odpowiedź Miri i wzruszyła ramionami.

- Ona da sobie radę, Jordan. W końcu jest córką Davida Sutcliffe[^]. On był taki twardy.

- Nic mnie nie obchodzi, czyją jest córką! Spójrz na nią. Ani grama mięśni. Nie pracowała ani dnia w życiu. Zacznie lamentować jak rozpuszczony dzieciak, gdy zrobi się zimno, albo gdy będzie zmuszona spać na czymś innym niż puchowe łóżko. Zupełnie obrzydzi mi życie.

Jordan nie mógł sobie wyobrazić zimy spędzonej w towarzystwie Miriam Sutcliffe. Albo skrzyłby jej kark, albo siłą utopiłby swe frustracje w jej miękkim ciele. Nie mógł jednak powiedzieć tego Grace. Kobiety nie rozumieją, że mężczyzną rządzi czasem jego lędźwie, nie zaś jego głowa.

- Dość tego! - Miri dość długo powstrzymywała wściekłość. - Jestem bardzo samowystarczalną osobą. Potrafię zrobić wszystko to, co kobiety Czipewejów, o ile zechcę się nauczyć. Nie mam jednak zamiaru spędzać zimy w głuszy z tym... tym człowiekiem.

- Dość, Miriam - ostrzegła Grace.

- Nie powstrzymuj mnie - odparła Miri. - Doceniam twoją chęć pomocy, ale wiesz chyba, że nie mogę spędzić kilku miesięcy w towarzystwie... obcego mężczyzny i dzikusów. To byłoby wysoce niewłaściwe.

Miri mogła sobie wyobrazić teraz panią Polham i cały londyński światek mówiący o niej. Skandal z rozwodem rodziców byłby zupełnie bez znaczenia w porównaniu z obecną sytuacją.

- Tak - sarkastycznie przedrzeźniał ją Jordan. - To byłoby w najwyższym stopniu niewłaściwe.

- A co pan wie o przyzwoitości? - warknęła Miri.

- Wiem, że nie jest właściwe obarczać mnie słabą kobietą, która nawet nie wie, że Bóg stworzył drzewo. Myśli pani, że wytrzyma pani pobyt w zimowym obozowisku Czipewejów? Pomyśl o tym, kobieto! Są takie dni, że przymarza ci język do zębów i nie ma frymuśnych kominków, gorącej wody do mycia i śpi się na ziemi. Lepiej byłoby pani w więzieniu.

- Zgadzam się z panem, panie Scott. Zima w więzieniu byłaby lepsza niż zima w pańskim towarzystwie. Przyznaję, że nie mam zbyt wielkiego wyboru.

Grace nie miała zamiaru rezygnować. Widziała, że ci dwoje wyciągnęliby sztylety przeciwko sobie, i że byłiby równocześnie najlepszym lekarstwem dla siebie nawzajem. Trudno przełknąć taką porcję mikstury naraz, ale po wypiciu zawsze pomaga.

Grace lubiła Jordana Scotta w szczególny sposób. Biali handlarze i traperzy nienawidzili go za jego styl życia i podejrzewali o okrucieństwo. Grace wiedziała jednak, że pod twardą skorupą kryje się wyjątkowy człowiek, którego dziewczyna taka jak Miriam Sutcliffe mogła sprowadzić na proste ścieżki. A Miriam - mały, biedny kwiatek, który boi się zakwitnąć. Potrzebowała mężczyzny, by nauczył ją, że jest w życiu coś znacznie bardziej ważnego niż lodowata poprawność. Potrzebowała mężczyzny sil-

nego, pełnego namiętności, ale umiającego być czasami łagodnym i czułym. Mężczyzny takiego jak Jordan.

W oczach Jordana wyczytać można było nie tylko gniew, zaś oczy Miri zdradzały coś więcej niż odrazę. Bystre oczy Grace zauważyły to doskonale i nie miała zamiaru poddawać się teraz. Ci dwoje podziękują jej kiedyś za wtrącanie się w ich sprawy; chyba że wcześniej pozabijają się nawzajem.

- A co z twoją córką, Jordanie Scott? - ostro przypomniała mu Grace. - Kto się będzie nią opiekował, jeśli Miri zostanie odesłana do Anglii? Ja mam trzy własne i farmę na dodatek. Twoje dziecko jest drobne i słabe. Wymaga opieki przez cały dzień. Nikt w twoim obozie nie będzie tego robił.

Jordan spojrział na Grace ponuro, ale nic nie powiedział.

- A ty, Miriam. Bardzo mnie rozczarowałaś. Przepłynęłaś ocean i przebyłaś pół kontynentu, by uporządkować swoje sprawy rodzinne, a teraz poddajesz się z błahego powodu. Myślałam, że jesteś bardziej stanowcza, dziewczyno. - Miri wyglądała na za wstydzoną, więc Grace szybko dodała: - Jeśli pojedziesz z Jordanem, możesz znaleźć swego kuzyna na wiosnę i szybko oczyścisz się z zarzutów. Gage Delacroix jest oczekiwany niebawem i ja na pewno wypytam go o twego kuzyna. Nie ma zimy, by mnie nie odwiedził i nie domagał się ciastek z żurawinami.

Miri wciąż była trochę osłupiała, więc Grace wystrzeliła swój ostatni nabój.

- A ty naprawdę wcale nie chcesz się rozstać z dzieckiem. Mo że się mylę?

Jordan czuł, że mu mięknie serce na widok twarzy Miri. Do diabła z Grace i jej pomysłami! Złapała ich oboje w sidła i doskonale wiedziała, że podkłada pochodnię pod beczkę z prochem. George Peavey nieraz narzekał, że jego żona jest największą intrygantką na świecie. I miał rację.

Rzucił Grace spojrzenie obiecujące zemstę i rzekł do Miri:

- Przypuszczam, że zdecydowano za nas oboje bez pytania. Daję pani godzinę, panno Sutcliffe. Jeśli się pani decyduje, za biorę panią. Jeśli nie, niech pani idzie do więzienia. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

- Och, Boże Wszechmogący! - odezwała się po raz pierwszy Lucy. - Pani nie jedzie z nim chyba, z tym... dzikusiem, nie? Panienko, co by powiedziała panna Eliza?

- Zemdlalaby - odparła Miri jadownicie.

W głębi duszy wiedziała, że się myli. Ciotka nie byłaby niezadowolona. Zawsze zachwycała się silnymi mężczyznami i Jordan, półnagi brutal, przypadłby jej do gustu. Miała kiedyś przecież słabość do ojca Miri.

- W końcu będę miała ciebie do towarzystwa, Lucy, więc zachowamy pozory przyzwoitości. Myślę, że damy sobie razem radę.

- Ja? - zaskrzeczała Lucy.

- Tak, oczywiście. Czy myślisz, że pojedę bez ciebie?

- Nie sądzę, by Jordan się na to zgodził - wtrąciła się Grace. - Z trudem zaaprobował ciebie jedną, czyż nie?

Miri zadarła głowę z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

- Odpowiadam za Lucy. Nie mogę jej zostawić. Co będzie robiła beze mnie?

- Och, panienko! - odparła Lucy szybko. - Myślę, że dam sobie radę!

- Ona może zostać ze mną - zaproponowała Grace. - Zawsze się przyda dodatkowa para rąk do pracy na farmie, sama wiesz.

Zduszony okrzyk radości dał się słyszeć przez okno.

- Możecie wejść, dziewczynki - powiedziała Grace. - Nie sądzicie chyba, że nie wiem o tym, że podsłuchujecie pod oknem. A kto pracuje za was?

Po chwili otworzyły się drzwi i na progu ukazały się trzy winowajczynie.

- Nie życzę sobie, żebyście komukolwiek powtórzyły choć słówko, słyszycie? Absolutnie nikomu! A teraz jazda do swych obowiązków i pamiętajcie, co wam powiedziałam.

Tylko Mary Beth nie przejęła się słowami matki i mrugnęła znacząco do sióstr, gdy wychodziły z pokoju.

Lucy patrzyła z nadzieją na Miri, zaś ta po raz pierwszy zauważyła na twarzy swej służącej ślad buntu. Te zadziorne Amerykanki nasączyły umysł pokojówki ideami niepodległości i demokracji; to było oczywiste. Dziewczyna nigdy przedtem nie była tak

niezależna. Zresztą faktycznie nie było sensu, by służąca dzieliła koszmar wyjazdu swej pani.

- No, dobrze. Skoro Grace ci pozwala zostać...

- Och, dzięki! - Lucy rzuciła się do przodu i gwałtownie uści-
skała Miri. - Pani Peavey będzie ze mnie zadowolona, na pewno.
I skończę te wszystkie suknie, które zaczęłyśmy szyć. Jak pani
znajdzie pana Hamiltona, to wróci pani do Londynu ubrana jak
księżna.

Przy pomocy Lucy spakowano jak najmniejszą ilość ubrań
Miri. Grace spoglądała z dezaprobatą na toboł zawierający re-
dingote, trzy pary butów, dwie bawełniane suknie, trzy wełniane,
mnóstwo halek, bluzek, pantalonów, pończoch i szali.

- Ci ludzie noszą bagaże na plecach, moja droga, a jak jest
głęboki śnieg, to na saniach ciągniętych przez psy. Zabrałaś trzy
razy więcej niż jakakolwiek kobieta Czipewejów widziała w ży-
ciu.

- Tak - odparła ostro Miri - ale ja nie jestem kobietą Czipewe-
jów. Jordan powiedział przecież, że nie ma ciepłej wody do my-
cia. Nie wiem, jak miałabym się obejść bez tego wszystkiego.

Grace uśmiechnęła się lekko i potrząsnęła głową.

- Wyobrażam sobie, że Jordan by cię szybko nauczył.

Grace wyszła z pokoju i Miri została sama z Lucy. Pokojówka
wykorzystała ten moment samotności i zaczęła ostrzegać swą pa-
nią.

- Niech panienka będzie" ostrożna z tym typem. Jemu źle z
oczów patrzy. Takie panienki jak pani nie powinny się z nim za-
dawać, ja to wim.

- Dam sobie radę z panem Scottem, Lucy. Jestem dorosłą ko-
bietą, nie jakąś uczennicą. Będzie musiał zachować dystans albo
narazi się na kłopoty.

W jej głosie brzmiało więcej pewności siebie niż czuła rzeczy-
wiście. Nie wiedziała sama, jak zareagowałaby na niestosowne
zachowanie się Jordana. Był okropny, ale miał jakiś zwierzęcy
urok, który drażnił jej najniższe instynkty. Każdy musi walczyć z
gorszymi cechami swej osobowości, zaś Miri podejrzewała, że
posiada ich więcej niż przeciętny śmiertelnik; była ostatecznie
córką swego ojca. Pewnie dlatego wizyty Jordana zawsze powo-

dowały przyspieszone bicie jej serca i jej sny wypełniało wspomnienie o ich pierwszym spotkaniu. Sny te nie były koszmarami, lecz pozostawiały dziwne wrażenie, niepokojące i drażniące, nie dające się całkowicie usunąć.

Lucy szeptała nadal poufnie do swej pani.

- Taka dama jak pani, nie wie nawet, jakie podchody robi facet, gdy chce się zabawić. Wszystkie chłopcy myślą tylko o tym, co mają w portkach - przepraszam panienkę bardzo.

Miri zarumieniła się i chciała zbesztać swą pokojówkę, ale ta mówiła dalej ostrzegawczym tonem.

- Nie dałabym złamanego grosza za tego pana Scotta. On nie przepuści żadnej kiecce; patrzy mi na takiego. Pani mnie słucha, panienko. On wpakuje się przy pierwszej okazji, albo będzie skakał jak kozioł całom zimę.

- Gdzieś ty się nauczyła takiego języka? - spytała Miri zaskoczona.

- Na farmie, panienko. My nie cedzimy słówek jak damy i panowie w mieście.

- Doceniam twoją troskę, ale nie martw się o mnie. Dam sobie świetnie radę.

Niedowierzające spojrzenie pokojówki zwiększyło jeszcze wewnętrzne wątpliwości jej pani.

Miri zawsze nienawidziła pożegnań, a opuszczenie farmy Peavey'ów było szczególnie przykre. Grace i Margaret pochlipowały, Marta była zaambarasowana, nawet arogancka Mary Beth wydawała się poruszona. Miri czuła, że jej samej łzy napływają do oczu i dziwiła się swemu przywiązaniu do tej rodziny. Nie byli to ludzie jej pokroju, ale zajęli miejsce w jej sercu. W Anglii nawet nie spojrzalaby na nich, o przyjaźni nie byłoby mowy! No i do czego teraz doszło! Wsiadając na statek, Miri doskonale wiedziała, kim jest i czego chce od życia. Słuszne i niesłuszne, właściwe i niewłaściwe, dobre i złe; wszystkie sprawy były uporządkowane i miały swe miejsce. Teraz Miri, zdążając brzegiem w stronę czółna, uświadomiła sobie, że fundamenty jej świata rozpadają się w pył. Już i tak zmieniła się od czasu przyjazdu z Anglii. Teraz miała ruszyć w nieznaną w towarzystwie renegata, który nienawidził jej, a ona tę nienawiść odwzajemniała. Czy roz-

pozna samą siebie, gdy przyjdzie wiosna, czy też dawna Miriam Sutcliffe stanie się kimś obcym? Myśl ta była dość przerażająca, ale Miri nie miała zbyt wiele czasu do rozważania, gdyż Jordan poganiał ją niecierpliwie.

Oprócz Jordana i Miri do czółna miała wejść jeszcze Petunia, jako dostarczycielka mleka dla dziecka. Koza chętnie wyszła z obórki, ale zobaczywszy wodę i czółno, zmieniła swe poglądy na temat podróży. Zaparła się kopytami z całej siły.

- Chodź tu, ty stara, głupia kozo! - wściekała się Mary Beth, ciągnąc i szarpiąc za linę, na której uwiązano zwierzę, ale Petunia nie drgnęła.

- Kopnij ją w zad - doradził Jordan. - Ale pośpiesz się. Chciałbym być jak najdalej stąd, nim żołnierze przyjdą po pannę Sutcliffe.

- Ona się nie ruszy - stwierdziła Mary Beth. - Nienawidzi wody i nienawidzi łodzi.

Jordan westchnął z rezygnacją, wyskoczył z łodzi i pchnął kozę do tyłu. W odpowiedzi Petunia podniosła ogon i udekorowała mu mokasyny czymś, co Mary Beth nazywała kozimi jagodami. Mary Beth zachichotała, koza cofnęła się i przewróciła Jordana. Bluznął taką wiązaną przekleństw, że Miri spłonęła rumieńcem. Jordan zerwał się z ziemi, chwycił kozę, zarzucił ją sobie na plecy i przeniósł do łodzi, gdzie wcale nie delikatnie postawił ją na dnie.

- Przywiąż ją - polecił Miri. - Jak wykopie dziurę w dnie czółna, nie będę cię znowu wyciągał z jeziora.

Miri miała już na języku ostrą odpowiedź, ale spojrzenie Jordana pohamowało ją. Ten mężczyzna był krzyżem, który musiała dźwigać, a przez najbliższe miesiące jej życie będzie zależało od jego dobrej woli.

Słońce skłaniało się czerwoną kulą ku horyzontowi, gdy nastąpiły pożegnania i czółno wypłynęło na jezioro. Machając dłonią ludziom na brzegu, Miri czuła się bardziej samotna niż w dniu opuszczenia Londynu. Dzisiejszy dzień był najczarniejszym dniem jej życia. Miri czuła też, że sprawy nie przybiorą dobrego obrotu.

Podróż przez cieśninę nie była łatwa. Koza rzucała się i kopała, zaś dziecko nie wydawało najmniejszego odgłosu. Miri przycisnęła nawet ucho do piersi Jane, by sprawdzić jej oddech. Jordan milczał ponuro. Miri uświadomiła sobie, że on może być nie tylko bezczelny i godny pogardy, ale i niebezpieczny. Czyżby uciekła przed psami i trafiła do wilków? Może byłoby bezpieczniej zdać się na litość Michaela?

W wiosce Czipewejów powitał ich Ujeżdżający Fale. Żaden mężczyzna nie zaoferował Miri pomocy, więc chwyciła mocno Jane i przerzuciła nogi przez burtę czółna. Woda sięgała jej do pasa, suknia wzdęła się, pończochy i pantalone przemokły natychmiast.

Po wyładowaniu na brzeg kozy i tobołków, Jordan zwrócił się do Miri po raz pierwszy.

- Poznaliście się już u Tancerki Jeziora.

Ujeżdżający Fale skłonił się uprzejmie, a Miri usiłowała się uśmiechnąć mile.

- A cała reszta idzie do nas - wskazał Jordan.

W jednej chwili cała nieomal wioska otoczyła ich - dorośli, dzieci i psy. Miri była we wsi wielokrotnie, ale nigdy nie uważała jej za miejsce swego pobytu. Widzowie podejrzewali coś i gorączkowo wymieniali uwagi między sobą. Nawet Petunia znalazła się w centrum zainteresowania, szczególnie dzieci i psów.

Tłum uciszył się i starsza siwowłosa Indianka przemówiła do Jordana. Miri poznała, że była to ta sama, która asystowała przy porodzie Tancerki Jeziora. Jordan zawahał się i odpowiedział coś w języku Czipewejów. Po jego odpowiedzi starsza Indianka skłoniła się i znów podniósł się gwar zmieszanych głosów. Wszyscy zaczęli uśmiechać się do Miri, gładzić ją po twarzy i poklepywać po ramieniu. Miri miała ochotę oprzeć się o Jordana, gdy prowadził ją przez tłum i tylko najwyższym wysiłkiem powstrzymała się od spełnienia tego pragnienia.

Wigwam, do którego Jordan wprowadził Miri, był podobny do szałasów Tancerki Jeziora, ale stał po innej stronie wioski. Był zbudowany z pni drzew, związanych razem jak kopuła i okrytych zgrzebnymi matami. Podłogą była ubita ziemia, zaś pośrodku, pod dziurą w matach, płonęło ognisko w kręgu z kamieni. Pod

ścianą leżały zwinięte maty i futra, których używano zamiast łóżek. Przy wejściu znajdowała się półka na naczynia kuchenne. W porównaniu z tym miejscem farma Grace była pałacem.

Miri wskazała Ujeżdżającemu Fale miejsce na złożenie bagażu i obdarzyła go uprzejmym uśmiechem, gdy wychodził. Jordan rozwinął jeden z tobołów i ułożył na nim Jane. Miri wyszła wydoić Petunię. Postanowiła być stale zajęta i przetrwać jakoś zimę w towarzystwie ludzi, którzy nie mieli pojęcia o dobrym wychowaniu, i w towarzystwie brutalnego człowieka, który nawet nie usiłował być uprzejmy. Wchodząc do wigwamu ze skopkiem mleka, patrzyła na Jordana z niesmakiem. Rozsiadł się po turecku obok ogniska i nie miał zamiaru pomagać jej w pracy.

- Byłoby lepiej przyprowadzić kozę tutaj - doradził.

- Co? Przyprowadzić tu kozę? - fuknęła Miri. - To nonsens.

Napełniła mlekiem kubek i rozciągnęła smoczek nad jego krawędzią.

- Zimą będzie musiała stać wewnątrz wigwamu - odparł.

Miri usadowiła Jane na swych kolanach, wetknęła jej do ust smoczek i spojrzała na Jordana z niechęcią.

- Może pan wybudować jej zagrodę. Albo wziąć ją do swego wigwamu. Na pewno nie będę mieszkać razem z kozą.

Jordan uśmiechnął się złośliwie.

- To jest mój wigwam.

Miri przetrwała przez chwilę tę nieoczekiwaną wiadomość.

- Czy to znaczy, że mamy mieszkać razem w pojedynczym wigwamie?

- Czego pani się spodziewała? Nie byłaby pani do niczego mi potrzebna, gdyby pani żyła osobno. U Czipewejów młode kobiety nie mieszkają same. Żyją albo z rodzicami, albo z mężami.

Miri panowała nad sobą, wiedząc, że jest na łasce tej bestii.

- A co Czipewejowie sądzą o tej sytuacji? - spytała lodowatym tonem. - Grace mówiła mi, że Indianie są bardzo moralni. Czy nie będą się dziwić, że wprowadził pan niezamężną kobietę do swojego szałas?

- Tak, dziwili się, ale ich uspokoiłem.

- Jak pan to zrobił?

Jordan wstał i przeciągnął się, jakby lekcewał cały świat dookoła. Usta wykrzywił mu złowrogi uśmiech. Ruszył w stronę wyjścia. Nie odwracając się, rzucił przez ramię odpowiedź.

- Gratulacje. W oczach Czipewejów została pani moją żoną.

ROZDZIAŁ VIII

Jordan nie dotarł do wyjścia. Miri rzuciła się nań jak kocica, jedną ręką trzymając Jane, drugą szarpiąc go za ramię.

- Pańską żoną? To chyba żarty. - Opuściła rękę. - Proszę powiedzieć, że to żarty.

- Nie dyskutowałbym żartobliwie o tak niesmacznej sprawie.

- Pan im powiedział, że wzięliśmy ślub? - wydyszała.

- Wzięliśmy ślub, panno Sutcliffe. Zgodnie z obyczajem Czi-
pewejów, gdy mężczyzna i kobieta wchodzi razem do wigwamu,
stają się mężem i żoną. - Skrzywił się. - Ale nie spodziewam się
po tak cywilizowanej damie, że uszanuje obyczaje prymitywnych
ludzi.

Tego już było za wiele dla Miri. Ułożyła Jane na pościeli i
przycisnęła palce do skroni, zamykając oczy. Może okaże się,
że to tylko koszmar senny. Otworzy oczy i znajdzie się na farmie
Grace, Jane będzie spała w kołysce, Gerald Michaels będzie w
Anglii, a Jordan Scott... Jordan Scott będzie po drugiej stronie
ziemskiego globu. Głos Jordana przypomniał jej, że to nie sen,
lecz przerażająca rzeczywistość.

- Idę przyprowadzić kozę - powiedział spokojnie. - Jakieś
dziecko może ją odwiązać i zjedzą ją psy.

- Nie ośmieli się pan tu przyprowadzić kozy! Już i tak źle, że
muszę żyć w tym brudnym szałasie z... z drzewa i mat, spać na
ziemi i... i mieszkać z nagim barbarzyńcą! Nie będę jeszcze na
dodatek mieszkała z kozą! - Głos Miri stawał się histeryczny. -
Jeśli pan chce spać z kozą, proszę z nią spać na zewnątrz szałas.
Myślę, że bylibyście szczęśliwi razem! Pasujecie do siebie!

- Niezbyt wiele wdzięczności, prawda? Może chce pani wrócić do swego przyjaciela Michaela?

- To nie był mój pomysł. I nie będę tolerować!...

- Będzie pani tolerować wszystko, co pani każe! - przerwał jej Jordan. - Zjawiała się tu pani z gotowymi schematami, ale teraz będzie pani podporządkowana innym prawom. Moim prawom!

- Nie będę...!

- Będzie pani! I nie chcę słyszeć ani słowa narzekania. Teraz proszę rozwinąć posłania i położyć się. Czipewejowie niechętnie biją swe żony, ale teraz mam na to ochotę.

Odgarnął gwałtownie maty znad wejścia i wyszedł szybko.

Miri runęła na posłanie. Histeria ustąpiła miejsca trzeźwej ocenie sytuacji. Nie chciała, by Jordan podniósł na nią rękę. Nikt z wioski nie przybiegłby jej z pomocą. Musi zatem znosić towarzystwo tego typu przez całą zimę i hamować swe oburzenie. Mógłby ją pobić, gdyby go zbyt zdenerwowała. Ale co znaczy w tym wypadku "zbyt"? Odgrywanie panny Pokornej wobec Gburowatego Brutala było dla niej za trudne.

Rozmyślając tak, rozwinęła posłanie i położyła się. Wszedł Jordan, prowadząc opierającą się Petunię i przywiązał ją z dala od wejścia. Miri leżała, nadęta i ponura, ignorując Jordana. Nie mogła jednak ignorować faktu, że Jordan wyciągnął się obok niej na posłaniu.

- Co pan robi? - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- Idę spać. Proponuję pani zrobić to samo. Jutro zwijamy obóz i będzie mnóstwo roboty dla kobiet. Spodziewamy się pani pomocy. - Przerwał i Miri czuła jego spojrzenie na swym ciele. No tak, Lucy miała rację. - Jak pani może w tym spać? - zapytał. - Ta suknia musi panią ścisnąć jak diabli. - Sięgnął do sznurówki jej gorsetu.

- Proszę mnie nie dotykać! - Miri podskoczyła jak sprężyna. - Proszę mnie zostawić! Nie może pan spać tutaj!

- Nie mam zamiaru spać na gołej ziemi, a Jane nie daje tyle ciepła co pani.

- To ja będę spała na zewnątrz!

Jordan chwycił ramię Miri, gdy usiłowała wstać.

- Nie ma mowy! To są moi ludzie i myślą, że jest pani moją żoną. Nie chcę, żeby myśleli o mnie, że zostałem odepchnięty w noc poślubną, panno Sutcliffe. Zostanie pani tutaj.

- Nie zostanę!

- Zostanie pani, jeśli zwiążę panią i położę się na pani. Nie mam najmniejszej ochoty wspinać się na taką zimnokrwistą kołtunkę jak pani, ale proszę mnie nie kusić za bardzo.

Miri nie miała siły mówić. Wyszarpnęła ramię z uścisku Jordana i odwróciła się do niego tyłem, układając się na samym brzegu posłania. Jego złośliwy chichot rozdrażnił ją niezmiernie, gdyż leżała sztywno, a on rozciągał się wygodnie. Po paru minutach zaczęła drżeć z zimna. Powinna była okryć się futrami, ale postanowiła nie ruszać się. Dreszcze wstrząsały nią coraz bardziej.

- Czy pani zwiarowała? - spytał Jordan łagodnie. - Nie pozwolę pani zamarznąć z powodu idiotycznej dumy.

Miri usłyszała za sobą szelest, jego ręce objęły ją w talii i przycisnęły do ciepłego ciała. Okrył ich obydwójce skórą.

- Lepiej? - spytał i zaśmiał się znowu.

Miri nie odpowiedziała. Zastanawiała się nad sensem dalszej walki, ale ciepło uspokoiło ją. Twarde mięśnie ud Jordana były jak kołyska; jego wielkie dłonie leżały na jej żebrach podejrzanie blisko piersi; jego oddech poruszał jej włosy. Miri poczuła, że jej ciało łagodnieje pod jego dotknięciem i zdradliwa przyjemność ogarnia ją całą. Nim zasnęła, zastanowiła się nad możliwością walki z Jordanem i samą sobą przez całą zimę.

Obudził ją chłód. Spojrzała w otwór u szczytu wigwamu. Czerń nocy ustąpiła szarości poranka. Jordana nie było, Jane spała, więc nic nie stało na przeszkodzie, by z powrotem zasnąć. Bolały ją wszystkie kości, była zupełnie zeszywniała.

Ledwie jednak zamknęła oczy, poczuła uderzenie w nogę. Podniosła głowę i zobaczyła Petunię, która patrzyła na nią pytająco.

- Wynos się - mruknęła Miri. - Idź paść się, skocz do jeziora albo zrób co chcesz.

Petunia jednak nadal usiłowała jej przypomnieć, że kozy powinny być dojrzałe o tej porze. Miri z uporem zamykała oczy, ale

Petunia nie dawała za wygraną i w końcu złapała ją zębami za palec u nogi.

- Pożałujesz tego - obiecała Miri, wygrzebując się z ciepłego kokonu.

Pomyślała o porankach w Anglii. Słońce stało już wysoko, gdy Lucy przynosiła jej do łóżka gorącą czekoladę i słodkie bułeczki. To był świat jak z cudownego snu, zdecydowała Miri. Teraz żyła w koszmarze. Zerwała się i zaczęła szukać w bagażach czystej sukni i bielizny. Zgodnie z obietnicą Jordana nie było ciepłej wody do umycia twarzy i rąk. Nie było też lustra. Petunia beczała, obudziła się też Jane i wigwam napelnił się krzykiem głodnego dziecka.

- Spokojnie, Petunia. Zaraz się tobą... och, nie!

Było jednak za późno i kozie bobki rozsypały się po podłodze.

- Ty przeklęta, leniwa kozo! - krzyknęła Miri, wypychając kozę z szałasów.

Za chwilę wprowadziła ją z powrotem i zabrała się do dojenia. Usiłowała rozgrzać trochę zziębnięte ręce. Ta przeklęta koza powinna się do czegoś przydać.

Miri wydoiła kozę, wyprowadziła ją na trawę, nakarmiła Jane, wymiotła kozie bobki z wigwamu, zwinęła posłania i roznieciła ogień. Wydawało jej się, że zakończyła poranne zajęcia. Zanosilo się na twarde życie, ale miała zamiar pokazać Jordanowi, że ona ma rację, a nie on. Na razie usiłowała znaleźć kociołek na półce pod ścianą. Dałaby wszystko za filiżankę herbaty - nawet tego okropnego naparu z czereśniowych gałązek, który zwykła robić Tancerka Jeziora. Nie było jednak kociołka, nie było jedzenia, więc zwinęła Jane w koc, włożyła jej na głowę czapkę, którą sama uszyła i wyszła przed wigwam.

Skłębiona masa szarych chmur pokrywała niebo. Wydawało się, że jest zima. W powietrzu unosił się zapach dymu i wilgotnych traw, liście spadały z drzew i wirowały w powietrzu. Między wigwamami palił się wielki ogień, nad nim wisiało kilka kociołków i pojemników.

Ledwie Miri wyszła z wigwamu, a już podeszła do niej wysoka kobieta o wysoko sklepionych kościach policzkowych i prostym

nosie. Twarz jej była gładka, tylko szare pasma we włosach i kilka linii wokół oczu i ust dowodziło, że nie jest już młoda.

- Jestem Uśmiech Poranka - powiedziała starannie modulowanym głosem.

Miri uśmiechnęła się z wahaniem. To właśnie ta kobieta ostro wypytywała o coś Jordana, gdy przybyli poprzedniego dnia. Miri zauważyła, że inne kobiety traktują jej rozmówczynię z szacunkiem i poczuła, iż ona sama pogwałciła panujące tu obyczaje.

- Jestem matką Ujeżdżającego Fale - wyjaśniła kobieta - i żoną Chwyającego Dym. Mój przybrany syn, Oczy Ducha, był nie uprzejmy i nie przedstawił nas sobie. Jestem matką twego męża.

"Cudownie. Nie tylko mam nieprawdziwego męża, ale jeszcze jest teściowa do kompletu".

- Jestem szczęśliwa... to zaszczyt dla mnie - wyjąkała Miri.

Uśmiech Poranka spojrzała na Jane śpiącą w ramionach Miri. Jej spojrzenie złagodniało.

- Będziesz potrzebowała kołyski dla Jasnego Ducha. To są nosidła, które pozwolą ci pracować i nie budzić dziecka.

- Pracować?

- Przygotowałam kołyskę dla Tancerki Jeziora. Chodź ze mną i dam ci ją.

Mała Jane została położona na drewnianym przyrządzie o wygiętych brzegach, które podtrzymywały stopy niemowlęcia. Dwie taśmy zapobiegały wypadnięciu dziecka z kołyski. Jane została rozebrana do naga (Uśmiech Poranka z dezaprobatą patrzyła na koszulki Jane) i położona na miękkim suchym mchu, który należało wymieniać regularnie. Kabłąk nad głową dziecka podtrzymywał koc chroniący przed zimnem. Jane wydawała się być zachwycona, wisząc wygodnie na gałęzi drzewa, gdzie nie mogły jej dosięgnąć dzieci i psy.

Miri zorientowała się, że poranna praca wcale się nie skończyła. Uśmiech Poranka zabrała ją do centralnego ogniska i dała jej śniadanie. Składało się ono z rybnego bulionu, ryżu przyprawionego klonowym syropem, twardego chleba i naparu z igieł świerkowych. W trakcie śniadania Miri musiała wysłuchać licznych instrukcji dotyczących robienia kociołka z kory brzozywej, gdyż

Uśmiech Poranka uważała takowy za lepszy od kupionego w sklepie.

Po śniadaniu udały się obie do wigwamu Jordana. Tu nastąpiły dalsze nauki, dotyczące sposobu pakowania i przenoszenia bagażu. Zajęło to cały poranek. Krótki posiłek południowy, złożony z rybiego bulionu i suszonych jagód wymieszanych z sarnim sadłem, zmusił Miri do zastanowienia się nad ideą postu. Potem były dalsze lekcje: jak zwijać wigwam, jak sprasować maty, by je można było transportować. Miri dowiedziała się, że żywność przechowuje się na stelażach za wigwamami i w centralnym schowku, z którego czerpią racje wszyscy mieszkańcy wioski. Została pouczona, że ma gotować nad ogniskiem i używać odraźających ingrediencji: sadła zwierzęcego, korzeni, jelit zwierzęcych, suszonego mięsa i ryb. Niezmordowana matrona Czipewejów pomogła Miri ugotować wieczorny posiłek dla Jordana. Pożyczyła jej swój kociołek i pokazała, jak zrobić gulasz z dziczyzny, dzikich ziemniaków, korzeni i przeróżnych ziół.

Uśmiech Poranka wyszła wreszcie. Miri była tak zmęczona, że zapach gulaszu przyprawiał ją o mdłości. Spędziła cały dzień na uczeniu się rzeczy, których nie chciała poznać, na jedzeniu potraw, których nie tknęłyby świnię Grace, na słuchaniu kobiety uważającej ją za opóźnioną w rozwoju i na dziwieniu się nieobecności Jordana. Nie martwiła się o niego; mógłby zapaść się pod ziemię i ucieszyłaby się z tego.

Miri usiadła na chwilę i oparła plecy o maty. Jak miło byłoby zamknąć oczy i spać aż do wiosny. Ale trzeba było wydoić kozę, umyć i nakarmić dziecko, przypilnować gulaszu. Nie wierzyła, że przetrwa zimę.

Usta Jordana skrzywiły się z obrzydzenia, gdy jego czterej kompani odrzucili pustą już butelkę i usiłowali wstać, chwiejnie pomagając sobie nawzajem. Wszyscy byli wojownikami Czipewejów z innej wioski - obecnie zachwyceni i rozbawieni swymi próbami utrzymania się w pionie. Nogi mieli jak z gumy i macali rękami dla uchwycenia równowagi. Jednemu udało się wstać, ale natychmiast runął twarzą na mokre kamienie. Dwaj inni uchwycili się drzew i wymiotowali.

Jordan pozostał na swoim miejscu, ale nie ryzykował zmiany pozycji. Mógł pogardzać pijakami, lecz nie był w lepszym stanie niż oni. Czterej Czipewejowie byli dziką grupą młodzików. Jordan unikał ich zwykle, ale dzisiaj spotkał ich w miasteczku i, zaproszony do towarzystwa, zrozumiał, że tego mu potrzeba. Usiedli na ustronnej plaży i spędzili dzień na picciu ogromnej ilości rumu; teraz tego żałował. Alkohol nie likwiduje problemów, stwierdził. Powoduje tylko, że ciało jest tak obrzydliwe jak dusza.

- Jeszcze? - spytał jeden z chłopców i podał mu butelkę.

- Nie chcę więcej - zajęczał Jordan.

Czuł się okropnie. Stracił panowanie nad sobą i dziwne obrazy przesuwają mu się przed oczami. Zjawiła się Angielka, naga i drżąca, z falą włosów spływających do pasa. I znowu ona, sztywna i surowa, ze zmarszczonymi brwiami pouczająca go o dobrym wychowaniu i odpowiedzialności białego człowieka wobec dzikusów. I jeszcze ona - jej zapraszające ciepło w zagłębieniu jego ciała, chmura jej ostrzyżonych loków, miękka i pachnąca, drażniąca jego nos i usta. Jej twarde pośladki wciśnięte w jego podbrzusze, gdy spała, nieświadoma faktu, że z trudem powstrzymywał się przed przewróceniem jej na plecy i pokazaniem, jak dziki i niemoralny może być Jordan Scott. Litości! Czy te pijackie wizje nigdy nie ustąpią?

Trzeba być potworem, żeby pragnąć innej kobiety, gdy własna żona dopiero tak niedawno umarła. To Tancerka Jeziora powinna wypełniać jego sny, a nieta nadęta Angielka, z której ust płynęły tylko nauki moralności i przyzwoitości. Mała kołtunka uosabiała wszystko to, przed czym uciekł dziesięć lat temu - hipokryzję, sztywność i osądzanie wszystkich z pogardą. Tylko rudawe włosy na jej głowie nie były układne i właściwe.

Boże! Jakże pragnął zanurzyć palce w tej jedwabistej masie loków. Pragnął tego od pierwszej chwili. Poprzedniej nocy omal tego nie zrobił, ale mała jędza chyba by go pogryzła.

Jordan rozciągnął się na kamienistej plaży i usiłował przywołać obraz Tancerki Jeziora. Była tu, uśmiechnięta - nie, śmiejąca się. Odwróciła się. Za nią stała Angielka. Obydwie zaczęły się melodyjnie śmiać, żartując sobie z Jordana.

Jak tu przetrwać zimę w towarzystwie Miriam Sutcliffe? Jak powstrzymać się przed uchwyceniem jej' za te rude loki, przewróceniem na ziemię i nauczeniem bycia kobietą?

Nasyciwszy się, mógłby ją udusić za te jej miny i pogardliwe zachowanie. O, teraz wreszcie jest upragniona wizja. Pokusy trzeba przewycięzać, bogowie oczekują tego od ludzi.

Słońce dawno już zaszło, gdy Jordan chwiejąc się ruszył do swego czółna. Miał nadzieję, że wiosłowanie przez cieśninę otrzeźwi go. Czuł się teraz mocny, wręcz niezwyknięty. Żadna kocica o rudych lokach nie będzie nim dyrgowała. Może ją chwycić za szczęki i zmusić do pokornego mrużenia. Jego umysł wciąż wypełniały takie obrazy.

Po kilku okrążeniach wioski Jordan znalazł swój wigwam. Musiał mocować się z kocem przy wejściu, ale zwyciężył i wkroczył do słabo oświetlonego wnętrza. Zapach gulaszu z dziczyzny podrażnił jego nozdrza. Zwykle lubił dziczyznę, ale teraz zbierało mu się na mdłości. Może nie był całkiem trzeźwy?

- Gdzie pan był?

Jordan myślał przez chwilę, że to koza zadała mu pytanie tak ostrym tonem, ale odwrócił się i zobaczył Angielkę - swój osobisty cierń w boku. Wyglądała jak furia, może chciała kłąć, ale nie zrobiłaby tego. Oczywiście! Damy z elity społeczeństwa nie używają nieprzyzwoitych słów, od których aż roi się w ich małych nieprzyzwoitych mózdkach.

Przełknął i czknął głośno.

- Pan jest pijany! - Głos stał się jeszcze ostrzejszy i sprowokował uśmiech Jordana. - Ty głupi, pijany draniu! Jak śmiałeś mnie zostawić samą i wracać teraz w tym stanie!

Biedactwo. Tęskniła za nim. Nigdy by nie zgadł, że ta mała sztywna suka potrafi czuć się samotna. Może teraz nadszedł czas przemienienia drapiącej kocicy w mrużącą koteczkę?

Jordan zrobił krok naprzód, potem następny. Dojrzał przerażenie na twarzy kobiety. Wyglądała teraz jak dziecko.

- Nie jesteś już samotna. Ja tu jestem.

Mówiąc to, wdepnął w ogień. Musiał poczuć smród palącego się mokasyna, by zrozumieć, że ta wiedźma specjalnie rozpałała ognisko na jego drodze. Czarownica! Zaczął skakać na jednej

nodze z tak nadzwyczajnym wdziękiem, że omal nie runął na ziemię. Druga stopa dymiła, a ta przeklęta baba śmiała się z niego. Powinien z tym skończyć. On tu jest panem, do diabła! A ta diablica musi się nauczyć, że nie należy się naśmiewać z mężczyzny w jego własnym domu!

Jordan oglądał swą dymiącą stopę. Spalił się tylko mokasyn i Jordan mógł przenieść spojrzenie ze stopy na chichoczącą kobietę. Śmiech ucichł. Mała suka wie, że jest w opalach!

Z wdziękiem pantery Jordan zaczął zbliżać się do swego łupu. Wyciągnął ramiona, ale dziewczyna cofnęła się. Cofała się aż do ściany wigwamu. Tu okazało się, że śmieje się nadal.

- Wielki biały Indianin! To wspaniale, że nie połujesz na niedźwiedzia w tym stanie. Zwierzak nie wiedziałby, czy ma się upić od oparów, czy umrzeć ze śmiechu.

No, stało się! Ta baba potrzebuje nauczki i Jordan Scott udzieli jej lekcji pokory. Ruszył do ponownego ataku. Angielka przeceniła teraz swe możliwości. On ruszył na lewo, ona na prawo, ale nim się cofnęła, jego ramiona przycisnęły jej ręce do boków i przyciągnęły do siebie. "A teraz zrobię coś więcej" - pomyślał i poszukał jej ust.

Ich dotyk spowodował taki wstrząs w jego ciele, że omal nie wypuścił ofiary. Podniósł głowę i spojrzał w ogromne, niesamowicie błękitne oczy. Wyczytał w nich zmieszanie, zdziwienie i niechęć, ale śmiech uleciał.

Nikt nie był bardziej zdziwiony niż Miri, gdy wpadła w pułapkę Jordana i jego ramiona. Jeszcze większym zaskoczeniem był jego pocałunek. Ten łajdak cuchnął rumem i potem, był dziki i sprawiał jej ból, ale jej zmysłem zdawało się to nie przeszkadzać. Miri spoglądała teraz z bliska w szarosrebrzyste oczy i czuła strumień dziwnych sensacji, przepływających przez jej ciało. Co się z nią działo? Powinna wrzeszczeć i drapać, powinna walczyć, a nie stać jak zahipnotyzowana.

Miri nie broniła się, gdy usta Jordana zbliżyły się znowu. Jego wargi były teraz łagodne. Jego język przesunął się po krawędziach jej ust i wsunął się do środka. Gdy ten język rozsunał jej zęby, zadrzała od stóp do głów. Jego ręce ujęły ją za głowę i trzymały mocno. Wyciągnęła ramiona i objęła go w pasie, przyciąga-

jąc go do siebie. Ciało tego renegata napierało na jej piersi, biodra, brzuch, i było jednym, rozpalonym do białości, pożądaniem. Takie samo pożądanie ogarniało jej nogi, pośladki, piersi i ramiona.

Nagle Jordan wypuścił ją z objęć. Zachwiała się, szukając oparcia, ale on odwrócił się i wymamrotał coś w języku Czipewejów. Nie brzmiało to jak czule słówka. Spojrzała na wnętrze wigwamu, na ognisko, na Jane śpiącą spokojnie. Wszystko było takie same i wszystko się zupełnie odmieniło.

- Nie - wyszeptała chrapliwie, zaprzeczając własnym uczuciom. Zapragnęła nagle odetchnąć świeżym powietrzem i uciec przed tym barbarzyńcą, który sięgał po nią ze swego upadłego świata i chciał ją pochłonąć całą. Wybiegła w noc

Chłodne powietrze orzeźwiło ją. Zaczęła iść przed siebie. "Chyba będzie mroźna noc" - pomyślała przelotnie. Obłoczki jej oddechu otaczały ją jak mgła. Nie wiedziała, gdzie się ogrzać tej nocy. Uciekając przed Jordanem, nie zdążyła chwycić żadnego okrycia. Nie mogła jednak wrócić, nawet za cenę zamarznienia. Gdyby wróciła, Jordan spojrzałby na nią tymi srebrzystymi oczami i dotykałby jej stwardniałymi, wielkimi dłońmi. Nim noc by przeminęła, posiadałby ją, a Miri pozwoliłaby mu na to, gdyż jej najniższe instynkty przestały jej być posłuszne i kpiły z jej przyzwyczajoności i dobrych obyczajów.

Uderzyła się o drzewo i uświadomiła sobie, że jest na skraju wioski. Za jej plecami Czipewejowie szykowali się do snu pod ciepłymi futrami, wszyscy ułożeni nogami w stronę ognia. Nawet psy były spokojne. Jordan odsypiał swoje pijaństwo albo śmiał się z lekcji, jakiej jej udzielił. A Miriam Sutcliffe była sama w ciemności i chłodzie, diabeł czekał na nią w forcie Michilimackinac. Drugi diabeł czekał na nią w wiosce. Oparła się o szorstkie drzewo i wybuchnęła płaczem. Łkała z żalu nad sobą i nad własną samotnością. W końcu zabrakło jej łez. - Moja córko - dobiegł ją głos z ciemności - co tu robisz?

Miri wyprostowała się i otarła oczy.

- Uśmiech Poranka? - To ty? - Tak, to ja. Przyszłam zobaczyć, co spowodowało twój płacz.

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- A któżby inny? My, kobiety Anishanabe, jesteśmy mądrzejsze.

Łzy znów zaczęły płynąć z oczu Miri.

- Pokłóciłaś się z moim synem, Oczami Ducha? On czasami bywa trudny, jak wszyscy mężczyźni zresztą.

- Można to tak nazwać - zgodziła się Miri.

- Albo zadbasz o niego, albo nie będziesz jego żoną.

Miri milczała. Cóż mogła powiedzieć? Jordan postawił ją w nieznośnej sytuacji i zrobił to świadomie.

- Powinnaś wrócić do wigwamu, moja córko. Większość kłót ni między mężczyzną i kobietą kończy się na futrach.

Tego właśnie Miri się obawiała.

- Nie mogę wrócić dzisiaj, Jordan... Oczy Ducha... jest okropny. Musi dostać nauczkę.

Białe zęby Poranka zaśmiały w uśmiechu.

- To ty musisz marznąć z tego powodu? - Indianka pokręciła głową. - Niech ci będzie. Przyniosę ci skóry i futra, a jutro mój syn będzie się wstydził, że cierpiał niewygodę z jego powodu. Nie jest w zwyczaju Czipewejów tak traktować kobiety.

"Ależ by się uśmieł ten brutal" - pomyślała Miri.

Tej nocy nie spała wcale, choć było jej ciepło pod futrami Uśmiechu Poranka. Cały czas rozmyślała o zajściu w wigwamie i usiłowała znaleźć dla siebie jakieś usprawiedliwienie, ale nie potrafiła. Coś wewnątrz niej było samym požądaniem i będzie musiała z tym walczyć przez Całą zimę.

Wstała przed świtem, wślizgnęła się do wigwamu, wydoiła Petunię, nakarmiła dziecko, i zjawił się na śniadaniu przy centralnym, zanim Jordan się obudził. Przez resztę poranka pomagała innym kobietom przy zwijaniu obozowiska. Uśmiech Poranka asystowała jej przy związywaniu bagażu i składaniu wigwamu.

Miri była zadowolona na widok szarej twarzy Jordana. Pomagał wykonywać prace za ciężkie dla kobiet. Nie odzywali się do siebie, nawet nie patrzyli na siebie. Gdy Jordan nie mógł tego zauważyć, Miri usiłowała śledzić go wzrokiem. Zauważyła, że nie odzywał się prawie do nikogo i odnosił się kwaśno nawet do Ujeżdżającego Fale. Miri życzyła Jordanowi, by chorował przez cały tydzień. Zasłużył na to.

W południe wszystko było gotowe do podróży. Czółna załadowane i wszyscy podzieleni na grupy, gotowi do długiego wiosłowania ku odrębnym terenom łowieckim. Jane została bezpiecznie ulokowana w swej kołysce i umieszczona w czólnie. Łagodne kołysanie uspokoiło nerwowe dziecko, ale nie wpłynęło dobrze na Petunię. Koza na widok czółna zaczęła się opierać, ale Jordan nie był w nastroju do łagodnego traktowania biednego zwierzęcia, więc zostało podniesione i rzucone bezceremonialnie między tobołki.

Przytrzymując suknie, Miri brodziła w stronę czółna. Obawiała się, że Jordan mógłby ją potraktować jak kozę. Wiedziała, że chmury gromadzą się nad jej głową. Marzyła o podróży w towarzystwie Chwyającego Dym lub Ujeżdżającego Fale. Mogła znieść ciasnotę czółna, płacz dziecka i beczenie kozy, ale przebywanie z Jordanem na tak małej przestrzeni to zupełnie inna sprawa.

Czółna rodziny skierowały się na zachód. Dzień był szary i mglisty. Odpowiadało to nastrojowi Miri. Była bardziej wystraszona niż kiedykolwiek. Wioska była przynajmniej znajoma, zaś teraz zaczynała się podróż w nieznane.

Do chwili spotkania Jordana Scotta życie Miri było gładkie jak woda, po której teraz ślizgało się czółno. Nawet kłopoty z Hamiltonem wydawały się drobiazgiem. Teraz cały świat Miri zdążał w stronę katarakty. Czuła, że czekają ją przełomy i wodospady, słyszała już ryk fal. Musiało nastąpić dramatyczne rozstrzygnięcie.

Grace - droga, naiwna Grace - myślała, że Jordan będzie trawą ratunkową dla Miri, ale to był błąd. Jordan Scott nie był wybawicielem. On tylko popychał ją ku przepaści.

ROZDZIAŁ IX

- Proszę pani, wiem już, że panna Sutcliffe mieszkała na pani farmie. I na pewno wie pani o jej obecnym miejscu pobytu. Za oszczędziłaby nam pani wiele czasu, gdyby pani powiedziała mi o wszystkim.

Bystre oko kapitana Michaela nie przeoczyło najmniejszego szczegółu na małej farmie. Porucznik Renquist podążał za nim jak pies. Grace i Margaret spoglądały niechętnie na umundurowanych gości.

- Nie ma pan prawa wkraczania na mój teren i grożenia mi. Kim pan jest? - Grace srogo spoglądała na kapitana.

- Wdowo Peavey, wie pani doskonale, kim jestem. I zapewniam panią, że armia brytyjska nie grozi. Czyni tylko obietnice. Obiecuję pani, że w razie odmowy współpracy, postaramy się pani utrudnić życie dość dokładnie.

- Jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych - zadeklarowała dumnie Grace. Przycisnęła do siebie Margaret. - Żaden brytyjski żołnierzyna nie będzie mną poniewierał.

Twarz Michaela pozostała spokojna, ale Renquist nie posiadał się ze złośliwej uciechy.

- Czy trzeba pani przypominać, że pani kraj jest w stanie wojny z naszym i w tej chwili armia brytyjska rządzi tą wysepką? Na pani miejscu zachowywałbym się ostrożniej.

- Zawsze patrzę, czy nie ma węża w pobliżu, poruczniku - ostro odparowała Grace.

Michael nie dopuścił Renquista do głosu i zapytał:

- Czy pani twierdzi, że Miriam Sutcliffe nie mieszkała u pani?

- Ja niczego nie twierdzę, kapitanie. - Grace założyła ręce na obfitym biuście. - Oprócz tego, że dziwię się prześladowaniu niewinnej Miriam Sutcliffe przez takiego dżentelmena jak pan.

- No proszę! - wrzasnął Renquist. - Zna ją. Mówiłem, że ta dziewczyna mieszkała tutaj! Nie byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że ci amerykańscy - wymówił ostatnie słowo jak obelgę - kłamcy ukrywali ją gdzieś i kpili z brytyjskiego autorytetu.

- Całkiem prawdopodobne, poruczniku.

Kapitan w szkarłatnym płaszczu zrobił drugi obchód domu. Oglądał portret zmarłego Peaveya, zajrzał do sypialni, wdrapał się na stryżek, gdzie sypiały dziewczęta, i wreszcie wylądował w kuchni.

- Dorostałem na podobnej farmie. - Z zadowoleniem wciągnął zapach pieczonego chleba. - Te same zapachy, taki sam strych, taka sama mała jadalnia otwarta na wielką kuchnię. To bardzo miła farma, pani Peavey. Szkoda, że znalazła się w samym centrum wojny. Kiedyś doceni pani przyjaźń armii brytyjskiej.

- Ja doceniam przyjaźń Miriam Sutcliffe.

- Ach, tak. Zatem...

W tym momencie drzwi farmy otworzyły się i do środka weszły Mary Beth, Marta i Lucy. Spojrzenia kapitana błyskawicznie spoczęło na twarzy Lucy. Pokojówka zaczerwieniła się i otworzyła szeroko usta.

- Pokojówka panny Sutcliffe, jak sądzę. - zaryzykował Michaels. - Pamiętam cię z Londynu.

Przestraszona Lucy chciała uciec, ale Renquist mocno chwycił ją za ramię i powlókł w stronę Michaelsa. Grace otworzyła usta w proteście, sam Michaels gotów był do reprimendy, gdy jakiś mały demon z blond warkoczykami podciął kolana porucznika, który runął na ziemię, a Mary Beth rzuciła się na niego, bijąc pięściami i kopiąc.

- Uciekaj! - wrzasnęła Mary Beth do nagle oswobodzonej Lucy. - Przynieś muszkiety taty!

Jej głos ucichł nagle, gdyż Renquist chwycił ją rękami za szyję. Wstał z podłogi i podniósł Mary Beth. Potrząsnął nią jak szmacianą lalką. Grace rzuciła się na niego niczym niedźwiedzica w

obronie małego, ale krótki rozkaz kapitana zmusił Renquista do postawienia dziewczynki na podłodze.

- Proszę się zameldować w moim biurze zaraz po powrocie. Czy pan zrozumiał? - w głosie Michaela brzmiała groźba.

- Tak, zrozumiałem. - Renquist poczerwieniał z upokorzenia.

Mary Beth ukryła twarz w sukniach Grace, Marta zrobiła to samo i obydwie zaczęły szlochać. Michaels zauważył jednak, że jedno oko Mary Beth spogląda nań zza spódnic matki, i że w tym spojrzeniu nie ma śladu lęku. Kapitan uśmiechnął się nieznacznie i oko znów się schowało.

- Proszę o wybaczenie, madame - powiedział wojskowym to nem. - Armia brytyjska nie zwykła atakować dzieci, nawet wów czas, gdy one atakują pierwsze. Nie jestem wrogiem pokojówki panny Sutcliffe, ale jej obecność tutaj potwierdza, że panna Sutcliffe mieszkała u pani, czyż nie?

Grace odpowiedziała milczeniem. Objęła opiekuńczo swe córki.

- Przypuszczalnie powie pani teraz, gdzie udał się pani gość.

Przez chwilę wdowa patrzyła na niego w milczeniu, wreszcie pozwoliła sobie na zrezygnowane westchnienie.

- Wyjechała do Montrealu.

Brytyjski komendant zrobił niezadowoloną minę.

- Jej ojciec był partnerem Kompanii Północ-Zachód - ciągnęła Grace. - Nakłoniła ich do przeszmuglowania jej czółnem w górę rzeki.

Uśmiech Michaela nie zdradzał jego myśli.

- Skoro pani tak mówi... Renquist, proszę wysłać ludzi na poszukiwania. W razie znalezienia panny Sutcliffe nie wolno jej traktować źle, nie wolno jej przesłuchiwać. Ma być przyprowadzona do mnie. Zrozumiano?

Porucznik wyszedł bez słowa. Mary Beth natychmiast wyrwała się z ramion matki, podbiegła do okna i wywiesiła język w stronę odchodzącego Renquista.

- Mary Beth! - napominała Grace. - Zachowuj się przyzwoicie, ty impertynenckie stworzenie! Idźcie obydwie, ty i Marta, poszukaj Lucy. Margaret, ty też idź.

Dziewczynki wyszły. Michaels spojrzał na ich matkę.

- Jest mi niezmiernie przykro, że spotykamy się w tak niemiłych okolicznościach, pani Peavey. Spodziewałem się, że będę mógł utrzymywać serdeczne kontakty z ludźmi na tej wyspie.

- Nie nazwałabym serdecznością wdzierania się do czyjegoś domu i grożenia, a także napastowania dziewczyny niewinnej jak baranek.

Michaels podniósł brwi z powątpiewaniem.

- Bądźmy realistami, madame. Skoro gościła pani pannę Sutcliffe, musiała się pani zorientować, że nie jest to bezbronna i ła godna osóbką. Zapewniam panią jednak, że panna Sutcliffe będzie traktowana z całym szacunkiem, o ile się pojawi. Nie mam zamiaru prześladować tej dziewczyny.

Wdowa nie podjęła tematu. Kapitan nie znalazł swej ofiary, więc nie była zainteresowana jego deklaracjami dotyczącymi dobrych manier. Sądziła też, że kapitan nie był wcale wilkołakiem z opowieści Miri. Gdyby nie był tak sztywny i oficjalny, wydawałby się całkiem sympatyczny z siwiejącymi włosami i orzechowymi oczami. I obronił Mary Beth przed tym nędznym poruczniczką.

- Przypuszczam, że winna jestem panu podziękowanie, kapitanie. Mary Beth była nieznośna. Nie mam wytłumaczenia dla takiego zachowania.

- Nie mam też wytłumaczenia dla mego porucznika, madame. Muszę jeszcze raz wyrazić swe ubolewanie. Całkowicie zlekceważył kodeks honorowy, który obowiązuje dżentelmena.

Grace składała i rozkładała ręce. Michaels rozglądał się po kuchni i uśmiechał się. Nagle wdowa poczuła litość nad nim. Był taki sztywny i oficjalny, tak opancerzony obowiązkiem i honorem. Czy ten biedaczysko nigdy nie łagodnieje?

Gwałtownie wytarła ręce w fartuch.

- Ja... pan... to znaczy... Upiekłam właśnie placek z żurawinami, kapitanie. Może zostałby pan chwilę i zjadł kawałek? I trochę kawy - och, wy pijecie tylko herbatę, prawda? Nie mam chyba herbaty w domu.

- Kawa będzie w sam raz. - Michaels skłonił się, zdjął kapelusz i rozsiadł się przy kuchennym stole.

Miri siedziała na chłodnej ziemi, dziobała niechętnie jedzenie i słuchała gwaru głosów wokół siebie. Dzień był okropny, a wszystko wskazywało na to, że noc będzie jeszcze gorsza. Najpierw był poranek i pakowanie rzeczy. Trzeba też było zająć się dzieckiem: niezdrowy kolor cery i brak ruchliwości był niepokojący.

A potem było popołudnie. Trzeba było siedzieć w ciasnym czólnie i znosić milczącą obecność Jordana. Miri musiała patrzeć na grę mięśni, gdy wiosłował niestrudzenie. Zdjął z siebie bobrową kamizelkę i koszulę, odsłaniając wspaniale umięśniony tors. Widok ten przywoływał wspomnienie wczorajszego pocałunku.

Miri bywała już całowana poprzednio. Były to nerwowe cmoknięcia adoratorów, którzy nie chcieli jej denerwować. Pocałunki te w niczym nie przypominały wczorajszego ataku Jordana. Był to zwierzęcy gest dominacji i pierwotnego pożądania. Był niesmaczny, przerażający i całkowicie niestosowny.

Tylko dlaczego ten prostacki pocałunek sprawił jej taką radość? Gdy jedna część jej istoty aż krzyczała z oburzenia, druga topniała jak wosk nad świecą. Boże, dopomóż! Im dłużej pozostanie w tej głuszy, tym bardziej będzie wydana na pastwę swych najniższych instynktów. Dobrze, że uciekła z wigwamu w porę i nie pozwoliła, by jej gorsze ją pchnęło ją w ramiona tego renegata. Bóg jeden wie, co by się mogło wtedy stać!

Popołudnie było długie. Pogoda się poprawiła, ale słońce nie dawało zbyt wiele ciepła." Milcząca obecność Jordana była dla Miri gorsza niż wietrzna aura. Nie wiadomo było, co kryją myśli tego niebezpiecznego mężczyzny.

Niedole nie skończyły się wraz z końcem dnia. O zachodzie słońca trzy czółna przybiły do piaszczystego brzegu, na którym stała wioska indiańska. Była większa niż ta, którą opuścili dzisiaj rano. Mieszkańcy wioski tłumnie wylegli na plażę i witali przybyszów radosnymi uśmiechami.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Miri, gdy wraz z Uśmiechem Poranka wyszła na brzeg.

- To jest UArbre Croche - odparła kobieta. - Jesteśmy teraz na północno-wschodnim wybrzeżu jeziora Michigan. Ci ludzie to plemię Ottawa. Dobrzy przyjaciele. Przenocujemy tutaj.

- Dzięki Bogu! Już myślałam, że się nigdy nie zatrzymamy.

Nadzieje na odpoczynek nie spełniły się jednak. Ottawowie znali dobrze Jordana i byli zaintrygowani obcą białą kobietą, która została przedstawiona jako jego nowa żona.

Natychmiast po wyładowaniu tobołów z czółna Uśmiech Poranka pociągnęła Miri za sobą. Jane została oddana pod opiekę starej Indianki, która wydawała się być tym zachwycona, a Miri prowadzono od jednej grupy ludzi do drugiej. Gawędzono przy ogniskach i tłumaczono Miri niektóre zwroty. Rozległy się jęki i szloch, gdy rozeszła się wieść o śmierci Tancerki Jeziora, ale kiwano głowami z aprobatą na wieść o ponownym małżeństwie Jordana.

Miri uśmiechała się i starała się być uprzejma, chociaż nie rozumiała słów i gestów Indian. Dwukrotnie spojrzała na Jordana, ale on był zajęty rozmową z atrakcyjną młodą Indianką i nie zdradzał ochoty ratowania jej z opresji, jaką stwarzała ciekawość Ottawów. Wreszcie tłumek zaczął rzednąć. Nie przyniosło to jednak wytchnienia.

Po prezentacji wszyscy mieszkańcy wioski zebrali się wokół centralnego ogniska i rozpoczął się festyn na cześć gości. Uśmiech Poranka odebrała Jane od starej Indianki i oddała ją Miri. Wskazawszy dziewczynie miejsce obok Jordana, odeszła do Chwytającego Dym.

Teraz Miri siedziała i udawała, że je. Była zbyt zmęczona i straciła apetyt. Marzyła tylko o śnie. Jordan obdarzył Miri swym srebrzystym spojrzeniem. Łajdak bawił się nią i grał w tę swoją dziką grę. No cóż, można grać we dwoje. I tak nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Miri odwróciła się od Jordana i zaczęła obserwować mieszkańców wioski łączywie pochłaniających jedzenie. Nie miała nic innego do roboty, jak tylko siedzieć i patrzeć na ludzi jedzących rękami. Dlaczego nie mogła pójść do wigwamu i zasnąć?

Patrzyła na świeżą rybę, pieczoną kukurydzę, dzikie ziemniaki i suszone jagody z syropem klonowym, które przed nią postawiono. Usiłowała ukryć swe uczucia pod uprzejmym uśmiechem. Jordan nie powinien myśleć, że jego zły humor wyprowadza ją z równowagi. To on zrobił z siebie głupca ubiegłej nocy. Miri lu-

dziła się, że nadal czuje się nie najlepiej z powodu przepicia. Może się pochoruje od tego jedzenia?

Gdy już wszyscy pochłonęli swe porcje, starsi mężczyźni wstawali kolejno i wygłaszali długie oracje. Miri domyśliła się, że są to mowy powitalne. Nie rozumiała ani słowa i trudno jej było udawać zainteresowanie. Modliła się, by to zgromadzenie wreszcie się zakończyło, ale jej nadzieje rozwiął widok kilku mężczyzn z dziwnymi instrumentami w rękach. Rozległa się melodia grana na czymś w rodzaju fletu z kości czy drewna; Miri nie miała ochoty zgadywać.

Fleciście towarzyszyło rytmiczne dudnienie, które przenikało każdą komórkę ciała Miri. Wydawało się, że jej serce też bije w tym rytmie i wszystko pogrążyć się zaczęło w usypiającym transie. Obawiała się, że upadnie i zaśnie jak mała Jane. Była taka zmęczona, a bębny tak hipnotycznie dudniły.

Nagle otrzeźwiała. Wytężyła wzrok, bo to, co zobaczyła, było warte patrzenia. Wszyscy obecni musieli podzielać jej opinie, gdyż zgromadzili się wokół kobiety tańczącej wewnątrz kręgu widzów. Muzyka zachęciła początkowo parę osób, które zaczęły poruszać się rytmicznie w takt melodii. Po kolei jednak siadały na ziemi i w kręgu gapiów została tylko jedna tancerka. Jej ruchy były zmysłowe, prowokujące, intensywne i przeznaczone dla jednego tylko widza - Jordana Scotta. Nawet flecista przestał jej akompaniować. Zapanowała cisza. Jedynym dźwiękiem było teraz trzaskanie ognia i tupot stóp kobiety. Tancerka pochylała się i kołysała, jej lśniące warkocze tańczyły wraz z nią, biodra podrygiwały, piersi sterczały wyzywająco na wysmukłym torsie. Ta kobieta była naturą, ziemią, dojrzałością uczuć, wdziękiem, urodą i zmysłowością. Była też najzuchwalszą dziewczyną, jaką Miri widziała kiedykolwiek. I rozpoznała ją natychmiast. To z nią Jordan tak długo rozmawiał po przyjeździe.

Miri spojrzała ukradkiem na Scotta. Nie miał zamiaru przerywać tego obscenicznego widowiska. Dziewczyna też nie spuszczała oczu ze swej ofiary. Obydwoje mogli równie dobrze kochać się publicznie. Ich spojrzenia były zupełnie bezwstydne.

Miri nie była zazdrosna. Jordan Scott, Oczy Ducha, renegat i bękart, mógł robić z siebie głupca i brykać z każdą kobietą, któ-

rej pragnął, ale teraz ona, Miri, siedziała obok niego. Wszyscy uważali ją za jego żonę. Na jej kolanach spało dziecko, jego dziecko. Mógłby ten łajdak zachować odrobinę dyskrecji! Na pewno mieszkańcy wioski już litują się nad nią. Mogła to wyczytać z ich oczu.

Teraz mała Indianka wyciągnęła ręce do Jordana, zapraszając go do wzięcia udziału w wulgarnym tańcu. Uśmiechał się, niech go diabli! Chyba nie weźmie... Wziął. Wstał i zaczął kołysać się w rytm bębnów. Dziewczyna położyła ręce na jego szerokich ramionach i zaczęła go ciągnąć do ogniska. Miri zdecydowała, że ma już tego dosyć. Ulokowała Jane w zagłębieniu jednej ręki, w drugą zaś chwyciła miskę z jagodami i syropem klonowym. Jordan odwrócił się i spojrział na nią. Niespodzianka! Zauważył wreszcie jej istnienie. Nie pozwalając sobie na zastanowienie, Miri wysypała zawartość miski na głowę Jordana i dopilnowała, by jego partnerka otrzymała też swoją część. Bębny umilkły. Jordan patrzył na Miri osłupiały. Nim osłupienie przerodziło się w gniew, Miri odwróciła się i zniknęła w ciemności.

Cedrowa przybudówka nie była może rajskim schronieniem, ale dawała trochę osłony. Ktoś zbudował już wcześniej ognisko, które tliło się teraz czerwono. W pełgającym świetle dało się odnaleźć zwinięte posłania. U wejścia stała Petunia i jej żalosne beczenie doskonale odpowiadało nastrojowi Miri.

Dziewczyna ulokowała Jane na stercie futer i rozciągnęła się na swym posłaniu. Nigdy nie była tak zmęczona i nigdy tak bardzo nie pragnęła snu. Ale sen nie nadchodził. Jane wierciła się, koza hałasowała, a niemiłe obrazy zaczęły prześladować Miri. Można było zignorować dźwięki z zewnątrz, ale nie można było zagłuszyć własnych myśli.

Jordan będzie wściekły. To cud, że od razu nie chwycił jej i nie wytrząsnął z niej duszy.

"Jordan zasłużył sobie na wszystko, co dostał" - myślała Miri pośepnie. Na wszystko i na jeszcze więcej. I pomyśleć, że parę tygodni temu zaczynała lubić tego drania, gdy widziała jego opiekuńczość wobec Jane i rodziny Peaveyów. Jakże się myliła w iwych ocenach. Ten mężczyzna był całkowicie niemoralny.

"Ale pamiętaj, że ten łobuz chroni cię przed Michaelsem" - podpowiadało sumienie.

"Ale tylko dlatego, że Grace go do tego zmusiła. Jordan Scott mógłby spokojnie pozwolić mi zginąć w więzieniu".

"Zmusiła go?" - spytało sumienie. - " Czy ktokolwiek może zmusić Jordana Scotta do zrobienia czegokolwiek? Bądź uczciwa, Miri".

"On potrzebuje mnie tak samo, jak ja jego. Co będzie z Jane?"

"Można to inaczej załatwić. Nie oszukuj się. Nie miałaś prawa zachować się jak dzieciuch wobec mężczyzny, który uratował ci życie i uchronił przed więzieniem."

"Czy miał prawo flirtować z tą zuchwałą dziewczyną w obliczu całej wsi? Chociaż nie jest moim mężem, wszyscy myślą, że jest. A co z moimi uczuciami?"

"Uczucia nie są teraz ważne. Ważne jest przetrwanie."

"No to skocz do jeziora" - zaprosiła siebie samą Miri. Ukryła twarz w dłoniach, chcąc uciec od własnego sumienia. Było zaiste bardzo niewygodną rzeczą.

W tej chwili do przybudówki wszedł Jordan i przerwał rozmowę Miri z sobą samą. Niósł kaganek i w jego świetle Miri zobaczyła, że twarz Jordana jest posępniejsza niż zwykle. Jagody jeszcze lepiły się do jego policzka. "Udawaj sen" - pomyślała Miri - "to twoja jedyna obrona". Zaczął ją szturchać stopą i udawanie snu stało się niemożliwe.'

- Zostaw mnie - zajęczała i odwróciła się do niego plecami.

- Ani mi się śni. Wstawaj, ty żaloszny dzieciuchu. Co ty sobie myślisz? Musiałem z godzinę wygładzać nastroszne pióra Wierzbowej Pieśni po tym twoim występie. I niech mnie diabli, jeśli tobie nie będzie trzeba wyrwać paru.

- Nie używaj przy mnie takiego języka! - odrzuciła futra i zerwała się na równe nogi.

- Będę używał takiego języka, jaki mi się będzie podobał.

- I tak robisz, co chcesz! Ta impertynentka nazywa się Wierzbowa Pieśń? Musiało ci być miło przyglądać jej potargane piórka. Niech cię diabli wezmą, Jordanie Scott! Traktujesz mnie jak niewolnicę, przychodzisz pijany i mylisz mnie z prostytutką,

upokarzasz mnie i zachęcasz tę indiańską Jezabel do obscenicznych tańców i łypiesz na nią pożądliwie przed oczami całej wsi. Wszyscy myślą, że mój mąż wystrychnął mnie na dudka!

- Od kiedy to obchodzą cię poglądy dzikusów? I nie twoja sprawa, na kogo ja łypię.

- To jest moja sprawa. Tak długo, jak ludzie myślą, że jestem twoją żoną, jesteś mi winien pewien szacunek. Powinieneś się choć w części zachowywać jak lojalny mąż. O ile wiesz cokolwiek o lojalności.

Jordan uśmiechnął się nagle. Miri stwierdziła, że uśmiech ten jest bardziej przerażający niż złowrogi wyraz twarzy.

- A czy ty przygotowana jesteś do zachowywania się jak lojalna żona?

- O co ci chodzi?

Uśmiech stał się jeszcze szerszy i jeszcze bardziej nieprzyjemny.

- Chodzi mi o to, co lojalny mężczyzna otrzymuje od lojalnej żony. Mając w łóżku małą, ciepłą Angielkę, mógłbym mniej ochoczo patrzeć na inne kobiety.

Miri otworzyła szeroko oczy. Chciała spoliczkować tego aroganta, ale cofnęła rękę w ostatniej chwili. Coś w jego oczach sprawiło, że zacisnęła dłoń w pięści i założyła je za siebie.

- Jesteś dzikusiem. Indianie ostatecznie mają jakieś wytłumaczenie. Ale ty! Jesteś szalony!

- Masz rację. - Wyglądał na niezbyt poruszonego jej oskarżeniami. - Byłem szalony, że posłuchałem Grace i szalony, że spodziewałem się czegoś lepszego po tobie. Jesteś dla mnie tylko cierniem w boku. - Zerwał koc z wejścia do przybudówki. - Od teraz zachowuj się lepiej, panno Sutcliffe. Jeszcze jeden wyskok z twojej strony i zostawię cię na żer wilkom.

Koc opadł, zapanowała ciemność i dziwna, niewytłumaczalna pustka. Miri upadła na posłanie i łzy rozczarowania popłynęły po jej policzkach. Poszedł do tej kobiety, na pewno. Jak ona ma na imię? Wierzbowa Pieśń? Nie dbała o to, gdzie ten diabeł poszedł. Mógłby iść wprost do piekła i Miri byłaby zachwycona. Jeśli pożąda kobiety, która narzuca mu się w tak niesmaczny sposób, to dowód na całkowity upadek moralny.

Miri naciągnęła na siebie futra i zamknęła oczy z determinacją. Nie dbała o niego. Naprawdę, nie dbała. Był taki... odpychający. Ta kobieta i Jordan Scott spółkujący jak zwierzęta na brudnej podłodze wigwamu. Jak taki bestialski akt może być dla kogoś przyjemnością? Miri wyobrażała sobie Wierzbową Pieśń tarzającą się po futrach z tym renegatem. Kobieta owijała się wokół niego jak wąż, on całował ją tak jak Miri, jego nogi otaczały ją, ona wila się pod nim. I nagle kobieta w wizji nie była już Wierzbową Pieśnią, była samą Miri.

Co za wstyd! Miri ukryła twarz w futrach. Przeklęte namiętności odziedziczyła zapewne po ojcu. Jej święta matka nigdy na pewno nie miała takich myśli. Niech będzie przeklęty jej ojciec, niech będzie przeklęty Jordan Scott, niech będzie przeklęta Wierzbowa Pieśń! I Miri niech będzie przeklęta. Dlaczego nie wybrała więzienia!

Jordan uderzał pięścią mijane drzewa. Kostki zaczęły już krwawić, ale nie przejmował się tym. Ból odrywał go od uczucia zmieszania i gniewu.

- Cóż za diabeł cię opętał, mój bracie! - rozległ się w ciemności głos Ujeżdżającego Fale, kojący kompres na frustrację Jordana.

Scott zwolnił i pozwolił przyjacielowi iść razem z nim.

- Ta kobieta doprowadzi mnie do morderstwa. Powinienem zawrócić i oddać tę dziewczkę Brytyjczykom. Byłoby to w interesie Amerykanów.

- Żony są często ciężarem. - Zęby Ujeżdżającego Fale błysnęły w uśmiechu. - Ale co byśmy bez nich zrobili?

- Gówno! - zaklął Jordan po angielsku. Język Czipewejów nie wyrażał w pełni jego uczuć. - Ta mała wilczyca nie jest moją żoną. Mówiłem ci już przecież.

- A teraz powiedziales Wierzbowej Pieśni. Słyszałem sam. To nie było mądre. Wierzbowa Pieśń zawsze zazdrościła Tancerce Jeziora miejsca w twoim łóżku. Gdyby wierzyła, że się ożeniłeś, zostawiłaby cię w spokoju. Teraz będzie cię ściagać jak wilczyca królika.

Jordan znów zaklął. Trzeba przekląć tyle rzeczy, które się zdarzyły w ciągu ostatnich miesięcy.

- To była zupełnie niewinna rozmowa, do cholery! Jedynym powodem, dla którego wyciągnąłem Wierzbową Pieśń na bok, było wypytanie ją o kuzyna Miri. Chciałem się dowiedzieć, czy przejeżdżał przez wioskę ostatniej wiosny.

- I?...

- Pamięta go bardzo dobrze. Musiał zrobić na niej duże wrażenie, bo paplała o nim dość długo. A potem rozmowa zeszła na mnie i Miriam Sutcliffe. Skoro już jej powiedziałem o kuzynie Miri, to opowiedziałem i resztę historii. Psiakrew! Skąd miałem wiedzieć, że Pieśń zostawiła męża? Albo że zechce być następną kobietą w moim łóżku? A ten taniec - gówno! Ona tylko udawała. Ona jest dla mnie jak siostra.

Ujeżdżający Fale zachichotał i potrząsnął głową.

- Jesteś ślepy, mój bracie, ale ta Angielka nie. Twoja żoneczka nie jest zachwycona Wierzbową Pieśnią.

- Ta diablica nie jest moją żoną. Ale nie była zachwycona, to fakt.

Ujeżdżający Fale filozoficznie pokiwał głową.

- Według naszej tradycji ona jest twoją żoną. Może czułbyś się lepiej, gdybyś wziął ją do łóżka. Kobieta, która śpi sama, potrafi być swarliwa. Zrób jej dziecko i uspokoi się zaraz.

Zatrzymali się i spojrzeli w usiane gwiazdami niebo. Jordan westchnął i spuścił głowę.

- Nie mam nastroju do żartów.

Ujeżdżający Fale nie poddawał się. Znał dobrze swego adoptowanego brata i wiedział, jak z nim rozmawiać.

- Litujesz się nad sobą, mój bracie. Jesteś pełen goryczy. Chodź, pomocujemy się trochę i wyładujesz się.

Walka, nawet przyjacielska, bardzo odpowiadała nastrojowi Jordana. Poruszył ramionami, by rozluźnić mięśnie i rzucił się do ataku. Obydwaj mężczyźni runęli na ziemię. Obejmowali się, tarzali, rozluźniali uścisk, wstawali i znowu padali.

Po paru minutach zapasy przerodziły się w bijatykę. Według reguł Czipewejów, walkę należało przerwać, gdy zaczynały się ciosy twardą pięścią. Teraz jednak świadkami były tylko wysmukłe sosny, a im było obojętne to, że obaj walczący lekceważą reguły. Jordan nie przejmował się perspektywą zapuchniętych oczu i

posiniaczonej twarzy. Wraz z każdym ciosem wyladowywał swoje frustracje - pożądanie, poczucie winy, zamieszanie i niemożność ucieczki. Niechby oczy zapuchły jutro całkiem - nie będzie można patrzeć na wdzięczny chód Angielki, na jej kasztanowate loki, aksamitną linię jej szyi lub wygięcie upartych ust. Nie trzeba będzie oglądać jej piastującej jego rozrzewniającą córeczkę, czy zgadywać, co za wyrzut kryje się w olbrzymich, nieprawdopodobnie błękitnych, oczach. Może trzeba walczyć aż do zupełnego zmęczenia i zasnąć bez marzeń?

Jordan ukląkł i oparł się na rękach. Ujeżdżający Fale opadł na ziemię obok niego. Obydwaj byli zakrwawieni i posiniaczeni.

- Masz dość? - spytał Indianin.

- Mam dość - wydyszał Jordan.

Mógł mieć dość wielu rzeczy. Ta kobieta była aniołem w jednej chwili i diabłem w następnej, ale zawsze była uosobieniem pokusy. I nie wiedziała o tym.

Jordan zadrżał w zimnym podmuchu wiatru. Drzewa zakowały się. Gwiazdy znikły za ciężkimi chmurami, powietrze było wilgotne. Nadszła długa, chłodna zima.

ROZDZIAŁ X

Miri odsunęła koc znad wejścia i ujrzała olśniewająco biały dywan ze śniegu. Woda w ceberku pokryta była warstwą lodu, oddech zmieniał w białą mgiełkę.

Miri uśmiechnęła się. Nawet w Londynie lubiła śnieg, a ten był jeszcze piękniejszy niż tamten miejski. Każde drzewo pokryte było bielą. Sosny stały sztywno jak wartownicy pod błękitnym niebem. Cały świat wydawał się być nowy i czysty.

Miri wróciła do przybudówki, włożyła na siebie czystą bieliznę i wełnianą suknię i zajęła się porannymi obowiązkami. Uśmiech na jej twarzy powoli zniknął. Petunia zachowywała się niespokojnie, a śnieg ostatecznie wytrącił z równowagi biedną kozę. Za nic nie chciała wyjść z przybudówki, którą uznała za znakomite miejsce do robienia tego, na co miała ochotę. No i zrobiła ku obrzydzeniu Miri. Dojenie Petunii też nie było łatwe. Kozą szarpała się i kopała. W tym czasie obudziła się Jane. Miri nerwowo przewinęła dziecko, nakarmiła i próbowała ukoić jego płacz. Jakkolwiek bardzo kochała Jane, życzyła sobie czasem, żeby dziewczynka choć raz się roześmiała lub krzyknęła ze złością. Dziecko jednak potrafiło tylko żałośnie i jednostajnie pisać. Było to irytujące i bardzo męczące.

Po umyciu i nakarmieniu dziecka, sprząnięciu brudów po kocznie i po zrobieniu własnej toalety, Miriam zajęła się zwijaniem posłań i przygotowywaniem pakunków do załadowania na czółno. Rzeczy Jordana leżały nietknięte - wciąż porządnie związane i ułożone. Miri kopnęła toból i uśmiechnęła się na myśl, że mogłaby tak samo kopnąć jego właściciela. Kopniak dla tego człowieka, to stanowczo za mało.

Uśmiech Poranka nadeszła właśnie, gdy Miri kopała toból Jordana. Indianka popatrzyła ze zrozumieniem na młodą kobietę.

- Oczy Ducha jest z Chwytającym Dym i Ujeżdżającym Fale. Oni poszli na polowanie o świcie - wyjaśniła.

- Będziemy mieli świeże kaczkę na wieczór.

- Myślałam, że dzisiaj ruszymy dalej.

- Ruszymy. Spotkamy się z nimi około południa.

- Jak...? - Miri spojrzała na plażę.

Czołna były wyciągnięte na brzeg. Jezioro leżało nieruchomo pod zimnobłękitnym niebem. Woda przy brzegu była pokryta cienką warstwą lodu.

- Zima przyszła wcześniej tego roku - Uśmiech Poranka po trząsnęła głową. - Musimy iść pieszo.

- Ale lód jest za cienki. I w południe roztopi się.

Indianka pokręciła przecząco głową.

- Nasze czołna są równie cienkie, Oczy Nieba. I nie możemy czekać do południa.

- Jak mnie nazwałaś? - nachmurzyła się Miri.

- Oczy Nieba. Jesteś dobrą kobietą i musisz mieć dobre imię.

Miri spochmurniała jeszcze bardziej. Teraz jeszcze zmienili jej imię. Miriam Sutcliffe brzmi zupełnie dobrze.

Uśmiech Poranka poleciła Miri pójść za sobą i wiązać bagaże, aż utworzyły jedną paczkę. Miri ponuro spełniała polecenia.

- Musisz się przyzwyczać do naszych zwyczajów - radziła Uśmiech Poranka, widząc minę Miri. - To jest tylko przezwisko, moja córko. To nie jest obraźliwe i nie ma znaczenia. Znaczenie mają tylko imiona ducha.

- Ja nie mam imienia ducha.

- Będiesz kiedyś miała, jak sądzę. Gdy duchy uznają, że jesteś gotowa.

Miri nie odezwała się, gdyż zdawała sobie sprawę z ogromu przesądów, w jaki wierzyła ta kobieta. Pracowała w milczeniu. Gdy skończyły pracę, spytała:

- Gdzie to wszystko załadujemy?

- Na plecy - odparła Uśmiech Poranka z rozbawieniem w głosie.

- Co? Mamy to nosić?

- I jeszcze kołyskę, moja córko. Musisz się nauczyć.

- A co z moim dzielnym mężem? - spytała Miri kwaśno.

Uśmiech Poranka spojrziała na nią uważnie.

- On i inni wojownicy chronią nas i dostarczają jedzenie. No szenie ciężarów jest łatwe, jeśli się przyzwyczaisz. Przy dobrym śniegu można załadować wszystko na sanie z psim zaprzęgiem.

Miri odwróciła się wściekła i starsza kobieta pokręciła głową z niezadowoleniem.

- Jesteś bardzo zła na Oczy Ducha - stwierdziła. - Ostatniej nocy okazałaś swe niezadowolenie wobec jego przyjaciół. Nie postąpiłaś słusznie. Jesteś białą kobietą i dlatego ci wybaczymy. Powinnaś wiedzieć jednak, że kobiety Czipewejów szanują swych mężów, Oczy Nieba.

Nowe imię rozjątrzyło Miri jeszcze bardziej.

- Nie postąpiłam słusznie? - krzyknęła. - Co zrobiłam? On mnie upokorzył! Czy to jest obyczaj Czipewejów, by mężowie zalecali się do obcych kobiet w obecności swych żon?

- Moja córko, jeśli mężczyzna patrzy na inne kobiety, musi zawsze być jakiś powód.

- Ja już mu dam powód - wymruczała Miri pod nosem.

Jak miała wytłumaczyć tej kobiecie, że Jordan nie jest jej mężem? Przybrana matka Jordana mogłaby nią pogardzać, zaś Miri zależało na przyjaźni Uśmiechu Poranka.

- Spróbuję się nauczyć - odparła sztywno. - Muszę jednak też być szanowana przez niego.

- Z takiego męża jak Oczy Ducha każda kobieta byłaby dumna.

Miri zachowała swój sceptycyzm dla siebie. Uśmiech Poranka miała widocznie taką samą słabość do Jordana jak Grace Peavey. Wszystkie matki jednak, nawet przybrane, są ślepe na błędy swych dzieci.

Był jeszcze poranek, gdy kobiety pożegnały się z mieszkańcami wioski i ruszyły w drogę. Uśmiech Poranka poprawiła bagaż Miri i poleciła jej zmienić wełnianą suknię na tunikę z kozłej skóry, frędzliste spodnie czyli leggingi, i mokasyny, które należały kiedyś do Tancerki Jeziora. Miri uprzejmie odmówiła. Mogła sypiać na podłodze w nędznym szałasie, przedzierać się przez lasy w towarzystwie dzikusów, dać się obładować ciężarami jak

juczny muł, ale nie miała zamiaru rezygnować z cywilizowanego ubioru. Zgodziła się tylko na mokasyny.

Miri usiłowała właśnie przyzwycząić się do wielkiego bagażu na plecach, gdy zobaczyła tak samo obładowaną Indiankę, która podążała ich śladem.

- A co ona robi? - zwróciła się Miri do Uśmiechu Poranka przez zaciśnięte zęby.

- To jest Wierzbowa Pieśń. Idzie z nami.

Miri osłupiała i zaniemówiła na chwilę z wrażenia.

- Co? Przecież ona... ona... jest...

- Wierzbowa Pieśń jest moją córką, siostrą Ujeżdżającego Fa-
le i Tancerki Jeziora. Poślubiła mężczyznę z plemienia Ottawów,
ale postanowiła go teraz opuścić. Mój mąż pozwolił jej na spędzenie zimy razem z nami.

"Tak jakby ten poranek nie był już wystarczająco zły" - pomyślała Miri z goryczą. Jak Jordan się ucieszy. Przynajmniej nie będzie się nudził tej zimy.

- Moja matko - Wierzbowa Pieśń pozdrowiła Uśmiech Poranka i zaczęła iść obok niej, lekko i swobodnie.

- Wierzbowa Pieśni, to jest żona Oczu Ducha. Nazwałam ją Oczami Nieba.

Wierzbowa Pieśń zwróciła się do Miri.

- To ty zajęłaś miejsce mojej siostry. - Jej ton nie był specjalnie wrogi, ale w uśmiechu czaiło się wyzwanie do walki.

- Nie wierzę, by można było zająć miejsce twojej siostry. Co za szkoda, że opuszczasz swego męża. Będziesz bardzo samotna i nieszczęśliwa - odparowała Miri.

- To on będzie samotny, nie ja. Ten człowiek to świnia. Szybko znajdę sobie innego. - Jej uśmiech mówił o tym, kto jest jej wybrańcem.

Miri uśmiechnęła się z niezwykłą słodyczą.

- Więc musisz znaleźć sobie kogoś, kto nie będzie świnia. -
"Ale to ona będzie świnia, jeśli zdobędzie Jordana" - pomyślała Miri. Zauważyła teraz podobieństwo między Pieśnią, Uśmiechem i Tancerką Jeziora. Jednak usta zmarłej dziewczyny uśmiechały się słodko, gdy tymczasem wargi jej siostry wykrzywiały grymas, a ostre spojrzenie oczu postarzało ją.

Wędrówka przez las nie była przyjemna, a bagaż uwierał Miri. Dobrze, że Uśmiech Poranka zechciała nieść Jane. Miri nie miała pojęcia, jak starsza Indianka może iść tak swobodnie z tobołami i dzieckiem na plecach. Miri czuła się okropnie, choć nie była zbyt obciążona. Drżały jej ręce, pocila się i musiała jeszcze prowadzić kozę, która szarpała się, bodła i beczała.

Nim minęła godzina, Miri była tak zmęczona, że zaczęła się przewracać. Jeśli upadła na plecy, wyglądała jak bezradny żółw nie umiejący wstać; gdy upadła na twarz, leżała nosem w śniegu. Obydwie Indianki były cierpliwe, choć cierpliwość Wierzbowej Pieśni musiała być wspomagana surowym spojrzeniem matki.

W południe kobiety spotkały się z trzema mężczyznami, którzy wysunęli się bezszelestnie pomiędzy drzew.

- Bardzo się spóźniacie dzisiaj, kobiety. - Chwytający Dym był zły. - Cofnęliśmy się o trzy mile od miejsca naszego spotkania.

- Czy tak się nam śpieszy, mój mężu? - uśmiechnęła się starsza Indianka. - Przed nami długa zima.

Miri usiadła na zwalonym pniu. Nie rozumiała słów Czipewejów, ale domyślała się, że ona jest przyczyną sprzeczki. Zmęczenie doprowadzało ją do łez. Nie da sobie rady. Trzeba po prostu zawrócić lub znaleźć przewodnika do fortu. Chętnie odda się w ręce kapitana Michaela i spędzi zimę w cywilizowanym więzieniu. Nawet powieszenie nie byłoby gorsze niż obecna sytuacja.

- Czy spędziłaś miły poranek? - spytał nagle Jordan.

Nie raczyła nawet odpowiedzieć, choć jej serce zadrżało na dźwięk jego głosu. "To na pewno ze strachu" - pomyślała.

Jordan nie czekał na jej odpowiedź. Mógł sam zobaczyć, że wyglądała żałośnie - jej suknie były zmoczone, ramiona obwisłe. Twarz na pewno była sina. Rany boskie! I ona usiłowała kiedyś tłumaczyć Jordanowi, że potrafi robić wszystko i dorównać indiańskim kobietom?

Miri patrzyła tylko na swe mokasyne i z zaskoczeniem ujrzała u swych stóp pęczek nieżywych, zakrwawionych kaczek. Podniosła głowę i spojrzenie jej powędrowało po skórzanych legginsach Jordana, ominęło opaskę lędźwiową, podążyło w stronę piersi, ukrytej pod kurtką z piżmaków i spoczęło na jego twarzy. To dziwne, że mężczyzna z ogoloną głową i jedynym tylko kos-

mykiem włosów, mógł wydawać się tak szatańsko przystojny. Właściwie kiedy zaczęła tak o nim myśleć?

- Co to jest? - spytała, wskazując na pierzasty kłęb.

- Kaczki.

- Wiem, że to kaczki, panie Scott. Dlaczego one leżą przede mną?

- Trzeba je oczyścić - rozkazał. - Upieczemy je wieczorem.

Miri zerwała się na równe nogi. Ignorując szarpiącą się Petu nie, podniosła pęk kaczek i rzuciła je na pierś Jordanowi.

- Sam je sobie oczyść, wielki myśliwy! - Odwróciła się i odeszła, ciągnąc za sobą kożuch.

Uśmiech Poranka interweniowała natychmiast. Zabrała kaczki z piersi Jordana, by nie rzucił nimi w Miri.

- Ja zajmę się kaczkami, mój synu. Oczy Nieba musi nakarmić twoją córkę.

- Jak ty ją nazwałaś?

- To jest dobre imię, prawda? Twoja żona ma oczy koloru nocnego nieba - uśmiechnęła się przekornie. - A może mężczyźni nie zauważają takich rzeczy?

Spojrzenie Jordana podążyło za Miri, która zajęta była małą Jane. Wyraz jego twarzy powiedział Indiance, że zauważył kolor oczu Miriam i nie tylko to. Pokiwała głową z zadowoleniem.

- Dziś wieczorem pokażę twojej żonie, jak gotować kaczki z jarzynami, tak jak lubisz. Będziesz zadowolony.

Nie czekając na komentarz Jordana, wyjęła nóż i zaczęła oprawiać kaczki, równocześnie przeżuwać swój południowy posiłek, złożony z suszonej dziczyzny i kukurydzy.

Szybko dołączył do niej Chwytający Dym.

- Oczy Ducha zaczyna mieć kłopoty z nową żoną - skomentował. - Miał zamiar dać jej nauczkę i ty musiałaś się wtrącić.

- Oczy Nieba nie jest Anishanabe. Jest jej ciężko, ale to dobra kobieta. Naucz się, o ile Oczy Ducha pozwoli jej na to. - Spojrzała ponuro na tych dwoje - Jordana, tnącego suszone mięso i nieustannie śledzącego każdy ruch Miri; i na nią samą, usiłującą nie patrzeć na Jordana.

- Nasz syn zwariował na punkcie tej kobiety. Coś w niej doprowadza go do takiego stanu.

Chwytający Dym zgodził się z żoną.

- Ona jest kłopotliwą kobietą. Za czasów naszej młodości, moja żono, kobieta nie szanująca męża otrzymałaby solidne baty - zachichotał bezgłośnie.

- Czyżby, mój miły? Myślę, że pamięć płata ci figle. Gdybyś kiedykolwiek potraktował mnie tak jak Oczy Ducha swoją nową żoną, nie miałbyś ciepłego wigwamu, zaś twoje siedzenie nosiłoby ślady moich stóp.

- Ho, ho! Może powinienem ostrzec naszego syna, że mu buntujesz żonę?

- Oczy Nieba sama da sobie radę - zapewniła go Uśmiech Poranka. - Co do naszego syna, trochę dziwiłam się, że tak szybko ożenił się po śmierci Tancerki, ale teraz już wiem. Wystarczy popatrzeć na wyraz jego twarzy, gdy ją obserwuje. On walczy z samym sobą, bo nie chce jej oddać swego serca, ale już to zrobił. Teraz zachowuje się jak dziecko, ale niebawem znów będzie mężczyzną.

Chwytający Dym zamruczał z niezadowoleniem.

- Wy, kobiety, i te wieczne sprawy sercowe! Dlaczego nie zostawicie mężczyzn w spokoju? Jeśli musisz uczyć naszą nową córkę jej obowiązków, to zrób to. Musimy jeszcze dzisiaj iść dalej.

Indianka nie przejęła się jego narzekaniem, gdyż wyczytała w jego oczach uczucie, niezmiennie od trzydziestu lat.

Odpoczynek południowy spowodował zeszywnienie mięśni Miri. Nie mogła dalej iść, koza opierała się bez przerwy, bagaż groził utratą równowagi, a skąpa racja suszonego mięsa nie zaspokoila głodu. W dodatku ten przeklęty Jordan wziął na plecy część ciężaru Uśmiechu Poranka, lecz nie miał zamiaru pomagać Miri.

Po przejściu paru kroków stopy Miri splątały się i dziewczyna runęła twarzą w śnieg. Jordan obejrzał się, ale nie zamierzał jej pomóc. Miri przeklęła swe przechwałki; może udając słabość zmusiłaby Jordana do uprzejmości. Wstała i rzuciła mu nienawistne spojrzenie. Po chwili upadła znowu, potem znowu i znowu. Już nie próbowała wstać. Łzy zalewały jej twarz. Nagle mokasyn Jordana zjawił się przed jej twarzą.

- Do niczego się nie nadajesz. Nie umiesz gotować, nie umiesz szyć, nie umiesz wiosłować, nie umiesz ogrzać mężczyzny w nocy. A teraz się okazuje, że nawet nie umiesz chodzić.

- Niech cię diabli porwą, Jordanie Scott!

Potrząsnął głową z dezaprobatą.

-1 niestosowny język. Któż mógłby podejrzewać angielską damę o takie brzydkie maniery?

Miri poderwała się z ziemi z wściekłością.

- Mamy kawał drogi przed sobą i nie możemy ciągle na ciebie czekać. Uśmiech Poranka ma leggingi i tunikę Tancerki. Włóż je. Zobaczysz, że ci będzie łatwiej iść niż w tych płaczących się kieckach.

- Mowy nie ma! Nie włożę! - zaprotestowała. - Nie jestem Indianką i nie będę nosić takich dziwacznych strojów!

Kłęcząca teraz na śniegu i wołała mówić do kolan Jordana, niż patrzeć w jego aroganckie, srebrzyste oczy.

- Jestem cywilizowaną kobietą i nie nadaję się do oprawiania martwych ptaków, noszenia olbrzymich ciężarów, do gotowania nad otwartym ogniem i zajmowania się upartą kozą.

- A zatem cywilizowane kobiety są zupełnie bezużyteczne.

Wściekłość Miri stłumiła jej płacz.

- Sądzę, że to zależy od sposobu wykorzystywania tych kobiet. Nie jestem jucznym mułem ani służącą. Nie jestem też pożądaną jędzą do ogrzewania łóżka. Jestem...

- Cywilizowaną kobietą - uzupełnił jadowicie. - Jest pani tak cywilizowana, panno Sutcliffe, że aż nieludzka.

Oczy Miri spojrzały wreszcie na twarz Jordana.

- Nie należę też do podludzi, panie Scott.

Jordan spoglądał na nią groźnie. Musi dać nauczkę tej czarownicy. Obszarpana, zmęczona i przewracająca się potrafiła jeszcze poderżnąć gardło mężczyźnie tym swoim językiem. Ale on już miał dość tej dziecinady. Niech go diabli, jeśli zaraz z tym nie skończy!

Odwrócił się i odszedł do pozostałych osób, które patrzyły na nich z ciekawością. Powiedział coś do Uśmiechu Poranka, która skinęła głową i wyciągnęła z bagaży te same ubrania, jakie ran-

kiem proponowała Miri. Jordan wrócił i rzucił przed Miri kozłowe skóry.

- Proszę to włożyć!

- Sam je włóż - odparła Miri, ignorując jego ostrzegawcze spojrzenie. - Zawsze myślałam, że nosisz za mało ubrań.

Jordan skoczył do przodu bez słowa. Wyrwał z rąk Miri bagaże i wetknął jej w ręce kozie skóry.

- To jest ostatnia szansa - ostrzegł, trzymając skóry przed jej oczami.

Miri w odpowiedzi kopnęła go w goleń.

- No, to doczekałaś się!

Dostrzegł przestרח w jej oczach, gdy chwycił ją i zarzucił sobie na ramię. Pod drugą pachą niósł ubranie Tancerki i tak obciążony ruszył w zarośla. Uśmiech Poranka i Chwytający Dym wymienili rozbawione spojrzenia.

Buty śniegowe i mokasyny Miri zostały na śniegu, ale Jordan miał zamiar zdjąć z niej jeszcze więcej. Zrobił to już kiedyś, ale wtedy jej krzyki nie sprawiały mu satysfakcji.

- Bądź cicho, do cholery!

Przewrócił ją na ziemię i usiadł na niej okrakiem. Radość z walki malowała się wyraźnie na jego twarzy. Miri poczerwieniała i ucichła.

- Jesteś potworem - warknęła, gdy rozpiął guziki jej stanika.

- A ty jesteś dzieciuch - uśmiechnął się. - Skoro nie chcesz ubrać się w sensowne rzeczy, trzeba cię do tego zmusić.

Gdy została zdjęta koszula, Miri zasłoniła się skrzyżowanymi ramionami.

- Nie fatyguj się - powiedział. - Widziałem już wszystko, co masz do ofiarowania. Nie wzruszyło mnie to wtedy, nie jest to interesujące i teraz.

Wiedział, że kłamie. Widok wspaniałych kształtów jej piersi, jej różowych sutek i dotyk jej aksamitnej skóry, spowodował, że krew gwałtownie zaczęła tętnić w jego żyłach. Widok niechęci na jej twarzy tylko zachęcał do walki. Zerwał z niej te idiotyczne pantalony i spódnice. Jego ręka znalazła się na nagim udzie. Poczul nieznośny ból w pachwinach. Miri zaczęła krzyczeć i usiło-

wała zaatakować paznokciami jego twarz. Jordan z łatwością pokroił ją i przytrzymał jej dłonie.

- Zachowuj się przyzwoicie, kobieto, bo będziesz miała więcej powodów do płaczu.

Miri szeroko otworzyła oczy. Miała teraz takie samo spojrzenie jak tej nocy, gdy ją pocałował. Wtedy był jednak pijany, zaś teraz trzeźwy i bardzo rozgniewany. Łzy napłynęły Miri do oczu i nagle to wszystko wydało się jej niesłychanie zabawne. Zaczęła się śmiać i płakać równocześnie.

- Zamknij się, przekłeta babo! - Jordan potrząsał nią bezsku tecznie. - Czyś ty zwariowała?

Jej głowa latała z jednej strony na drugą. Jordan rozumiał, że to histeria. Schylił się i położył na niej.

Jej usta miały smak soli i były gorące. Były też słodkie, tak bardzo słodkie! Powód walki z tą kobietą uleciał z pamięci Jordana. Pozostała tylko dzika żądza. Gdy Miri przestała się szarpać i objęła go w pasie ramionami, Jordan rozciągnął się na niej i wcisnął swe nogi między jej nagie uda. Naciskał tak długo, aż ból w jego kroczu stał się palącą eksplozją pożądania.

Jęki Miri przywróciły mu przytomność. Wstał i zaczął ciężko oddychać. Oczy kobiety wypełnił przestrasz i zdziwienie. Boże! Ona nawet nie była świadoma swej mocy. Pod tą stalową skorupą kryła się namiętna syrena, czekająca na uwolnienie. Jordan chciał jej pomóc. Dotknął ustami pulsującej żyłki na jej szyi i powrócił do jej warg:

- Nie - wyszeptaly jej wargi, znajdujące się tuż przy jego twarzy.

Walczyła ze sobą; kołtuństwo, upór i stateczność walczyły z nową istotą, której nie chciały uznać.

- Proszę mnie puścić.

Uczucie malujące się na jej twarzy ułagodziło Jordana. Podniósł się i zasłonił tuniką jej biodra. Miri zamknęła oczy i gdy otworzyła je ponownie, słodka i czuła kobieta zniknęła gdzieś. Jordan nie mógł uwierzyć w tę błyskawiczną przemianę, ale nim ochłonął, Miri wyciągnęła rękę i wymierzyła mu silny policzek.

Gniew ostudził resztki namiętności. Chwycił dziewczynę za rękę, gdy usiłowała powtórzyć uderzenie.

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz, ty czarownico, pokażę ci, jak da lece można sprowokować mężczyznę i co się dzieje, gdy posu niesz się za daleko. Zrozumiałaś?

Oczy Miri były szkliste, usta zaciśnięte w wąską linię. Jordan wstał i podniósł ją, postawiwszy obok siebie.

- Teraz wkładaj te legginki, chyba że chcesz pokazywać wszystkim swój goły tyłek przez resztę podróży.

Odwrócił się i odszedł. Miał dość Miriam Sutcliffe na ten dzień i powinien w ogóle mieć jej dosyć.

Kapitan Gerald Michaels bębnił po stole palcami, gdy czytał raport ludzi wysłanych na poszukiwanie Miriam Sutcliffe. Właśnie takich rezultatów się spodziewał. Nikt nie widział młodej Angielki o kasztanowatych włosach, podróżującej na wschód. Kilka osób pamiętało ją podróżującą na zachód z początkiem lata. Kilku Indian przypomniało sobie dwie białe kobiety, które nocowały w ich wiosce. Nikt jednak nie widział białej kobiety jadącej na wschód.

Michaels tak właśnie myślał. Tropiciele dotarli tylko do rejonu Kanału Północnego. Dalsze przeszukiwanie Montrealu też zapewne nie przyniesie rezultatu.

Kapitan wstał i skierował się do sąsiedniego pokoju.

- Poruczniku Renquist, czy mogę z panem porozmawiać?

- Tak, sir, oczywiście.

Siedząc przy swym biurku, kapitan jeszcze raz zastanawiał się nad osobą swego zastępcy. Człowiek ten daleki był od ideału oficera. Miał wybuchowy temperament i brakowało mu poczucia sprawiedliwości. Był jednak człowiekiem, którego można było posłać na poszukiwanie Miriam Sutcliffe. Michaels miał pewien plan.

- Wydaje się, że ta Miriam Sutcliffe raz jeszcze się nam wymknęła, poruczniku. Otrzymałem dziś raporty od Jonesa i Hawkinsa. Nikt jej nie widział. Myślę, że nasz gołąbeczek nie pofrunął na wschód, jak nam powiedziano.

- Jestem przekonany, sir, że ta kobieta kłamie.

Michaels obdarzył porucznika ciężkim spojrzeniem. Nie lubił, by wdowę Peavey nazywano "tą kobietą".

- Nie mówimy o wdowie Peavey, poruczniku. Mówimy o panie Sutcliffe, która może być winna lub niewinna, ale jest kluczem do odnalezienia Hamiltona Greera. Po co by przyjeżdżała do Ameryki, jeśli nie chciałyby się z nim spotkać? Przez nią znajdziemy zdrajcę.

- Tak, panie kapitanie.

- Myślałem trochę nad tą sprawą i doszedłem do wniosku, że skoro Montreal nie wchodzi w rachubę, to pozostaje nam tylko Jordan Scott.

- Scott? Ten arogancki typ, który włączył się z Chwytającym Dym i jego bandą?

- Tak. Dziewczyna mieszkała u wdowy Peavey i bardzo się zaprzyjaźniły. Dowiedziałem się, że wdowa jest wielką przyjaciółką tego białego Indianina. Może oddała dziewczynę pod jego opiekę? Zimowiska Czipewejów to idealna kryjówka. Czy zgadza się pan ze mną?

Renauist zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

- Wątpię, by taka wytworna Angielka oddała się w ręce Jordana Scotta.

Michaels zdumiał się, słysząc podniecenie w głosie Renauista.

- Myślę, że panna Sutcliffe jest szczególnym okazem Angielki, poruczniku. Ona zawarłaby pakt z samym diabłem, żeby mnie oszukać.

- Myślę, że jest pan niesprawiedliwy wobec panny Sutcliffe. Michaels nie był zainteresowany uczuciami porucznika; jedynym jego celem było znalezienie Hamiltona Greera.

- Jestem jednak przekonany, że panna Sutcliffe jest u Czipewejów.

Zadał już takie pytanie wdowie Peavey. Często odwiedzał ładną wdowę i bardzo się przyzwyczaił do tych wizyt. Wdowa udawała zupełną nieświadomość, ale nie umiała przekonująco kłamać. Prawda mieszkała w jej oczach.

- Weźmie pan trzech tropicieli i odnajdzie obóz zimowy Scotta i jego bandy. Mają nad nami tylko tydzień przewagi. Będzie ich łatwo dogonić, jeśli podróżują z kobietami. Nie wolno panu obrazić indiańskich przyjaciół panny Sutcliffe, a ona sama ma

być traktowana z najwyższą uprzejmością. Jak sam pan powiedział, jest szlachetnie urodzona. Zrozumiał pan?

- Zrozumiałem doskonale, sir.

- I proszę nie popełnić pomyłki. Ten Scott jest niebezpiecznym człowiekiem. Słyszałem, że żyje wśród tych dzikusów ponad dziesięć lat i jest przez nich szanowany jako wspaniały i przebiegły wojownik. Proszę go nie lekceważyć. Chciałbym, żeby pan wykonał zadanie szybko i czysto, bez zamieszania i kłopotów.

Michaels sceptycznie patrzył na wychodzącego porucznika.

Wolałby sam podjąć się tej misji. Pomyślał, że Renquist jest ostatecznie angielskim oficerem i powinien przyprowadzić dziewczynę szybko, nie robiąc specjalnego zamieszania.

Kapitan przejrzał raporty raz jeszcze. Chciałby mieć już tę sprawę za sobą. Nie wypada tak prześladować kobiety, ale Hamilton Greer był ważny. Jeszcze ważniejsza była ta jego lista. Opatrzność w postaci angielskiego kapitana domagała się znalezienia listy i Greera. A dziewczyna była do tego wszystkiego niezbędna.

Zastanawiał się, jak to wszystko wytłumaczyć Grace, która tak chroniła Miriam Sutcliffe. Teraz kapitan wiedział już, dlaczego nigdy się nie ożenił. Był żołnierzem, a jak żołnierz ma się tłumaczyć z obowiązków wojskowych przed kobietą?

ROZDZIAŁ XI

Podróż, która trwała zwykle tydzień, dzięki Miri ciągnęła się dni dziesięć. Czipewejowie byli jednak cierpliwi. Dzień po dniu . obserwowali wysiłki Miri. Chwytający Dym i Ujeżdżający Fale byli stale obok niej. Kobiety obserwowały ją uważnie, ale nikt nie patrzył na nią tak jak Jordan.

Nowe ubranie ułatwiało chodzenie, ale Miri wciąż się rumieniła pod spojrzeniem Jordana.

Któregoś popołudnia Wierzbowa Pieśń podeszła do Miri.

- Wezmę twoje bagaże - zaproponowała. - Jestem dość silna i mogę nieść wszystko. I wtedy będziesz mogła iść szybciej.

Miri wyrwała rękę z pomocnego uścisku Pieśni.

- Nie, dziękuję - odparła lodowato. - Poradzę sobie. Udając, że ciężar na jej plecach jest jak piórkó, Pieśń zrównała krok ze swoim bratem.

- Dałaś niezłe przedstawienie - skomentował Ujeżdżający Fale z krzywym uśmiechem.

Jego siostra pogardliwie wzruszyła ramionami.

- Ta kobieta jest chuchrowata i nie umie zadowolić mężczyzny. Już za kilka dni Oczy Ducha odeśle ją do jej ludzi i przyjdzie do mego wigwamu.

- Nie licz tych dni, moja siostró - zachichotał Ujeżdżający Fale.

Obejrzał się na swego przyjaciela i zauważył, że spojrzenie tamtego stale było utkwione w drobnej figurce, brnącej za wszystkimi.

- Czasami kobieta nie musi wiedzieć, jak zadowolić mężczyznę; ona po prostu jest. Nasz brat jest jak pstrąg, który połknął

przynętę, ale nie czuje jeszcze haczyka. Ale niebawem poczuje, moja siostró. Niebawem.

Krępy Indianin był bliski prawdy, gdyż Jordan był już bliski chwycenia przynęty. Obserwował wysiłki Miri i doceniał je. Krok po kroku Miri przyzwyczajała się do swych bagaży. Pod koniec dnia mimo zmęczenia pomagała przygotowywać wieczorny posiłek. Z twarzą wykrzywioną niesmakiem uczyła się oprawiać króliki i skubać gęsi. Czyściła ryby i piekła je między dwoma płatami kory i budowała z gałęzi szałas dla siebie i swego "męża". Wierzbowa Pieśń naśmiewała się z niej, ale Miri nie poddawała się.

Równocześnie opiekowała się Jane. Chociaż Uśmiech Poranka niosła Jane, to tylko Miri dbała o to, by dziecko było czyste, nakarmione, ogrzane i kochane. Żadne dziecko nie mogło mieć bardziej oddanej matki; żadna naturalna matka nie kochała bardziej swego dziecka. Widok twarzy Miriam karmiącej jego córkę wprowadzał Jordana w zmieszanie. Zaczynał rozumieć, że wpada w pułapkę bez wyjścia. Zbyt wiele rzeczy podobało mu się w tej Angielce. Oceniał ją niewłaściwie; to Tancerka miała rację, gdy twierdziła, że pod surową wyniosłością kryje się dobroć i odwaga. Miri mogła mieć obsesję na punkcie dobrych manier, ale była uczciwa i wytrwała. Miała przy tym ten rodzaj kobiecego wdzięku, któremu mężczyzna nie mógł się oprzeć.

Jordan spodziewał się po niej płaczu i narzekań, ale ona nie narzekała. Mówiła bardzo mało i nie do niego. Nocami leżała sztywno, odwrócona doń plecami, obejmując małą Jane. Odrzuciła go i odgrywała rolę męczennicy. Jordan sądził, że tylko on . ma prawo odrzucania; ona była przecież intruzem.

Jordan uznał jednak, że sam popełnił sporo błędów i zdecydował się na zakończenie tej zimnej wojny. Wybrał jednak złą porę na swe przeprosiny. Miri nie miała ochoty zaprzyjaźniać się z nim, a już szczególnie z Jordanem Scottem.

- To dobrze, że przyznaje się pan do szaleńczego zachowania, ale przyjaźń między nami jest niemożliwa - odparła lodowato Miri, gdy Jordan spokojnie wyjaśnił sytuację.

Nikły ogień oświetlał twarz Miri - oczy miała podkrążone, a zmarszczone brwi sygnalizowały jej zmęczenie. Była prawie tak nieruchoma jak dziecko na jej kolanach.

Jordan postanowił być cierpliwy. Usiadł przy ogniu wygodnie i skrzyżował nogi.

- Nie powiedziałem, że byłem szalony. Przyznaję tylko, że nie powinienem pani tak traktować. Zrobiłem sobie z pani chłopca do bicia za rzeczy, które wydarzyły się wiele lat temu. To było nieuczciwe. Przeprosiny są tu na miejscu.

- Zgadza się! - Miri była zła. - Był pan męczący i dziecinny i... ogromnie brutalny, jeśli już chce pan wiedzieć. Nie spodziewałam się, że będzie pan dżentelmenem, ale pana mogę określić tylko słowem "łotr".

Jordan westchnął przeciągle.

- Jak na kobietę dobrze wychowaną używa pani ostrych słów, panno Sutcliffe.

A niech ją diabli! Jak może tu siedzieć z tą swoją twarzą madonny i być taką wiedźmą?

- Jeśli moje zachowanie jest tak złe, to jak określić pani sposób bycia?

- Ja nie mogę podlegać ocenie. I tak robię więcej, niż mogę. Nie jestem przyzwyczajona do takich warunków.

- Tak - przyznał sarkastycznie. - I robi pani z siebie świętą męczennicę. Co by się stało, gdyby maska wreszcie z pani spadła? Czy za tą wyższością i moralnością jest w ogóle jakaś ludzka istota? Słaba i błędząca, popełniająca błędy, taka jak wszyscy inni?

Jej zmieszanie sprawiło mu satysfakcję. Przyszedł tu z gałązką oliwną, chciał zawrzeć-pokój i otrzymał ciemnie. Postąpił jak idiota.

- Twierdząc, że jest pan lepszy od zwierzęcia, obraziłabym zwierzę, panie Jordan. Zwierzęta są usprawiedliwione za swój brak przyzwoitości.

- Ja się nie tłumaczę, panno Sutcliffe. Jestem bękartem i re-negatem. Jestem bardzo zadowolony z tego, kim jestem. Czy pani też może to o sobie powiedzieć?

- Z pewnością nie muszę panu odpowiadać.

- Bo pani nie umie na to odpowiedzieć. Nikomu. Czy pani wie chociaż, kim pani jest?

- Ja...

- To ja pani powiem. Jest pani ograniczoną kołtunką, która może służyć jedynie jako dekoracja salonu. W Londynie lub Bo-

stonie byłaby pani na swoim miejscu. Tam kobiety są tak całkowicie bezużyteczne! Grace powinna się lepiej zastanowić przed wysłaniem pani tutaj. A ja też nie powinienem był się zgadzać na zabranie pani ze sobą, do cholery!

To było trochę za dużo jak na przeprosiny i przyjaźń. Ta kobieta była zupełnie niemożliwa. I tak niesamowicie pociągająca. Jordan czuł ból w pachwinach, gdy patrzył na nią. Ale kobieta powinna prowokować, nawet jeśli jest wiedźmą!

Miri patrzyła na niego w zamyśleniu.

- Sądzę, że potwierdziłam swą przydatność i zdolność do przystosowania się. Robię wszystko to, co inne kobiety.

- Och, tak. I to bardzo dobrze. Umie pani stawiać nogę tak, by nie zaczepić o drugą. Pani zdolności do budowania wigwamu są znane. Już dwa razy zwałił się nam w nocy na głowy. Wie pani, że cebulę obiera się przed gotowaniem. To wspaniale! - mówił ze złościwą uciechą. Może umiałyby pani też ogrzać łóżko mężczyźnie, bo tylko do tego się pani nadaje naprawdę. Nie sądzę jednak, by to pani potrafiła.

Nie czekając na jej jadowitą odpowiedź, Jordan wstał i wyszedł z szałas. Zimne powietrze uspokoiło trochę jego gniew. Ruszył przed siebie w stronę lasu.

Wstrętna baba. Przyszedł do niej z przyjaźnią, a ona nazwała go bestią i szaleńcem. Powinien jej pokazać zachowanie się bestii. Powinien ją wziąć siłą i robić to tak długo, żeby ta mała suka wyzionęła ducha. Może powinien był tak postąpić w Bostonie, wiele lat temu, wobec damy wytwornej i sztywnej, której kokieteria i uroda zniewoliły go. Zaproszenia, flirty, subtelne dotknięcia i czułe słówka spowodowały, że bękart zaczął wierzyć w szacunek społeczeństwa, w przyzwoite małżeństwo i pełną akceptację. Było to jednak tylko perfidne przedstawienie dla wzbudzenia zazdrości w innym, bardziej stosownym konkencie.

Jordan miał ochotę zbić kogoś, bić aż do zmęczenia, gdy usłyszał kroki za sobą.

- Oczy Ducha - doleciał go melodyjny głos. - To ja, Wierzbowa Pieśń.

Och, do jasnej cholery! Tylko jeszcze jednej baby potrzebowaliśmy do szczęścia!

- Widziałam, że wyszedłeś z obozu - tłumaczyła Pieśń. - Jesteś bardzo zdenerwowany, mój bracie. Martwię się.

- Wracaj do obozu, Wierzbowa Pieśni.

- Jesteś zdenerwowany - powtórzyła z satysfakcją. - Ta biała kobieta źle robi, że cię tak denerwuje.

- Nie denerwuje mnie.

Wierzbowa Pieśń położyła rękę na ramieniu Jordana.

- Ależ tak, mój bracie. Jest słaba i nie umie nic robić. Nie zna się na życiu - i na mężczyznach. Dlaczego się nią przejmujesz? Wiesz, że chętnie przyjdę do ciebie. Zawsze wołałam ciebie niż innych mężczyzn. Czy nie wiedziałeś?

Jordan zdecydowanie zdjął jej rękę ze swojej.

- Jesteś moją siostrą. Zawsze byłaś nią i nie będziesz nigdy nikim innym. Wracaj do obozu. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać.

Dziewczyna Czipewejów nie dawała się łatwo zniechęcić.

- Nie odsyłaj mnie. Nie wiesz, od jak dawna cię kocham. Gdy wybrałaś moją siostrę, milczałam. Ale teraz wysłuchaj mnie. Jestem dobrą kobietą. Jestem młoda i ponętna. Mogę ci rodzić zdrowe dzieci, szyc ci ubranie, gotować i budować ci wigwamy, które wytrzymają wicher. I mogę twe noce uczynić pięknymi. Powiedziałeś mi, że ta blada i złośliwa kobieta nie jest naprawdę twoją żoną. Nie wybrałaś jej. Wybierz mnie.

Gdyby Jordan miał wybierać teraz, to wszystkie kobiety wyszłyby na wieczne zatracenie - łącznie z Wierzbową Pieśnią i Miriam Sutcliffe.

- Wracaj do obozu, dziewczyno.

Odwrócił się i odszedł, zdecydowany być sam.

- Nie! - Dziewczyna chwyciła go za ramiona. - Przecież mnie pragniesz. Czuję to. Czuję zapach twego pożądania, Oczy Ducha.

Jej doświadczony dłoń zsunęła się do jego ud.

- Odesłała cię wciąż pożądającego. Dam ci to, czego potrzebujesz.

Wierzbowa Pieśń przytuliła się do niego i zsunęła w dół, aż jej usta znalazły się przy jego kroczu. Uchwyciła mocno jego pośladki. Jej ciepły oddech wzmógł jeszcze niepożądany ogień w łądzwiach Jordana, ale nie tej kobiety pragnął. Jęknął i mocno odepchnął Wierzbową Pieśń.

- Przykro mi. Chciałbym, żebyś to była ty, ale nie ciebie pragnę-

Ciągle klęcząc, Wierzbowa Pieśń usiłowała zatrzymać Jordana, ale udało się jej tylko zerwać mu opaskę, podtrzymującą leggingi pod kolanem. Gdy zniknął w ciemności, przycisnęła do ust opaskę.

Miri spędziła bezsenność noc, czekając na powrót Jordana. Jane leżała obok niej, cedrowe gałęzie i futra chroniły je od zimna, ale Miri nie czuła żadnego ciepła. Nigdy nie była tak zmęczona; bolały ją wszystkie kości. Czuła, że jest brudna, skóra ją swędziała. Tęskniła za kąpielą.

Miała wrażenie, że wpadła w ruchome piaski i zanurza się coraz głębiej. Cały świat stawał się coraz bardziej obcy i samotność dręczyła ją jak rana. I ten potwór miał czelność nazwać ją ograniczoną kołtunką, niepożądanym strzępkiem dekoracji! Chciała Wrzeszczeć na niego, uderzyć go, zranić i udowodnić mu, że jest pełnokrwistą kobietą, która każdego mężczyznę potrafi zamienić w żebraka klęczącego u jej stóp. A na dodatek ten renegat był tak niesłychanie przystojny! Traktował ją okropnie, był draniem < I łotrem, ale tajemniczy wyraz jego oczu, piękne wygięcie ust i Białe dołek w brodzie wywoływały niespokojne bicie jej serca. »f Serce nie poddawało się zasadom przyzwoitości czy rozumowi.

Miri wierciła się pod stosem koców i futer. Doszła do wniosku, że Jordan nie wróci na noc. Właściwie nie miał powodu. . Usiłował być przyjacielski i przepraszający, a ona zachowała się jak wiedźma, jak zepsuta i rozkapryszona damulka. Jego przyjaźń przeraziłaby ją, dlatego w popłochu odepchnęła go od siebie. Może lepiej zostać za ścianą wyniosłości i nie zdradzać swych uczuć.

Na pewno poszedł do tej Wierzbowej Pieśni i znalazł pocieszenie w jej chętnym brązowym ciele. Miri wyobrażała go sobie z dziewczyną w ramionach; obejmował ją mocnymi ramionami,

a jego pięknie wykrojone usta pokrywały jej wargi dzikimi pocałunkami. "Bądź zadowolona - napominała Miri samą siebie - gdyby nie Pieśń, to ten barbarzyńca wziąłby cię siłą". Czuła jeszcze na sobie jego szorstkie dłonie, które ją paliły swym dotykiem. "Bądź zadowolona, bądź zadowolona" - powtarzała sobie jak litanie. Niezdolna do przekonania samej siebie ukryła twarz w futrach i rozplakała się.

Przez następne trzy dni wędrowali na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża jeziora Michigan, a dotarwszy do piaszczystych wzgórz obok Sables River, skręcili w górę rzeki. Tam miał być ich stały obóz zimowy. Kobiety ścięły pnie młodych drzew i powiązały je na kształt kopuły. Powstały dwa wigwamy - jeden dla Chwyającego Dym i jego rodziny, drugi dla Jordana i Miri. Każdy wigwam został wyłożony warstwą mat i pokryty pasmami kory brzozonej. Między wigwamami płonęło ognisko w kamiennym kręgu, a obok Miri i Uśmiech Poranka kończyły budowanie małego schowka na żywność.

Miri wyprostowała się i przeciągnęła, by rozprostować kości. Była zmęczona, ale nie czuła się wyczerpana. Muskuły jej stwardniały, na rękach porobiły się odciski. Była dziwnie zadowolona ze swej siły. Pamiętała uwagę Jordana, że nie ma w ogóle mięśni w swym ciele. Teraz już nie mógłby tego powiedzieć. Ale on na nią nie patrzył. We dnie włóczył się gdzieś. Nocami nie wracał do szałasów. Na pewno sypiał u Wierzbowej Pieśni, która zawsze patrzyła na Miri ze złośliwą satysfakcją. Miri mówiła sobie, że nie dba o to, ale wiedziała, że okłamuje samą siebie.

O zmierzchu wszystko było już gotowe. Miri usiadła przy ognisku obok Uśmiechu Poranka, która ostatnio zaczęła ją uczyć języka Czipewejów. Miri uczyła się szybko i potrafiła już rozumieć rozmowy prowadzone w jej obecności. Nauczyła się też tkąć, naszywać paciorki na ubrania i rozróżniać zioła. Ugotowała też tego wieczoru królika i wszyscy zjedli go ze smakiem.

Miri nie chciała zaimponować Jordanowi, nie była przecież tak dziecinna. Chciała tylko, by pod koniec zimy odwołał swe słowa o jej beżyteczności!

Po zapadnięciu mroku Miri wsunęła się do wigwamu, który sama wybudowała. Była z tego niesłychanie dumna. Wydoła Pe-

unię i nakarmiła małą Jane. Dziecko zjadło dziś sporo mleka i spróbowało nawet rybnego bulionu. Owinąwszy Jane kocami, Miri wczółgała się na swe posłanie. Przyznała w duchu, że kozłowa tunika i leggigi stanowią wygodniejszy strój niż wełniana suknia. Był to nieprzyzwoity strój, ale niezwykle praktyczny. Dziewczyna usiłowała teraz zasnąć i nie myśleć o Jordanie.

Porucznik Renquist był zadowolony ze swej misji. Zgodnie z rozkazami Michaela, on i trzej tropiciele podążali za Jordanem i grupą Czipewejów. Byli łatwi do wyśledzenia, gdyż poruszali się wolno i nie zacierali za sobą śladów. Renegat myślał pewnie, że jest najmądrzejszym z ludzi. Już niedługo dowie się, że przedstawiciele armii brytyjskiej są od niego inteligentniejsi.

Renquist nie wierzył, że Miriam Sutcliffe udała się w podróż z Jordanem. Nie wybrałaby takiej drogi ucieczki, była zbyt wielką damą. Mimo upokorzenia, jakiego doznał w jej obecności, Renquist stale cenił jej wyrafinowanie i maniery.

Rozpoznanie tej damy między dzikusami stanowiło dla porucznika bolesny cios. Jordan Scott wygrał z Georgem Renquistem, spadkobiercą tytułu baroneta i niezłej fortuny. Nie było wystarczającej kary za takie przestępstwo. Jak mógł taki prostak Zmusić damę do przebywania w jego nędznym szałasie, ściągając ją Ba najniższy poziom egzystencji? Trudno było w to uwierzyć, ale oczy porucznika widziały wyraźnie. Trzeba będzie zażądać satysfakcji od tego Scotta.

Renquist przeciągnął palcami po ostrzu noża. - Sam to zrobię - zwrócił się do tropiciela. - Pan wybaczy, ale ma pan chyba coś jeszcze oprócz noża? - Nie mam zamiaru strzelać do nikogo, żołnierzu. Pewna dama jest zbiegiem i chcę ją stąd zabrać. Żaden z tych dzikusów nie zorientuje się, gdy my będziemy już daleko.

- A co ze Scottem? Gdybym miał z nim do czynienia, sir, to wziąłbym nie tylko nóż. - Tropiciele potrząsnęli głową.

Mieszkał na wyspie Michilimackinac już od pięciu lat i służył siłom amerykańskim. Potem przyszli Brytyjczycy i zmusili go do pracy dla nich. Znał Jordana Scotta i wiedział, że to nie jest zwyczajny przeciwnik.

- Nie mam zamiaru zadawać się ze Scottem, mój człowieku. Nie wiem, gdzie on jest, i nic mnie to nie obchodzi. Na pewno nie ma go w pobliżu panny Sutcliffe. Obserwuję ich już od dwóch dni i jeszcze go nie widziałem. Wyciągnę mu dziewczynę sprzed nosa, a z nim porachuję się w odpowiedniej chwili.

Tropiciel wzruszył ramionami. Skoro oficer nie umie odróżnić psa od wilka...

- Jak pan uważa, sir.

- Wy zostaniecie tutaj - rozkazał Renquist. - To jest delikatna sprawa. Bądźcie gotowi do natychmiastowego ruszenia. Ja wrócę z naszym więźniem. Trzymajcie broń w pogotowiu.

Renquist skradał się w stronę obozowiska. Marzył, że zastanie Jordana w wigwamie ze swą ofiarą. Ten brudny dzikus będzie musiał stoczyć wtedy prawdziwą walkę. Porucznik drżał z radości na myśl o swym nożu, wbijającym się w ciało renegata. Miriam Sutcliffe będzie to widzieć i pożałuje swego niewłaściwego wyboru.

Gdy Renquist podchodził do wigwamu Miri, w obozowisku panował zupełny spokój. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Porucznik dwie godziny śledził uprzednio obóz. Dziewczyna weszła do wigwamu o zmroku i nikt za nią nie poszedł. Teraz spała już pewnie głęboko.

Renquist wyjął nóż i zrobił długie, pionowe nacięcie w matkach, którymi Miri tak dokładnie obłożyła swą siedzibę. Wślizgnął się do wnętrza wigwamu, oświetlonego ledwie tłym się ogniem. Zauważył stopy bagażu i jakieś zwierzę przy drzwiach. Nie opodal niego znajdowało się posłanie i stamtąd dobiegał oddech śpiącej ofiary. Nie było zbyt trudno zatkać jej usta ręką i zdławić jej krzyk, chwytając za gardło. Nawet wtedy Miri nie zbudziła się zupełnie. Wymamrotała jakieś imię i naciągnęła na siebie koc. Gdy wreszcie się obudziła, było już za późno. Renquist trzymał ją mocno w uścisku.

- Bądź cicho! - wyszeptał. - Bądź grzeczną dziewczynką i wyjdź bez oporów albo zapomnę, że jestem dżentelmenem.

Miri walczyła jak dzikie zwierzę, gdy wyciągał ją z posłania. Wigwam nagle jakby ożył. Jane zbudziła się z żalnym płaczem, a Petunia zaczęła przeraźliwie beczeć.

- Chryste! To dom wariatów! - zasyczał Renquist.

Miri waliła go po rękach, którymi ją dławił.
- Ty suko! - jęknął, ale nie puścił jej. - Ja cię nauczę!
Uderzenie uspokoiło ją na tyle, że przeciągnął ją przez dziurę w ścianie wigwamu. Modląc się, by nikt nie zwrócił uwagi na płacz dziecka i bek kozy, ruszył w ciemność z ciągle szarpiącą się dziewczyną.
Nagle stalowe ramię owinęło się wokół jego gardła i poczuł ostrze noża na krtani.
- Piiść dziewczynę - wyszczał mu ktoś do ucha.
Renaquist posłuchał i Miri upadła na ziemię.
- Teraz odwróć się, przyjacielu, żebym mógł zobaczyć twoją twarz.
Porucznik odwrócił się i napotkał spojrzenie Jordana. Nawet w słabym świetle gwiazd mógł wyczytać groźbę z jego oczu. Usiłował chwycić nóż.
- Nawet nie próbuj - ostrzegł go Jordan z zimnym uśmiechem. Przeciął własnym nożem pas Renaquista i broń upadła w śnieg. Spodnie porucznika zsunęły się mu do kolan. Nóż Jordana mierzył teraz w twarz Renaquista.
- Przekażesz ode mnie wiadomość kapitanowi Michaelsowi, chłopcze.
Renaquist wydał głębokie westchnienie ulgi.
- Powiesz, że panna Sutcliffe nie ma tego, czego on szuka i żaden jego człowiek nie ma prawa zbliżyć się do niej nawet na dziesięć mil, bo zedrę z niego skórę i zrobię z niej podeszwy do mokasynów. Zrozumiałeś?
Nóż zbliżył się do czubka nosa porucznika.
- Zrozumiałem - wydyszał Renaquist.
- Nie lekceważ moich słów, gnojku.
- Nie lekceważę. - Renaquist odwrócił się i rozłożył ręce, by udowodnić, że nie ma żadnej broni. Spodnie obsunęły się mu jeszcze niżej i zauważył spojrzenie dziewczyny, śledzącej każdy jego ruch. Na pewno śmiała się z niego w duchu. Kiedyś zapłaci mu za to. Jordan też mu zapłaci za to upokorzenie, przysiągł Renaquist. Nie docenił tego renegata, pomylił wściekłego wilka z kundlem. Następnym razem lepiej się przygotowuje.
- Jazda! - Jordan machnął nożem. - Zanim zmienię zdanie.

Porucznik pobiegł, podtrzymując spodnie.

Miri siedziała na ziemi i powoli pojmowała, co się stało. Poczuli na sobie spojrzenie Jordana i przeraziło ją ono bardziej niż wszystkie wydarzenia tej nocy.

Odezwał się w końcu. Jego głos był spokojny, ale oczy miały gwałtowne błyski.

- No i co? - Głos jego wibrował, gdy znów powtórzył ponuro.
- No i co mam teraz począć z tobą?

ROZDZIAŁ XII

Jordan ruszył w stronę Miri, ale ona cofała się. Mimo jej opórów wziął ją na ręce i zaniósł do wigwamu.

- Ten sukinsyn zranił cię - stwierdził napiętym tonem. Sięgnął ręką do jej brwi. Miri zadrżała pod jego dotknięciem. Przerazał ją i pociągał równocześnie, wywołując napięcie w jej udach. Wilk z obnażonymi kłami jest przerażający, ale też i dziwnie fascynujący, gdy używa tych kłów w jej obronie.

Potrząsnęła głową i odsunęła jego palce.

- Uderzył mnie - odparła.

- Widzę. Widzę, że straciła pani względy u swego wielbiciela, panno Sutcliffe.

- On nie jest moim wielbicielem i nigdy nim nie był.

- Czyżby? Myślałem, że pani lubi dżentelmenów.

- Proszę - jęknęła Miri. - Jestem zbyt zmęczona na kłótnie.

Jordan uśmiechnął się. Powrócił drwiący renegat, zniknął gdzieś wilk.

- Ani w nastroju do walki? Może powinna pani częściej obrywać. To panią uspokaja.

Miri nie chciała się kłócić. Ciągle pamiętała wyraz oczu Jordana, gdy trzymał w uchwycie swych rąk Renquista.

- Pan chyba nie obdarłby nikogo żywcem ze skóry, prawda? Mógłby pan to zrobić?

Przez chwilę patrzył na nią i znów ujrzała wilka.

- Pewnie by mi się nie chciało. To dość kłopotliwe.

Odwrócił się i zaczął poprawiać ognisko. Po chwili zapytał spokojnie.

-I co ja teraz mam z panią zrobić? Michaels wie, gdzie pani jest, plan Grace się nie udał. Przez zimę jest pani tu bezpieczna, ale na wiosnę on będzie czekał na wyspie. Będzie czekał na nas oboje, w co nie wątpię.

Miri miała na ten temat inne zdanie.

- Prosiłam pana tylko o opiekę w zimie. Na wiosnę jakoś sobie poradzę sama, panie Scott.

- Nie wątpię w to, panno Sutcliffe.

Spojrzenie Jordana przygniatało ją, więc zaczęła poprawiać koc na posłaniu Jane.

- Wychodzę teraz - powiedział Jordan.

- Nie - wyciągnęła rękę, by go zatrzymać. - Jordan... panie Scott. Boję się. Proszę zostać.

Nim cofnęła rękę, Jordan chwycił ją delikatnie.

- Naprawdę jest pani tak przerażona? - spytał chrapliwym głosem.

Nagle Miri przeraziła się naprawdę - Jordana, siebie samej i drżenia przenikającego każdą komórkę jej ciała.

- Zostanę, jeśli pani prosi, panno Sutcliffe - Jego uśmiech stał się mocniejszy. - Ale ostrzegam panią. Jeśli pani mnie prosi, to będę spał obok, ale żadna duma i zasady pani nie uchronią pani przede mną. Nie będę leżał z daleka. Wymaga pani za dużo od mężczyzny.

Miri przez moment straciła dech w piersiach. Krew tętniła jej w uszach. Dwie osoby mieszkały w jej ciele - wytworna dama, przerażona swymi zwierzęcymi instynktami, które nagle w niej ożyły, i kobieta pożądanca uścisku Jordana, pragnąca zaznać jego siły i ognia, który widziała w jego oczach, w jego całym ciele.

Pożądanie wywodziło się z całego kobiecego dziedzictwa jej krwi, ale nie było zbyt silne, by przerwać łańcuchy zasad i poskrozić strach przed oddaniem się mężczyźnie. Łańcuchy trzymały mocno; strach zwyciężył.

Jordan zauważył lęk w oczach Miri. Uwolnił jej rękę z uścisku, odwrócił się i wyszedł, pozostawiając ją z uczuciem pustki w sercu.

Poranek nie poprawił nastroju Miri. Nadal miała wrażenie, że zboczyła z dotychczasowego kursu swego życia. Wszystkie zasady zdawały się być bez znaczenia. Dziewczyna miała uczucie, że traci

swą osobowość i odkrywa w swym ciele zupełnie obcą osobę. Na szczęście znalazły się zwykłe, przyziemne problemy egzystencji, które zmusiły Miri do zaniechania filozoficznych rozważań.

Jordan i Ujeżdżający Fale wyszli z obozu przed świtem. Mieli powrócić dopiero po upolowaniu odpowiedniej ilości zwierzyny. Kobiety musiały zatem same pilnować obozu - zbudować dodatkowy magazyn na odzież i sprzęty i wzmocnić wigwamy przed nadciągającą zimą.

Obowiązków było mnóstwo. Trzeba było też zbudować wędzarnię na mięso i utkać nowe maty do uszczelnienia szałasów. Miri została wysłana na poszukiwanie długich cierni, które zastąpić miały igły do zszywania podartej odzieży. Było tak wiele rzeczy do zrobienia, że Miri nie miała czasu na rozpamiętywanie zachowania się Jordana - opuścił ją przecież bez słowa.

Jordan też był bardzo zajęty. Razem z Ujeżdżającym Fale sprawdzał sidła i lokował je we właściwych miejscach. Zanosił się na dobrą zimę, więc będzie dużo skór bobrowych, dużo futer z piżmoszczurów, królików, norek i innych zwierząt. Łosie, sarny i jelenie będą liczne i tłuste. Mężczyźni wytropili też dwa niedźwiedzie i oznaczyli ich kryjówki.

Mimo tych zajęć myśli Jordana były stale zaprzątnięte kobietą, która została w obozie. Prześladowała go w czasie wędrówek po lasach i w czasie snu. Nie umiał zdecydować, czy te sny były koszmarami, czy marzeniami.

Ujeżdżający Fale domyślił się przyczyny roztargnienia Jordana.

- Robisz sobie legowisko poza wigwamem - zauważył kiedyś.

Czy to ta biała kobieta wypędziła cię z twojej siedziby?

- Sam się wyniosłem, żeby mieć trochę spokoju. Kobieta potrafi doprowadzić człowieka do szału.

Ujeżdżający Fale uśmiechnął się.

- Każda kobieta kusi i zmusza do szaleństwa.

Jordan wiedział, że Miriam Sutcliffe skradła mu spokój, wdarli się w jego myśli i ciągle miał przed oczami burzę kasztanowych loków i rzadko pojawiający się uśmiech.

- Ta jedna na pewno - jęknął. - Jeśli spędzę z nią więcej czasu, to będę na niej, za jej zgodą lub bez. Wtedy ona mnie wykończy i Grace jej w tym pomoże.

Ujeżdżający Fale poprawił ognisko.

- Nie musi wcale tak być, mój bracie. Każda kobieta potrzebuje silnego mężczyzny, by się nią opiekował, dał jej dzieci i ogrzewał ją w łóżku. Widziałem Oczy Nieba, gdy patrzyła na ciebie. Wszystkie kobiece potrzeby miała wypisane na twarzy. Na pewno dopuści cię do siebie.

- Przyzwoite białe kobiety mają własne poglądy na te sprawy - warknął Jordan.

"Szczególnie ta biała kobieta" - dodał w myślach. Jak długo jeszcze będzie narażony na niechętnie spojrzenie tych błękitnych oczu? Ilu nauk moralnych jeszcze mu udzieli ta nadęta dziewczyna, która na nieszczęście weszła w jego życie? Ta kobieta była kłębkim sprzeczności. Słodki uśmiech i ostry język, sztywna postawa i ukryte namiętności. Jeśli te namiętności kiedyś zwyciężą, ona umrze z przerażenia.

- Białe kobiety są dziwne - zgodził się Ujeżdżający Fale. - Mądry człowiek powinien się trzymać od nich z daleka - uśmiechnął się złośliwie. - A zatem nie jesteś mądrym człowiekiem, mój bracie.

Jordan potrząsnął głową przecząco.

- Ona jest dziwna, wiesz. Tak cholernie pewna siebie i zasad życiowych, które obowiązują w jej świecie. Czasami aż mi jej żal.

- Zachichotał. - Prawie, ale nie całkiem. Ale bardzo mi żal każdego mężczyzny, który ma pecha zbliżyć się do niej.

- To niezbyt mądre litować się nad samym sobą, Oczy Ducha - zauważył Ujeżdżający Fale.

Słowa przyjaciela wywołały cyniczny uśmiech na twarzy Jordana. Co za ironia losu, że taka spętana dziewczyna wzbudziła w nim wątpliwości. Zaczął się zastanawiać nad tym, że jest jednak białym człowiekiem. Ujeżdżający Fale miał rację, a on, Jordan Scott, był głupim osłem, że tak dał się omotać złośliwej babie. Mógł przekonywać samego siebie aż do dnia Sądu Ostatecznego, że Miriam Sutcliffe ucieleśnia to, przed czym uciekł i czego nie nawidził. Bękart z Bostonu niczego się widać nie nauczył.

Zamruczał coś do Ujeżdżającego Fale, dając mu do zrozumienia, że jest zły i ułożył się do snu.

Poranek przyniósł zapowiedź burzy. Słońce schowało się za mglistą zasłonę, wiatr był zimny i przenikliwy. Jordan wstał, przeciągnął się i ruszył do strumienia, gdzie Ujeżdżający Fale zmywał z siebie senność. Jordan schylił się i nabrał wody w ręce. Uchwycił swe odbicie. Jego skóra była prawie tak ciemna jak skóra Indian. Jego ostre rysy przypominały Czipeweja. Mógł uchodzić za Indianina, ale ten złocisty czub na głowie! Niechący przeciągnął dłonią po swej wygolonej czaszce, zastanawiając się nad tym, ile czasu włosy by odrastały. Może przestać je golić?

Ujeżdżający Fale zauważył jego ruch.

- Czy już nadszedł czas, żebyś znów stał się białym człowiekiem, mój bracie? - spytał.

Jordan pokręcił głową i uśmiechnął się tylko.

Miri siedziała przed wigwamem i usiłowała szyć mokasyny. Były dwa razy większe niż jej stopy, ale powinny idealnie pasować na Jordana. Za igłę służył jej długi cierń, nićmi były ścięgnięta łosia.

Uśmiech Poranka siedziała obok Miri, zajęta taką samą czynnością. Jane wisiała na gałęzi w swej kołysce i kobiety poruszały czasami sznurem, utrzymującym kołyskę. Chwyający Dym ruszył na ryby do swego ulubionego miejsca w górę strumienia.

- Burza nadciąga - Uśmiech Poranka spojrzała w niebo. - Mo że moi synowie powrócą.

Miri uśmiechnęła się.

- Chwyający Dym będzie zadowolony z ich powrotu. Jest już zmęczony oglądaniem kobiet.

Uśmiech Poranka z aprobatą słuchała słów Miri mówiącej językiem Czipewejów.

- Mój mąż wie, że musi nas pilnować. Szczególnie ciebie. Będzie zadowolony z burzy, gdyż wtedy żaden biały człowiek nie będzie chciał podróżować i ty będziesz bezpieczna.

- Jeśli potrzebuję ochrony, to dlaczego Jordan nie został ze mną?

- Oczy Ducha musiał odejść, moja córko.

Jej słowa nie wyrażały żadnych uczuć oprócz zwykłego stwierdzenia faktu.

Miri westchnęła i skoncentrowała się na szyciu. Uśmiech Poranka mówiła prawdę. Przez dziesięć dni podróży napięcie między nią i Jordanem było tak wielkie, że wszyscy je zauważyli.

Miri zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić, jeśli zastanie Jordana czekającego na nią przed wigwamem. Stosunki między nimi bardzo się zmieniły. Miri nie mogła już myśleć o Jordanie jako o łotrze, renegacie i barbarzyńcy, który zhańbił białą rasę. Przyciągał ją do siebie swym uśmiechem, marzyła o jego dotknięciu, o jego bliskości. Czyżby straciła głowę jak siedemnastoletnia pokojówka?

Nie mieli ze sobą nic wspólnego. Miri usiłowała sobie wyobrazić Jordana w londyńskim salonie. Wyglądałby jak orzeł w klatce lub wilk w stalowych siódlach. I potrafiłby, podobnie jak wilk, odgryźć własną nogę, by się uwolnić. Jordan był podobny do ojca Miri - zniszczyłby wszystko, byle powrócić do lasu. Ojciec zniszczył serce matce; ciekawe, co zostawiłby za sobą Jordan.

Zatopiona w myślach, ukłuła się w palec i krzyknęła.

Uśmiech Poranka spojrzała na nią z uwagą.

- Nie uważasz, moja córko. Czy spodziewasz się dobrego wyniku, jeśli nie możesz się skoncentrować?

Miri zaczęła ssać pokłuty palec. Jak się ma uspokoić, gdy jej kłopoty są nie rozwiązane? "Podobnie jak matka - pomyślała Miri - "wpadłam w sidła nieokrzesanica. Jordan uśmiełby się".

Ciągle siedziała nad swym zajęciem i rozmyślała, gdy nadeszła Wierzbowa Pieśń, niosąc naręczce drewna. Spojrzała na mokasyn i zaśmiała się.

- Szyjesz tak samo, jak gotujesz. Ścieg musi być gęściejszy, Oczy Nieba. Podeszwa nie wytrzyma jednego marszu i twój mąż zmarznie w stopy. - Słowo "mąż" wypowiedziane było szczególnym tonem, jakby Pieśń nie wierzyła w znaczenie tego słowa.

Miri milczała. Nawet żal jej było tej dziewczyny. Stwierdziła, że Jordan nie sypiał z agresywną Indianką. Gdyby to czynił, to skąd brałby się jego pożądliwy wzrok, którym spoglądał na Miri? Myśl ta dziwnie ją uspokajała.

- Ona się uczy - interweniowała Uśmiech Poranka. - Niedługo będzie dobrą żoną.

- Tak - obiecała Miri. - Będę.

Nie mogła opanować złości, choć było to okrucieństwo. W końcu to Pieśń wypowiedziała wojnę.

Indianka zrozumiała znaczenie słów Miri. Sięgnęła do kieszonki u swego pasa.

- Jeśli potrzebujesz praktyki, może to zeszyjesz dla mnie. - Wyjęła opaskę Jordana i wręczyła ją Miri. - Mężczyźni są tak nie uważni, gdy się rozbierają.

Miri zbladła. Rozpoznała opaskę, którą Jordan nosił pod kolanem. Był tylko jeden sposób na zgubienie tej opaski. A zatem myliła się. Ogień w oczach Jordana był tylko odbiciem tego płomienia, który pozostawiała w nim Wierzbowa Pieśń.

Miri wzięła do ręki opaskę i zgmiotła ją.

- Wybacz mi, proszę - zwróciła się do Wierzbowej Pieśni. - Muszę coś zrobić w wigwamie.

Uśmiech Poranka zacisnęła wargi z niezadowoleniem.

- Czy ty nigdy się nie nauczysz dobrych manier? Jak możesz mówić takie niemiłe rzeczy? - napomniała córkę.

Wierzbowa Pieśń nie przejęła się tym wcale.

- Ona powinna odejść z tymi Anglikami. Nie pasuje do nas.

- Jest żoną Oczu Ducha. Należy do nas.

- Ona należy do swych ludzi. Ona jest taka jak jej kuzyn - nie liczy się z nikim.

Uśmiech Poranka spojrzała na córkę w osłupieniu.

- A co ty wiesz o jej kuzynie?

- Przejeżdżał przez L'Arbre Croche tej wiosny. Oczu Ducha dopytywał się o niego i powiedział mi, kim on jest.

- Dlaczego nie powiedziałaś Oczom Nieba? Może chciałaby wiedzieć coś o swym kuzynie.

- Nigdy mnie nie pytała - mruknęła Pieśń.

Zastanawiała się teraz, czy powiedzieć matce o prawdziwych przyczynach pozostawiania z nimi Miri, ale obawiała się gniewu Jordana.

- Dlaczego mam jej pomagać? Jest dla wszystkich ciężarem i nikomu nie sprawia radości. Nie jest dobra dla Oczu Ducha. Jest z nią nieszczęśliwy i powinien odesłać ją tam, skąd przybyła.

- A ty myślisz, że on będzie szczęśliwy z tobą, córko, jeśli kłamstwem przyciągniesz go do swego łóżka?

- On będzie szczęśliwy - uśmiechnęła się zmysłowo Pieśń.

W wigwamie Miri pozwoliła sobie na wściekłość. Co innego podejrzewać Jordana o sypianie z Wierzbową Pieśnią, a co innego mieć na to dowód. Więc to dlatego tak szybko wyszedł tej nocy, gdy uratował ją przed Renąistem - śpieszył się do tej imperytnentki, która teraz paradowała z dowodem, że zrywał przy niej z niecierpliwością swe ubranie. Przeklęty Jordan Scott! Przeklęta Wierzbowa Pieśń! I niech diabli wezmą Miri Sutcliffe za jej głupotę!

Miri chodziła nerwowo po wigwamie. Nie wiedziała naprawdę, na kogo jest zła. Myśl, że nie ma prawa do zazdrości o Jordana, jeszcze podniecała jej gniew. To po to zgodziła się na prymitywne życie? Pozwoliła zrobić z siebie dzikuszkę i teraz ma patrzeć na Jordana i tę Indiankę, która będzie się z niej naśmiewać? Obydwoje się będą naśmiewać z głupoty i łatwości Miri! Och, nie!

Miri chwyciła koc i zaczęła się pakować. Nie warto uciekać przed Michaelsem za taką cenę. Całe to dzikie otoczenie wysysało z niej życie i zamieniało ją w małą prostaczkę. Szycie, gotowanie, spanie na brudnej podłodze i bycie pośmiewiskiem. Do tego jeszcze zazdrość i pożądanie! I to wszystko przez niemoralnego renegata o wspaniałym ciele. Będzie przeklęta, jeśli zostanie w tym obozie choćby o dzień dłużej!

Uśmiech Poranka potrząsnęła głową z dezaprobatą, gdy dowiedziała się, że musi zająć się Jane i Petunią.

- Musisz doić kozę dwa razy dziennie - pouczała ją Miri. - I nie możesz dawać Jasnemu Duchowi mleka z ubiegłego dnia, bo będzie wypluwała wszystko.

- Jesteś szalona, Oczy Nieba. A moja córka jest taka sama. Zawsze miała chęć na Oczy Ducha, nawet za życia Tancerki. Ale on jej nigdy nie zechce. Ani teraz do niej nie chodzi.

Miri podniosła głowę z determinacją.

- Oczy Ducha może iść sobie dokądkolwiek. Może iść do samego diabła i to byłoby najwłaściwsze.

- Nie możesz podróżować samotnie, moja córko. Nawet kobieta Anishanabe nie wyruszyłaby sama w taką podróż.

Miri podniosła swój węzełek i zarzuciła go sobie na plecy. Była bardzo zdecydowana.

- Nauczyłaś mnie wiele, a Anglicy są teraz daleko.

- Ale to twoi wrogowie - oponowała Uśmiech Poranka.

Miri unikała spojrzenia starszej kobiety.

- Najgorszym wrogiem dla siebie jestem ja sama.

Uśmiech Poranka skrzyżowała ręce z desperacją.

- Chwytający Dym zaraz wróci. Wyślę go z tobą.

- Nie, nie wyślesz. - Miri porzuciła pozory obojętności i wzięła Uśmiech Poranka za rękę.

- Jesteś kobietą, matko. Wyobraź sobie, że znalazłaś się w Anglii, między obcymi ludźmi i w dziwnym otoczeniu. Jak czułabyś się, gdyby ci kazano zapomnieć o obyczajach Czipewejów, zapomnieć o swych korzeniach i przeszłości? I zakochałabyś się w mężczyźnie, który cię nienawidzi, kimś, kto używa ciebie jak przedmiotu, i odrzuca potem. Pomyśl o tym, jakbyś się czuła, matko, i pozwól mi odejść.

- Jesteś szalona, moja córko - odparła twardo Indianka, ale w oczach jej było współczucie.

Miri odwróciła się bez słowa i odeszła z obozu. Nie chciała patrzeć na dziecko ani na Uśmiech Poranka.

Las wydawał się pusty i przerażający, pełen wrogości. Każde drzewo kryło za sobą niebezpieczeństwo. Tylko myśl o kpiących z niej Wierzbowej Pieśni i Jordanie powstrzymała Miri od zwrotu do obozowiska. Po południu zauważyła ślady Renąquista i jego tropicieli. Poczuli się tak, jakby miała towarzystwo. Z uporem podążała tropami. Szła tak aż do zmroku.

Nauki Uśmiechu Poranka przydały się teraz Miri. Rozpaliła małe ognisko i zjadła trochę kukurydzy z sarnim tłuszczem. Przy świetle księżycy nastawiła sidła na króliki, używając resztek jedzenia na przynętę. Wybudowała dla siebie szałas z gałęzi, owinęła się kocem i zasnęła.

Następnego dnia upiekła królika, który złapał się w sidła, przypominając sobie, że nie tak dawno odmówiła skubania kaczek. Rzeczywiście się zmieniła w barbarzyńcę.

Następnego dnia wędrowni poczuli się jeszcze lepiej. Cienie były tylko cieniami, pnie były zwykłymi drzewami i nic się za nimi nie kryło. Nie miała kłopotów z odszukiwaniem śladów Anglików. Przyzwyczajona już do śniegowych butów szła szybko i miała zamiar przegonić żołnierzy następnego dnia. Wtedy zamieni się z powrotem w damę i każe mężczyznom wszystko robić. Cokolwiek uczyni z nią Michaels, będzie to lepsze niż oglądanie Jordana brykającego z Wierzbową Pieśnią. Lepiej wydobyć się z tego barbarzyńskiego świata, z którego potem nie byłoby ucieczki.

Następnej nocy obudził Miri świst wichury. Drżała pod kocami i słuchała narastającego huku wiatru. Śnieg padał coraz gęściejszy, chmury zasłoniły słońce.

Miri nie miała żadnego doświadczenia. Nie wiedziała, jak zachować się w czasie burzy śnieżnej. Uszczelniała swe schronienie, wiążąc skóry i gałęzie łykiem. Usiłowała rozpaść ogień, ale niewiele dawał ciepła w szalejącej zamieci. Racje żywności też były niewielkie. Miri nie miała odwagi opuścić swego schronienia i udać się na poszukiwanie drewna do ogniska, więc gdy zgasło, owinęła się w koce i zaczęła się zastanawiać, czy ktoś odnajdzie kiedyś jej ciało.

Dzień zmienił się w noc, a ta znów w dzień. Śnieg padał nadal. Miri zorientowała się, że minęły dwa dni, gdyż skończył się jej zapas suszonego mięsa i kukurydzy. Nawet nie martwiła się brakiem żywności. Głód był tylko dodatkiem do samotności i nadciągającej śmierci. Przez dwa dni wychodziła z szałasów tylko za potrzebą fizyczną i po to, by zebrać trochę śniegu. Rozgrzewała go na swym ciele i piła wodę. Spała ciągle i zasypiając była pewna, że już się nie obudzi. I ciągle budziła się, by stwierdzić, że świat się nie zmienił. Był wciąż taki sam, biały i pusty.

W końcu obudziła ją cisza. Wyczołgała się z szałasów. Słońce na bezchmurnym niebie oślepiło ją. Cały świat był dziewiczo biały, pierwotny, nieruchomy.

Miri zastanawiała się, czy próbować wrócić do obozu, czy umrzeć tutaj. Śmierć wydawała się być starym przyjacielem. Poznała ją dobrze, czuła jej obecność obok siebie. Tylko upór pozwolił jej w końcu zebrać siły i ruszyć przed siebie. Niosąc tak koce, skóry, kociołek i nóż, nie uszła daleko. Nie wierzyła, że gdzieś dojdzie, ale coś ją pchało naprzód. Nawet nie będąc głodna, nie dałaby rady pokonać drogi powrotnej do obozu.

Słońce zachodziło, gdy Miri dała wreszcie za wygraną. Usiadła pod drzewem, oparła się o jego pień i znieruchomiła. Resztkami sił owinęła się kocami. Nie czuła już głodu ani pragnienia. Była dziwnie spokojna, gdy patrzyła na ciemniejący świat.

Siedziała dość długo i nie czuła już zimna. Miała wrażenie, że znajduje się poza swym ciałem. Było to dziwne uczucie - żadnego lęku, lecz tylko czekanie na coś.

W tym poczuciu nienaturalnego błogostanu zobaczyła ogromnego, szarego wilka, który wynurzył się z lasu. Jego wielka głowa poruszała się rytmicznie, gdy węszył obcy zapach. Wreszcie jego bystre oczy zauważyły Miri, siedzącą pod drzewem. Ruszył ku niej niespiesznym truchtem. Zatrzymał się przed nią i zastygł jak posąg. Całkowicie pozbawiona lęku Miri obserwowała samą siebie jakby z dużej odległości. Wstała i ruszyła w stronę zwierzęcia. To było jak w dziwnym śnie - jedna Miri podchodziła do wilka, podczas gdy druga obserwowała ją. Było to niesamowite i bardzo swojskie zarazem. Wilk czekał nieruchomo. Jego oczy były srebrzystoszare i chciała go dotknąć, ale on odsunął się. Nagle stwierdziła, że dotknięcie go jest niesłychanie ważne dla niej i znów wyciągnęła rękę do jego wspaniałego futra. Znow się odsunął. Cierpliwie odsuwał się, gdy ona się przybliżała. Nie próbował jednak odejść. Ciągle jej pilnował i ciągle był poza jej zasięgiem. Wreszcie Miri zrezygnowała. Usiadła pod drzewem. Wilk położył się obok niej i lizał swe łapy, przyglądając się jej spokojnymi, znajomymi jej oczami.

Czas zatrzymał się. Miri powoli wróciła do siebie. Poczowała znów zimno i śmiertelne wyczerpanie. Zobaczyła, że słońce zaszło.

I Jordan Scott stał tam, gdzie przed chwilą leżał wilk.

ROZDZIAŁ XIII

Jordan nie był tak spokojny jak wilk ze snu Miri. Był wściekły, gdy Chwyający Dym dogonił go o dzień drogi od obozu. Jordan szybko ustalił trasę swej wędrówki. Musiał znaleźć Miri, zanim złapie ją Renquist. Postanowił też dać tej angielskiej pannicy nauczkę, by pożałowała tego, że wdarła się w jego życie.

Wtedy zaczął sypać śnieg. Sypał wciąż i wciąż. Gniew Jordana zmienił się w strach. Przez cztery dni Jordan wyobrażał sobie tę upartą kobietę, umierającą z zimna i mrozu, pokrytą grubą warstwą śniegu. Prześladował go widok błękitnych oczu, szeroko otwartych i nieruchomych. Myślał o delikatnych ustach, wykrzywionych śmiertelnym skurczem, o zamarznętej gęstwinie kasztanowych loków. Klął i modlił się na zmianę. Błagał Boga białych ludzi i duchy Czipewejów. Obiecował też sobie, że jeśli znajdzie tę zbląkaną małą arogantkę, nigdy nie pozwoli jej odejść. "Dopiero utrata kogoś może pozwolić go nam docenić" - myślał Jordan smętnie.

Widząc wreszcie Miri żywą, był pełen furii i niezwyklej radości zarazem.

- Do jasnej cholery, ty tępa idiotko! Co ty sobie myślisz? Próbujesz się wykończyć? Czy to ten twój głupi mózdzek powiedział ci, że salonowa lalka może wytrzymać w lesie w czasie burzy?

Miri nie odpowiadała. Nie mogła odpowiedzieć, choć usiłowała poruszyć ustami.

- Odpowiedz mi, ty króliczy rozumku! Czy ty wiesz, że jesteś tylko ciężarem? Mógłbym zginąć, gdyby burza nie minęła. I ty też. Uśmiech Poranka już śpiewa pieśni pogrzebowe nad nami. I to wszystko przez twoją totalną głupotę i ignorancję!

Miri patrzyła na niego i pojmowała, że wcale nie był taki wściekły na nią. Był po prostu nieprzytomny ze strachu o nią. Zależało mu jednak na niej.

- Odpowiedz mi wreszcie, do diabła!

Ale ona nie mogła odpowiedzieć. Nie mogła się nawet poruszyć. Była zupełnie sztywna. Zastanawiała się nawet, czy jeszcze żyje, czy już może nie.

Jordan podszedł do niej, chwycił ją za ramiona i szarpnął.

- Powiedziałem ci, odpowiedz mi!

Zorientował się wreszcie, że coś jest nie w porządku.

- Co się z tobą dzieje?

Z ust Miri wydobył się tylko skrzek. Żyła zatem. Nawet przez kocy i rękawiczki czuła, że ręce Jordana parzą jej lodowate ciało.

- Boże! Zamarzłaś na kość!

Zerwał z siebie futro z kapturem i okrył ją całą.

- Poczekaj tutaj - rozkazał, jakby mogła zrobić cokolwiek innego.

W krótkim czasie wybudował dwa potężne ogniska. Ułożył między nimi pień drzewa i usadził na nim Miri. Wyjął z bagażu kawałek suszonej dziczyzny i rozkazał Miri zjeść mięso. Po długich oporach zaczęła żuć. Jordan nazbierał gałęzi i zaczął budować szałas, cały czas coś mówiąc do siebie.

Ogień zaczął spełniać swą rolę. Miri zaczęła się dławić, całe ciało piekło, jakby nabite tysiącami igieł. Łzy napłynęły jej do oczu - kolejna słabość salonowej lalki. Przeżyła przecież! Usiłując nie myśleć o bólu, Miri patrzyła na Jordana. Zdusił jedno ognisko i przykrył gorącą ziemię skórą, tworząc z nich podłoga

- Myślałam, że tylko kobiety budują szałas - skomentowała Miri chrapliwym głosem.

- Czy mam usiąść i poczekać, aż ty wybudujesz?

- Jeśli ja wybuduję, to szałas rozleci się przy pierwszym podmuchu wiatru, sam wiesz.

Uśmiechnął się. Humor mu się poprawiał.

- Rozgrzałaś się trochę?

- Okropnie mnie boli - poskarżyła się.

- To dobrze. Możesz wstać?

Ból przeszył jej nogi, gdy Jordan podniósł ją i próbował prowadzić.

- Nie, nie mogę - wydyszała.

- Jesteś wciąż zimna jak sopel lodu. Bóg jeden wie, dlaczego jeszcze żyjesz.

- Wilk mnie utrzymał przy życiu - powiedziała Miri.

- Co takiego?

- Ja... miałam sen o wilku.

- Naprawdę? - W jego głosie było dziwne napięcie, które spowodowało, że Miri zadrżała. Czyż Tancerka nie powiedziała jej kiedyś, że Jordan jest z klanu Wilków? Czy czuł się urażony jej śmiałością, że mogła śnić o wilku?

- Jest mi wciąż zimno - zmieniła temat.

Ułożył ją na podłodze ze skór i narzucił na nią futra. Zaczęły ją szarpać dreszcze.

- Twoje ubranie jest mokre. Zdejmij je. Wysuszę przy ognisku.

Miri osłoniła się futrem i zdjęła leggingi i tunikę. Od razu zrobiło się ciepłej.

- Lepiej?

- Tak.

Oczy Miri rozszerzyły się, gdy Jordan sam zaczął się rozbierać.

- Co ty robisz?

- Nie widzisz? Rozbieram się.

Miał już na sobie tylko przepaskę lędźwiową i Miri odwróciła oczy mimo perwersyjnej fascynacji, jakiej doznawała na widok gry jego mięśni. Jego brzuch i piersi wyglądały jak wyrzeźbione. Poczowała rumieniec na policzkach.

- Dlaczego się rozebrałeś?

- Ciało jest doskonałym źródłem ciepła. Czy chcesz, żeby ci było ciepło dzisiejszej nocy?

- Zostajemy tu na noc?

- Czy ty myślisz, że teraz ruszymy do obozu?

- Ja... nie, nie.

- To zrób mi miejsce - powiedział, podnosząc futra i wślizgując się obok niej. Zesztywniała, gdy jej dotknął.

- To tak, jak spać z soplem lodu - stwierdził, biorąc jej dłoń i zaczynając ją rozcierać.

Miri zamknęła oczy. Nie tylko teraz była soplem lodu. Nie wątpiła w sposób, jakiego użyje Jordan do rozgrzania. Na pewno nie miał na myśli tylko skór i ogniska.

- Ty to wszystko ukartowałeś - oskarżyła go miękkim głosem. - Od chwili wybudowania szałasów.

- Tak. - W jego głosie nie było cienia wstydu.

"Zupełnie naturalne" - pomyślała Miri. Jordan był przecież takim wspaniałym mężczyzną. To widoczne było w jego ruchach, w jego spojrzeniu i głosie.

- To było wiadome od pierwszego naszego spotkania - stwierdził Jordan spokojnie. - Oboje o tym wiemy, choć walczyliśmy z tym. Jakiś kaprys bogów przeznaczył mi ciebie, Miriam Sutcliffe, i mam zamiar przyjąć ich ofiarę.

Usiadł i zaczął rozcierać jej lodowate stopy.

- A jeśli ja odrzucę los? - spytała. - Czy wtedy mnie zgwałcisz?

- Nie zgwałcę cię, dziewczyno. Nie będę musiał.

Był bardzo pewny siebie. "Może on też miał wizję" - pomyślała Miri. Czowała się lekka i swobodna. Wilk nie pozwolił się dotknąć, ale teraz Jordan dotykał jej i jego palce nie tylko rozgrzewały jej ciało, ale także osłabiały jej opór.

- Nie - wyszeptała. - Nie będziesz musiał mnie gwałcić. Jak ty dobrze o tym wiedziałeś.

Jego ręce przesunęły się na jej łydki i dotyk zaczął być pieczątką.

- Jest ci cieplej?

- Tak.

Krew rzeczywiście, zaczęła krążyć szybciej w jej żyłach. Czowała dziwne ciepło w podbrzuszu. Co za dziwna reakcja, nawet niewłaściwa. Damskie nie lubią męskiego dotyku, ledwo go tolerują. Niezamężna dama powinna raczej umrzeć niż poddać się przyjemności. Nagle Miri zaczęła podejrzewać, że wcale nie jest damą, bo chciała się poddać bez żadnej walki.

Jordan leżał obok niej. Jego ręka wędrowała po jej łydce, przesunęła się po jej udzie, po biodrze i spoczęła na miękkiej

okrągłości jej piersi. Miri szarpnęła się i serce zaczęło jej bić nieprzytomnie. Mógł to wyczuć swą dłonią. I rzeczywiście wyczuł

- Nie masz się czego bać - powiedział miękko.

Miri usiłowała zaczerpnąć tchu. Czuła dziwne podniecenie, które przeszywało jej całe ciało.

- Ja... ja nigdy tego nie robiłam - wyszeptała.

- Jestem tego pewien.

Jego dłoń gładziła jej pierś, gdy schylił się i dotknął językiem jej sutka.

- Nie zranię cię, moja malutka. Nie bój się.

- Nie boję się.

Naprawdę nie bała się teraz niczego. Za nic w świecie nie pozwoliłaby mu przestać. Obmywały ją dziwne wzruszenia, których istnienia nigdy nie podejrzewała. Może były niewłaściwe, ale nader przyjemne.

Jego ręce ześlizgnęły się po jej żebrach, potem po płaskim brzuchu i zanurzyły się pod jej pośladki, gdy usta nadal składały hołd jej piersiom. Wreszcie jego palce wsunęły się między jej uda. Spowodowało to drżenie, zapierające jej dech i przenikające ją całą.

- Nie - wydyszała, pragnąc równocześnie, żeby jej nie słuchał.

Podniósł głowę.

- Wcale nie chcesz, żebym przestał. Nie teraz. Przesuwał dłoń wokół jej pępka, zakreślił linię między jej piersiami i w końcu dotknął jej warg.

- Jesteś całkiem ładna. Wiesz o tym?

- Nie - odparła uczciwie.

- Nigdy nie widziałem piękniejszych piersi. - Objął obiekt swej adoracji jedną dłonią. - Ani doskonalszych ud. Mocne i wysmukłe. I skórę masz jak jedwab. Jesteś stworzona do miłości.

- Nie - zaśmiała się nerwowo. - Próbujesz mnie uwieść. Nie ma żadnego wytłumaczenia na to, co robisz.

- Nie potrzebujemy żadnego wytłumaczenia - uśmiechnął się i schylił do jej ust.

Pierwsze dotknięcie było łagodne. Jego język powoli przesunął się po jej wargach i powoli, uparcie zmuszał ją, by je otworzyła i pozwoliła mu się wsunąć w aksamitne wnętrze. Każda ła-

godna pieśczoć jego języka powodowała oszalałe bicie jej serca. Gwałtowne ciepło ruszyło spomiędzy jej ud i zaczęło wibrować w każdej komórce jej ciała. Wyciągnęła ramiona i objęła potężny tors majaczący nad nią. Poczwała jego twarde mięśnie pod swymi palcami i przesunęła dłonie do jego brzucha. Stęzał pod jej dotknięciem i zachrypiał prosto w jej usta.

- Och, ależ ja cię pragnę!

Jego kolana wciskały się między jej uda, zmuszając je do rozsunienia się. Jęknęła, lecz jej słaby protest został zduszony dziwkim pocałunkiem. Usiłowała się wydostać z jego potężnego uścisku, ale gwałtowny ucisk jego ud na jej pachwiny stał się nagle przyjemnością. Czy to tak ma być? Czy to o tym szeptały nieraz zameżne kobiety?

W tym momencie uklęknął i zaczął odwiązywać swą opaskę lędźwiową.

- Co ty robisz? - spytała, trochę przerażona, trochę ciekawa. Zachichotał chrapliwie.

- To mi przeszkadza. Czas już to zdjąć.

To, co Miri zobaczyła, było przerażające. Miała blade pojęcie o męskiej anatomii i na pewno nie wyobrażała sobie czegoś podobnego. Oświetlony słabym światłem ogniska Jordan stał się nagle groźny i przerażająco potężny. Jego kształty rysowały się na tle mglistego światła i nic nie ukrywało jego wyniosłej męskości.

Odwróciła oczy od tego widoku, nagle wystraszona.

- Jesteś taka niewinna? - zaśmiał się łagodnie. - Czy matka ci nic nie mówiła o tym?

- O takich rzeczach się nie mówi - odparła drżącym głosem.

Jordan potrząsnął tylko głową.

- Popatrz na mnie, moja kochana.

Gdy opierała się, chwycił siłą jej podbródek i zmusił ją do odwrócenia głowy.

- Nie ma się czego bać. Wejść w ciebie, moja maćka, wślizgnę się do środka, żeby ci dać samą przyjemność, żeby zabrać nas oboje do raj.

To było odrażające. Nic dziwnego, że nigdy nie mówiono o czymś takim niezameżnym kobietom. Żadna kobieta nie powin-

na nigdy wychodzić za mąż. Miri popatrzyła na tę jego nieznaną jej część ciała i zamknęła oczy.

- Nie sędzę, żeby to się udało - powiedziała.

- Uda się - zapewnił ją gardłowym głosem. - Uda się. I to nie jeden raz.

Przez chwilę jego pożądliwe spojrzenie błędziło po jej ciele. Jego twarz stężała z napięcia, usta zacisnęły się.

- Dotknij mnie, Miriam.

- Chyba nie mogę.

Chwyił jej dłoń i ulokował ją tam, gdzie chciał, żeby była. Ku zaskoczeniu Miri, dotknięcie było przyjemne. Wyczuła jakby gorącą stal pod miękkim aksamitem. Zadrżała i nie był to dreszcz przerażenia.

- Tylko pierwszy raz będzie cię trochę bolało. Ale potem, ile kroć będziemy razem, obiecuję ci tylko przyjemność.

Położył się obok niej. Łagodnie odgarnął kasztanowaty lok z jej twarzy.

- Czy wiesz, panno Miriam Sutcliffe?

Jego dłoń pogładziła jej pierś i zsunęła się niżej, do jej brzucha. Poczowała mrowienie i dreszcz między udami.

- Pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w moim życiu. Boże, wybacz, ale to prawda.

Miri westchnęła głęboko; ledwie słyszała jego słowa. Jego ręce na jej podbrzuszu wypędzały z jej głowy wszelkie zdolności pojmowania. Nagle jego palce zanurzyły się w gęstwinie loków między jej nogami.

- Spokojnie, kochanie, spokojnie.

Wsunął łagodnie palec w jej zapraszającą wilgotność. Jej ciało gotowe już było przyjąć go, choć jej umysł jeszcze się z tym nie pogodził.

- Zamknij oczy - poprosił. - Odpręż się, Miriam.

Świadoma była jego dotknięcia, czuła na piersiach szorstkość jego włosów, drżała pod jego penetrującymi palcami.

- Otwórz się dla mnie.

Poczowała, że rozum opuszcza jej ciało. Wielkie twarde dłonie Jordana uchwyciły jej uda i rozsunęły je szeroko.

- Rozluźnij się, najdroższa, spokojnie.

Miri otwierała szeroko uda, gdy on powoli wciskał się w jej ciało. Potem nagle zeszywniała, a on natychmiast zatrzymał się. Jego wargi zaczęły szeptać jakieś słowa w języku Czipewejów. Słowa były niezrozumiałe, ale dziwnie kojące i pełne czułości.

Jordan był renegatem, był dzikim, pełnym zwierzęcej żądz mężczyzną, który nie liczył się z niczyją opinią. Desperacka potrzeba potępienia go przeleciała przez głowę Miri, ale nagle uświadomiła sobie, że nie przejmuje się wcale opiniami o Jordanie Scotcie. Niech sobie będzie najdzikszym człowiekiem na ziemi, największym ignorantem. Kochała go.

- Proszę - wyszeptała wprost w jego usta, nie bardzo świadoma swej potrzeby. - Teraz.

Potężnym pchnięciem zanurzył się w niej.

"Ból nie był taki straszny" - zdecydowała Miri. Było tak może dlatego, że gwałtowne pulsowanie wewnątrz jej ciała domagało się spełnienia. Ból był słabszy niż chęć zaspokojenia. Miri wygięła się w łuk, pełna niemej prośby.

- Niecierpliwa mała czarownica. Och, ty! - zachichotał.

Zaczął się poruszać rytmicznie, przytrzymując jej pośladki i kołysząc ją zgodnie ze swoim rytmem. Wraz z każdym zmysłowym pchnięciem całował jej powieki, nos, jej oczy i piersi. W ciągu tych kilku minut świat zamknął się wokół ich zespolenia. Ból minął, zastąpiony przez rosnącą spiralnie rozkosz, połączoną z nieznośnym napięciem. Pożądanie w niej przełamało teraz wszelkie bariery. Oplotła swymi wysmukłymi nogami ciało Jordana i zachęcała go do szybszych, głębszych i mocniejszych uderzeń, odpowiadając na każdy jego cios.

Przeciągły jęk wydobył się z jego gardła, gdy z wysiłkiem zwolnił rytm wspólnych poruszeń. Znow coś powiedział niezrozumiale, potem podjął znow rytm.

- Powiedz, że mnie pragniesz - zażądał chrapliwie.

- Pragnę cię - odparła bez wahania.

- Jeszcze.

- Pragnę cię - wydyszała, wyginając się pod jego potężnymi pchnięciami, które stawały się coraz dziksze.

- Och, tak. Jeszcze, jeszcze, jeszcze - mówiła w rytm ruchów. - Pragnę cię, chcę ciebie. Och, Jordan! Kocham cię!

Przytulili się do siebie, pragnąc stać się jedną istotą. Jego uderzenia i pchnięcia nie powodowały żadnego bólu. Miri czuła, że płynie do ciemnej krawędzi zmysłów. Nie mogła prawie oddychać. Krew dudniła jej w uszach. Miała wrażenie, że umiera.

Dziki okrzyk zwycięstwa przeszył ciemność. Jordan chwycił mocno pośladki Miri i przyciągnął ją do siebie w desperackiej ekstazie, gdy gorąca kulminacja jego namiętności wytrysnęła wprost do ciała dziewczyny. Jak zbyt silnie napięta struna, Miri zadrżała gwałtownie. Poczula falę szczęścia, aż bolesnego w swej intensywności. Wyciągnęła ramiona i mocno uchwyciła przyniatające ją ciało, swój jedyny bezpieczny port w mrocznym świecie pragnienia. Ręce Jordana objęły ją, przytulił ją do swej szerokiej piersi, gdy płynęli razem przez płomienie. Miri poczuła się dziwnie bezpieczna. Otulona jego ramionami popłynęła w miłe ciepło i zapraszającą, kojącą ciemność.

Obudziła się i poczuła, że nie jest sama. Rozleniwiona, senna i zadowolona, usiłowała znów zdrzemnąć się, ale coś zaczęło łechtając ją po twarzy.

Otworzywszy wreszcie oczy, zobaczyła nad sobą uśmiechniętego Jordana. Drażnił ją postrzępionym piórkiem.

- Obudzisz się wreszcie, ty leniwa kobieto?

- Nie - odparła zdecydowanie i wtuliła się w obręcz jego ramion. Wtem promień słońca przebił się przez gałęzie i zaświecił jej prosto w oczy.

- Dlaczego słońce weszło tak wcześnie? - spytała sennie. Ostatnia noc była płataniną snów i Miri nie była pewna, czy ma ochotę wracać do rzeczywistości.

- Jak się czujesz? - spytał Jordan.

- Mmm. Jak kobieta - odparła z dumą.

Próbowała teraz poruszyć się i odkryła, że bycie kobietą nie jest wcale takie cudowne. Była zeszywniała, obolała i zimno powoli wsuwało się do szalasu.

Jordan zaśmiał się na widok jej grymasu na twarzy.

- Będziesz chciała się umyć - podniósł złośliwie brwi.

Zauważyła, że trzyma pełne garści śniegu. Poderwała się.

- Nie masz chyba zamiaru!

- Tylko to mogę dla ciebie zrobić.

Omotana futrami nie mogła uciec przed nim. Jordan szybko okładał ją śniegiem i zmywał z jej ud intymne ślady jej kobiecości.

- Zimno? - spytał, szczerząc zęby.

- Dlaczego, ty...! Panie Scott!

Przyłożył palec do jej drżących ust.

- Czy nie sądzisz, że po ostatniej nocy, byłoby właściwe nazywać mnie po prostu... Jordan?

Po raz pierwszy użył w stosunku do siebie innego imienia niż Oczy Ducha. Chciał wrócić do swego chrześcijańskiego, pierwszego imienia.

- Nie mam zamiaru nazywać cię znów panną Sutcliffe. Miriam też brzmi zbyt formalnie. No więc będziesz Miri.

Zamknęła oczy. Świat zawirował. Wszystko działo się zbyt szybko. Nie mogła już nadażyć za zmianami.

- Obudź się, Miri, i odpowiedz mi wreszcie.

W jego głosie drżało napięcie. Znów dołożył śniegu na jej uda, ale ledwie poczuła chłód.

- Jordan, co ty ze mną wyprawiasz? - wyszeptała miękko, gdy poczuła, że jego palce znów wsuwają się między jej uda.

- Kocham cię, moja kobieto - uśmiechnął się. - I ogrzewam cię.

Błyskawicznie wsunął się pod futra, przewrócił ją na brzuch i położył się na niej. Zetknięcie jej pokrytych śniegiem pośladków z jego gorącym podbrzuszem nie odstraszyło go wcale.

- Co ty znowu robisz?

Niecierpliwie napierająca, stwardniała męskość Jordana odpowiedziała na jej pytanie. Leżał na niej, rozsuwał jej uda i pragnął znaleźć wspomnienie ubiegłej nocy. "To na pewno niemożliwe" - pomyślała Miri, choć pożądanie ogarniało każdy jej nerw.

- Ależ nie możesz...! - opierała się słabo.

Ale Jordan mógł. I zrobił to.

Zwijanie obozu opóźniło się o godzinę.

Wędrówka do obozu zajęła im dwa dni. Rzeczywistość przywołała Miri do siebie, gdy poczuła mroźne tchnienie zimy. Przez

dwa dni podróży miała czas na rozmyślania. Raz znajdowała usprawiedliwienie dla swego postępowania, zaś potem uważała, że nic jej nie usprawiedliwia. Była rozpustnicą, ladacnicą. Raz wierzyła w miłość Jordana, a za chwilę uważała ją za niemożliwą. Wątpiła też we własne uczucia. Stwierdzała, że nie kocha go, choć serce jej nie słuchało.

Pierwszego dnia podróży była szarpana wątpliwościami. Nie była już dobrze urodzoną damą, która opuściła Londyn parę miesięcy temu. Była obca samej sobie. Przez cały dzień obserwowała Jordana i rozpamiętywała jego uśmiech, jego żarty i dotknięcia jego dłoni na jej nagim ciele.

"A więc jestem zakochana w tym barbarzyńcy" - zdecydowała Miri ostatecznie. Umiała odróżnić pożądanie od miłości. To rozpoznanie nie czyniło jednak jej sytuacji łatwiejszą. Była zagubiona na pustkowiu, zakochana w dziwnym człowieku, prześladowana przez żołnierzy. Ponadto złamała wszystkie zasady, cały kodeks moralny, którego ją uczono. Nie o takim losie marzyła kiedyś dla siebie.

Miri nalegała, by Jordan pozwolił jej wybudować szałas pod koniec pierwszego dnia wędrówki. Oprawiła też królika złapanego przez Jordana, udając kamienny spokój. Aprobujące skinienie Jordana było tego warte. Nie miała czasu nacieszyć się swym małym zwycięstwem ani nie pamiętała momentu zaśnięcia. O brzasku obudziła się przytulona do nagiego ciała Jordana, jej głowa leżała na jego ramieniu, jej nogi splecione były z jego nogami. Była to dla niej zupełnie naturalna pozycja • bezpieczna i pożądana.

Po południu zostali oboje powitani w obozie. Chwytający Dym solennie odprawił dziękczynne modły do duchów opiekuńczych. Uśmiech Poranka objęła Miri gorąco i ubolewała nad jej chudością, zaś Ujeżdżający Fale walnął Jordana po plecach na dowód wielkiej radości. Jordan odwzajemnił mu się takim samym, niedźwiedzim klepnięciem.

Nagle Miri spojrzała na Wierzbową Pieśń, która patrzyła na nią z nie ukrywaną wrogością. Spojrzenie to było kubłem lodowatej wody. Miri przypomniała sobie, co skłoniło ją do opuszczenia obozu. Sięgnęła do kieszeni swej tuniki i wyjęła z niej opaskę,

którą Pieśń tak wyzywająco rzuciła przed nią. Czy Jordan też mówił Pieśni o swym pożądaniu, gdy pośpiesznie zrywał z siebie ubranie?

- Jesteś wciąż zmęczona? - spytał Jordan, gdy znaleźli się wreszcie w swym wigwamie.

Wszystko było na swoim miejscu. Jane spała przy ognisku i Petunia spoglądała ciekawie spode łba.

- Nie jestem zmęczona - zaprzeczyła Miri.

- To dlaczego masz takie zmarszczone czoło i dlaczego tak wydułaś wargi? - spytał Jordan i wyciągnął rękę, by ją pogłaskać.

Miri odsunęła się. Nim zdążyła uciec, chwycił ją za ramiona i przytrzymał mocno.

- Co się dzieje? - jego głos zabrzmiał groźnie.

- Puść mnie.

- Odpowiedz mi. Wtedy cię puszcze. Może.

Usta Miri zacisnęły się w wąską linię.

- Byłam szalona - Jej głos nie był ostry, lecz smutny. - Wierzbowa Pieśń ucieszyła się na twój widok.

- Wszyscy się ucieszyli z naszego powrotu. Powiedz, o co ci chodzi. Nie mam cierpliwości do gry w słówka.

Miri pokazała mu opaskę.

- Zgubiłeś to.

- Tak. - Zacisnął szczęki. - Pamiętam.

- Jestem pewna, że pamiętasz. To musiało być niezapomniane przeżycie. Wierzbowa Pieśń opowiedziała mi to z detalami.

- Wątpię w to.

- Uważasz, że kłamię?

- To ona kłamie. Gdyby ci powiedziała prawdę, nie mogłoby cię to dotknąć.

- Czy spałeś z nią?

- Nie, nie spałem.

Miri wyrwała mu się i zaczęła płakać. Chciała mu wierzyć, ale nie mogła. Był taki pewny siebie. Lucy ostrzegła ją, że morale mężczyzny mieszka między jego nogami.

- Nie masz żadnych zobowiązań wobec mnie, Jordan, więc nie musisz zaprzeczać. Śpij sobie z kim chcesz, ale nie mam zamiaru

należę do twego haremu. Zachowałam się jak flądra. Nie spodziewaj się powtórki tego szaleństwa. Jordan z wściekłością ścisnął jej ramię.

- Nie zachowałam się jak flądra, tylko jak kobieta, nareszcie. I nie chcę więcej słyszeć takich słów. Zmuszę cię do tego, żebyś pożałowała takiego gadania.

Jego dłonie masowały teraz łagodnie jej ramiona.

- Powiedziałas, że mnie kochasz, Miri. Nie niszczy tego, co mi ofiarowałeś.

- Nigdy ci tego nie powiedziałam - zaprzeczyła niepewnie.

- Powiedziałas i pamiętasz to doskonale. Ja też.

- Nie to miałam na myśli. Byłam... rozkojarzona.

- Ależ miałaś. To ja mógłbym coś podobnego powiedzieć w porywie pożądania, ale nie ty. Mylisz się, co do Pieśni. Miałem więcej niż jedną kobietę w życiu, ale nigdy więcej niż jedną naraz.

- I ja jestem następną w kolejce? - spytała lodowato.

- Ostatnia, jak sądzę.

Spojrzał na nią i Miri zdziwiła się, że mogła kiedyś uważać jego oczy za zimne. Patrzyły na nią z takim ogniem!

- Widziałas we śnie wilka?

- Tak - odparła, czując się znów oczarowana.

- Wilk cię uratował, ogrzewał cię.

- Tak.

- Ja jestem wilkiem, Miri. Ja cię uratowałem, ja cię utrzymałem przy życiu. Uczyniłem cię-moją. Wilki łączą się w pary na całe życie. Jak długo żyje ich partner, nie biorą sobie innego.

Jej serce załomotało. Spojrzenie srebrzystych oczu przenikało ją całą.

- Czy my jesteśmy naprawdę związani ze sobą, Jordan?

Wypuścił ją z objęć i nagle zachwiała się.

- A to już od ciebie zależy - odparł i odszedł.

ROZDZIAŁ XIV

"Chyba straciłam resztki rozumu" - mówiła do siebie Miri. "Czy to nie dosyć, że już straciłam dziewictwo, serce, poczucie słuszności postępowania i zasady moralne?"

Stała przed wejściem do większego wigwamu i wahała się. Chciała wejść i nie chciała. Wizja nic nie znaczyła. To były tylko halucynacje, nie wizje. Wizje są dla przesądnych - dla dzikich ignorantów.

Czipewejowie wierzyli w swe wizje i przywiązywali do nich ogromne znaczenie. Były dla nich źródłem wszelkiej mądrości. Chwytający Dym powiedział jej, że post oczyszcza ciało i pozwala mu na przyjęcie przesłania od manido, czyli duchów kontrolujących ziemię. Nonsens, czyste bzdury. Chwytający Dym opowiedział jej o wizji, jaką miał w młodości. Przesądziła ona o całym jego życiu. Uśmiech Poranka potwierdziła tę opowieść.

Miri była zbyt cywilizowana, by wierzyć w podobne brednie. Był jakiś powód dla jej snów o wilku, które prześladowały ją ostatnio. Wilk nie opuszczał jej snów, ale to nie on się od niej odsuwał. To ona, Miri, cofała się przed jego łapami i przed spojrzeniem jego srebrzystych oczu.

Te sny nic nie znaczą, upewniała się Miri. Ciekawe tylko, co na ten temat powie Midewiwin - Mądry Człowiek. Dlatego stała teraz przed jego wigwamem.

- Dlaczego nie wchodzisz, córko?

Miri poczuła się dość głupio. Chwytający Dym był cały czas świadomy jej obecności. Miri podniosła koc i weszła do zadymionego wnętrza.

Stary szaman siedział przy ognisku. Wyglądał dostojnie. Nie trudno uwierzyć, że nieuczni barbarzyńcy wierzyli w jego magię. Ona sama prawie w nią wierzyła, gdy wyleczył Jane. Przez ostatnie tygodnie kurował zaziębienie dziecka jakimś ziołami. Usmiech powiedziała Miri, że umiejętność leczenia ziołami była zasadą Midewiwin.

Ale zioła nie są magiczne i wyzdrowienie Jane było na pewno przypadkowe.

A wizje i sny nie mają znaczenia.

- Co cię tu sprowadza, Oczy Nieba?

Miri usadowiła się naprzeciwko Chwyającego Dym.

- Mam problem, ojczu - powiedziała, szukając słów w języku Czipewejów. Nie chciała rozmawiać na temat swych wizji po angielsku.

Szaman kiwnął głową w oczekiwaniu.

- Jestem ciekawa, to wszystko. Miałam... miałam wizję, sen. Gdy byłam sama w lesie.

Chwyający Dym milczał przez chwilę. Oczy mu zaśniły.

- To dobrze. Zostałaś uhonorowana, Oczy Nieba. Sny dają mądrość i poznanie własnej wartości. Nasi młodzi wojownicy, i kobiety czasami też, poszczą przez wiele dni, żeby uzyskać wizję.

- To był dziwny sen, ojczu. Nie mogę go zrozumieć.

- Może twoje oczy są jeszcze zamknięte.

W twarzy starego człowieka Miri widziała mądrość - mądrość, wiarę i wewnętrzny spokój. Chciałaby mieć ten jego spokój i poczucie równowagi.

- Zobaczyłam wilka - zaczęła swą opowieść. Cały sen powrócił do niej. Opowiedziała Indianinowi wszystko.

Gdy skończyła, Chwyający Dym zamyślił się. Przez cały czas jej opowieści obserwował jej twarz, teraz zaś spoglądał w ogień. Przemówił w końcu.

- Tylko śniący zna sens snu. Sny dają mądrość, poznanie i czasami siłę. Odwiedził cię duch wilka. Może to znaczy, że masz władzę nad wilkami. Może wilk ma władzę nad tobą. Może być ci przyjacielem albo wrogiem. Tylko ty to wiesz.

"To jest idiotyczne" - pomyślała Miri. "Albo wcale nie".

- Ten sen niczego mnie nie nauczył. Spowodował tylko bezsenne noce, ojczu.

Cień współczucia przemknął przez twarz Indianina.

- Nawet dzieci Gitchimanido mają trudności ze zrozumieniem mądrości duchów. Nie jesteś Anishanabe, więc może twoja wizja nie jest darem duchów, tylko pochodzi z twego serca. A to też daje mądrość, jeśli umiesz słuchać głosu swego serca.

Miri nie wiedziała, czego się spodziewała po wizycie u szamana. To nie miało znaczenia. To była tylko halucynacja. Była głupia, spodziewając się czegoś więcej.

- Moja córko, nie słuchasz zbyt uważnie. Jesteś biała, a biali słuchają jedynie uszami, nie zaś sercem. Mądrość mówi do serca i przez serce. Musisz zawrzeć pokój z samą sobą i nauczyć się słuchać.

Miri zrozumiała, że rozmowa jest skończona. Podziękowała Chwytającemu Dym i wstała. Gdy była już przy wyjściu, Indianin zawołał ją i wpatrzył się w jej twarz.

- Oczy Nieba, czy wiesz, kto jest wilkiem?

- Tak, ojczu - odparła spokojnie. - Wiem.

Tygodnie mijały szybko na zwykłych czynnościach. Miri coraz bardziej wciągała się w styl życia Czipewejów. Łatwo jej było opuścić Londyn, ciotkę Elizę i całe swe dotychczasowe życie. Hamilton Greer i kapitan Michaels majaczyli zaledwie w jej świadomości. Oni wszyscy należeli do innego świata, który nie miał w tym mroźnym lesie żadnego znaczenia.

Teraz były ważne sprawy codziennego życia, łagodna cierpliwość Uśmiechu Poranka i Chwytającego Dym, wciąż rosnąca miłość do dziecka i, przesłaniająca wszystko, bliskość Jordana.

Życie Miri nie zależało już od niej samej. Jej prywatna wojna z Jordanem zakończyła się. Wrogość została pogrzebana pod gwałtowną namiętnością. Nocą, w ciepłej intymności ich posłania, Jordan nie mógł zostać odepchnięty i Miri nie miała takiego zamiaru. Nie potrafiłaby. Zapalił ogień w jej żyłach, drżała pod jego dotykiem. Był jak narkotyk; był potrzebą, którą tylko on potrafił złagodzić i spełnić.

Świadomość Miri wydawała się być uśpiona. Bez względu na to, jak często przypominała sobie, że jej postępowanie jest zbrodniczo niemoralne i w najwyższym stopniu szaleńcze, świadomość nie chciała wymierzać jej kary w postaci żalu i wyrzutów sumienia. W tym świecie, w którym teraz przebywała, jedynie słuszne było wspólne życie z Jordanem. Mężczyzna i kobieta byli oboje częścią naturalnej całości i bardziej grzeszne było niszczenie ich związku niż jego uznanie. Zimowy las stał się dla Miri rajskim ogrodem. Nie było nic złego w porywach namiętności Jordana, nic złego w jej pozytywnej reakcji.

Przeszłość nie liczyła się, nie myślało się o przyszłości. Liczyła się tylko teraźniejszość i radość z bycia częścią Jordana Scotta oraz posiadania części jego istoty.

Miri nie pamiętała, że nawet w raju był wąż. Pewnego dnia nieuchronnie musiał się wślizgnąć do jej wewnętrznego świata i przypomnieć jej o ponurej rzeczywistości.

Było słoneczne popołudnie. Jordan i Ujeżdżający Fale wrócili właśnie z dwudniowego polowania i siedzieli teraz z Chwytającym Dym, zatopieni w rozmowie o jakości futer, które zdobyli. Uśmiech Poranka i Wierzbowa Pieśń zdejmowały skóry z zabitych bobrów, wydr i kun. Miri tymczasem obierała dziką cebulę i ziemniaki, które dodane do mięsa, stanowić miały dzisiejszą kolację. Reszta mięsa przeznaczona była do wędzenia lub suszenia. Nie można było zmarnować niczego.

Wierzbowa Pieśń podała Miri kawałek bobrowego ogona. Należało go dodać do bulgocącego nad ogniem gulaszu.

- Nie dodawaj tyle cebuli. Poprzednim razem omal się nie udławiłam twoim gulaszem.

Miri wykrzywiła się za plecami Indianki. Na ogół nie przejmowała się zaczepkami Pieśni. Rozumiała jej zazdrość i pamiętała swe własne uczucia, gdy myślała, że Jordan szuka pociechy w ramionach dziewczyny Czipewejów. Czasami jednak było to już trudne do zniesienia. Pieśń była komarem, którego nie dawało się odpędzić. Miri nauczyła się obdzierać ze skóry bobry, wydry, piżmoszczury, kuny i sarny, które mężczyźni przynosili z lasu. Potrafiła skrobać skóry nie gorzej niż Wierzbowa Pieśń, wędziła i suszyła mięso, szyła odzież i mokasyny dla siebie i Jordana. Ni-

gdy nie mogła zdobyć pochwały Pieśni. Im czulej Jordan odnosił się do Miri, tym złośliwsza była indiańska dziewczyna.

Tego dnia Miri nie miała czasu na myślenie o zazdrości Pieśni, gdyż w lesie pojawił się ktoś obcy. Psy zaczęły szczekać i rzuciły się w jednym kierunku. Wszystkie rozmowy nagle ucichły. Trzej mężczyźni natychmiast sięgnęli po broń. Jordan wycelował łuk w nadchodzącego człowieka, ale ten nie czuł żadnego strachu.

- Hola! Chwytający Dym! Oczy Ducha, ty stary draniu!
Mężczyźni natychmiast opuścili broń.

- Gage Delacrobc! - Jordan rzucił się naprzód i przywitał go ściskaniem dłoni. - Ty wyleniały wilku! Co ty robisz tutaj o tej porze roku?

Delacrobc rzucił w śnieg swój bagaż.

- *Mon Dieu*, jak to dobrze zobaczyć znajome twarze.

- Spodziewano się ciebie wiele tygodni temu.

- *Oui!* Ten przeklęty Anglik, którego prowadziłem do Missisipi, był tak łajzowaty jak niedźwiedź w zimie. Jak już dotarliśmy na miejsce, to twoi amerykańscy rodacy wpakowali mi kulkę w portki. Omalże, *mon ami*, nie przestałem być mężczyzną. Przez dwa miesiące byłem na Prerii Psów i leczyłem swoje jaja.

Jordan klepnął go po ramieniu.

- Myślę, że są już w porządku. Choć jeśli nie, to kobiety Irokezów i Ojibwa będą mogły odetchnąć z ulgą.

- Nie, *mon ami*, one zapłakałyby się z żalu.

Delacrobc błysnął zębami w uśmiechu. Nagle dojrzał Miri, która wciąż stała przy kotle nad ogniskiem i pilnowała gulaszu.

- A kogóż my tu mamy? - Spojrzał na Jordana, zauważył wyraz jego twarzy i ryknął śmiechem. - Ty stary diable, ty łobuzie! Gdzieś ty znalazł *takapetite filie dejoie*? Ona jest twoja, prawda?

- Ona jest moja.

- Żona numer dwa? Zawsze wiedziałem, że Tancerka jest wyrozumiałą kobietą, ale nie sądziłem, *mon ami*, że starczy ci siły w jajach na dwie baby naraz. Ej, może potrzebujesz kogoś do pomocy?

- Tancerka Jeziora nie żyje, Delacrobc.

Francuz posmutniał i szybko się przeżegnał.

- Niech spoczywa w spokoju. Przykro mi, *mon ami*, ale moja gęba jest większa niż mój rozum, prawda?

Miri była w stanie zamroczenia. Miała wrażenie, że rozpoznaje nazwisko przybysza. Potwierdziła się też historia o "przeklętym Angliku". To musiał być przewodnik Hamiltona Greera. Podeszła do mężczyzny.

- Czy pan jest Gage Delacrobc? - spytała bez tchu.

Francuz zerwał z głowy kapelusz, odsłaniając gęstą masę krótko ostrzyżonych włosów, które lśniły jak skrzydła kruka. Był uderzająco przystojny. Miał wysokie kości policzkowe Irokezów, ale oczy zielone jak trawa. Oceśniły one natychmiast urodę Miri.

- Do pani usług, *mademoiselle*. Widzę, że moja sława dotarła do wszystkich zakątków głuszy.

Jordan stanął obok Miri i położył rękę na jej ramieniu w geście posiadania.

- Nie taka sława, o jaką ci chodzi. Ten brytyjski żółtodziób, którego zawiozłeś do Missisipi, jest kuzynem panny Sutcliffe. Ona go właśnie szuka.

- *Mon Dieu!* Szczęśliwy człowiek! Gdybyś to mnie szukała, *ma petite*, z pewnością pozwoliłbym się znaleźć.

- Czy pan może mi powiedzieć, gdzie jest Hamilton? - spytała Miri, ignorując jego żarciki.

- Hamilton? On się tak nie nazywa, *cherie*. Ten Anglik to Kenneth Shelby.

- Naprawdę nazywa się Hamilton Greer. Proszę mi powiedzieć, gdzie on jest.

Delacrobc wzruszył ramionami.

- Ależ proszę bardzo. Zostawiłem go na Prerii Psów, gdzie nawet teraz uszczęśliwia tamtejszych dzikusów, ofiarowując im niesamowite ceny za futra. Ten pani kuzyn bardzo polubił prerię. Ale na jego miejscu, *mademoiselle*, rzuciłbym wszystko na kiwnięcie pani paluszka.

- Dość już, Delacrobc. Miri nie jest zainteresowana. Ona się nie nadaje do francuskich flirtów.

Delacrobc oburzył się, ale ostrzegł go wyraz oczu Jordana i szybko zmienił temat rozmowy. Zaczął mówić o pojawieniu się wojsk amerykańskich wzdłuż północnego obszaru Missisipi.

- Coś ci powiem, mój przyjacielu. Wasi generałowie chcą wybudować fort i rozpocząć wojnę na zachodzie. - Delacrouc odciągnął Jordana na bok. - To nie byli handlarze, ale regularni żołnierze. Dlaczego strzelali do takiego nieszkodliwego człowieka jak ja?

- Czyżbyś był taki nieszkodliwy? - odparł Jordan. - Ale masz rację. Anglicy nie będą zachwyceni, jeśli się dowiedzą.

- Dowiedzą się, ale za późno. Wolę amerykańskich szaleńców niż tych sukinsynów w czerwonych płaszczach. Ten Anglik też woli Amerykanów niż własnych rodaków. Jak mnie postrzelono, to on się jakoś dogadał z Amerykanami. Inaczej już dawno dynalibyśmy na gałęzi.

Miri znów dołączyła do mężczyzn. Nie tak łatwo było się jej pozbyć.

- Jordan!

Obydwaj się odwrócili - Delacrouc z uśmiechem, ale Jordan ze złością.

- Jordan, zaprowadzisz mnie do Hamiltona?

- Porozmawiamy później - odparł krótko.

- Nie możemy czekać, Jordan. On może wyjechać albo...

- Powiedziałem, że później.

Jego ton był tak ostry, a oczy tak lodowate, że Miri zmartwiała. Zapomniała już, że Jordan potrafi być taki.

- Jak sobie życzysz - zgodziła się z udawaną pokorą. Wróciła do ognia i zajęła się krojeniem jarzyn.

Zaatakowała Jordana z furją, gdy zostali sami w wigwamie na noc. Była w nastroju do walki. Jane marudziła przez cały wieczór, Petunia zachowywała się też nieznośnie przy wieczornym dojeździe. Koza dawała coraz mniej mleka, zaś Jane nie chciała jeść niczego innego.

- Dlaczego nie chcesz mnie zaprowadzić do Hamiltona?

- Dlatego, że jest zima.

Jego głos był pełen wyższości, zupełnie jakby przemawiał do głupiego dzieciaka.

- Lód nie topnieje nawet w słońcu. Wiatr jest jak nóż. Można odmrozić sobie wszystkie palce i nawet tego nie poczuć. Preria

Psów jest daleko. Trzeba podróżować dwa tygodnie. Teraz jezioro jest zamrożone i podróż jest niemożliwa.

- Ale ty podróżujesz zimą - odparowała Miri. - To jakoś nie odstrasza ciebie ani Francuza.

- Jestem od ciebie silniejszy. A Jane na pewno nie przeżyłaby podróży.

Odebrał dziecko z rąk Miri i usiadł z nim przy ogniu.

Miri zawstydzona się. W podnieceniu zapomniała o Jane. Przecież dziecko nie może podróżować. Miri i tak obawiała się, czy Jane przetrzyma zimę. Dziewczynka urosła trochę, ale na jej rączkach i nóżkach nie było fałdek, zaś skóra miała błękitnawy odcień. Jordan kołysał dziecko i Jane wydawała się jeszcze węższa przy swoim potężnym ojcu.

- Nie bądź taka zmartwiona, Miri. Zabiorę cię na Prerię Psów, gdy wrócimy do wioski. Na wiosnę. Jeśli chcesz nadal odszukać swego kuzyna, znajdziemy go.

Miri patrzyła na niego z powątpiewaniem, nie wierząc spokojnemu tonowi jego głosu.

- Oczywiście, że chcę go znaleźć.

- Po co?

Oczy Jordana były teraz jak szpilety. Miri zadrżała.

- Wiesz, że muszę go znaleźć. Jeśli nie znajdę tej jego przeklętej listy, nie będę nigdy mogła wrócić do Londynu.

- Czy chcesz tam wrócić?

Miri patrzyła w ziemię. Przyszłość była dla niej niepewna i nie chciała o niej myśleć. A teraz Jordan domagał się odpowiedzi.

- Dlaczego miałabym nie wracać? - odparła wojowniczo.

- Myślałem, że może znalazłaś coś, co cię tu zatrzyma.

Miri milczała, obawiając się spojrzeć na niego. Jak to wspomniała by mogło być, gdyby to było możliwe. Ale mimo przyjaźni, którą tu znalazła, mimo uczuć do tego mężczyzny, wiedziała, że nie należy do tego Świata. Była tutaj nie na miejscu tak, jak Jordan w londyńskim salonie.

- Wiesz, że muszę wrócić - odparła spokojnie. - Ile razy mówiłeś mi, że nadaję się tylko na ozdobę do salonu?

Jordan przyglądał się jej długo. Wstał i położył Jane na futrzanym posłaniu. Stał odwrócony plecami do Miri, a gdy się wreszcie odwrócił, nic nie można było wyczytać z jego twarzy.

- Pomogę ci znaleźć Hamiltona na wiosnę. Obiecuję. Pod warunkiem, że cię nie stracę w tej głupiej wyprawie.

- Dlaczego chcesz mnie zatrzymać, Jordan?

Jej mały raj zniknął wraz z pojawieniem się Delacroix. Ale Jordan mógł jednym słowem uratować raj. Miri miała wątpliwość nadzieję na to.

- Jane cię potrzebuje.

Jane jej potrzebowała. To wszystko. Raj zniknął.

Miri starała się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest zraniona. Ale czego się spodziewała? Jordan mówił, że jej pragnie, ale nigdy nie wyznał jej miłości. Pragnął jej rzeczywiście i potwierdzał to każdej nocy. Ale jego pożądanie nie mogło jej zmusić do porzucenia wszystkiego. Jej miłość do niego mogła ją nieco osłabić, ale nie był to powód do odrzucenia całego dotychczasowego życia.

- Idziesz spać, Miri? A może będziesz się tak gapić w ogień przez całą noc?

Miri otrząsnęła się z ponurych myśli. Jordan rozebrał się do naga i rozwinął posłanie. Migocący ogień oświetlał ciało Jordana i podkreślał kontury jego ramion. Cień okrywał go poniżej pasa, ale Miri wiedziała, co się tam znajduje - mocne kolumny nóg i to pomiędzy nimi. Przyływ pożądania był tak znajomy jak oddech i tak samo niezbędny do życia. Ale to pożądanie niszczyło ją. Znowu wróciła rzeczywistość.

- Już idę - wymamrotała Miri.

Futra były ciepłe, muskularne ciało Jordana bliskie i znajome, ale nastrój się popsuł. Jordan leżał nieruchomo i gładził lekko plecy Miri; wydawał się być bardzo daleki. Czyżby przybycie Delacroix wyprowadziło go z równowagi?

- Dlaczego tu przyjechałeś? - spytała Miri po długiej chwili milczenia, gdyż oboje i tak nie spali.

Ciemność zapraszała do intymności i zwierzeń. Miri właściwie nic nie wiedziała o tym człowieku, z wyjątkiem tego, co usłyszała od Grace. Teraz on stał się istotą jej życia, wywrócił na opak

wszystkie jej zasady i reguły. Wydawało się być niesprawiedliwością, że nadal zostawał taki obcy i tajemniczy.

- Na pewno było coś jeszcze poza... poza nieślubnym pocho-
dzeniem.

Jordan przycisnął ją mocniej do siebie. Milczał przez moment i Miri zaczęła się obawiać, że nie dopuści jej do tajemnic swej przeszłości. Zachichotał nagle.

- To było wieki temu i teraz jest nieważne.

Miri oparła głowę na jego ramieniu. Wydawał się nieczuły na zranienia, tak jak na zimno i strach.

- Grace mówiła, że była jakaś kobieta.

Mogła poczuć w ciemności jego uśmiech.

- Rzeczywiście? I tak to wygląda, jak się powierzy tej intry-
gantce jakąś tajemnicę. To nie jej cholerny interes.

"Czy to mój cholerny interes?" - zastanawiała się Miri. Nie-
ważne. Musi wiedzieć.

- Kim ona była?

Jordan uniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

- Wścibska mała czarownica. Jak wszystkie baby na świecie.

-Tak.

-No dobrze, moja ciekawska damo. Nazywała się Elizabeth
Bowles i była córką jednego z najszacowniejszych obywateli Bos-
tonu. Była sztywna i znakomicie wychowana, zupełnie jak Mi-
riam Sutcliffe.

- A ty się w niej zakochałeś?

Jordan położył się, podłożył sobie ręce pod głowę i patrzył w
noc.

- Byłem zupełnie zielony. Nie wiedziałem wtedy, co znaczy mi-
łość. Chyba nadal nie wiem.

Obrazy, które tak długo ukrywał w pamięci, wróciły teraz i nie
były już bolesne. Długo trwało, nim pojął, jakim był żółtodzio-
bem w Bostonie.

- Ona cię kochała? - nalegała Miri.

- Elizabeth Bowles nie kochała nikogo oprócz siebie - prychnął
Jordan. - Była duszą towarzystwa - cała pełna słodczy, do-
brych zasad, zawierająca tylko właściwe znajomości. Nie było do-
skonalszej damy niż słodka Elizabeth.

Znów się zamyślił i pozwolił płynąć wspomnieniom. Zielone oczy Elizabeth i jej złote loki, trzęsące się, gdy śmiała się z jego oświadczeń. Złamała mu serce? Chyba nie. Ale zraniła jego dumę. Myślała, że to żarty. Natomiast jej ojciec wcale tak nie myślał. Nie tylko wyrzucił Jordana z domu, ale jeszcze kazał go obić wynajętym opryszkom. Złamał nie tylko dumę chłopca.

- Matka zostawiła mi sporo pieniędzy - uśmiechnął się z goryczą. - Została wydziedziczona przez moich dziadków, gdy odkryli, że ich córka jest w ciąży. Jej kochanek, kapitan na statku, nie zdążył się z nią ożenić, bo utonął. Rodzice wyrzucili ją dosłownie na ulicę. Urodziła mnie w nędznym burdelu, ale to jej nie załamało. Moja matka była twarda. Została znaną kurtyzaną, choć nobliwi Bostończycy twierdzą, że takich osób nie ma. Ten wytworny światek dobrze urodzonych ludzi kryje w sobie tyle samo dzikości, ile każdy inny.

- Twoja matka była zatem bogata?

- Bardzo. Część jej pieniędzy zapewniła mi wejście do Harvardu. Reszta leży w banku. Myślę, że jest z tego niezła sumka.

- Po co poszedłeś do Harvardu?

- Żeby być szanowanym człowiekiem - zachichotał. - Harvard jest bardzo szacowną instytucją. To oczywiście nie pomogło. Wszędzie byłem wyrzutkiem. Ale paru kumpli miałem niezłych. Jeden był kuzynem Elizabeth.

- I to on was sobie przedstawił?

- Tak. Nie znał jej dobrze. Lepiej byłoby, żeby trzymał mnie z dala od niej. Ale ona sprawiała wrażenie, że mnie lubi. Nie znałem innych kobiet poza dziwkami. Myślałem więc, że Elizabeth jest aniołem, chociaż rozkładała nogi szybciej niż jakakolwiek inna kobieta.

- Jordan! Na pewno nie! Niezamężna dziewczyna...

Zarozumiałość przez chwilę przez nią przemówiła, ale Miri szybko pojęła, że nie ma prawa potępiać niezamężnej kobiety, która ma kochankę. Sama grzeszyła w ten sam sposób. Jordan roześmiał się głośno.

- Ależ masz rację. Ona nie robiła tego dosłownie. Strzegła starannie swego dziewictwa, ale знаła inne sposoby dla osiągnięcia

przyjemności. Zostawiała mężczyznę rozpalonego do białości i tłumaczyła się swą dziewiczością.

Miri stwierdziła nagle, że było to gorszą rozwiązłością niż zwykła utrata cnoty. Zastanawiała się, czy kiedyś też miałaby takie poglądy, ale teraz sama zgrzeszyła.

- Staliśmy się sobie... dość bliscy. Elizabeth odważyła się wzbudzić gniew ojca i zapraszała mnie na pikniki i bale. Jeździliśmy po parku, tańczyliśmy w najlepszych domach w Bostonie. Zacząłem czuć się szanowany, a ona spędzała ze mną tak dużo czasu, że zaczęto o nas plotkować. W końcu doszedłem do dna głupoty i oświadczyłem się jej. Tej dziwce!

- Odrzuciła cię? - spytała Miri z niedowierzaniem.

- Roześmiała mi się w twarz. Myśl o poślubieniu bastarda, syna prostytutki, była po prostu zabawna. Miała trochę przyjemności i równocześnie użyła mnie do wzbudzenia zazdrości w innym konkurencie. To zadziało. Oświadczył się w tydzień później. Reginald Bartlett. Miał rodowód długi jak twoja ręka i odpowiednio do tego pieniądze.

Dlaczego pozwolił tej dziwce tak zaleźć sobie za skórę i tyle czasu o tym pamiętać? Elizabeth Bowles oddała mu przysługę. Pozwoliła mu na splunięcie na ten cały śmietnik dobrych manier i szacownych zasad. Pozwoliła mu odnaleźć samego siebie.

- Byłem wtedy pełnym żółtodziobem - kontynuował. Wyruszyłem pod północną granicę i zacząłem się zajmować handlem futrami. Wyjechałem z moim przyjacielem. Byliśmy głupi obydwoje. Silas się utopił, gdy czołno się nam wywróciło na przelomach. Ja wylądowałem tutaj.

- I dalej jesteś rozgoryczony?

- Nie, już nie jestem. Miałem szczęście, że wcześniej pojąłem, iż szacunek i cywilizowane maniery są rajem dla ograniczonych umysłów. Nie mam zamiaru jednak popełnić błędu moich rodziców. Żadne moje dziecko nie będzie nosiło etykiety bękarta.

- A co z Jane?

- Jane będzie żyła wśród Czipewejów. Biali ludzie uważają, że tylko specjalne ceremonie gwarantują dziecku właściwe nazwisko.

Miri milczała, gdyż słowa Jordana sprowokowały w niej nową myśl.

- A zatem problem dziecka nieślubnego musiałeś rozważyć, zanim wzięłeś do łóżka białą kobietę.

- Tak, rozważyłem. Czy jesteś w ciąży, Miri?

-Nie.

Udzieliwszy odpowiedzi, zastanowiła się, czy chciałaby, żeby było inaczej.

Jordan podniósł się na łokciu i nachylił się nad nią.

- Nie urodzi się nam bękart, Miriam Sutcliffe. Powiedziałem ci, że wiąże się na całe życie, więc się zastanów. Jeśli urodzisz mi dziecko, będziesz musiała wyjść za mnie. Uważaj i nie zrób błędu.

Miri milczała. Małżeństwo rozwiązałyby jej wszystkie dylematy moralne, ale ona też przysięgała, że nie powtórzy błędów swych rodziców. Jej matka zakochała się w nieokrzesanym, dzikim człowieku - w człowieku z innego świata. On zniszczył ją, chociaż ją kochał, i zniszczył dzieciństwo Miri.

Ale jak ona kochała Jordana! O Boże! Kochała go coraz bardziej z każdym dniem. Czasami jego oczy mówiły jej, że on też ją kocha, choć sam się przyznał, że nie rozumie znaczenia miłości. Nie mogła wyjść za niego, ale nie miała siły, by to sobie uzmysłowić. Widocznie była próżna i sprzedajna jak Elizabeth Bowles.

- Wrócisz kiedyś z powrotem?

- Miri - odparł łagodnie - Nie chcę wracać.

- Tak, rzeczywiście nie chcesz - powtórzyła spokojnie. - Nigdy.

- Nie, nigdy.

Podniósł jej dłoń i pocałował. Potem odsunął futra, schylił głowę i łagodnie dotknął ustami czubka jej piersi.

- Nie chcę wracać - powiedział i pochylił się nad nią. - Ani ty - dodał. - Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Miri zamknęła oczy i wygięła się instynktownie, gdy kolano Jordana wcisnęło się pomiędzy jej uda. "Może - pomyślała - może on ma rację".

ROZDZIAŁ XV

Gage Delacroix pozostał w obozie przez trzy dni. Jego obecność przypominała stale Miri, że ucieka przed rzeczywistością. Zbyt łatwo przyjęła tłumaczenia Jordana. Zimowa pogoda! I Jane! Przecież Uśmiech Poranka mogłaby zająć się Jane. Starsza kobieta potrafiła wydoić Petunię nie gorzej od Miri. Zresztą Jane musi się przyzwyczaić do rybnego bulionu i rozgotowanej kurydzy.

Miri dręczyła się myślami. Zbyt łatwo zaniebahała swe sprawy. Jordan pomógł jej w tym. Najpierw zwątpiła w swe zasady, a potem dała się uwieść - bez specjalnych oporów - aby być teraz na drodze do wyparcia się, że Miriam Sutcliffe z Londynu w ogóle istnieje.

Nie może na to pozwolić. Ma teraz ostatnią szansę udowodnienia własnej tożsamości i zamiarów.

Zdecydowanie podeszła do Delacroix, który właśnie siedział przy ognisku.

- Panie Delacroix - zaczęła niepewnie.

- Och, proszę, *mademoiselle*. Dla pani jestem Gage.

- Dobrze. Zatem, Gage, mam prośbę do pana.

- Dla pani, *mapetite*, wszystko!

- Chcę, żeby mnie pan zabrał na Prerię Psów. Muszę znaleźć mego kuzyna.

- *Mon Dieu, mademoiselle!* Czyż nie za wiele pani żąda?

- Zapłacę panu, panie Dalacroix. Poślę po pieniądze do Londynu. Może pan być pewien, że zapłacę sownie.

Mieszaniec wziął głęboki wdech i zatarł ręce.

- Jestem pewien, że ma pani masę forsy, *mapetite*, ale cóż po pieniądzach martwemu człowiekowi?

- No nie! Chyba nie będzie mi pan opowiadał o pogodzie, mrozie i lodzie, prawda?

- Nie, *mademoiselle*. Ale Preria Psów staje się niebezpiecznym miejscem. Nie mam zamiaru być tarczą strzelniczą. Nawet jeśli do tego nie doszłoby, to kto mnie poskłada do kupy, jak pani mąż mnie rozerwie na strzępy?

- Mój mąż?

- Oczy Ducha. Pani go nazywa Jordan. Wiem, że z nim nie ma żartów, *ma petite*.

Miri poczuła pieczenie policzków. Oczywiście, ten Delacroix myśli, że Jordan jest jej mężem. Śpią przecież razem i Jordan zachowuje się wobec niej władczo. Otwarcie daje do zrozumienia temu pół-Indianinowi, że Miri należy do niego, Jordana.

- Jordan nie jest moim mężem.

Przyznanie się do tego kosztowało ją trochę dumy, ale teraz duma musi ustąpić przed obowiązkiem. Jej obowiązkiem jest odnalezienie Hamiltona, wydobyć z niego wiadomości o liście i podjęcie normalnego, zdrowego życia.

Delacroix rzucił jej wszystko wiedzące spojrzenie.

- To pani tak myśli. Pewnie Oczy Ducha myśli inaczej. Nie, *mademoiselle*. Przykro mi niezmiernie zasmucić odmową piękną kobietę, ale nie zabiorę pani na Prerię Psów.

I taki był koniec buntu. Następnego dnia Miri patrzyła, jak mieszaniec pakuje swe tobołki i opuszcza obóz Czipewejów. Gdy zniknął za drzewami, Miri poczuła się opuszczona. Nie puszcza, nawet nie Jordan Scott, ale jakaś obca kobieta o imieniu Oczy Nieba zaczynała wchodzić na jej miejsce.

Nie tylko Miri obserwowała zmiany w niej zachodzące. Wierzbowa Pieśń niechętnie musiała uznać wartość białej kobiety. Jeśli w wiosce Ottawów nie była ona jeszcze żoną Jordana, to pewno była nią teraz. Indiańska dziewczyna mogła to rozpoznać po sposobie patrzenia Jordana na białą kobietę, po czułości ich dotyku, po wyrazie oczu, który mieli zawsze, nawet w czasie zwykłej rozmowy. Wierzbowa Pieśń marzyła o tym mężczyźnie tyle

lat i teraz widziała, że jej marzenia rozwiewają się. Jej zazdrość stawała się nienormalna.

Wierzbowa Pieśń towarzyszyła swej siostrze w dniu, gdy czółno białych mężczyzn wywróciło się. Pomagała Tancerce uratować Jordana i wyrastała w jego towarzystwie, gdy został przyjęty do ich rodziny i zaakceptowany przez Czipewejów. Ale Oczy Ducha wybrał Tancerkę i Wierzbowa Pieśń pogrzebała swą miłość. Nigdy nie zrobiłaby krzywdy siostrze. Mogłaby zgodzić się na gorszą pozycję drugiej żony, ale Oczy Ducha nigdy o to nie poprosił. A zatem Pieśń wyszła za mąż za kogoś innego. Najpierw za Czipeweję, potem - rozczarowana - za wojownika Ottawów. On też nie umiał utrzymać jej przy sobie. Zawsze porównywała innych mężczyzn z Oczami Ducha i nigdy mu nie dorównywali.

Gdy Tancerka Jeziora umarła, Pieśń była naprawdę zasmucona, gdyż kochała siostrę. Ale takie rzeczy się zdarzają, jeśli kobieta usiłuje mieć dziecko. Pieśń była przekonana, że Tancerka chciałaby ją widzieć na swoim miejscu przy boku Oczu Ducha.

I nagle zjawiła się ta intruzka. Nie dała się wyrzucić. Teraz Oczy Ducha każdej nocy wchodził w jej blade ciało, dawał jej przyjemność i swe nasienie, które należało do Wierzbowej Pieśni. Każdej nocy indiańska dziewczyna wyobrażała sobie mocne ciało Jordana w objęciach tej białej kobiety. Na pewno były tam jęki rozkoszy i oślepiające spełnienie ich połączenia. A ona, Pieśń, skazana była na życie w czystości w wigwamie rodziców.

Wierzbowa Pieśń uprzyjemniała sobie życie przez robienie białej kobiecie ciągłych przykrości. Ale od czasu, gdy Oczy Ducha wziął ją naprawdę za żonę, ta biała baba była niewrażliwa na ukłucia Wierzbowej Pieśni. Teraz indiańska dziewczyna zdecydowała się na ostrzejsze działania. Jeśli Oczy Ducha zezłości się na swoją białą żonę, to...

Pieśń uśmiechnęła się i spojrzała na Miri, która wyszła z wigwamu i wzięła ze składziku obok trochę mięsa i ziół. Wierzbowa Pieśń miała nadzieję, że Jordanowi będzie smakował wieczorny posiłek.

Jordanowi rzeczywiście smakował gulasz przygotowywany przez Miri przez całe popołudnie. Był zadowolony tym bardziej, że widział Miri samodzielnie zdejmującą skórę z sarny i krojącą

mięso. Skóra zostanie zużyta na mokasyny i tunikę. Resztę mięsa należało uwędzić; nie mogła się zmarnować ani kosteczka. Rozłupane kości stanowiły doskonałe igły do szycia, zaś długie i grube kości były materiałem rzeźbiarskim dla Chwyającego Dym.

Każdego dnia Jordan zdumiewał się na widok przemian zachodzących w Miri. Wyłowiwszy ją z jeziora Huron, instynktownie wyczuł w niej zmysłową, pełną werwy kobietę, chociaż ukrytą pod zasłoną surowych zasad. Nie wiedział jeszcze natomiast, że ta kobieta jest w stanie przywrócić go światu białych ludzi. Tu uśmiechem, tam miłym słowem, zastawiała na niego pułapki jak na bobry czy kuny. Wpadał w nie, ale wiedział, że warto. Jeśli znów ma być białym mężczyzną, bastarden i synem prostytutki z Bostonu, to za cenę posiadania Miriam Sutcliffe po kres swych dni.

Nieświadomie przeciągnął dłonią po swej głowie, która była teraz porośnięta długimi na kilka centymetrów blond włosami. Miri zauważyła gest i uśmiechnęła się. Gdy zauważyła po raz pierwszy jego odrastające włosy, Jordan odparł, że zawsze pozwała im rosnąć w zimie. Nie uwierzyła w to całkowicie.

- Dobrze wyglądasz z tymi włosami - powiedziała Miri w języku Czipewejów - i nie rozumiem, dlaczego inni mężczyźni gołą głowy. Byłoby im cieplej.

- Widocznie ja jeden mam trochę rozumu - odparł Jordan. - Ten gulasz jest znakomity - dodał.

- Widzę, już dwa razy sobie dokładałeś.

Miri nałożyła dla siebie pełną miskę.

- Wypróbowałaś różne przyprawy - zgadywał Jordan.

- Nie próbowałam niczego nowego. To Uśmiech zna wszystkie oła w lesie.

Skosztowała gulaszu i zaczęła go jeść ze smakiem.

- Jakiś inny niż zazwyczaj, nie sądzisz?

Jordan wziął resztki swojej kolacji i wrzucił je do korytka Pentunii. Koza powąchała dar i prychnęła z niesmakiem.

- Kozy nie jedzą mięsa - napomniała Miri Jordana.

- To nie było mięso - tylko zioła i jarzyny.

Miri zdenerwowała się.

- Ależ ona to chętnie jada zawsze. Chyba nie jest chora, mam nadzieję.

- Ta przeklęta koza jest tak silna jak ja. Ona jest tylko trochę dziwna.

- Jordan, ty też jesteś dziś jakiś dziwny.

- Ależ nie - odparł niewinnie - Jest późno. Idziesz do łóżka?

- Tylko umyję naczynia.

Woda grzała się nad ogniem. Miri wlała ją do wiaderka i zaczęła szorować drewniane talerze. Jordan rozwijał posłania i rozbierał się. Gdy Miri doń dołączyła, miał już w oczach znajomy błysk.

- Pozwól mi to zrobić - powiedział, gdy Miri zaczęła rozpinąć swe ubranie.

Po chwili była już naga. Jordan łagodnie położył ją na posłaniu. Przesunął palcami po jedwabistej masie jej kasztanowatych włosów, które teraz sięgały ramion. Pocałował każdą powiekę Miri, usta i czubek nosa, gdy jego nogi wsunęły się między jej uda.

Nagle zatrzymał się i zerwał z posłania, a jego twarz nabrała dziwnego wyrazu.

- Co było w tym gulaszu, do cholery? Czy to twój sposób robienia dowcipów? - ryknął.

- Jesteś chory?

Jego nagła bladość była odpowiedzią. Zamknął oczy i krople potu wystąpiły mu na czoło.

- Boże! - zerwał się do wyjścia, trzymając się za brzuch. Zgięty wpół nie miał w sobie śladu zwykłej wyniosłości.

Miri skrzywiła się na odgłos jego wymiotów, tuż za ścianą wigwamu. Nie miała jednak zbyt wiele czasu na dziwienie się, gdyż poczuła ostry skurcz we własnym żołądku. Wydostała się z wigwamu w taki sam sposób jak Jordan.

Noc była koszmarna. Wymioty i biegunka męczyły ich oboje. Biegali od wigwamu w zarośla i z powrotem. Okresy przerw między pospiesznymi wędrówkami spędzali skuleni na swym posłaniu, zwijając się w gwałtownych skurczach.

- Ja tego nie zrobiłam - wyjęczała Miri.

- Wiem - odparł Jordan chrapliwym głosem.

- Wierzysz mi? - spytała Miri nie odwracając się.

- Wiadomo, że potrafiłabyś mi to zrobić. Był czas, że zasługiwałem na coś podobnego. Ale nie byłabyś taką idiotką, żeby jeść to sama.

Rozmowa zakończyła się pospiesznym opuszczeniem wigwa-mu. Skurcze i bóle ustąpiły dopiero o świcie i pozostawiły po sobie uczucie niesłychanego wyczerpania. Miri zastanawiała się teraz nad sprawą zatrucia gulaszu. Chwyający Dym i Uśmiech Poranka znali się znakomicie na ziołach. Chwyający Dym był członkiem Midewiwin, a Uśmiech też nie pomyliłaby się przy zbieraniu ziół. Nie miałyby powodu do robienia złośliwych żartów. Ujeżdżający Fale był poza wszelkim podejrzeniem. Została tylko Wierzbowa Pieśń. Jej motywy były oczywiste. Była pewna, że spowoduje wściekłość Jordana względem Miri. Jordan mógł nawet podejrzewać Miri o zamiar otrucia go. Mógłby też skierować swą uwagę na Wierzbową Pieśń.

Miri postanowiła dać nauczkę tej małej intrygantce. "Zaleję jej sadła za skórę" - pomyślała zasypiając.

Jordan i Miri leżeli cały dzień w łóżku. Uśmiech Poranka zajęła się Jane i Petunią. Co dwie godziny poiła chorych jakąś miksturą o dziwnym smaku. Stara Indianka wstydziła się tego, co zrobiła jej córka. Na pewno już ją zwymyślała porządnie. Miri zdecydowała jednak załatwić sprawę sama.

Minął tydzień. Jordan opuścił obóz, gdyż wraz z Ujeżdżającym Fale musieli posprawdzać sidła i znaleźć legowisko niedźwiedzia. Mogło ich nie być przez dwa tygodnie. Dawało to Miri doskonałą okazję na sprowokowanie wojny z Pieśnią i załatwienie sprawy raz na zawsze. Jordan nigdy by jej na to nie pozwolił.

- Czego chcesz? - spytała nachmurzona Wierzbowa Pieśń, gdy Miri stanęła przed nią.

- Chcę się z tobą porozumieć.

- Obydwie doskonale się rozumiemy.

- Nie całkiem - zaprzeczyła Miri. - Wiem, że to ty doprawiłaś mój gulasz.

Chciałam ci powiedzieć, że nie będę tolerowała podobnych złośliwości.

Wierzbowa Pieśń rzuciła jej wrogie spojrzenie.

- Gdybyś była kobietą Czipewejów, sama odróżniłabyś zioła, których domieszałam. Wtedy byś ich nie użyła i Oczy Ducha nie byłby chory. To był twój błąd, biała kobieto, nie mój.

- Nie będę się z tobą sprzeczała - spokojnie odparła Miri. - Obydwe wiemy, że chcesz udowodnić swoją wyższość nade mną.

- Jestem lepsza od ciebie i któregoś dnia Oczy Ducha przekonają się o tym. Przyjdzie wtedy do mnie, a ciebie odeśle do twoich ludzi.

Wierzbowa Pieśń odwróciła się plecami do Miri, ale ta nie zamierzała odejść.

- Jeśli jesteś taką wspaniałą kobietą, Pieśni, to może udowodnisz to. Zagramy. Tego popołudnia nad rzeką?

Wierzbowa Pieśń odwróciła się z wyrazem złośliwej radości w czarnych oczach.

- Jesteś szalona, że proponujesz coś podobnego. Jestem Anisahanabe. ty... jesteś biała.

- To nie masz powodu do obaw, prawda? Będiesz mogła mnie właściwie upokorzyć - odparła Miri z uśmiechem i odeszła do swego wigwamu.

Wzdłuż rzeki ciągnął się pas mocno ubitego śniegu.

Było to idealne miejsce do zawodów. Chwytający Dym był zachwycony, gdy ustawiał słupki oznaczające krawędź boiska.

Uśmiech Poranka przygotowywała dwa długie drągi, które miały służyć walczącym. Starsza Indianka była ciekawa wyniku konfrontacji Miri z jej córką.

Miri przyglądała się przygotowaniom z uśmiechem. Dwa miesiące temu nie pomyślałaby nawet o podobnym wyzwaniu. Byłoby poniżej jej godności, a także poniżej jej sił. Teraz jednak jej ramiona były muskularne. Wierzbową Pieśń można było pokonać tylko jej własną bronią. Miri miała zamiar wygrać; sprawiedliwość była po jej stronie.

Sprawiedliwość była może po jej stronie, ale nie doświadczenie. Gra wydawała się być łatwa; Miri obserwowała ją, gdy odwiedzała Tancerkę Jeziora. Grający trzymali w dłoniach po dwa długie drągi. Przy ich pomocy usiłowali złapać i zatrzymać dwie piłeczki, związane ze sobą łykiem. Polana na krańcach boiska były bramkami. Doniesienie piłek do bramek oznaczało gole.

Teraz Miri odkryła, że to wcale nie było łatwe. Piłeczki były trudne do utrzymania. Miri dobrnęła do końca pierwszej części meczu tylko siłą woli. Wierzbowa Pieśń była od niej o wiele sprawniejsza. Popelniła jednak błąd. Zaczęła być zbyt pewna siebie. Marzenia o upokorzeniu rywalki nie pozwoliły jej dostrzec, że Miri powoli, ale metodycznie zaczyna wygrywać. Po trzech czwartych meczu Chwytający Dym ogłosił przewagę białej dziewczyny. To rozwścieczyło Wierzbową Pieśń. Sprawy zaczęły się jej wymykać z rąk. Cóż sobie myśli ta biała istota? Miri była zdyszana i spocona, ale pewnie trzymała drążki.

Wierzbowa Pieśń ruszyła do walki z całą determinacją. Gdy Miri upuściła piłeczki, Pieśń natarła na nią i uderzyła ją w brzuch. Obydwie kobiety upadły w śnieg, zapominając o grze.

"Skoro chcesz, to proszę" - pomyślała Miri. Od tego momentu gra przerodziła się w zapasy, a na tej grze Miri znała się dobrze. W czasach słodkiego dzieciństwa w hrabstwie Kent Miri często mocowała się z Hamiltonem i innymi dziećmi. Miała wyjątkowy talent do bójek pomimo dobrego wychowania, do którego przykładali wielką wagę w domu. Teraz zresztą nie była wytworną damą, lecz żądną zemsty kobietą.

Chwytający Dym zasmucił się, gdy gra przerodziła się w walkę chwytaj-gdzie-się-da. Zerwał się na równe nogi i usiłował interweniować, ale żona powstrzymała go.

- Nie pozabijają się nawzajem, mężu. To najlepsza metoda ugaszenia ognia między nimi.

Kobiety na boisku były już zmęczone. Warkocze Wierzbowej Pieśni rozplotły się, jej usta były opuchnięte, a jedno oko miała podbite.

Miri też nie wyglądała lepiej. Włosy miała zlepione potem, pokaleczone kostki u rąk i zranioną wargę. Trzymała się jednak na nogach, zaś Wierzbowa Pieśń chwiała się jak drzewo na wietrze.

W końcu Indianka dała za wygraną i położyła się na śniegu. Uśmiechnęła się do rywalki.

- Wygrałaś, Oczy Nieba. Matka powinna cię nazwać Głowa Jak Skała, bo taką rzeczywiście masz.

Zwycięstwo było dla Miri jak haust wina, zmywający całe zmęczenie. Wygrała. Zachowała się okropnie, barbarzyńsko, ale to nie miało znaczenia. Czuła się wspaniale, cudownie. Miała ochotę wznieść dziki okrzyk. Boże! Jakąż dzikuską się stała !

Patrzyła na pokonaną, leżącą przeciwniczkę.

- Jeśli kiedykolwiek popróbujesz swych brudnych sztuczek albo dotkniesz jednym palcem Oczu Ducha, to następnym razem nie będzie już zabawy.

Wierzbowa Pieśń wstała. Jej twarz pełna była dziwnej godności.

- Nie jestem pozbawiona honoru. Jesteś lepsza. Teraz jesteś Anishanabe w moich oczach i twój honor jest moim.

- Zatem przyjaźń? - spytała Miri z podejrliwością.

- Nie. Nie będzie przyjaźni między nami, Oczy Nieba. Ale teraz jesteśmy siostrami. To bardziej wiąże niż przyjaźń.

Odwróciła się i odeszła, pobita i dumna zarazem.

Czipewejowie nazywali kwiecień miesiącem zdejmowania śnieżnych butów. Był to miesiąc zmian. Śnieg padał jeszcze, ale słońce grzało coraz mocniej. Lód na strumieniach i rzeczkach topniał.

Chwytający Dym stwierdził, że trzeba się przenieść do wioski. Zima była dobra. Zdobyto mnóstwo futer i uwiedzono masę mięsa. Tłusty niedźwiedź też oddał życie i Oczu Ducha udekorowany został naszyjnikiem z niedźwiedzich kłów. Teraz rodzina szykowała się do zbierania klonowego syropu. Była to najpopularniejsza przyprawa używana przez Czipewejów.

Kwiecień przyniósł zmiany dla Miri. Pomagając Uśmiechowi Poranka i Wierzbowej Pieśni przy nacinaniu kory klonowej i podstawianiu kociołków pod ciekący sok, musiała ukrywać rosnące zmęczenie. Wiedziała, że nie będzie mogła nosić ciężkich bagaży, gdy zaczną zwijać obóz. Jordan to zauważył i szybko się zorientuje w sytuacji.

Dopiero koniec kwietnia mógł przynieść pewność, ale już teraz Miri była prawie pewna, że Jane będzie miała brata lub siostrę. Miri nie miała w marcu miesiączki i czuła się coraz gorzej.

Była zmęczona od rana do nocy. Piersi jej zrobiły się wrażliwe i bolące, straciła apetyt i często miewała mdłości.

Była to niepożądana komplikacja, ale mimo wszelkich niedogodności i dylematów moralnych, Miri nie posiadała się z radości, że nosi dziecko Jordana. Było naturalne, że jej uczucia do niego i pożądanie, jakie okazywali sobie bez przerwy, zaowocowały nowym życiem, które było częścią ich samych.

Jakkolwiek ciąża była naturalną kolejną rzeczą, to moralne dylematy powodowały, że Miri na zmianę szalała ze szczęścia i tonęła we łzach. Nie było czasu na zastanawianie się, czy Jordan ją kocha lub czy ich małżeństwo przetrwałoby próbę czasu. Teraz trzeba było ukrywać ciążę przed Jordanem, gdyż wtedy odebrałby jej prawo do samodzielnej decyzji.

Ukrywanie ciąży było łatwiejsze w zamiarach niż w wykonaniu. Miri szybko odkryła, że miejsce zbierania syropu jest najgorszym z możliwych do ukrywania ciąży. Kotły pełne syropu stały na ogniu całą dobę i mdlący zapach wisiał w powietrzu. Na domiar złego, gdy już syrop był odparowany, należało go pozgniatać ręcznie w kulki. Ta praca przypadła Miri i Wierzbowej Pieśni.

Któregoś popołudnia Miri stwierdziła, że już nie daje rady. Przez cały dzień dławiła się w oparach syropu i wreszcie żołądek podszedł jej do gardła. Zerwała się i pobiegła do lasu, a zaciekawiona Pieśń podążyła za nią.

- Jesteś chora? - spytała.

Przyjrzała się sylwetce Miri i odgadła wszystko.

- Będziesz miała dziecko.

Miri kiwnęła głową, wiedząc, że nie ma sensu kłamać. Jęknęła i znów się pochyliła nad ziemią.

- Pewnie bardzo się cieszysz. I Oczy Ducha też. Może dasz mu wreszcie zdrowe dziecko, czego nie potrafiła moja siostra.

Miri potrząsnęła głową z nieszczęśliwą miną.

- Proszę, Jordan... Oczy Ducha... nic nie wie.

Usiadła na kamieniu i ukryła twarz w dłoniach. Pieśń stanęła nad nią.

- Jakież wy jesteście głupie, białe kobiety. Dlaczego nie powiedziałaś Oczom Ducha, że jego nasienie rośnie w tobie? I dla-

czego płaczesz? Boisz się porodu? Nie sądziłam, że jesteś takim tchórzem, Oczy Nieba.

- Nie boję się - odparła Miri, obejmując brzuch ramionami, jakby chciała objąć dziecko.

- Ja chcę mieć to dziecko. Już je kocham. Ale...ty nic nie rozumiesz.

Jak powiedzieć Indiance, że Jordan nie pozostawi jej prawa do żadnej decyzji, gdy powie o dziecku. Żadne jego dziecko nie będzie bękartem, tak przecież zdecydował. Jordan Scott miał siłę, by wprowadzić swą decyzję w stadium realizacji. Mimo całego pomieszania wrogości, miłości, pożądania i niepokoju, Miri nigdy nie bała się Jordana naprawdę. Aż do tej pory. Teraz bała się jego władzy nad jej ciałem i nad uczuciami. Trzeba było podjąć decyzję dla dobra dziecka; dobro Jordana i Miri nie liczyło się tak bardzo w tym momencie.

Wierzbowa Pieśń usiadła obok Miri i przyglądała się jej z zagadkową miną.

- Masz rację, Oczy Nieba. Nie rozumiem. Twój mąż będzie ci wdzięczny za to dziecko. Przywiąże cię ono do niego po kres wspaniałych dni. Czego się boisz?

- Niczego się nie boję - skłamała Miri i przestała płakać. - Powiem mu w odpowiedniej chwili. Właściwie nie jestem jeszcze pewna. Dopiero sześć tygodni minęło od ostatniego krwawienia.

Wierzbowa Pieśń potrząsnęła głową.

- Jesteś kobietą i ja też. Wiedziałabym, że dziecko rośnie we mnie. I ty też wiesz. Widzę to po twoich oczach, moja siostrze.

Miri odetchnęła z ulgą.

- Proszę cię, uszanuj moje życzenie i nie mów nikomu. Chcę sama powiedzieć Oczom Ducha, gdy przyjdzie właściwy czas.

- Zrobię, jak sobie życzysz - odparła Indianka - ale nadal uważam, że jesteś głupia. Mówisz, że się nie boisz, ale ja czuję strach wokół ciebie. Boisz się, i to jak!

Miri patrzyła za odchodzącą dziewczyną. Potem skrzyżowała ramiona, jakby chcąc objąć pocieszająco samą siebie. Tyle było niepewności, tyle spraw do załatwienia, nim będzie mogła znów być sobą. Może już nigdy nie będzie. Jedna rzecz była pewna i Wierzbowa Pieśń miała rację. Miri bała się.

ROZDZIAŁ XVI

Czerwiec był miesiącem powrotu do domu. Truskawkowy księżyc, jak go nazywali Czipewejowie, był czasem połączenia się wszystkich powracających z zimowych łowisk. Cała wieś wrzała od powitań i opowieści o zimowych przygodach. Mężczyźni liczyli futra i szykowali je do zawiezienia do handlarzy. Kobiety zakładały grządki pod kukurydzą i dynie oraz naprawiały sieci rybackie. Wszyscy byli zajęci naprawianiem wigwamów i budowaniem spiżarni na zapasy. Wojownicy i kobiety gawędzili radośnie, nadrabiając dni zimowej samotności. Tabuny dzieci i psów szalały po całej wiosce. Lato wreszcie wróciło.

Rodzina Chwytającego Dym wróciła na ostatku. Powitały ją wiadomości o przybyciu na wyspę Brytyjczyków i ruszeniu wojsk amerykańskich, które chciały odebrać swą własność. Wiadomości potwierdzone zostały przez Margaret Peavey. Miri powitała gościa silnym uściskiem i zaprosiła do wigwamu.

- Miri!

Margaret oglądała Miri ze wszystkich stron. Twarz Miri była opalona, na nosie miała trochę piegów. Włosy sięgające poniżej ramion miała splecione w dwa grube warkocze. Ubrana była w kozłową tunikę, która sięgała kolan i była po obu stronach rozcięta. Leggingi z frędzlami, mokasyny i ozdobna opaska na głowie dopełniały całości.

- Ależ... ależ ty się zmieniłaś! - dziwiła się Margaret.

- Czyżbyś oczekiwała, że będę uczesana w loki i wymuskana, ubrana w suknię i pantalon, po zimie spędzonej w lesie?

- Nooo, nie. Ja nie myślałam, że...

Margaret spojrzała na Jordana i zaczerwieniła się. Był prawie nagi. Jego tors był lekko spocony od ciężkiej pracy. Jasne włosy otaczały twarz złocistą chmurą.

- Jordan!

Margaret zawsze była lekko przerażona zimną surowością twarzy Jordana. Teraz ta twarz była mniej surowa. "To pewnie przez te włosy - pomyślała Margaret. - Choć wyraz jego oczu też złagodniał".

- Jordan, to ty?

- A któż by inny, kotku?

Pieszczotliwie poklepał ją po policzku i rumieńce dziewczynki stały się jeszcze mocniejsze. "Biedna Margaret" - pomyślała Miri. Jordan nie uświadamiał sobie tego, że jego wygląd był w stanie ujarzmić każdą kobietę, bez względu na wiek. Był taki potężny i męski!

- Uspokój się, Jordan - napomniała go. - Chciałabym się do wiedzieć, czy te wieści o Amerykanach są prawdziwe.

Margaret zakaszła, usadowiła się wygodnie i zaczęła mówić, choć jej oczy obserwowały bez przerwy zachowanie się Jordana. Usiadł obok Miri i objął ją w pasie. Nie było między nimi ani cienia dawnej wrogości. Każda kobieta mogła tylko zazdrościć Miri. Jak cudownie razem wyglądali!

- Ciągle przyjeżdżałam do wioski, bo myślałam, że was już zastanę. Kapitan Michaels został zastąpiony przez innego dowódcę. To jest podpułkownik MpJDouall. I wszyscy na wyspie mówią, że Amerykanie niebawem zaatakują, choć nikt nie wie dokładnie, gdzie oni są teraz.

- Michaels wyjechał do Anglii? - spytała Miri.

- No, myślę, że niedługo wyjedzie. Ale nie jest z tego zadowolony. Ani mama.

- A cóż twoja matka ma wspólnego z Michaelsem?

- Poczekaj, zaraz się dowiesz! - Margaret zaczęła skrecać się ze śmiechu.

- Zatem Michaels wciąż tu jest - przerwał jej Jordan.

- Tak. Jest zastępcą komendanta. I siedzi na farmie cały czas. Bez przerwy gada z mamą. Więc lepiej nie wracaj do domu, Miri.

Jordan zaklął pod nosem.

- To dziwne, że nie czekał tu na nas.

Margaret wzruszyła ramionami.

- Ci wszyscy Brytyjczycy są teraz zajęci zgadywaniem tego, co zrobią Amerykanie. Mama mówi, że Michaels nie ma czasu na szukanie Miri. Ale lepiej trzymaj się z dala od farmy.

- Możesz być o to spokojna - zapewniła ją Miri.

Po wyjściu Margaret Jordan pocałował Miri i zaczął zastanawiać się żartobliwie, czy udało się jej już uciec przed szubienicą. Wreszcie wyszedł, gdyż Chwytający Dym zatrudnił go przy budowaniu nowych czółen.

Miri uśmiechnęła się do siebie. Może wreszcie porozrzuć kawałki jej życia ułożą się w całość. Jej złe samopoczucie minęło i Miri wręcz kwitła. Tylko jeszcze nie zdecydowała, czy powiedzieć Jordanowi o dziecku. Nie trwało długo przekonanie samej siebie, że ma prawo do szczęścia. Nie mogłaby wrócić do salonowego życia, mdłych ploteczek i fałszywych zasad, wiedząc, że za oceanem żyje człowiek, który obudził ją do życia. Jeśli Jordan naprawdę będzie chciał tego dziecka, to będzie chciał też zatrzymać przy sobie jego matkę. I niech licho porwie wszelkie wątpliwości!

Chmurą na horyzoncie był jednak Michaels. Miri zrezygnowała ostatecznie ze sprawy Hamiltona, ale nie należało się tego spodziewać po kapitaniu. Mimo wszystko była wojna, a Hamilton sprzedał swój kraj w najbardziej odrażający sposób. Michaels chciał Hamiltona i tej przeklętej listy. W tym celu będzie ścigał Miri w Ameryce i w Anglii.

Może problemy rozwiążą się niebawem same? Gdyby Michaels wrócił niebawem do Anglii, przestałby się interesować Miri. Ona i Jordan mogliby iść własną drogą, a Hamilton niech sobie siedzi nad Missisipi i handluje futrami. Jeśli spotka kiedyś swego łotrowskiego kuzyna, to...

Na razie Miri zastanawiała się nad możliwą reakcją Jordana - gdy się dowie o dziecku, będzie szczęśliwy. Albo nie.

Gorączkowe przygotowania do kolacji trwały całe popołudnie. Wszystko miało być jak najlepsze - dziki ryż i dziczyzna z jarzynami, pieczone ryby i jagody z syropem klonowym. Zado-

wolony i syty Jordan usłyszy wiadomość o swym ojcostwie. Już nie będzie żadnej zwłoki.

Ten uroczysty wieczór nie przebiegał jednak według planów Miri. Jordan przyszedł późną nocą i był bardzo zmęczony. Ociekając wodą po wieczornym pływaniu w jeziorze, usiadł i patrzył tylko na jedzenie. Miri zorientowała się, że myślami był daleko i zachowywał się dziwnie. Może już dowiedział się o ciąży Miri od Wierzbowej Pieśni i był niezadowolony?

Miri miała serce w gardle, gdy usiadła przy nim; nie miała już siły znosić tego napiętego milczenia.

- Co to byli za mężczyźni, z którymi rozmawiałaś dzisiaj nad jeziorem?

- To byli wojskowi - odparł powoli. - Amerykanie.

- Amerykańscy wojskowi? A zatem to prawda. Amerykanie chcą zaatakować fort?

- Nie znam ich planów.

- Ale czego oni chcą?

Uświadomiła sobie, że Amerykanie chcą zaatakować jej rodaków. Nie była ostatnio w najlepszych stosunkach z władzami brytyjskimi, ale nadal uważała się za lojalną poddaną króla. Należałoby ostrzec brytyjski garnizon.

- To byli tropiciele - kontynuował Jordan. - Nie chcieli wiele mówić. Prosilili o żywność.

Pomyślała, że w takim razie Amerykanie nie są groźni. Za-uważała jednak, że Jordan przygląda się jej dziwnie. Czy już wie o dziecku? Skoro nadal milczy, trzeba się samej odezwać.

- Jordan, muszę z tobą porozmawiać.

- Ja też chcę z tobą porozmawiać.

Wielkie nieba! Musiał się dowiedzieć o dziecku! I jest bardzo zły.

- O co chodzi? - spytała niepewnie.

- Wyjeżdżam na jakiś czas.

Ulga Miri była krótkotrwała. To nie była dobra wiadomość. Wcale nie.

- Gdzie się wybierasz?

- Mam być przewodnikiem oddziałów w tych rejonach. O tym rozmawiałem z tropicielami.

- Amerykańskimi?
- Chyba nie sądzisz, że z angielskimi?
- Nie. Chyba nie.

Miri wstała i demonstracyjnie zajęła się Jane. Jak łatwo zapomniała, że Jordan jest Amerykaninem. Indianie znad Wielkich Jezior byli na ogół probrytyjscy, zaś Jordan był raczej Czipewem niż białym człowiekiem. Miri sądziła, że Jordan opowie się raczej za Brytyjczykami.

- Chyba nie będziesz mi życzyć szczęśliwej drogi - Ręce Jordana spoczęły na jej ranionach.

- Nie wiem właściwie, czego ci życzyć. Chyba tylko tego, żebyś zmienił swoje zamiary.

- Czyż to nie ty uczyłaś mnie ciągle o obowiązkach i odpowiedzialności?

- A czy to nie ty mówiłaś, że nie masz ochoty dzielić życia białych ludzi?

- Spotkałem małą iskierkę, która rozpałała moją świadomość. Czy ty naprawdę myślałaś, że wezmę stronę Brytyjczyków?

- Nie sądziłam, że w ogóle przyjdzie ci do głowy brać czyjąkolwiek stronę. Mogłam przypuszczać, że będziesz po mojej stronie, nie zaś przeciwko mnie. To mój kuzyn jest zdrajcą, nie ja. Jestem Angielką do szpiku kości.

- Nie jesteś w dostatecznym stopniu patriotką, by udać się do Michaela.

- To nieporozumienie nie ma nic wspólnego z moim patriotyzmem. Jestem Angielką i zawsze będę. Czego po mnie oczekiwałaś? Co ci miałam powiedzieć?

- Chciałem usłyszeć, że będziesz tutaj, gdy wrócę.

- Nie mogę niczego obiecywać, Jordan. Muszę pomyśleć.

- Bądź tu. Jeśli nie, znajdę cię. Na to możesz liczyć.

Opór Miri został szybko pokonany, gdy ręce Jordana przyciągnęły ją do siebie. Jego usta były zmysłowe i błagalne zarazem. Wreszcie wypuścił ją z objęć.

- Jeszcze nie skończyliśmy ze sobą naszych spraw. Nie zostawiaj mnie teraz.

Miri miała na końcu języka sto złośliwych odpowiedzi, ale usta Jordana znów nie pozwoliły jej wydobyć głosu z gardła. Gdy

ją znów wypuścił z objęć, nie miała już żadnych oporów. Jego oczy wpatrywały się w nią, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół jej postaci.

- Będzie mi ciebie brakowało. Będzie mi brakowało twojego uporu, twojego ognia, nawet tego przeklętego ostrego jęzora - Jego głos zniżył się do szeptu. - A najbardziej będzie mi brakowało tego.

Jego dłonie chwyciły ją za pośladki i przycisnęły do jego podbrzusza. Ogień ruszył przez każdą komórkę ciała Miri. Wypreżyła się gwałtownie, a jego dziki pocałunek pozbawił ją resztek woli. Bezceremonialny język Jordana wcisnął się do jej ust w przedsmaku tego, co miało nastąpić jeszcze.

- Nie grasz uczciwie - poskarżyła się, gdy Jordan zaniósł ją na posłanie.

Wykrzywił się złośliwie.

- Od kiedy to ja gram uczciwie, moje złotko?

- Nigdy, wiem doskonale - wyszeptała.

Serce Miri dudniło w szalonym tańcu, gdy Jordan rozbierał ją. Potem powoli sam się rozebrał, cały czas nie spuszczać jej z oczu. Miri stwierdziła bez wstydu, że nie musiał jej dotykać, żeby zaczęła go pragnąć. Samo jego spojrzenie potrafiło rozpalić w niej namiętność. W końcu nasycił się jej widokiem i schylił się nad nią. Wyciągnęła ramiona i uchwyciła go desperacko. Włosy na jego piersi szorowały jej skórę. Pod rękami czuła jego napinające się mięśnie. Jej westchnienie rozkoszy pomieszało się z szeptem Jordana.

- Każdego razu pragnę cię coraz bardziej. Boże! Kobieto, ja chyba żywcem spłonę przez ciebie!

Płonęli razem. Miri wiała się pod nim w desperackiej potrzebie, czując, że umrze, jeśli nie dostanie od niego upragnionego daru jego ciała. Gdy uchwycił jej uda i wcisnął się między nie z dzikim, zapierającym dech pchnięciem, przyjęła go w siebie z jękiem ekstazy. Owinęła nogi wokół jego pasa i przynagliła go do szybszych, głębszych uderzeń. Nigdy nie czuła w sobie takiej pasji, ani tak dzikiej żądzy w nim, gdy wnikał w nią coraz głębiej, coraz bardziej zapamiętane.

Szczyt był aż bolesny w swej intensywności. Miri kurczowo trzymała Jordana w ramionach, jakby był jedyną kotwicą dla jej dryfującej istoty. Przez chwilę była zupełnie nieprzytomna, tak wielkie było jej spełnienie. Jordan na niej i w niej to było wszystko.

Gdy ekstaza przerodziła się w znużenie i senność, Miri otworzyła oczy. Jordan patrzył na nią. Czule odsunął loki z jej spoczonego czoła. Zamknęła oczy i poddała się pieśszczocie jego palców, czując go wciąż w sobie.

- Masz tu znowu swój raj - powiedziała i podniosła rękę, by pogłodzić jego policzek.

Uchwycił jej dłoń i splótł jej palce ze swoimi.

- Ty jesteś moim rajem.

Poczuła, że znów stwardniał wewnątrz niej i zamknęła oczy w rozmarzonym oczekiwaniu.

- Obiecuj mi, że będziesz tutaj.

Powoli schylił głowę i dotknął delikatnie jej ust.

- Obiecuj - wyszeptał.

Wsunął dłoń pod nią i mocno przyciągnął ją do siebie. Znów był potężny, spragniony i nacierający.

- Jesteś częścią mnie - wydyszał. - A ja jestem częścią ciebie. Będziesz tu, gdy wrócę.

- Tak - odparła.

Powoli wysunął się z niej i znowu wszedł w jej wnętrze.

- Przysięgnij.

Miri czuła drżenie jego ramion, gdy tak powstrzymywał się od naturalnego spełnienia. Torturował ich oboje. Uśmiechnęła się do niego i poruszyła biodrami. Zobaczyła, że pot wystąpił na czoło Jordana.

- Idź do tych swoich przeklętych Amerykanów, Jordanie Scott. Będę tu, gdy wrócisz.

Zamknął oczy i schylił się do jej ust, a Miri poddała się swemu i jego pragnieniu.

Poranek zastał Miri wciąż śpiącą. Dopiero płacz Jane obudził ją. Zmęczona po szalonej nocy, jęknęła i sięgnęła po twarde ciało, które powinno spoczywać u jej boku. Jej dłonie trafiły tylko

na puste miejsce. Wymamrotała tak kwieciste przekleństwo, że ciotka Eliza umarłaby na jego dźwięk.

Jane płakała coraz głośniejsze, Petunia beczała i Miri musiała w końcu wstać, żeby ten koncert nie pobudził wszystkich w wiosce. Gdy bulion Jane grzał się nad ogniem, żołądek Miri zbuntował się. Przypomniała sobie, że jest nadal w ciąży, nadal jest niezamężna i nadal ma kłopoty. A teraz zjawily się nowe. Inną rzeczą jest zrezygnować ze spraw osobistych w imię miłości, a zupełnie inną żyć z człowiekiem, który jest aktywnie zaangażowany w walkę przeciwko jej ojczyźnie. Nie była szczęśliwa, że Jordan tak nią manipulował ostatniej nocy. Bezwstydnie grał na jej uczuciach, by wydobyć z niej obietnicę pozostania, a potem odszedł bez pożegnania. Nie powiedział jej też, że ją kocha, co uczyniłoby sprawy nieco łatwiejszymi. Została sama i niepewna jego uczuć, z jego dzieckiem w brzuchu i ze świadomością, że poszedł do wrogów jej ojczyzny.

Nie miała nawet szansy powiedzenia mu o nowej istocie, którą spłodził. Miri była przygnębiona. Chciała koniecznie z kimś porozmawiać. Na przykład z Grace. Uśmiech Poranka była prawie jak matka, ale Uśmiech była Indianką i uważała Miri za legalną żonę Jordana. Brytyjczycy, Amerykanie i nieślubne dzieci nie zaprzętały głowy czipewejskiej damy. Zatem Miri zdjęła tunikę i legginki i wyjęła z bagażu swą muślinową suknię, halkę, pantofelki i narzutkę. Po włożeniu tego wszystkiego na siebie, stwierdziła, że chyba utyla. Czy ciasny stanik i wąskie rękawy byfby zawsze tak niewygodne? Rozplotła warkocze i przewięzała loki wstążką.

Choć nie miała lustra, wiedziała, że jej piegowata twarz nie wygląda jak twarz damy. Ale w końcu nie wybierała się do salonów, lecz do Grace.

Wiosłowanie przez cieśninę zajęło resztę poranka. Miri stwierdziła z zadowoleniem, że zajęcie to wcale jej teraz nie męczy. Była to zasługa zimy spędzonej na ciężkiej pracy. Żołądek Miri doskonale wiedział, że jest pora obiadu. Pamiętała woń chleba, który piekła Grace i smak konfitur, znanych na całej wyspie.

Dom wyglądał tak, jak Miri zapamiętała. Nic się nie zmieniło. Mogła sobie wyobrazić, że jest niewinną angielską dziewczyną, która spędziła ostatnie lato na szyciu sukien i nauce dojenia kóz; dziwnie nieświadomą dziewczyną, która nie знаła radości, smutku, namiętności i bólu, istniejącego między mężczyzną i kobietą. Mogła sobie wyobrazić, ale nie do końca.

W pobliżu nie było nikogo. Dziewczynki były zapewne w kuchni i jadły suty obiad. Albo były na jarmarku, jeśli dzisiaj środa. Jak dawno już Miri nie liczyła dni tygodnia! Grace była w domu na pewno. Grace, która mogła pomóc.

Grace była w domu. I miała gości. Gdy Miri weszła do kuchni, dwie głowy odwróciły się ku niej - jedna Grace, druga kapitana Michaela.

Miri przypomniała sobie teraz ostrzeżenie Margaret, ale było już za późno. Michaels był tak samo zaskoczony jak Miri. Przez chwilę wszyscy milczeli, aż wreszcie odezwał się kapitan.

- Witamy z powrotem, panno Sutcliffe. Sądzę, że bezpiecznie spędziła pani zimę wśród Czipewejów.

Miri zamarła i zaczęła myśleć o ucieczce. Michaels postawił filiżankę. Był spokojny i opanowany.

- Na pani miejscu nie uciekałbym. Byłoby mi niezmiernie przykro użyć siły wobec damy, ale nie zawahałbym się zrobić tego w razie potrzeby.

Miri rozpaczliwie popatrzyła na Grace, która natychmiast ruszyła jej na pomoc.

- Gerald, nie zaczynaj z tak wysokiego tonu. Nie masz powodu do straszenia jej. Nie jest przestępczynią. Wiesz, że jest zupełnie niewinna.

- Grace, moja droga. Dlaczego nie przyniesiesz pannie Sutcliffe herbaty? I dodaj trochę rumu na pokrzepienie.

Grace uściskała Miri i zajęła się czajnikiem.

- Proszę usiąść, panno Sutcliffe - zaproponował kapitan.

Miri usiadła niepewnie, cały czas w napięciu.

- Nie przybyła tu pani ze swoim potężnym opiekunem? Szkoła. Mam parę spraw z nim do omówienia.

Gdy jedyną odpowiedzią Miri było głucho milczenie, kapitan kontynuował.

- Porucznik Renquist opowiadał mi o swej przygodzie. Był bardzo zmartwiony, że musiał panią zostawić na pastwę dzikusów, ale pani nie wyglądała na skrzywdzoną.

Gorzki uśmiech przewiął się przez wargi Miri.

- Pański porucznik był jedyną osobą, która mnie zraniła tej zimy. Mówiąc o dzikusach, ma pan chyba na myśli swoich oficerów.

- Przykro mi to słyszeć - westchnął Michaels. - On mi powiedział zupełnie coś innego. Tamci żołnierze nie żyją, więc uwierzyłem mu. Zachowywał się jak bohater po powrocie. Jestem pewien, że pani może nieco uzupełnić jego opowieść.

Powróciła Grace i twardo spojrzała na Michaelsa.

- Tu masz herbatę, Miri. Potem dostaniesz gulaszu.

- Tak, powinniśmy nakarmić pannę Sutcliffe - zgodził się kapitan. - W końcu się doczekałem.

Grace usiadła między Miri i kapitanem, jakby chciała osłonić swą przyjaciółkę własnym ciałem.

- Gerald! Uspokój się. Miri jest moim gościem i...

- I moim więźniem - dokończył Michaels. - Myślisz, że nie spełnię swego obowiązku, Grace? To niemożliwe.

- Ona jest niewinna jak baranek!

- Zdradziła Imperium Brytyjskie. Albo przynajmniej wie coś o zdrajcy. Boli mnie to ogromnie, ale nie mogę wyżej cenić ciebie, moja droga, niż mojego kraju.

- Wy mężczyźni i ta wasza głupia wojna - parsknęła Grace. - Powiem ci, Geraldzie, że albo wypuścisz pannę Sutcliffe, albo nie pokazuj się więcej w moim domu.

Michaels był wstrząśnięty.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł wypuścić pannę Sutcliffe, ale musi mi najpierw wszystko powiedzieć o swoim kuzynie i jego liście.

- Już panu powiedziałam w Londynie - odparła Miri z uporem.

- Mój kuzyn może wisieć i pan razem z nim.

Michaels podziwiał ją w milczeniu. Zima w lesie dodała jej urody. Piegi na nosie miały dziewczęcy urok. Kasztanowate loki lśniły w słońcu. Szkoda, że taka ładna dziewczyna, jest aż tak uparta.

-Jestem przekonany, że pani kuzyn będzie wisiał. A pani mi powie, gdzie on jest, albo powie to pani memu dowódcy, podpułkownikowi McDouallowi. On może panią odesłać do Anglii, że by się pani przekonała, jak miły los czeka zdrajców.

Miri pomyślała, że Hamilton zasłużył sobie na karę, ale był przecież członkiem jej rodziny. Chciała oddać władzom niebezpieczny dokument, ale nie miała zamiaru wydać przyjaciela z lat dziecinnych. Michaels wyczytał odpowiedź z jej oczu.

-Jak pani uważa. Podpułkownik będzie miał coś do powiedzenia na temat pani uporu.

Skłonił się z zalem przed Grace, nie mogąc w żaden sposób zrozumieć kobiecej logiki.

Podpułkownik Robert McDouall spojrział spod oka na kapitana i Miri.

- Co jest? - spytał niewyraźnie, bo cygaro sterczało mu z ust.

Jego biurko pokryte było raportami. Filizanka z wystygłą kawą przechylała się na stercie papierów.

-To jest - odparł Michaels z kwaśną satysfakcją - panna Miriam Sutcliffe.

-Kto?

-Miriam Sutcliffe. Mówiłem panu o niej. Ona jest kuzynką i narzeczoną Hamiltona Greera.

-Och, tak. Teraz sobie przypominam. Znalazł pan dzierlatkę?

-Nie chce współpracować.

McDouall spojrział nagle na Miri, która pomyślała, że nie da się zlekceważyć tego krzepkiego Szkota.

- Co pani wie o swoim kuzynie?

Miri podniosła głowę wysoko.

-Mój kuzyn przyszedł do mnie, żeby zerwać nasze zaręczyny. Było to rok temu. Następnego dnia kapitan Michaels wtargnął do mego domu w poszukiwaniu Hamiltona. Nie widziałam kuzyna od tamtego czasu.

- Czy pani wie, gdzie on jest teraz? Lepiej nam powiedz, panienko, jeśli coś wiesz.

- Nie wiem, gdzie on jest.

Nie było to zupełnie kłamstwo, gdyż Miri nie miała pojęcia, gdzie leży Preria Psów. Zresztą Hamiltona mogło już tam nie być.

- To dlaczego pani jest tutaj? - niecierpliwie spytał Michaels.

- Proszę nie mówić, że nie ma pani żadnych powiązań z tym zdrajcą.

- Przyjechałam odwiedzić ojca. Dowiedziałam się o jego śmierci i zostałam u Grace Peavey, z którą się zaprzyjaźniłam. Gdyby nie pańskie prześladowania, byłabym w Londynie pod koniec ubiegłego roku.

- I zdecydowała się pani na podróż do Ameryki właśnie tej nocy, gdy zagroziłem pani więzieniem.

- To było zaplanowane od dawna, kapitanie. Nie widziałam powodu do odwlekania wyjazdu.

- Dość tego! - ryknął McDouall. - Michaels, czy pan myśli, że ja mam czas na te bzdury? Nadciągają Indianie - głodni Indianie. Wszędzie krążą plotki o Amerykanach. Proszę ją stąd zabrać. Nie ma pan nic poza nieuzasadnionymi podejrzeniami. Nawet jeśli jej kuzyn ukradł klejnoty koronne, nie mam czasu się nim zajmować. Odeślijcie tę pannę do wdowy Peavey.

Twarz Michaelsa poszarzała.

- Tak, sir, wedle rozkazu!

Miri nie mogła się powstrzymać przed złośliwym uśmiechem, gdy wychodzili oboje z Michaelem z biura komendanta.

- Niech się pani tak nie cieszy, panno Sutcliffe - ostrzegł ją kapitan. - Wygrała pani bitwę. Ale ja wygram wojnę. Może być pani tego pewna.

ROZDZIAŁ XVII

- No, co pan myśli, Scott? Możemy na nich pójść od północy?

Oparty o stół Jordan starał się utrzymać równowagę na chwiejącym się pokładzie "Niagary". Mapa pokazywała wyspę Mienili mackinac. Wszystkie budowle były naniesione na mapę - destylarnie, kościoły, sklepy, fort, równina pośrodku wyspy i dwie wielkie farmy; Peaveyów za zachód od miasta i Dousmansów na północy.

- Ta droga jest zamknięta - odparł Jordan. - Słyszałem, że Michaels zaczął budować umocnienia, więc Amerykanie nie będą mogli powtórzyć ataku Brytyjczyków, gdy ci zdobyli fort.

Jordan przyjrzał się oficerowi, który stał naprzeciwko.

George Croghan był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia trzy lata. Ten młody człowiek z Kentucky był już jednak bohaterem wojennym, który wyróżnił się przy obronie Fortu Stephenson w Ohio. Dowództwo wojsk amerykańskich powierzyło Croghanowi siedmiuset żołnierzy, którzy przyплыnęli na pokładach dwóch brygów - "Niagary" i "Lawrence'a" - oraz na szkunerach - "Tygrys", "Skorpion" i "Kaledonia".

- No, to niech Brytyjczycy troszczą się o tę drogę. - Palec Croghana przesunął się po mapie do miejsca, gdzie Brytyjczycy w 1812 roku ustawili artylerię i odebrali fort Amerykanom.

- Ciągle myślę, że to jest najlepsza droga, choć mogę sobie wyobrazić ich kłopoty z wciąganiem armat na wzgórze. Muszę się skonsultować z kapitanem Sinclairem, żeby trochę postrzelał, zanim wylądujemy.

- Proszę to zrobić - odparł Jordan i wyszedł z kajuty. Gdy stanął na górnym pokładzie i odetchnął świeżym powietrzem, zaczął

żałować, że jest na tym statku. Szwadron amerykański pod komendą kapitana Artura Sinclaira opuścił Detroit trzeciego lipca, cztery dni po przyłączeniu się Jordana do tropicieli. Od tego czasu wszystko źle szło. Połowa czasu została zmarnowana. Napadli na małe fortyfikacje brytyjskie na Wyspie Świętego Józefa, ale było to marnie zwycięstwo, gdyż fort był opuszczony. Teraz, pod koniec lipca, byli wreszcie nieopodal wyspy, która stanowiła kluczowy punkt oporu Brytyjczyków, ale Croghan stracił ochotę do walki. Jordan stracił w ogóle ochotę na przebywanie wśród wojskowych.

Jordan oparł się o reling i wpatrywał się w ciemną smugę na horyzoncie. Za długo był Czipewejem, za długo winien był szacunek tylko swej przybranej rodzinie, za długo mieszkał w lesie. Dzielenie kajuty z cuchnącymi ludźmi nie służyło mu. Nie miał też ochoty brać udziału w wiecznych rozgrywkach Sinclaira i Croghana. Brakowało mu świeżego tchnienia lasów. Tęsknił za towarzystwem Ujeżdżającego Fale. Ale nade wszystko tęsknił za Miriam Sutcliffe. Ciągle o niej myślał, śniła mu się co noc i budził się obolały z pożądania, zaciskający zęby w coraz większej frustracji. Jordan uśmiechnął się na wspomnienie twarzy tej małej diablisy, jej fiołkowych oczu i wygiętych upartych ust.

- Jordan Scott? - Ostry głos przeciął marzenia na jawie. Dwaj mężczyźni podeszli tak cicho, że Jordan zaczął się zastanawiać nad utratą indiańskiej czujności.

Obydwaj mężczyźni byli ubrani w spodnie i zgrzebne koszule. Jeden był wysoki, szczupły i ciemnowłosy, z opaloną twarzą. Drugi zbudowany był jak niedźwiedź, potężny i muskularny. Twarze obydwóch były zupełnie bez wyrazu.

- Tak, jestem Jordan Scott.

- Myślałem, że to może być pan - powiedział wysoki. - To pan żył wśród Czipewejów przez ostatnie lata?

- Możliwe.

- Nazywam się Keller. A to jest Westin. Pracujemy dla amerykańskich władz. Szukamy typa o nazwisku Hamilton Greer.

- No i? - odparł Jordan nieporuszony.

- Słyszeliśmy w Montrealu, że jakiś brytyjski oficer wysłał raport do Anglii, w którym donosił o kuzynce tego Greera. Podo-

bnio ona ukrywa się na wyspie Michilimackinac. Ktoś nam powiedział, że pomaga jej niejaki Jordan Scott.

- Rozumiem. I chcecie pewnie, żebym wam coś powiedział o tym Angliku?

- No właśnie.

- Greer to nie moja sprawa. On jest kuzynem mojej żony, ale ona nic też o nim nie wie. Dajcie mi spokój.

Keller westchnął nerwowo.

- Ten Greer sprzedał nam pewne informacje, ale ich nie do starczył. Pomógłby pan amerykańskiej sprawie, gdyby pan powiedział o wszystkim, co pan wie. Albo proszę powiedzieć, gdzie można znaleźć pańską żonę.

Jordan rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie.

- Panowie, nie lubię takiego rodzaju wojny. Jeśli zabijam czło- wieka, to nożem lub strzałą. Nie bawię się w sprzedawanie doku- mentów pod stołem. Nie mam wam nic do powiedzenia. Moja żona też.

Gdy Jordan odszedł, dwie pary oczu śledziły go uważnie.

- Uparty sukinsyn - warknął Westin.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Keller. - Myślę, że jego żona nie będzie tak uparta. Kobiety nie są takie.

Pod koniec lipca Anglicy zauważyli statki amerykańskie. Wieść rozeszła się błyskawicznie i dotarła też do wioski Czipewejów.

Miri słuchała wiadomości z bijącym sercem. Nawet dziecko w jej brzuchu podskakiwało i Miri pomyślała, że to może sygnał bliskości Jordana. Położyła rękę na lekko zaokrąglonej wypukło- ści i milcząco posłała wezwanie swemu nie narodzonemu dziec- ku. "Już niedługo - pocieszała je - niedługo twój ojciec będzie tutaj i wszystko będzie dobrze".

"Albo wszystko się jeszcze pogorszy" - dodała ponuro. Ostat- nio krążyła między wioską Czipewejów i farmą Grace. Wdowa usiłowała ją nakłonić do przeprowadzki na farmę, ale Miri wola- ła zostać wśród Czipewejów. Grace gdakała nad nią jak kwoka nad kurczęciem. Lucy traktowała Miri jak porcelanową lalkę. Bystre oczy Grace zauważyły ciężę Miri i nie było takich słów potępienia, których Grace nie użyłaby w stosunku do Jordana.

Lucy też była przerażona i Miri musiała spędzić sporo czasu na przekonywaniu obydwu kobiet, że Jordan nie zrobił jej żadnej krzywdy.

Gdy się wreszcie wszystko wyjaśniło, Miri zorientowała się, że jest sama ze swymi problemami. Mimo całej przyjaźni Grace nie rozumiała jej. Nikt nie mógł pojąć wewnętrznej rozterki Miri, która była rozdarta między miłość do Amerykanina i lojalność wobec własnej ojczyzny.

Niedługo Jordan wróci i znów wejdzie w jej życie. Miri nie mogła podjąć żadnej decyzji. W jednej chwili myślała, że nigdy nie mogłaby zrezygnować z Jordana, a w następnej była pewna, że nigdy mu nie daruje opowiedzenia się przeciwko Brytyjczykom.

- Czy nie czujesz się dobrze, Oczy Nieba? - spytała Uśmiech Poranka.

Ona, Miri i Wierzbowa Pieśń siedziały przed wigwamem i naprawiały podartą odzież.

- Czy dziecko nie dało ci spać w nocy?

Ukrywanie ciąży przed starszą Indianką było niemożliwe. "Jordan może nie będzie taki spostrzegawczy" - ludziła się Miri. Nie było jeszcze wiele widać, a tunika raczej osłaniała niż podkreślała kształty.

- Czuję się dobrze, matko. Dziecko zaczyna się ruszać i to mnie zaskoczyło.

Starsza Indianka uśmiechnęła się znacząco.

- Oczy Ducha będzie zadowolony.

- Oczy Ducha jeszcze ciągle nie wie o tym, moja matko - dodała z dezaprobatą Wierzbowa Pieśń.

- Nie wie o czym?

Głęboki głos zaskoczył Miri. Jej serce zabiło gwałtownie, gdy zobaczyła przed sobą Jordana. Wyglądał na potężniejszego niż zazwyczaj; widocznie ubiór białych ludzi czynił go takim. Włosy otaczały jego twarz jasną gęstwiną. Uśmiech jednak był znajomy i znajomy był błysk w jego oczach, gdy patrzył na Miri.

- Nie wie o czym? - powtórzył.

- Nie wie, że jest szczęściarzem, mając za żonę Oczy Nieba - odparła bystrze Uśmiech Poranka.

Wstała i zaczęła go oglądać matczynym okiem.

- Witaj w domu, Oczy Ducha. Długo cię nie było.

- Za długo - zgodził się Jordan. - A skoro tak doceniacie moją żonę, pozwólcie, że wam pokażę, jak ja ją cenię.

Objął Miri i zaczął ją całować. Uśmiech spoglądała z zadowoleniem. Pieśń szybko opuściła wzrok na swe ręce.

Miri natychmiast zapomniała o wszystkich swych postanowieniach. Przez całe lato tęskniła za dotknięciem Jordana. Wigwam był tak pusty bez niego, posłanie tak zimne. Gdy usta Jordana spoczęły na jej ustach, a jego język bez wahania wcisnął się między jej zęby w poczuciu władzy nad jej wnętrzem, powróciła natychmiast do życia.

Jordan wyprostował się i zwrócił do Indianek.

- Matko, Pieśni, wybaczcie mi. Muszę porwać moją żonę. Mam jej... mam jej coś do powiedzenia.

Uśmiech zachichotała, gdy Jordan prowadził Miri w stronę wigwamu.

- On raczej ma coś do zrobienia niż do powiedzenia.

Wierzbowa Pieśń milczała ponuro.

Miri weszła pierwsza do wigwamu, zdecydowana wypowiedzieć swe wszystkie zastrzeżenia i problemy. Jeśli nie zacznie mówić teraz, może potem nie mieć szansy. Odwróciła się i wpadła prosto w jego ramiona. Jej otwarte usta zostały zduszone gwałtownym pocałunkiem. Ręce Jordana przesunęły się do jej pośladków. Przycisnął ją do siebie w napierającej żądzy.

- O Boże! - jęknął. - Tak długo czekałem. Nie było ani jednej godziny, żebym o tobie nie myślał. Jesteś jak ogień w moich żyłach.

Sprawy szybko potoczyły się w zwykłym kierunku. Miri usiłowała jeszcze się bronić, gdy Jordan ciągnął ją na posłanie.

- Jordan, poczekaj! Czy nie chcesz nawet zobaczyć Jane?

- Jane może poczekać. To nie może.

Dosłownie pozrywał ubranie z nich obojga. Jego usta były wszędzie - na jej piersiach, na szyi, na policzkach. Jego ręka wsunęła się między jej nogi i pieściła wilgotne wnętrze, już czekające na niego.

- Potem zrobimy to powoli i łagodnie - wymamrotał do ucha Miri. - Ale nie teraz.

Jego gorący oddech wypędził z jej głowy wszelkie myśli i wygięła się w łuk, gdy jego palce zanurzały się w niej.

- Jesteś gotowa dla mnie, prawda?

- Tak, Jordan, och tak!

Była stracona. Wiedziała, że tak będzie, gdy tylko Jordan jej dotknie.

Ułożył się na niej i wszedł w nią dziko, brutalnie. Niski jęk wydobył się z jego gardła, gdy nacierał znowu i znowu. Miri odpowiadała na każdy jego ruch. Nerwy jej były napięte do ostateczności, gdy Jordan składał jej ofiarę z własnego ciała. Wiła się pod nim, wyginała, obejmowała go ramionami i nogami i wzywała ciągle jego imię, aż napięcie eksplodowało w nich równocześnie. Jordan szeptał jakieś wyznania z ustami w jej włosach, ale nawet go nie słuchała. Przeżywała wybuch wulkanu we własnym wnętrzu. Ziemia zadrżała. Nie chciała już nigdy zmieniać tej pozycji, nie chciała wracać do świata, nie chciała nigdy wypuścić Jordana spomiędzy swych ud. W końcu musiała to jednak uczynić. Napięcie ustąpiło miłemu zmęczeniu.

- Witaj w domu - szepnęła, widząc nad sobą szare oczy.

Pocałował ją teraz delikatnie. Jego język wędrował powoli wzdłuż zarysu jej ust, palce gładziły włosy.

- Czarodziejka - wyszeptał. - Przyszedłem porozmawiać, a nie robić... to.

Jego usta odnalazły jej ucho i pieściły je teraz, wysyłając rozkoszne prądy do jej kręgosłupa. Za chwilę będzie znowu stracona.

- Jordan, my naprawdę musimy porozmawiać.

Zsunął się z niej i usiadł.

- Przykryj się, bo nigdy nie pogadamy.

Miri chwyciła koc i owinęła się nim.

- Jaką sprawę masz do mnie?

- Chciałbym być pewien, że nie będziesz się wałęsała po wyspie w następnym tygodniu. Znosi się na atak amerykański. Nie chcę, żeby coś ci się stało, Miri.

- Atak! No tak... słyszeliśmy kanonadę w porcie i na wyspie. To na pewno będzie akcja na wodzie.

- To będzie lądowanie - powiedział Jordan, obserwując jej zmieniający się wyraz twarzy. - Te amerykańskie tępaki nie potrafią wywindować dział tak wysoko, żeby trafić w fort. Zdecydowali zatem wziąć fort siłą od lądu.

- A ty idziesz z nimi - powiedziała Miri łagodnie, ale oskarżająco.

- Chciałaś, żebym stał się znów białym człowiekiem.

Miri milczała. Jak mogła mu powiedzieć, że wszystkie zdobycze cywilizacji należą wyłącznie do Brytyjczyków? Amerykanów można nazwać ludźmi cywilizowanymi tylko z największym trudem.

- Chcę, żebyś tu została - postukał palcem w podłogę wigwamu - tak długo, aż się wszystko uspokoi. Gdy wrócę, załatwimy sprawę między nami.

Cisza wypełniła wigwam.

- Wiem, jak się czujesz.

- Rzeczywiście?

- Tak, Miri, wiem doskonale.

- To dlaczego walczysz z moimi rodakami? Anglia jest moim domem, ci Brytyjczycy z fortu są dobrymi ludźmi. Polubiłbyś tego McDoualla. Nawet Michaela! Czy ty wiesz, że on się zaleca do Grace? Mary Beth i Marta chichoczą cały czas, jak o tym mówią.

Pozwolił jej paplać przez chwilę.

- Przykro mi, Miri. Możesz ze mną wojować później, ale teraz chcę, żebyś się nie ruszała z wioski.

- Jordan. Nie rób tego, błagam. Jeśli Amerykanie muszą atakować, to zostań ze mną przynajmniej.

Odpowiedziało jej milczenie.

- Jeśli pójdziesz, nie zastaniesz mnie po powrocie. Nie będę żyła z wrogiem mojego kraju.

Jordan wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie. Objęła go w pasie. Koc opadł i mogła poczuć ciepło jego skóry.

- Bądź tu - wyszeptał. - Kochasz mnie, Miri, więc będziesz tu.

- Nigdy ci nie powiedziałam, że cię Kocham - zaprzeczyła drżącym głosem.

- Czuję to, widzę w twoich oczach.

- One kłamią.

- Nie, nie kłamią, Kochanie. Rozpoznaję objawy, bo sam je mam. Kocham cię, Miri. Boże, jak ja cię Kocham, dziewczyno!

Miri powoli odetchnęła. Tak długo czekała na te słowa. Dlaczego przyszły teraz, gdy Jordan odrzucał ją?

- Nasze dziecko zostało poczęte tak samo z miłości jak i z pożądania. Teraz poznałem różnicę.

Miri cofnęła się gwałtownie.

- Ty wiesz?

- Wiem od dawna - roześmiał się.

- Wierzbowa Pieśń ci powiedziała! - oskarżyła Miri Indiankę i oczy się jej zwięziły ze złości.

- Nie. Już byłem ojcem, złotko. Umiem rozpoznawać takie rzeczy. A nawet gdyby nie - przesunął dłonią po jej brzuchu - nie jestem tak ślepy z pożądania, żeby nie zauważyć tej wypukłości. Zwykle miałaś płaski brzuch.

Miri owinęła się znowu kocem, jakby w samoobronie. -

1 mimo to opuszczasz mnie.

- Wróć - obiecał. - A ty będziesz czekać na mnie. Jeśli nie, znajdę cię.

- Dlaczego?

- Bo należymy do siebie, --

Miri odwróciła głowę. Jordan dotknął palcem jej policzka.

- Nie mam czasu na kłótnie, moja Kochana. Mam tylko kilka godzin i jest coś innego do zrobienia. Tym razem - powoli. I z większą finezją.

Jego palce powędrowały do jej piersi.

- Chodź do mnie - zażądał cicho i chrapliwie.

Miri odrzuciła koc i przyszła.

Następnego dnia obudził ją grzmot. Myślała najpierw, że burza przetacza się nad jeziorem, ale niebo było błękitne. Słońce zaglądało przez otwór u szczytu wigwamu i oświetlało puste

miejsce obok niej. Jordan odszedł i ten grzmot był hukiem dział, nie zaś odgłosem letniej burzy.

Miri zerwała się, szybko naciągnęła leggingi i tunikę i zajęła się porannymi obowiązkami. W trakcie dojenia Petunii i karmienia Jane, która grymasiła nad rybnym bulionem, w trakcie zwijania posłania i w trakcie przeżuwania pieczonej ryby, jednym słowem ciągle, przeklinała Jordana Scotta.

Jak śmiał jej to zrobić! Jak śmiał ją uwodzić, wyznawać jej miłość i zostawić ją, by zabijać jej rodaków! Już i tak było źle, że był przewodnikiem u Amerykanów, ale walczenie po ich stronie było nieskończenie gorsze! Jeśli naprawdę ją kochał, jeśli zależało mu na niej, jak mógł zrobić coś takiego?

Na chwilę uśmiech złagodził surowość jej ust. Powiedział, że ją kocha. Przyznał wreszcie, że jest między nimi coś więcej niż żądza. Musiało go to wiele kosztować. Jordan-wilk, zawsze na straży, ale niedotykalny. Wilk z jej snu. Wreszcie dotknęła go.

A może?... Może to tylko dziecko wewnątrz niej było powodem? Czy kochał nie narodzonego, czyjego matkę? Oznajmił już kiedyś, że żadne jego dziecko nie będzie bękartem. Obiecał poślubić ją, jeśli zajdzie w ciążę. Czy kłamał, żeby ją zatrzymać?

Miri kopała zwinięte posłanie, życząc sobie, żeby to był Jordan. Niech go cholera! Niech cholera weźmie wszystkich mężczyzn! Jak dobry Bóg mógł stworzyć takie aroganckie, uparte, bezrozumne kreatury, żeby rządziły światem? Jeśli Jordan myśli, że wygrał bitwę, to zobaczy, jak wygląda prawdziwa bitwa! Niech tylko wróci!

Kanonada trwała cały czas. Miri nie mogła się już wymówić obowiązkami i wyszła w końcu z wigwamu. Mieszkańcy wioski stali nad jeziorem i obserwowali obłoki dymu, unoszące się ze szkunerów. Miri zadrzała. Czy przypadkiem farma Grace nie była na linii ostrzału? Wreszcie strzelanina ucichła. Można było z daleka zauważyć łodzie Amerykanów, które podążały do brzegu wyspy. Teraz nastąpi atak. Czy Jordan był tam? Czy spotka go brytyjska kula albo ostrze szabli, nim noc nadejdzie?

Miri przez moment była nieprzytomna na samą myśl o tym, że Jordan mógłby umrzeć. Nigdy nie daruje temu łotrowi, jeśli po-

zwoli sobie zrobić jakąś krzywdę. Ale jeśli spadnie włos z głowy Grace lub Lucy, to...

To co wtedy? Miri nie mogła pomóc Jordanowi i uratować tego uparciucha, ale mogła pomóc Grace. Ta myśl pocieszyła ją. Nie będzie tu stała pokornie, gdy jej przyjaciele są w niebezpieczeństwie. Na pewno nie!

Amerykanie wylądowali dokładnie tam, gdzie kapitan Roberts przed dwoma laty. Jordan przyплыł w pierwszej łodzi; Croghan był z nim. Gdy wszyscy żołnierze wyszli na brzeg, Croghan zostawił w rezerwie dwie kompanie. Reszta miała iść na przód.

- Scott - powiedział Croghan do swego przewodnika - zaprowadź nas teraz na tę płaszczynę, o której nam mówiłeś. Musimy się okopać.

Jordan poprowadził żołnierzy wzdłuż plaży. Przyglądał się im uważnie. Nie było wśród nich Kellera i Westina. Dręczyło go to, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tymi dwoma. Croghan śpieszył się.

Wykorzystując naturalną osłonę lasu, Amerykanie posuwali się na południe. Jordan prowadził ich w stronę farmy Michaela Dousmansa. Tropiciele posuwali się w zwartym szyku. Jordan obejrzał się i pomachał do nich. Chciał coś powiedzieć, ale huk dział zagłuszył go. Brytyjczycy czekali na nich. Szyk złamał się i Amerykanie skryli się w lesie".

- Cholera! - krzyknął Croghan. - Co te sukinsyny robią tak daleko od fortu?

- Chyba nikt nie oberwał - stwierdził Jordan.

- Obawiam się, że poprawią swą celność, jeśli damy im powód. Croghan cofnął się do tylnych szeregów.

- Przynieście sześciofuntówki! Szybko, chłopcy! Jordan sprawdził południowy kraniec pola Dousmansa.

- Chyba są po drugiej stronie zabudowań. Widzę działo. Wygląda na trzyfuntowe. Ale po wybuchu można poznać, że mają sześciofuntówkę gdzieś w krzakach.

- Ilu ich może być w przybliżeniu? - spytał Croghan.

- Około stu pięćdziesięciu. Ale mają Indian do pomocy na każdej flance - ryknął Jordan, przekrzykując huk.

Działo amerykańskie ucichło. Jordan stwierdził ze swego miejsca, że nie uczyniło wyłomu w pozycjach brytyjskich.

- Gównu! - splunął Croghan. - To będzie trudniejsze, niż myślałem.

Obejrzał się i ryknął na żołnierzy.

- Formować się! Dwie linie! Ładować działa!

Dwie linie żołnierzy ruszyły naprzód. Gruchnęła salwa z muszkietów. Jedna kula świsnęła tuż przy skroni Jordana. Myśl o Miri przemknęła mu przez głowę. Ależ będzie wściekła. Jeśli wróci do niej z krwią jej rodaków na rękach, to da mu taki wyścisk, że dzisiejsza bitwa będzie piknikiem w porównaniu z nim. Ale miał zamiar wygrać obydwie bitwy. Od tej chwili myślał tylko o uratowaniu życia.

Niecałą milę na południe od farmy Miri słuchała grzmotu dział.

- Pospiesz się - poganiała Mary Beth. - Nie, Marto, nie mamy miejsca dla zwierząt.

Marta popatrzyła na nią błagalnie i pokazała jej małe prosiątko.

- No dobrze - westchnęła Miri. - Jeden prosiak nie zajmie dużo miejsca. Nie pozwolimy tym Amerykanom zrobić z Daffodila kotletów wieprzowych, co?

- Miri! Zapominasz się! My jesteśmy Amerykankami - ostrzegła ją Grace.

- Przepraszam, Grace. Poniosło mnie.

- Nadal nie sądzę, że nam coś grozi - opierała się wdowa, gdy pomagała Miri i Lucy zaprowadzić trzy dziewczynki do czółna czekającego przy brzegu.

- Jak dochodzi do rozmów o narodowości, to zaraz leje się krew - warknęła Miri. - Nikt cię nie będzie pytał o nic. To jest wojna.

Dziewczynki zostały usadowione w czólnie, które Miri wyblała od Chwyającego Dym. Dwie starsze dostały wiosła.

- Grace, siadaj na środku - instruowała Miri. - Lucy, ty ze mną na dziobie.

- Ja nie mogę płynąć - krzyknęła Grace.
- Co takiego?
- Nie mogę, Miriam!
Miri chwyciła Grace za rękę i pociągnęła ją do łodzi.
- Nie możesz zostać! Bóg raczy wiedzieć, co się tu będzie działo, gdy się skończy bitwa.
Grace spojrzała w kierunku, skąd dochodziła kanonada.
- Gerald tu będzie. Nie mogę płynąć.
Miri spojrzała na Grace jak na wariatkę.
- Zabierz dziewczynki i Lucy. Ja do was dołączę, jak się tu uspokoï.
- Zostaję z tobą! - wykrzyknęła Lucy, wyskakując z łodzi.
- Lucy! Na litość boską! - krzyczała Miri.
- Zostaję z Grace - powtórzyła z uporem pokojówka.
"Grace nauczyła Lucy nie tylko dobrych manier, ale też nabiła jej głowę tą przeklętą niepodległością, na punkcie której wariują Amerykanie" - pomyślała Miri.
- Dobrze - skapitulowała. - Ale chociaż naładujcie stary muszkiet, który wisi na ścianie. I nie wierzcie żadnym żołnierzom, obojętne z której strony.
- Będziemy ostrożne - zapewniła Grace. - Bądźcie grzeczne, dziewczynki. Róbcie, co wam Miri każe.
- Jeśli zobaczysz Jordana... - zaczęła Miri, ale coś ją dławiło w gardle i nie mogła skończyć zdania.
- Nie martw się o Jordana. Nie ma człowieka, który by lepiej potrafił o siebie zadbać. - Wdowa poklepała Miri po ramieniu. - Jak go spotkam, powiem mu, że go kochasz.
Oczy Miri były podejrzenie błyszczące, gdy odwróciła się i ruszyła do czółna.

Keller i Westin wysiedli z łódki i ruszyli do wioski Czipewejów.

- Jesteś pewien, że to tutaj? - spytał Westin swego kompana.
- Nie ma innej wioski w pobliżu - odparł Keller.
- Niech to szlag trafi - jęknął Westin, gdy otoczyła ich gromada czekających psów. - Mam nadzieję, że są przyjazne. Może Indianie też będą przyjaźni!

Mieszkańcy wioski powrócili już powoli do swych zajęć, gdyż bitwa przycichła. Chwytający Dym podszedł do przybyszów.

- Witam was - powiedział do białych mężczyzn.

- Taaak, my też - odparł Keller. - Szukamy angielskiej damy o nazwisku Miriam Sutcliffe albo Miriam Scott. Powiedziano nam, że mieszka z waszymi ludźmi.

Rozejrzał się po gromadzie dzieciaków i rzędach wigwamów. Usta wykrzywiły mu się z niesmakiem.

- Ta kobieta nazywa się Oczy Nieba. Jest żoną Oczu Ducha.

- Wszystko jedno. Jest tutaj?

- Nie - odparł Chwytający Dym obojętnie.

Przybysze nie podobali mu się całkiem.

- A gdzie ona jest?

- Nie wiem.

"Kłamstwo nie jest dobre, ale czasami potrzebne" - pomyślał Indianin.

- Czyżby? Czy możemy się rozejrzeć? - spytał Westin.

- Jak chcecie. Nie znajdziecie jej - odparł lodowato Chwytający Dym.

Towarzyszył białym w wędrowce przez wioskę. Jego dezaprobata była tak oczywista, że wszyscy mieszkańcy wioski natychmiast zaczęli udawać całkowitą nieznajomość angielskiego. Obcy zatrzymali się w końcu przed Uśmiechem Poranka, która usiłowała nakarmić Jane kukurydzą rozmoczoną na papkę.

- Ładne dziecko - powiedział Keller, myśląc, że w życiu nie widział nędzniejszego niemowlęcia.

- Moja wnuczka - powiedziała Uśmiech.

Keller popstrykał palcami nad buzią dziecka i nagle zauważył jego niebieskie oczy. Wyprostował się.

- To dziecko nie jest indiańskie. Ma oczy jak niebo. Oni nazywają tę angielską dziwkę Oczami Nieba.

Błyskawicznie wyjął pistolet i wycelował go w stronę Indianki.

- Daj mi to dziecko, babciu.

Chwytający Dym ruszył na pomoc żonie, ale nie był dość szybki. Weston trzasnął go pięścią w twarz.

- A teraz daj mi dziecko.

Wrogi krąg Czipewejów otoczył ich.

- Jeśli ktoś się ruszy, zabiję dziecko i kobietę - zagroził Keller.
- Westin wyrwał Jane z ramion Uśmiechu.
- Dlaczego to robisz? - wyszczał do Kellera.
- Oczy Nieba. Niebieskookie dziecko. Dwa i dwa jest cztery.

Przecież to proste.

Jane krzyczała, gdy mężczyźni nieśli ją do czółna. Broń Kellera była wycelowana w jej malutką główkę.

- Powiedzcie tej Miriam, że jeśli chce dostać dziecko z powrotem, musi się spotkać z nami na wyspie Bois Blanc. Czekamy trzy dni. Potem dzieciak wyląduje w jeziorze.

W kompletnej ciszy dwaj mężczyźni wsiedli do łodzi. Słychać było tylko żalony płacz Jane.

ROZDZIAŁ XVIII

Miri siedziała przed wigwamem z twarzą ukrytą w dłoniach. Usiłowała powstrzymać łzy. Teraz trzeba było myśleć.

- Amerykanie? To byli na pewno Amerykanie?

Chwytający Dym potwierdził posępnie. Margaret uklękła obok Miri.

- Amerykanie nigdy by tego nie zrobili.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale spojrzenie starego Indianina uciszyło ją.

- Wyspa Bois Blanc - powtórzyła Miri. - Zajmie mi sporo czasu, zanim tam dotrę, więc płynę zaraz.

- Płynę z tobą - oświadczyła Mary Beth z zapalem. - Pokażemy tym draniom!

- Ja też jadę - dodała Margaret.

- Cisz! - warknął Chwytający Dym. - Oczy Nieba nie potrzebują pomocy dzieci. Każdy wojownik w mojej wiosce jest gotów iść na pomoc mojej wnuczce.

Miri wstała zdecydowanie.

- Idę sama. W chwili, gdy te łotry zobaczą Indian, zabiją dziecko. Wiem, czego oni chcą. Dam im to, ojcze.

Chwytający Dym spojrzał na swoją żonę. Od chwili porwania Jane nie odezwała się ani słowem. Odwrócił się do Miri.

- Rób, jak uważasz. Ale jeśli moja wnuczka poniesie jakąś krzywdę, to mężczyźni ci już są martwi, moja córko.

- A wy zdejmiecie ich skalpy - potwierdziła Miri, zaciskając gniewnie wargi. - Margaret, Mary Beth, proszę opiekować się Martą. Proszę słuchać poleceń Uśmiechu Poranka.

Dziewczynki kiwnęły głowami zdumione nową, nie znaną im Miri. Nigdy tak ostro do nich nie mówiła.

Miri wzięła węzełek z jedzeniem, przygotowany przez Uśmiech i ruszyła w stronę plaży. Drogę zastąpił jej Ujeżdżający Fale. Wierzbowa Pieśń stała obok niego.

- Nie pojedziesz sama - stwierdził Ujeżdżający Fale. - Jeśli ja będę wiosłował, dobijemy do wyspy przed wieczorem. Sama nie dopłyniesz przed północą.

Miri potrząsnęła głową.

- Amerykanie będą niezadowoleni. Nie możemy ryzykować.

- Ja zostanę w czółnie, gdy ty pójdziesz po dziecko mojej siostry. I będę cię osłaniał.

- Posłuchaj go, Oczy Nieba! - naciskała Pieśń. - Ci ludzie to wściekłe wilki. Mają oczy jak z kamienia. Nie wiedzą nic o honorze. Nie możesz jechać sama. Weź mego brata. Pomoże ci.

Miri spoglądała na jedno i drugie. Twarze ich pełne były gniewu i bezradności.

- No dobrze, płyniemy. Zrobimy to razem, Ujeżdżający Fale - odparła matowym głosem.

Gdy Wierzbowa Pieśń zepchnęła ich czółno na wodę, Miri odwróciła się do indiańskiej dziewczyny.

- Dzięki ci, moja siostrze.

- Uwważaj na siebie - odparła Pieśń.

Bois Blanc była mocno zadrzewioną wyspą, leżącą na południe od Michilimackinac. Był tam sporo miejsc dogodnych do wylądowania i ukrycia się. Słońce stało nisko nad horyzontem, ale było jeszcze jasno, gdy Ujeżdżający Fale wyciągnął czółno na piaszczysty brzeg wyspy. Obłoki dymu podnosiły się zza sąsiednich zarośli. Łatwo było znaleźć Amerykanów.

Wysoki mężczyzna wynurzył się z krzaków. Nawet z daleka można było zobaczyć wściekłość na jego brodatej twarzy.

- Miała pani przybyć sama, panno Sutcliffe.

- Spodziewał się pan, że będę wiosłowała sama całą drogę?

- Powiedzieliśmy, że ma pani być sama.

Miri odwróciła się do Indianina w czółnie.

- On się stąd nie ruszy, obiecuję. Nie chcemy mieć kłopotów. Tylko oddajcie nam dziecko.

- Najpierw pogadamy, moja damo. Chodźmy.

Miri usłyszała płacz Jane z daleka. Obóz Amerykanów był około stu metrów od plaży. W prymitywnie skleconej przybudówce siedział krępy mężczyzna z Jane na kolanach.

Miri rzuciła się naprzód, ale Keller chwycił jej ramię.

- Nie tak szybko, mamusiu. Jest cena za to dziecko.

- Ty bękarcie!

- Gdybym był angielską wywłoką, która rozkłada nogi dla renegata rozmiłowanego w Indianach, byłbym ostrożniejszy w dobieraniu słów, madame - odparł kpiąco.

- Proszę mi dać dziecko.

- Najpierw pogadamy o Hamiltonie Greerze. To pani kuzyn?

- Tak. Daleki kuzyn - odparła Miri, nie odwracając oczu od Jane. Te bydlaki nie troszczyły się o czystość dziecka; nawet z odległości paru metrów było to czuć. "Na pewno jest głodna" - pomyślała Miri.

- Po co wam te wiadomości?

- Sprzedał nam coś i nie dostarczył towaru. Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Na pewno jest pani zaplątana w jego interesy.

- Nie jestem, ale wiem, gdzie on jest. Dajcie mi dziecko i wtedy wam powiem.

Wszelkie względy i lojalność rodzinna wyparowały z Miri. Była zdecydowana odzyskać Jane.

- Proszę powiedzieć najpierw. Potem oddam dziecko.

- Jest na Prerii Psów. Nad rzeką zwaną Missisipi.

- Jak to miło, że pani jest tak chętna do współpracy. Czy ma listę ze sobą?

- Nie wiem nic o liście. Proszę mi dać dziecko.

Keller spojrział na Westina, który wzruszył ramionami.

- Jeśli ona nie kłamie, to może być już za późno. Generał Clark zajął Prerię Psów ostatniej wiosny i mógł się sam dogadać z Greerem. Diabli widzą, gdzie ten typ jest teraz.

- Powiedziałałam wam wszystko. Błagam, uwierzcie mi.

Zebranie było poniżej jej godności, ale dla Jane padłaby na kolana przed Kellerem.

- Daj jej dziecko - polecił Keller Westinowi. - Mamy przed sobą długą drogę.

Miri nie patrzyła na Amerykanów. Oczy jej zwrócone były tylko na dziecko, które wyglądało bardzo źle. Leżało sinawe i nieruchome w upapranych odchodami kocu. Miri umyła Jane, owinęła w czysty koc i usiłowała ją nakarmić bulionem rybnym. Ujeżdżający Fale wiosłował w milczeniu, zaś Miri zmuszała dziecko do jedzenia. Całowała je i pieściła, ale nic nie skutkowało. Błękitne oczy dziecka wydawały się gasnąć. Nie miało siły płakać. To Miri płakała nad nim i nad sobą.

Następnego dnia Jordan powrócił, ale nie spotkało go radosne powitanie. We wsi panowała śmiertelna cisza. Kobiety pracowały w milczeniu. Mężczyźni opatrywali broń lub palili fajki, ale nie rozmawiali ze sobą.

Koc u wejścia do wigwamu Miri był odsunięty. Jordan zobaczył Chwyającego Dym, Uśmiech Poranka i Miri; wszyscy troje siedzieli w ponurym milczeniu.

- Co się tu dzieje? - spytał Jordan z niepokojem.

Trzy pary oczu spoczęły na nim. Miri pierwsza spuściła wzrok. Nie była w stanie wytrzymać spojrzenia Jordana.

- Wróciłeś - powiedział Chwyający Dym - ale powitanie nie jest radosne, mój synu. Jasny Duch jest bardzo chora.

Usta Jordana zacisnęły się. Nachylił się nad posłaniem Jane. Dziecko nie płakało; leżało ciche i tylko oddech podnosił czasem jej wątłą pierś.

- Zrobiłem wszystko, by przebłagać duchy.

Stary szaman nie musiał mówić nic więcej. Wszyscy w wigwamie wiedzieli, że Jane umiera. Jordan usiadł przy dziecku i wziął jej miniaturową rączkę w swą dłoń.

- Gdy wyjeżdżałem, była wyjątkowo zdrowa.

- Twoja córka została zamordowana, Oczy Ducha. Potrzebna jest krwawa zemsta. Powiedziałbym ci, jak się to stało, ale Oczy Nieba twierdzi, że słowa muszą wyjść od niej.

Stary człowiek skinął na żonę i wyszli oboje.

Jordan podniósł spojrzenie na Miri.

- Co to za historia?

Miri zaczęła opowiadać spokojnym, monotonnym głosem, nie oszczędzając siebie. Ani razu nie spotkała się ze spojrzeniem

Jordana. Wiedziała, że odpowiedzialność za chorobę Jane spada wyłącznie na nią. Gdyby usłuchała Jordana i została w wiosce, nie doszłoby do całego nieszczęścia.

- Keller i Westin - wyszeptał Jordan. - Potrzebna jest krwawa zemsta.

Miri spojrzała mu w oczy po raz pierwszy. Zmartwiała. Zobaczyła Jordana takiego, jakim był, trzymając Renquista w śmiertelnym uchwycie. Zobaczyła wilka.

Jane żyła jeszcze dzień i noc. Jordan i Miri nie odstępowali jej na krok. Panowało między nimi kompletne milczenie. Miri miała wrażenie, że siedzi obok granitowego posągu. Nie miała odwagi przemówić. Żałoba panowała w wigwamie, ale nie to było przerażające. Najgorsza była czarna nienawiść w oczach Jordana. Miri chciała uciec gdziekolwiek, byle nie patrzeć na te stalowe, pełne zimnej furii źrenice.

O poranku wykopano mały grób. Jasny Duch została położona obok swej matki i cała wioska pogrzyżała się w żalobie.

Wszyscy otoczyli grób i przemawiali do odchodzącej duszy. Jordan stał nieruchomo, gdy małe ciało składano do grobu, wyłożonego korą brzoźową. Uśmiech Poranka, z włosami popłatanymi i poszarzałą twarzą, złożyła do grobu sznur paciorków. Wisiały nad kołyską Jane - jedyna jej zabawka. Miri, z twarzą zalaną łzami, podeszła i położyła mały kociołek z bulionem, zaś Wierzbowa Pieśń dodała mały koc. Kilka kobiet przyniosło dziecięce zabawki - wszystko to miało służyć Jane w czterodniowej podróży do krainy duchów. Córki Grace złożyły małe dary i objęły Miri, zanosząc się od płaczu. Na koniec wystąpił Chwytający Dym. Melancholijnie spojrzał na ciało wnuczki.

- Miałaś dobre imię, Strzyżyku. Teraz twoja dusza lata swobodnie. Może znajdziesz siłę i radość tam, gdzie duchy tańczą. Zanieś wyrazy miłości swojej matce, która odeszła tą ścieżką przed tobą.

Kobiety zaczęły zawodzić, gdy zasypywano grób. Jedynym człowiekiem, którego oczy były suche, był Jordan. Stał nieruchomo, nie słuchając słów pocieszenia, i oczy jego lśniły jak ostrze noża. Miri patrzyła na niego zza zasłony własnej rozpacz. Nie oskarżała jej, nie krzyczała, nie biczował jej swym gniewem, nie wy-

pominał nieposłuszeństwa. Wolałaby, żeby ją zwymyślał, pobił nawet do nieprzytomności. Nie mogła żyć z ciężarem winy. Ale on tylko stał i patrzył na grób swego dziecka. Jego gniew nie mógł być uśmierzony przez zemstę na porywaczach Jane. Nienawiść Jordana skierowana była tylko na Miri. Jak mogło być inaczej? Miri nie mogła tego już znieść. Wróciła do wigwamu. Położyła się na posłaniu i zwinęła w kłębek. Wiedziała, co ma robić dalej. Wątle więzy między nią i Jordanem zerwały się. Potrzebowała go do ochrony przed Michaelsem. Michaels nie stanowił już groźby. Potrzebna była do opieki nad Jane. Jane już nie żyła. Ich wzajemne kontakty nie istniały już. Miłość umrze na pewno z powodu poczucia winy Miri i nienawiści Jordana. Jeśli zostanie tu, będzie tylko odgrzebywała popioły dawnego uczucia. Lepiej, żeby dziecko było bękartem, niż żeby wyrastało w atmosferze nieszczęścia.

- Czy możemy wrócić już do domu? - błagała Marta. - Chcę do mamy i Lucy.

Miri spojrzała na nią martwym wzrokiem.

- Tak. Zaraz popłyniemy do domu. Pakujcie się.

Podслуchała Jordana, mówiącego do Ujeżdżającego Fale, że atak amerykański zakończył się. Dziewczynki nie miały tu po co zostawać. Miri też nie miała już powodu zostawać.

Wypiła herbatę malinową, która zmyła ból z jej gardła i poszła porozmawiać z Jordanem.

- Odszedł - powiedziała Uśmiech.

Starsza Indianka siedziała samotnie w swym wigwamie. Cała pogoda z jej twarzy zniknęła. Jej poplątane włosy zwisały w wilgotnych falach aż do ziemi.

- Dokąd odszedł?

- Do lasu. Ukoić smutek. Nie odezwał się do nikogo.

Miri westchnęła. Może to lepiej. Na pewno lepiej.

- Ja też przyszedłem się pożegnać, moja matka. Wracam z dziewczynkami na wyspę.

- Nie wrócisz już?

- Nie. Nie ma tu już dla mnie miejsca.

- Jesteś jego żoną, Oczy Nieba. Musisz mu pozwolić na żałobę. On wróci.

- Gdy wróci, mnie tu nie będzie. To ja jestem winna śmierci Jane. Nie jestem już żoną Oczu Ducha.

- Nie zawiniłaś śmierci Jasnego Ducha, córko. Ona została nam dana na krótki czas. Wiedzieliśmy wszyscy, że ona nie będzie rosła i bawiła się z innymi dziećmi.

- Nie wierzę w to - powiedziała Miri z goryczą. - Któregoś dnia mogła stać się silniejsza.

- Winę za jej śmierć ponoszą ci ludzie, którzy ją porwali. I oni zginą z rąk Czipewejów. Zemsta została zaprzysiężona i dokona się.

- Zemsta nie zmyje mojej winy. Nie będę mogła patrzeć w oczy Jordanowi i nie myśleć w mojej głupocie.

- A co z twoim dzieckiem?

- Jest moje. - Miri wstała gwałtownie. - Proszę, Uśmiechu, powiedz Oczom Ducha, że... powiedz mu, że żałuję.

Rozwiązawszy sprawy w ten sposób, Miri pomyślała o przyszłości. Była znowu panią samej siebie, choć smutną i pełną goryczy. Teraz powinna dopełnić swego zamiaru odnalezienia Hamiltona - teraz raczej dla kraju niż dla siebie. Potem będzie mogła wrócić do Anglii na czas porodu. Po powrocie do domu będzie mogła żyć spokojnie z dzieckiem i ciotką Elizą. Znajomym powie, że jest wdową. Mogła to już sobie wyobrazić - ona, ciotka i dziecko z włosami i oczami Jordana. Odda dziecku całą swą miłość do jego ojca. Zapomni w końcu o Wierzbowej Pieśni, Uśmiechu Poranka, o Grace, jej córkach, o Michaelsie, nawet o upartej kozie. Nigdy nie zapomni o Jordanie Scotcie. Był lśniącym kryształem w jej życiu i takim pozostanie.

- Moja droga! Wiedziałam, że jesteś w gorącej wodzie kąpana i uparta jak muł. Nie myślałam jednak, że jesteś szalona.

Grace energicznie wałkowała ciasto na placek. Było już cieniutkie jak wafel. Miri patrzyła z uwagą.

- Nie rozerwie się przy wkładaniu do formy?

- Nie zmieniaj tematu, Miri - warknęła groźnie Grace. - Powinnaś słuchać mnie!

- Słucham cię od trzech dni, Grace, i to bardzo cierpliwie. Dziwne, że ty mnie nazywasz szaloną. A kto odmówił opuszczenia domu, bo pewien oficer mógłby cię potrzebować?

Grace nie odpowiedziała. Rumieniec wystąpił jej na policzki. Znow zaczęła wałkować ciasto.

- Kiedy wreszcie uznasz, że jestem dorosłą kobietą? Mam prawo podejmować decyzje.

- Jak będziesz dorosłą kobietą! - Grace ułożyła ciasto na blacie. - Dorosła kobieta nie ucieka od mężczyzny z jego dzieckiem w brzuchu. Nie wynajmuje sobie za przewodnika takiego mieszańca, Gage'a Delacroixa i nie podróżuje przez pół kontynentu.

- Preria Psów nie jest wcale tak daleko. Delacrouc powiedział, że przy dobrej pogodzie możemy tam być za trzy tygodnie.

- Nie mogłam wprost uwierzyć, że potrafiłaś wejść do knajpy, znaleźć tego człowieka i wynająć go. Lucy mi powiedziała, że widziano was razem. Myślałam, że to niemożliwe. "Miriam Sutcliffe jest damą" - pomyślałam. Nie zrobiłabym czegoś podobnego nigdy w życiu na twoim miejscu.

- Wszyscy mówili, że go tam znajdę. Nic mnie teraz nie obchodzi przyzwoitość. Poza tym myślałam, Grace, że Delacrouc jest twoim przyjacielem.

- Był kiedyś przyjacielem mego męża. Ten człowiek nie zna przyjaźni względem kobiet, uwierz mi. A teraz podaj mi miskę z jagodami.

Miri spełniła jej polecenie.-zjadając przy tym jagodę.

- Nie znam innego przewodnika.

- Jeżeli już tak bardzo chcesz, to Jordan cię zaprowadzi.

Miri nie odpowiedziała. Nie chciała mówić o Jordanie. Grace wiedziała jedynie tyle, że Jordan poszedł do lasu, by ukoić swój żal i Miri nie jest już potrzebna, skoro Jane nie żyje. Grace mogła czytać między wierszami, ale Miri niczego nie komentowała. Delacrouc obiecał skompletować ekwipunek w ciągu czterech dni. Minęły już trzy i Miri była przerażona, że musi pożegnać Grace i jej farmę. Tyle się z nią wiązało wspomnień! Kołyska Jane wciąż stała w sypialni Miri i nie pozwalała jej usunąć. Pamiętała noc, gdy usiłowała nakarmić Jane kozim mlekiem. Jordan klęczał wtedy przy kołysce i przypatrywał się swej córce. Naj-

pierw z uwagą i rezerwą, potem z miłością i akceptacją. Wspomnienia były bolesne, ale Miri nie umiała się od nich opędzić.

- Co mam powiedzieć Jordanowi, gdy przyjdzie cię szukać? Jak mam mu się przyznać, że pozwoliłam ci odejść z tym francuskim babiarzem? - biadała Grace.

- Nic mu nie mów. Zresztą on nie przyjdzie.

- Jeśli tak myślisz naprawdę, to jesteś jeszcze bardziej szalona niż myślałam, panno Sutcliffe.

W pięć dni po opuszczeniu wioski Czipewejów Miri wsiadła do wielkiego czółna Delacroix. Łódź była identyczna jak ta, która wiozła Miri z Montrealu na wyspę - miała około półtora metra szerokości i dziewięć metrów długości. Była też wyładowana po samą przybudówkę wszelkimi towarami. Połowa sierpnia nie była najlepszą porą na handel, ale Delacroix nigdy nie przepuszczał okazji do najmniejszego zarobku.

Towary były podobne do tych zatopionych w jeziorze, ale kobieta siedząca między skrzyniami nie bardzo przypominała tamtą młodą Angielkę, która podróżowała w dół rzeki Ottawy w ubiegłym roku. Miri zostawiła na farmie wszystkie suknie. Zabrała ze sobą tylko trzy tuniki, skóry i koce na posłanie. Na biodrach miała pas z nożem, zaś na plecach łuk. Jordan nauczył ją strzelania z łuku. U stóp miała kołczan ze strzałami i stary muszkiet Grace wraz z zapasem prochu i kul. Nie umiała się zbyt dobrze posługiwać tymi wszystkimi rzeczami, ale dodawały jej pewności siebie.

- Szczęśliwej podróży - powiedziała Grace, gdy zęgnęły się z Miri na plaży. Patrzyła teraz na odpływające czółno. Miri machała ręką i uśmiechała się, ale Grace była pochmurna. Szczęśliwej podróży, rzeczywiście!

Zachodzące słońce rzucało ukośne promienie na las. Jeden promień oświetlił twarz Jordana, siedzącego przed byle jak skleconym szałasem. Pięć dni postu utworzyło wklęsnięcia na jego policzkach i nadało mu wygląd głodnego wilka. Przez pięć dni Siedział tutaj, odmawiając sobie wody i jedzenia, nie ruszał się prawie i czekał na wizję. Miała mu pomóc ustabilizować uczucia

i usunąć zamęt z jego myśli. Wizja jednak nie nadchodziła. To nie Oczy Ducha czekał na nią, ale Jordan Scott, biały człowiek. Manido nie mówią do białych ludzi i Jordan sam musi się zmagać ze sobą.

Post i medytacje dobiegały jednak kresu. Medytacja i samotność z kolei przyniosła pewien spokój. Tancerka Jeziora i Jane odpoczywają już. Nienawiść też zaczęła przygasać. I wtedy Jordan uświadomił sobie, że zostawił Miri samą z jej bólem i wyrzutami sumienia. Tę Miri, która kochała jego ułomne dziecko, która oddała mu siebie, która nosiła w sobie nowe życie. Dar dla niego. Nie odezwał się do niej od pogrzebu, zamknął się samolubnie we własnym żalu, odrzucił wszystkich, którzy go kochali.

Przypomniał sobie Miri, taką jaką widział ostatni raz. Miała szarą, spopielałą twarz i patrzyła na Jane, składaną do grobu. Tylko jej oczy były czerwone od łez, poza tym była cała bezbarwna i blada. Miała potargane włosy, policzki zapadnięte i mokre od łez. Spojrzała na niego parę razy, ale odepchnął ją swą wrogością.

Jordan uświadomił sobie nagle, że wizja przyszła. Zobaczył swą przyszłość - Miri. Musi jakoś przekonać tę upartą wiedźmę, że należą do siebie. Przeszłość została pogrzebana. Razem mogą stworzyć nową przyszłość, która będzie dla nich wspólna.

Jordan wrócił do wioski z tłustą sarną na ramionach. Był to dar dla ludzi, których odepchnął. Dzieci i psy znów hałasowały, kobiety paplały przy pracy, starcy palili fajki. Jordan rzucił sarnę na ziemię przed swym wigwamem.

- Miri odeszła - usłyszał za sobą głos Wierzbowej Pieśni. Pa trzymała na niego uważnie. - Zabrała córki wdowy i odpłynęła po pogrzebie Jasnego Ducha.

Jordan wpadł do wigwamu. Wszystkie rzeczy Miri zniknęły - jej odzież, własnoręcznie zrobiony kociołek, kłębek bawełnianych, muślinowych i wełnianych sukien, które przestała nosić od czasu, gdy Jordan siłą ubrał ją w skóry. Nawet posłanie zniknęło.

Jordan wyszedł z wigwamu, wyglądając jak chmura gradowa.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem - odparła Pieśń. - Rozmawiała tylko z moją matką.

Jordan ruszył do wigwamu Uśmiechu, ale Wierzbowa Pieśń zastąpiła mu drogę.

- Oczy Ducha! Poczekaj! Zima się skończyła. Oczy Nieba jest już bezpieczna. Biali ludzie nie prześladują jej. Sama mi powiedziała. Może już teraz wrócić do swego świata, tam gdzie należy.

- Może jest bezpieczna przed Michaelsem, ale nie przede mną, do diabła!

- Pozwól jej odejść.

Wierzbowa Pieśń z desperacją trzymała go za ramię.

- Pozwól jej odejść - powtórzyła. - Ona należy do białych ludzi, a ty tutaj.

- Nosi moje dziecko.

- Ja też ci dam dzieci.

Błaganie w głosie Pieśni zatrzymało Jordana na chwilę. Położył rękę na ramieniu dziewczyny.

- Wierzbowa Pieśni, ja kocham moją żonę. Nie należę już do Czipewejów. Też jestem białym człowiekiem. Zawsze będę cię kochał, bo jesteś moją siostrą. Znajdziesz kiedyś mężczyznę dla siebie i będę się cieszył z twego szczęścia.

Wierzbowa Pieśń zrozumiała nieodwołalne znaczenie jego słów. Podniosła głowę i, ratując resztki dumy, ustąpiła mu z drogi.

Gdy Jordan wszedł do wigwamu Chwyającego Dym, serce biło mu jak szalone. Uśmiech potwierdziła jego najgorsze obawy.

- Ona cię opuściła, Oczy Ducha, i nie potępiam jej tym razem.

Indianka spojrzała na mężczyznę, którego uważała za syna przez prawie jedenaście lat. Teraz, ubrany w spodnie i samodziałową koszulę, z włosami wijącymi się wokół głowy, wyglądał jak biały człowiek.

- Ja też jej nie potępiam - zgodził się Jordan. - Ale pewny jestem, że ją zmuszę do powrotu.

Odwrócił się i spojrzał na wyspę z wyrazem determinacji. Gdziekolwiek ta wariatka poszła, i obojętne jak długo to będzie trwało, ale znajdzie ją. To pewne.

ROZDZIAŁ XIX

Sierpniowa pogoda była piękna. Ciepłe dni następowały jeden po drugim. Majestatyczne chmury przesuwały się wolno po niebie, nie grożąc burzą. Jezioro było spokojne i tylko czasami lekka bryza pozwalała na zamienienie wiosel na żagiel.

Nastrój Miri nie pasował do pięknej pogody. Wiedziała, że czas uleczy kiedyś ból po stracie Jane, ale na razie cierpienie było zbyt świeże. Najgorsza była pamięć o potępiającym spojrzeniu Jordana. O nim samym starała się nie myśleć. Nie udawało się jej to jednak i jego obraz ciągle ją prześladował. Jasność nieba była jasnością jego oczu; kształt chmury wygięciem jego ust; ciepły wiatr jego oddechem. Był wszędzie, ale starała się nie pamiętać czułości, która zastąpiła ich prywatną wojnę. Miri nie mogła znieść myśli, że niebawem wróci do spokojnej Anglii i urodzi dziecko, które będzie rosło i kiedyś zapyta o ojca. I ona będzie każdego dnia patrzyła na dziecko Jordana.

Gage Delacroix był miłym towarzyszem podróży. Najpierw śmiał się z prywatnego arsenału Miriam, ale pojawiwszy, że to nie żarty, zaczął ją uczyć posługiwania się starym muszkietem. Podarował jej nawet kilka okuć do łuku, który Jordan zrobił kiedyś dla niej. Śmiał się, gdy chwaliła jego sprawność w posługiwaniu się bronią. Mówił, że nie jest tak dobrym łucznikiem jak jego ojciec, Irokez, ani tak dobrym w strzelaniu z muszkietu, jak jego matka, francuska dziwka. Przez chwilę wyłoniło się spod jego zwykłego uśmiechu ponure oblicze, ale Miri o nic nie pytała.

Od czasu do czasu kłócili się. Delacrouc był zły, gdy Miri nie chciała zatrzymać się w wiosce Ottawów, w L'Arbre Croche. Zbyt wiele niemiłych wspomnień wiązało się z tą indiańską wio-

ską - wyzywający taniec Wierzbowej Pieśni, zachwyty Jordana, gorzkie słowa, które potem nastąpiły. I Jane. Ciągłe myśli o Jane. Miri nie chciała się tłumaczyć, więc Delacrouc zaakceptował w końcu fakt, że jest przez nią wynajęty i musi jej słuchać. Po tygodniu znów jednak zjawily się problemy.

- *Mapetite*, dlaczego jesteś smutna? Chodź i napij się ze mną, *ma belle*. To cię pocieszy i ogrzeje.

Podniósł do ust butelkę rumu.

- Nie, dziękuję - odparła Miri sztywno.

Na pewno potrzebowała ciepła i ciało jej tęskniło za mężczyzną, ale nie za tym. Nie miał ani szarych oczu, ani jasnych włosów, ani niepokojącego uśmiechu. Gage Delacrouc był czarujący, ale nie był Jordanem Scottem.

- Taki smutny uśmiech na buzi, *cherie*. Nie wiesz, że należy być szczęśliwym?

Miri rzuciła mu spojrzenie, które przeraziłoby głodnego kugara, ale Delacroixa nie było łatwo onieśmielić. Odstawił butelkę i ruszył w kierunku swej ofiary.

- Ja cię uczynię szczęśliwą, *mapetite triste*. Taka kobieta powinna być wielbiona przez mężczyznę, przez silnego mężczyznę - rozpostarł szeroko ramiona - który napelni cię radością i pozostawi szczęśliwe wspomnienia, co?

Miri omal nie roześmiała się. Czy wszyscy mężczyźni byli patetycznymi małymi chłopcami? Wszyscy poza Jordanem?

- Wstydz się, Delacrouc. Usiłujesz uwodzić ciężarną kobietę?
- rzuciła lekko.

Przewodnik wzruszył ramionami.

- Nie jesteś jeszcze taka okrągła, *cherie*. A to maleństwo nie będzie miało nic przeciwko mojej wizycie.

Miri usiłowała pomyśleć spokojnie. Nie chciała obrazić swego przewodnika w samym środku podróży, ale musiała go jakoś uspokoić.

- Jesteś tak piękna, *mapetite*. - Głos Delacrouca stał się chrapliwy. - Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, wiedziałem, że Jesteś kimś niezwykłym.

Wyciągnął rękę i chwycił udo Miri gestem, który uważał widocznie za zmysłowy. Dla Miri było to coś odrażającego.

Chęć nieobrażania go uleciała z niej.
- Weź te łapy!
- Taka bojaźliwa jesteś! - wyszeptał Delacroix.
Jego ręka posunęła się wyżej po jej udzie, gdy druga usiłowała ją objąć za ramiona.
- Nie musisz się bać, *cherie*. Będę delikatny.
- Ale ja nie będę!
Nim Delacroix połapał się, poczuł na szyi nóż. Oczy rozszerzyły się ze zdumienia. To, co brał za kokieteryę, było furją.
- Weź natychmiast te łapy! - powiedziała Miri groźnie. Ostrze noża naciskało szyję Delacroix'a coraz mocniej, popłynęło parę kropelek krwi.
- *Oui, madame!*
Delacroix posłusznie cofnął ręce, ale nacisk noża nie zelżał.
- Czy pani zwariowała?
Miri odsunęła nóż.
- Jeśli to się powtórzy, to pan zwariuje, nie ja. Zrozumiano?
Delacroix pomasaował gardło i wykrzywił się na widok krwi na swojej dłoni.
- Może pani być pewna, że będę się zachowywał bez zarzutu - powiedział z szacunkiem. - *Mapetite*, nie miałem pojęcia...
- Pojęcia o czym?
- Że jest pani taką dzikuską.
Uśmiechnął się dobrodusznie, ukazując olśniewająco białe zęby. Miri zorientowała się, że to był komplement.
- Tak, jestem. Prawda?
Teraz dopiero uświadomiła sobie, że angielska dama umarła i została pogrzebana, tak jak Tancerka Jeziora i Jane.

Wierzbowa Pieśń czekała w przedsionku biura komendanta. Renquist obserwował ją uważnie. Indianka odwracała wzrok od białego mężczyzny, ale pogardliwie o nim myślała. Słyszała przecież od Ocu Nieba, że ten człowiek uciekał, przytrzymując w garściach spodnie. Jakim musiał być tchórzem!

Szeregowiec w szarych spodniach i szkarłatnym zakiecie stanął w drzwiach.

- Kapitan Michaels przyjmie cię teraz, uff... panienko.

Pieśń wstała i ruszyła za żołnierzem.

Kapitan nie urzędował już w biurze komendanta. Jego pokój był mały, biurko zajmowało prawie całą powierzchnię i nie było krzesła dla gości. Wierzbowa Pieśń musiała stad

- Czym mogę służyć, panno...?

- Jestem Wierzbowa Pieśń, córka Chwytającego Dym i Uśmiechu Poranka.

- Ach... tak. Chciałaś ze mną rozmawiać.

- Mam informację o Miriam Sutcliffe. I o jej kuzynie, który nazywał się Greer.

Michaels podniósł szpakowate brwi. Dziewczyna zaczynała go interesować.

- Jakie informacje?

- Najpierw proszę mi coś obiecać.

- To znaczy, co?

- Musi pan dać słowo, że wypuści pan wolno Oczy Ducha. To ten, którego nazywacie Jordan Scott.

Usta Wierzbowej Pieśni zacisnęły się w wąską linię.

- Musi pan także puścić wolno Miriam Sutcliffe, która jest jego żoną.

Indiańska dziewczyna walczyła ze sobą trzy dni. Krótkie spotkanie z porywaczami Jane upewniło ją, że są to ludzie bez serca i honoru. Jak Oczy Ducha da sobie sam radę z nimi, gdy tylko odzyska Oczy Nieba? Nawet tak dzielny wojownik nie poradzi sobie sam. Będzie musiał przecież chronić jeszcze swoją żonę.

Michaels był zaintrygowany. Domyślił się, że przyczyną oferty jest chorobliwa zazdrość, z której były znane młode niezamężne kobiety Czipewejów. Ale dlaczego Indianka domagała się ochrony dla tej kobiety, którą zdradzała? Może to jakaś piekielna intryga?

- Dlaczego chcesz mi dać te informacje?

- Oczy Ducha jest moim bratem - wymówiła z trudem dziewczyna. Uświadomiła sobie wreszcie, że nic poza tym nigdy ich nie będzie łączyło.

- Jego żona jest moją siostrą. Boję się, że idą do walki, której nie mogą wygrać.

Michaels splótł ręce przed sobą. Może dziewczyna nie kłamie? A jeśli tak, to jej oferta i tak jest interesująca. Nie można jej zignorować.

- Nie mogę obiecać niczego dla Jordana Scotta. Wiadomo, że brał udział w ataku Amerykanów na tę wyspę i mój szef wyznał cenę za niego. Ale dam słowo, że zrobię dla niego wszystko, co będzie możliwe. Co do tej Angielki, to zapewniam, że jak znajdę jej kuzyna, nie będę się nią więcej interesował. To wszystko, co mogę zrobić.

Indianka zawahała się. Nie takiej obietnicy oczekiwała, ale czego więcej nie mogła dostać. Ten człowiek nie był słabym głupcem. Skinęła głową.

- Starsi w mojej wiosce mówią, że Michaels jest człowiekiem honoru, chociaż jest biały. Wierzę, że dotrzyma pan słowa.

- Czuję się zaszczycony - uśmiechnął się lekko kapitan.

Przez kilka następnych minut Wierzbowa Pieśń opowiadała o tym, jak wiosną ubiegłego roku Gage Delacrouc przyprowadził człowieka o nazwisku Shelby. Obydwaj spędzili noc w UArbre Croche, gdzie Pieśń mieszkała ze swoim mężem. Gdy w końcu powiedziała o tym, że mężczyźni udali się na Prerię Psów, oczy Michaelsa rozjaśniły się. Indianka zaczęła teraz żałować swej opowieści. Wysoki Anglik ciągle tkwił w jej pamięci. Tamtej nocy złamał wszelkie reguły honoru i uwiódł ją. Myślała o nim często i zastanawiała się, czy kiedyś do niej wróci. Przykre było wydać go wrogom, ale trzeba było ratować Oczy Ducha, a ona była zdecydowana na wszystko.

- Miriam Sutcliffe wynajęła teraz Gage'a Delacrouca, żeby za prowadził ją na Prerię Psów. Oczy Ducha na pewno pojechał za nimi. Tam na pewno spotkają tych Amerykanów, którzy też szukają Greera. Będą walczyć i Oczy Ducha nie da sobie rady. Umrze, a Miriam wraz z nim. Musi pan im pomóc.

Michaels uśmiechnął się, gdy wreszcie skończyła swą opowieść.

- Twój brat dostanie pomoc. I dzięki ci. Dobrze postąpiłaś, Wierzbowa Pieśni.

- Pan dotrzyma słowa - przypomniała mu.

- Dotrzymam, na pewno.

Michaels patrzył za odchodzącą Indianką. Przez chwilę siedział nieruchomo i rozkoszował się zwycięstwem. Potem posłał po Renquista.

Pełny tydzień zajęło Delacroix i Miri dotarcie do północno-wschodniego wybrzeża jeziora Michigan i osiągnięcie Zielonej Zatok. Delacroix zatrzymał się w faktorii Kompanii Północno-Zachodniej i sprzedał swe towary, rezerwując sobie futra, które miał odebrać w drodze powrotnej. Po załatwieniu transakcji można już było popłynąć rzeką Fox.

- *Cherie*, teraz pójdziemy pieszo parę kilometrów - powiedział któregoś dnia przewodnik, gdy oboje siedzieli przy ognisku i piekli króliki. - Jeszcze kilka dni i będziemy na Wisconsin, a ona nas zanieś do celu. I wtedy znajdziemy twego sławnego kuzyna, prawda?

- Tak - Miri odparła zdecydowanie, choć wcale się tak nie czuła. - Jak długo to jeszcze potrwa?

- To zależy, *mapetite*, jak szybko możesz iść. Gdybym był sam, to dwa dni do rzeki, potem jeszcze tydzień.

- Wytrzymam, wiesz o tym - uśmiechnęła się Miri.

Zaprzyjaźnili się od czasu, gdy Miri pokazała Delacroix, że jest dla niego owocem zakazanym. Zyskała jego respekt, a jej umiejętności zachowania się w lesie zdobyły jego sympatię i podziw. Podczas podróży żartowali i gawędzili, co pomogło Miri walczyć z ponurymi wspomnieniami. Tego wieczoru Delacroix nie śmiał się.

- Muszę zrobić mały obchód - powiedział

- Jaki obchód? - zdenerwowała się Miri.

- Od paru dni jesteśmy śledzeni. Ktokolwiek to robi, jest bardzo sprytny. Gdybym sam nie był taki sprytny, nie wiedziałbym, że ktoś tu jest.

Miri zaparło dech w piersiach.

- Indianie?

- *Peul-tre*. Albo nie. Nie wiesz może, kto to?

- Nie wiem - odparła.

Brytyjczycy? Michaels dowiedział się o jej wyprawie? Albo... Nie, to nie mógł być Jordan. On wciąż był pogrążony w żałobie. To nie był Jordan.

- No dobrze, *mapetite*. Jeśli chcesz się zabawić... Ale zapłaciłaś mi za to, żebym był przewodnikiem, a nie wojownikiem.

- To miło słyszeć - stwierdził Jordan. - Po tym pościgu za wami nie mam nastroju do walki.

Miri była tak zaskoczona, że nie mogła się odezwać. Jordan wyglądał znakomicie. Był ubrany w spodnie i samodzielną koszulę, nie zaś w strój indiański.

Delacroix wstał i sięgnął po muszkiet, ukryty za drzewem.

- Nie ma potrzeby, przyjacielu. Nie jestem w nastroju do walki, jak już powiedziałem.

Przewodnik zawahał się i usiadł znowu. Ciągłe obserwował Jordana podejrzliwie.

- Widać, że macie dość królików, żeby się ze mną podzielić.

Jordan rozsiadł się wygodnie obok Miri, zdjął jednego królika z pręta nad ogniem i zaczął powoli jeść.

- Dobry - skomentował. - Gorący.

Delacroix odchrząknął.

- *Mon ami*, twoja żona zapewniła mnie, że nie masz nic przeciwko jej podróży.

Jordan spojrzał przyjaźnie na mieszańca. Delacroix znał już to przyjazne spojrzenie i był przerażony.

- To miło, że pamiętasz o tym, iż ta dama jest moją żoną.

- Ta dama mi przypomniała - uśmiechnął się. - Nie miała specjalnych powodów, żeby się bronić, ale jest bardzo szybka przy wyciąganiu noża.

- Masz szczęście. Bo ja jestem szybszy. I bardziej niemiły.

- Uspokójcie się! Obydwaj! To nie twój interes, Jordanie Scott, co ja robię i z kim. Możesz się stąd zabierać z powrotem do siebie!

Jordan zignorował ją.

- Zjedz królika, Delacroix. Potem zabieraj manatki i wynoś się. Moja żona nie będzie już potrzebowała twoich usług.

- Nie ośmielisz się odejść, Gage! Ja cię wynajęłam i...

- A ja cię zwalniam - uzupełnił Jordan. - Jedz i zjeżdżaj stąd, przyjacielu. Muszę porozmawiać z moją żoną.

- Do diabła! Nie jestem twoją żoną!

- Cśś! Co za wyrażenia! Zmieniła się pani, panno Miriam!

- Gage! Nie musisz odchodzić!

Delacrouc wymownie wzruszył ramionami.

- Przykro mi, *cherie*, ale mówiłem ci już kiedyś, że nie mam zamiaru wchodzić w drogę twemu mężowi.

Przewodnik zwinął swoje koce i sięgnął ostrożnie po muszkiet, uważając na Jordana. Delacrouc był niezłym zabijaką, ale teraz nie miał zamiaru kusić losu. Widywał już Jordana w walkach z Siuksami i był bardzo zadowolony, że nie jest przeciwnikiem tego renegata.

- Złowię trochę ryb na kolację dla siebie. Do zobaczenia, *mon amu Cherie* - zasalutował żartobliwie i odszedł.

Zostawszy z Jordanem, Miri zeskoczyła z pnia i zaczęła gorączkowo chodzić wokół ogniska.

- Co ty tu robisz, Jordan? I dlaczego odesłałeś mojego przewodnika?

- Masz przewodnika, Miri - odparł Jordan.

- Takiś pewny siebie?

- Dość pewny.

- Nie chcę ciebie za przewodnika. Twoje usługi są... są za drogie. - Załamała się nagle. - Boże, Jordan! Dlaczego za mną przyszedłeś?

- Dlaczego uciekaś?

- Nie uciekałam. Odeszłam. Nie potrzebujemy już siebie nawzajem. Michaels już mi nie zagraża, i... i Jane...

- Uciekaś. Chcę wiedzieć dlaczego - nalegał Jordan.

- Wiesz bardzo dobrze, dlaczego odeszłam. Nie mogłam zostać. Nie po tym, jak moja beztroska spowodowała... spowodowała śmierć Jane. Jak mogłam zostać i patrzeć na ciebie? Wiem, że mnie nienawidzisz i masz rację.

Jordan milczał. Jego twarz była bez wyrazu. Popatrzył na chodzącą wciąż wokół ognia Miri.

- Usiądź - rozkazał.

Gdy go posłuchała, wcisnął jej do ręki kawałek mięsa.

- Jedz.
- Nie mam ochoty.
- Mimo to jedz, ty uparta kobieto. Musisz sobie czymś zatkać usta, bo nie dasz mi nic powiedzieć.
Miri zaczęła żuć niechętnie kawałek królika.
- Nie możesz się oskarżać o śmierć Jane. Ci mężczyźni zapłacą życiem za swój czyn. To nie była twoja wina.
- Ale ja...
- Jedz! I słuchaj. Należysz do mnie, Miri. Będziemy mieli dziecko. Jesteś moją żoną w oczach Boga i Czipewejów. Nawet Grace tak uważa. Możesz się uważać za mężatkę. Tylko ty jedna w to wątpisz.
Miri przełknęła kawałek mięsa.
- Czy Grace ci powiedziała?
- Oczywiście. Ona ma trochę oleju w głowie. Nie tak jak inni, których mógłbym wskazać.
Miri milczała. Jordan miał zamiar mówić jej o miłości tak długo, aż ją przekona. Po raz pierwszy w życiu było mu łatwo mówić o miłości. Wiedział jednak, że uczucia Miri są wciąż zranione. Była przerażoną łanią, która wyczuła myśliwego i gotowa jest uciekać na pierwszy znak niebezpieczeństwa. Myśliwski instynkt Jordana podpowiedział mu, że jeśli chce mieć tę łanię, musi poruszać się ostrożnie. Zaczął znów mówić.
- Miri, nie mam zamiaru zmuszać cię do niczego. Teraz mamy wspólny cel. Ty chcesz znaleźć kuzyna, a ja chcę znaleźć ludzi, którzy porwali Jane. Potem porozmawiamy o przyszłości. Odpowiada ci to?
Miri zawahała się. Mogła teraz przyznać się przed samą sobą, że spodziewała się pościgu Jordana. Nie był to już wściekły, pełen nienawiści Jordan. Nie oskarżał jej o śmierć Jane. Gdyby tylko ona sama mogła się przestać oskarżać!
- Odpowiada mi to - odpowiedziała spokojnie.
Przeszłość jest zapomniana, a o przyszłości lepiej nie myśleć teraz. Może się sama ułożyć?
Miri nalegała, żeby spali oddzielnie. Była zmęczona, ale chaos myśli nie pozwalał jej zasnąć. W jej pamięci przewijały się wydarzenia minionego roku. Myślała o wszystkich znajomych lu-

dziach. Grace, Uśmiech Poranka i Tancerka Jeziora stały się o wiele ważniejsze niż jej przyjaciółki z Londynu. I Jane - słodka Jane, która leży w grobie. To Miri ją tam wepchnęła swą bezmyślnością. Całe godziny mijały nieraz na zmuszaniu Jane do jedzenia. Miri łudziła się wciąż, że dziewczynka zacznie uśmiechać się i gaworzyć jak inne dzieci. Pamiętała też, że ostatni raz widziała Jane w ramionach Uśmiechu, Jane jeszcze zdrową. Dziecko wyciągnęło wtedy rączkę, jakby chciało ją zatrzymać.

Zdławione łkanie zaczęło rozrywać krtań Miri. Wcisnęła twarz w koc, usiłując stłumić płacz. Nie płakała od czasu pogrzebu i teraz wylewała z siebie gniew, żal i poczucie winy. Łzy płynęły strumieniami, ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze.

- Miri.

Jordan ukląkł koło niej. Objął ją i przytulił mocno do siebie. Nie opierała się.

Miri oparła twarz o jego mocną pierś.

- Jane! - szlochała. - Słodka Jane!

Jordan kołysał ją jak dziecko.

- Już, już. Uspokój się. Jane jest szczęśliwa z Tancerką Jeziora. Myślisz, że chciałaby cię taką zobaczyć?

- Nie - chlipała Miri.

Szloch przeszedł w lekką czkawkę. Jordan wytarł twarz Miri swą własną koszulą. Miri pozwoliła się kołysać w ramionach Jordana. Jego głos koił jej ból. Tancerka Jeziora trzymała w swych widmowych ramionach swe dziecko, które było tak bezpieczne, jak Miri w ramionach Jordana.

- No, w porządku? - spytał Jordan w końcu.

- Tak - szepnęła, ale nie odsunęła się. Było jej wygodnie opierać się o niego i oddychać jego zapachem. - Chcesz, żebym się odsunęła?

Jordan zachichotał i oparł się wygodnie o pień brzozy, wciąż trzymając Miri w ramionach.

- O co ci chodzi?

Jego dłonie zaczęły wędrować po jej ciele i Miri zniknęła Oczy w rozmarzeniu, gdy spoczęły na jej piersiach. Palce Jordana nczęry drażnić jej sutki i poczuła znajome ciepło w udach. Przysięgała sobie, że to się już nigdy nie zdarzy, ale była w błędzie.

Chciała, żeby ją wziął, zmył z niej żalobę i winę, użył całej siły swej miłości.

Miri przesunęła się. Był już gotowy i twardy dla niej. Czując jego napierającą żądzę i odpowiedziała jej odwieczną kobiecością. Przesunęła lekko ręką po jego owłosionej piersi i poczuła jego nierówny szybki oddech. Potem jej dłoń zsunęła się niżej, do wypukłości jego krocza. Gdy jej palce dotknęły go, aż przestał oddychać.

- Czy ty wiesz, o co prosisz? - spytał Jordan chrapliwie.

- Och, tak. Doskonale wiem.

Zacząła trącać delikatnie językiem jego sutek, gdy jej ręce przesuwały się po jego udach.

- Tam są guziki, wiesz? - wychrypiął znów Jordan.

- Ach, rzeczywiście? - spytała Miri niewinnie, podnosząc brew w złośliwym grymasie. Rozpięła jeden guzik, potem następny. Wreszcie jego naprężona męskość znalazła się w jej dłoni. Zanim mogła pomyśleć o dalszej zabawie, Jordan złapał ją za rękę.

- Kobieto! Doprowadzasz mnie do szaleństwa!

Miri uśmiechnęła się słodko i niewinnie.

- Wiem.

- Jesteś złośliwą dziewczuchą!

- To też wiem. Ale cię kocham, Jordan. Cokolwiek się zdarzy między nami w przyszłości, nigdy cię nie zapomnę.

- Nie mam zamiaru pozwolić ci zapomnieć - zaśmiał się nerwowo, wpatrzony w nią i pełen namiętności.

Wziął jej głowę w dłonie i pocałował ją. Miri zamknęła oczy i oddała się cudownej przyjemności. Jego język błędził po jej wargach, na biodrze czuła jego napierającą męskość.

- Chodź tu - wyszeptał wprost w jej usta.

Powoli odchyłał się do tyłu i oparł o drzewo. Jej legginki były już rozsznurowane, więc jego erekcja łatwo znalazła wilgotny ciepły ośrodek jej kobiecości. Jordan zgiął nogi w kolanach i uczynił z siebie łagodnie wygięte siodło, które Miri objęła nogami.

Gwałtownym ruchem bioder usiłowała zniżyć się i ugasić swe palące pragnienie, ale Jordan chwycił ją w pasie i zatrzymał nad sobą.

- Cierpliwości, ty ładacznico.

Zacisnął szczęki i wpatrywał się w grę uczuć na twarzy Miri, gdy drażnił się z nią, utrzymując ją nad sobą, ale nie pozwalając zsunąć się jej niżej. Potem powoli i zmysłowo zaczął ją opuszczać na siebie, aż cały wszedł w nią.

- Poczuj teraz, jak cię kocham, Miri. Masz cholerną rację, ty mnie nie zapomnisz.

Gdy pozwolił się jej wreszcie poruszyć, cała ich pasja nie mogła już dłużej być ukrywana. Biodra Jordana wznosiły się, odpowiadając na gwałtowny nacisk Miri, pragnącej ugasić swe rozpalone do białości pożądanie. Dzika chęć spełnienia kazała Jej poruszać się coraz szybciej i szybciej, aż opadła z jękiem na pierś Jordana, gdy ten eksplodował w jej wnętrzu.

Jordan powoli wracał do przytomności i w końcu zobaczył, że Miri usnęła na jego ramieniu. Podniósł ją ostrożnie i położył na swym pośłaniu. Wyciągnął się obok i patrzył na nią czule. Myśl o opuszczeniu jej była bezsensowna. Ona kochała go, on ją uwielbiał. Ani jej duma, ani jego nie utrzymają ich z dala od siebie. Przysiągł to sobie uroczyście.

Uśmiechnął się i jego oczy wpatrzyły się w wypukłość jej brzucha. Wyciągnął dłoń i położył na wzgórku, pod którym dojrzewało jego dziecko. Poczul delikatne uderzenie i Miri poruszyła się niespokojnie przez sen.

- Śpij, kruszynko - wyszeptał Jordan. - Obywoje z matką muście odpocząć.

W odpowiedzi poczul mocniejsze uderzenie. Jordan zachichotał, schylił się i pocałował wypięty brzuch, który otaczał ich dziecko.

- Takie samo jak matka, bez wątpienia. Uparte, zawzięte i nie słuchające żadnych rad. Będę się teraz musiał borykać z dwoma mułami.

Pomyślał o swym własnym życiu i skinął głową.

- No, zgoda - wyszeptał do nie narodzonego dziecka. - Z trze ma. Trzy uparte muły. A twoja matka dowie się dopiero, że ja jestem najbardziej uparty z nas trojga.

ROZDZIAŁ XX

W ciągu następnych dni Miri czuła się coraz szczęśliwsza. Wydawało się, że wszystkie nieszczęścia już minęły. Rany zaczynały się zablizniać. Płynąc z Jordanem wzdłuż rzeki Wisconsin, zajęta była robieniem planów na przyszłość. Chciała zamieszkać gdzieś, gdzie oboje będą mogli stworzyć jak najlepszy los swemu dziecku. Coraz bardziej przekonywała się o miłości Jordana. Wymówił zwyczajowe słowa i zwątpiła w nie, ale nie mogła wątpić w przesłanie, które co noc odbierało jej ciało. I Jordan nie miał zamiaru zaprzestać przekazywania tego przesłania.

Miri obudziła się o świcie, ale nie chciało się jej ruszać z objęć Jordana. Tak wspaniale było znowu rozmyślać o minionej nocy. Obudziła go pocałunkiem. Objął ją jeszcze mocniej i leżeli tak razem, wsłuchani w równe bicie własnych serc. Nie było czasu na namiętność, gdyż dzień już wstawał. Wspólne milczenie było jednak doświadczeniem, którego Miri nigdy przedtem nie zaznała. Byli tak ze sobą powiązani, że ich ciała nie musiały odpowiadać wciąż gorączkową namiętnością. Uświadomiła sobie to i przestała się bać przyszłości.

Ósmego dnia zatrzymali się nad małym jeziorkiem, które leżało pół dnia od celu ich podróży. Gdy Miri zbierała drewno na ognisko, Jordan obserwował jezioro, nieruchomy jak wilk osaczający ofiarę.

- Co się dzieje? - wyszeptala Miri, nie wiedząc właściwie o tym, że szepce.

Pomachał jej ręką, nakazując ciszę.

- Mamy towarzystwo, jak sądzę.

Miri stanęła obok i spojrzała w tym samym kierunku. Zauważyła lekki ruch w oddali.

- Widzę ich. Trzej mężczyźni są za drzewami.

- Zakładają obóz. Chyba nas nie zobaczyli - odparł Jordan, chwytając ją za rękę i wciągając w zarośla.

- Ukryj cicho, potem tu zostań. Ja im złożę wizytę.

- Nie. Idę z tobą.

- Do diabła idziesz. Zostań tu.

Jordan wziął muszkiet i zniknął w lesie. Miri ukryła cicho w zaroślach i usiadła na pniu. Czy ci mężczyźni byli niebezpieczni? Wątpliwe. Na pewno byli handlarzami i mogli coś wiedzieć o Hamiltonie. Czy Jordan pamiętał będzie o jej kuzynie, gdy tak pragnie odnaleźć Westina i Kellera? "Dowiemy się" - pomyślała.

Wzięła drugi muszkiet i zniknęła w lesie.

Jordan skradał się bezszelestnie. Wróciło całe doświadczenie Czipewejów, wzmocnione instynktem białego człowieka. Nie miał trudności w rozpoznaniu Kellera i Westina. Trzeci mężczyzna był na pewno niesławnym kuzynem Miri - szczupły człowiek o delikatnych rysach. Dłonie Greera były związane, a opuchnięte wargi nosiły ślady niezadowolenia jego kompanów.

Dwaj amerykańscy agenci pożałują teraz. Jordan miał zamiar rozerwać ich na strzępy. Muszą ponieść karę za to, co zrobili jego małej córeczce. Gwałtowne pragnienie zemsty w stylu Czipewejów dudniło w głowie Jordana.

Cofnął się do lasu, sprawdził muszkiet i umocował nóż przy pasie. Uśmiechnął się złowrogo i ruszył w stronę obozowiska.

- Witam, panowie - rzekł spokojnie.

- Co? - Skoczyli obydwoj na nogi.

- Widzę, że dopadliście w końcu swej ofiary.

Keller spoglądał na swój muszkiet stojący za drzewem.

- No tak, udało się - odparł ostrożnie.

- Informacje od mojej żony musiały wam pomóc.

- Nie chcieliśmy jej zrobić krzywdy - bronił się Westin. - Oddaliśmy dziecko matce.

- To nie było dziecko Miri - powiedział Jordan lodowato. -

Dziecko było moje. I teraz z waszej winy nie żyje. -

Wyszczerył

zęby w śmiertelnym grymasie. - Pomyślcie przez chwilę o tym, co was czeka.

Keller prychnął. "Dwóch na jednego" - pomyślał pewny siebie, choć spojrzenie Jordana budziło w nim dreszcze przerażenia.

- Wielkie dzięki, Scott. Jest nas dwóch.

- Tchórze, którzy porywają się na kobiety i dzieci.

- Tchórze jak cholera! - Westin wyrwał pistolet zza pasa, lecz nim zdążył nacisnąć spust, kopniak Jordana wytrącił mu broń z ręki. Równocześnie nastąpił potężny cios pięścią, miażdżący kości Westina. Agent runął na ziemię bez czucia. Szybka akcja dała jednak trochę czasu Kellerowi, który chwycił swój muszkiet. Jordan spojrzął w śmiercionośną lufę i nie czekając, rzucił się do nóg Kellera. Ten upadł i w tym momencie Jordan już siedział na nim i ścisnął jego przeguby. Keller wypuścił muszkiet. Jordan odrzucił broń daleko od siebie i zaczął metodycznie bić leżącego pod nim mężczyznę.

Gdy Amerykanie ocknęli się wreszcie, uświadomili sobie, że są obydwa starannie przywiązani do drzewa.

- O cholera! Co nas tak walnęło?- wymamrotał Westin przez opuchnięte wargi.

- Ja - odparł Jordan.

Amerykanie spojrzeli teraz na niego spod opuchniętych powiek. Stał przed nimi i powoli sprawdzał ostrze swego noża. Okrucieństwo było tak wyraźnie wypisane na jego twarzy, że obydwa więźniowie zmartwieli" ze strachu.

- Ile bólu jest warte życie jednego dziecka? Keller? Westin? Jak myślicie?

- Gówno! - Westin splunął krwią.

Keller nie odezwał się, ale pobladał jeszcze bardziej.

- Jordan, nie!

Głos Miri zaskoczył Jordana. Nie usłyszał, jak nadchodziła, gdyż zbyt było zaprzątnięty własną zemstą.

- Oni już mają dość, Jordan.

- Czy mam ich puścić wolno? Tego chcesz?

- Nie. Możemy oddać ich w ręce Brytyjczyków. Dostaną za swoje.

Podeszła i położyła rękę na ramieniu Jordana, czując jego napięcie. Uśmiechnął się cynicznie. -1 oddać siebie wraz z nimi?

- Nie bądź śmieszny!

Po raz pierwszy spojrzała naokoło i zauważyła trzeciego więźnia, który obserwował dramat, rozgrywający się przed jego przerażonymi oczami.

- Hamilton!

- Miri? Mój Boże! Miri! To naprawdę ty?

Jordan wypuścił powietrze zza zaciśniętych zębów.

Cokolwiek zamierzał zrobić Amerykanom, było teraz niemożliwe do zrobienia przy Miri. Częściowo przeklinał ją za jej nagłe pojawienie się, częściowo był zadowolony, że nie musi dokonywać krwawego rytuału, wymaganego przez Czipewejów. Pojął, że złagodniał od czasu, gdy spotkał tę kobietę po raz pierwszy.

Miri poczuła, że napięcie w ramionach Jordana zelżało nieco, więc puściła go i podeszła do kuzyna, który patrzył na nią z mieszaniną strachu i zaskoczenia. Cofnął się gwałtownie, gdy wyjęła nóż i zamierzała mu rozciąć więzy.

- Nie ruszaj się, ty idioto - warknęła. - Chcesz, żebym ci pokalczyła przeguby?

- Boże, Miri! Spójrz na siebie!

Przyglądał się jej niepewnie, rozcierając ręce. Takiej Miri nie znał. W indiańskim ubraniu, wprawnie władająca nożem, zupełnie niekobieca.

- Wyglądasz jak krwawa dzikuska. Co się z tobą stało? I co tu robisz, na litość boską?

Jordan odwrócił się od swych przerażonych więźniów i przyglądał się Hamiltonowi z nie ukrywaną niechęcią.

- Raczej powinieneś odpowiedzieć na parę pytań, Greer, niż je zadawać.

- Jordan, proszę cię. Pozwól mi z nim porozmawiać - rzuciła się Miri na pomoc kuzynowi.

Przycisnęła palce do skroni i usiłowała się uspokoić.

- Czy nie możemy usiąść i zjeść coś? Mamy dużo czasu.

Hamilton i Jordan nadal patrzyli na siebie jak przeciwnicy w pojedynku, czekający na odliczanie.

- Idź po czółno - zasugerowała Miri Jordanowi. - Możemy tu rozbić obóz.

Zauważyła nieufne spojrzenie, jakie Jordan rzucił Hamiltonowi.

- Nie martw się o mnie. Muszę tylko z nim porozmawiać.

- Zastrzel go, gdyby próbował uciekać - powiedział Jordan, wręczając jej muszkiet.

- Ależ, Jordan!

Ale ten tylko odwrócił się do Hamiltona.

- Jeśli cię tu nie będzie, gdy wrócę, nie tylko cię zastrzele, jak cię znajdę. A znajdę cię, pamiętaj.

Odwrócił się i zniknął w lesie.

Hamilton natychmiast zerwał się na równe nogi i zaczął przestępować z jednej na drugą, chcąc pobudzić krążenie krwi w obrzękłych kostkach.

- Miri, gdzie ty to znalazłaś?

- To? To jest człowiek, który uratował mnie z zasadzki, jaką na mnie zastawiłeś, ty łajzo. Ty się pytasz, co ja tu robię! Musiałam przez ciebie uciekać z Londynu, bo mnie chcieli zamknąć w więzieniu za twoje przestępstwa! Jestem w Ameryce od roku i szukam mojego nędznego kuzyna, który sprzedał własny kraj, potem podwinął ogon pod siebie i uciekł, zostawiając mnie władzom na pożarcie. Oto masz odpowiedź!

- No, Miri, uspokój się.

- Nie mów do mnie "No, Miri", ty nędzna kreaturo! Czy ty wiesz, przez co ja przeszłam z twojego powodu?

- Widzę - odparł, podnosząc brwi.

Miri widziała jego niechętnie spojrzenie przesuające się po jej skórzanej tunice, piegowatym nosie i grubych warkoczach, które zastąpiły wymyślne uczesanie. Stwierdziła, że nie przejmuje się opinią Hamiltona. Liczyło się tylko to, co myślał o niej Jordan.

- Tak, możesz zobaczyć - powiedziała spokojniejszym tonem.

Postukała wyciągniętym palcem w jego pierś.

- Może usiądziesz na pniu i odpowiesz mi na parę pytań? Lepiej mi odpowiedz, bo inaczej Jordan cię o to poprosi.

- Ten olbrzym, który odszedł?

- Tak, to on - odparła Miri z satysfakcją.
- No, dobrze. Masz rację. Nie chciałbym go rozzłościć.

Hamilton usiadł i oparł głowę na rękach. Potem zaczął mówić. Były to raczej zeznania niegrzecznego szczeniaka niż zdrajcy ojczyzny. Tłumaczył, że to wszystko zrobił dla pieniędzy. Jego styl życia i namiętny hazard wymagał pieniędzy. Nie wystarczały mu te, które odziedziczył po ojcu, więc znalazł łatwą drogę do ich zdobywania. Sprzedawał tajne informacje, które uzyskiwał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wpadł po dwóch latach.

Miri przypatrywała się kuzynowi. Mimo zmęczenia i zaniebdania był to ten sam Hamilton, którego kiedyś wybrała na męża. Uważała go wtedy za wzór elegancji i męskiej urody. Jakże bezbarwny wydawał się teraz przy Jordanie! Jak sztucznie się zachowywał! Czy to ona się zmieniła, czy on? Jak w ogóle mogła myśleć o poślubieniu takiego zgniłka?

Hamilton mówił dalej. Miał nadzieję rozpocząć nowe życie w Ameryce, ale po przybyciu na Michilimackinac dowiedział się o śmierci Davida Sutcliffe'a. Zdesperowany wynajął Delacroix i ruszył w najdalszą część kraju. Zaczął handlować i wiodło mu się nawet nieźle do czasu zajęcia Prerii Psów przez Amerykanów. Generał Clark rozpoczął budowanie fortu, przejętego potem przez Brytyjczyków. Żaden z nich jednak nie skojarzył Kennetha Shelby'ego ze zdrajcą Hamiltonem Greerem. Czuł się bezpieczny do chwili znalezienia go przez dwóch agentów, którzy domagali się wydania informacji już opłaconych.

-I to nas doprowadziło do zasadniczego pytania.

Miri i Hamilton podskoczyli na dźwięk głosu Jordana. Żadne z nich nie zauważyło jego powrotu.

- Gdzie jest ta przekłeta lista, której wszyscy tak szukają?

Hamilton skinął w stronę związanych agentów.

- Już mnie o to pytali. Nie wiem. Nie mam jej.

- Ależ wiesz dobrze, gdzie jest - nalegała Miri. Hamilton wahał się z wyrazem uporu na twarzy, ale spojrzał na Jordana i zdecydował się mówić.

Schowałem ją. Tamtego wieczoru, kiedy poszłaś po ciotkę schowałem listę do kieszonki w okładce twojej Biblii. Leżało koło ciebie na stole. Tak często czytałaś tę cholerną Biblię,

że mogłaś *znaleźć* listę. Myślałem, że oddasz ją władzom. Mogli dalej mnie szukać, ale nie tak usilnie.

- Och, nie!

Hamilton źle zrozumiał jej okrzyk.

- Naprawdę nie musiałaś mnie szukać. Michaels nie zrobiłby ci krzywdy, mimo pogroźek. To nie jest typ, pakujący kobiety do więzienia bez dowodów winy.

- Nic nie rozumiesz - westchnęła Miri. - Twoja cenna lista jest poza zasięgiem kogokolwiek.

- Co to za numery? - zapytał nagle Keller, ale ucichł pod spojrzeniem Jordana.

- Moja Biblia jest na dnie jeziora. Miałam ją przy sobie, gdy czółno się wywróciło.

Zapanowała cisza. Potem Hamilton zaczął się śmiać. Śmiał się do łez.

- Co w tym śmiesznego? - spytała Miri ponuro.

- Nie rozumiesz, Miri? - odparł Hamilton, dławiąc się ze śmiechu. - Ci cholerni wojskowi nie mogą mnie wpakować do więzienia bez dowodu. Hej, wy tam! - krzyknął do agentów. - Nie wierzyliście mi, gdy wam mówiłem, że nie znajdziecie przy mnie niczego. No i macie!

- To ty to masz - powiedział Jordan spokojnie i z całkowitym niedowierzaniem w głosie.

Miri była zadowolona, że Jordan nigdy nie spojrzał na nią tak, jak teraz patrzył na Hamiltona. Zwróciła się do kuzyna.

- Przestań wreszcie, Hani, bo jak Jordan cię nie zastrzeli, ja to zrobię.

Hamilton spojrzał na nią w osłupieniu i śmiech jego ucichł momentalnie. Miri wstała i odwróciła się niechętnie od kuzyna. Podeszła do Jordana.

- Rozpalę ognisko - powiedziała zmęczonym głosem - jeśli ty przyniesiesz coś do jedzenia.

Jordan objął ją pocieszająco ramieniem.

- Koniec podróży. Myślę, że wszystko skończone - dodała, siłąc się na swobodny ton.

Jordan nie odpowiedział. Wciąż wpatrywał się w Hamiltona.

Następny poranek był szary i mglisty, co odpowiadało nastrojowi Miri. Spała sama, nie chcąc się narażać na wymowne spojrzania Amerykanów i Hamiltona. Nie przespana noc zrobiła swoje i Miri dostała mdłości. Jej gwałtowne krztuszenie się obudziło Jordana, który znalazł ją w zaroślach. Podtrzymał jej spocone skronie i mruczał jakieś słowa pocieszenia.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Miri usiłowała się uspokoić i położyła głowę na jego piersi. Jej twarz była szara jak poranne niebo.

- Czuję się dobrze. Choć nie wiem, dlaczego nazywają cię delikatnym stanem. Nie ma w tym nic delikatnego.

Jordan masował łagodnie jej plecy.

- Może chcesz odpocząć jeden dzień? Możemy wyruszyć jutro.

- Nie. Poczuję się lepiej, gdy to się wreszcie skończy. Ale... Boże! Co ja mogę zrobić dla Hamiltona? Powiedzieć Michaelsovi, że lista jest na dnie jeziora? Ale Greer na pewno nie zechce dobrowolnie porozmawiać z Michaelsem.

- Hm - zamruczał Jordan. - Mamy jeszcze do pogadania z tym twoim kuzynem. W tym co mówi, coś brzmi fałszywie.

- Wiele rzeczy w moim kuzynie jest fałszywych. On jest jak porcelana ze skazą. Boże! I pomyśleć, że omal za tego człowieka nie wysłałam!

Jordan uśmiechnął się.

- Czy nasze dziecko swoim kopaniem pomogło ci nabrać rozumu?

- Tak myślę. No, zbierajmy się lepiej, bo już czas.

Jordan wciąż wyglądał na zaniepokojonego, gdy Miri wysunęła się z jego objęć.

- Porozmawiamy o Hamiltonie wieczorem - obiecała.

Miri przygotowała śniadanie, a Jordan zabrał związanych agentów do lasu, by mogli załatwić swe potrzeby.

- Mam nadzieję, że przyprowadzi ich całych - wyrwało się Hamiltonowi, który przyglądał się Miri i kręcił bezmyślnie po obozowisku.

- A co ciebie to obchodzi? Nigdy przedtem nie zajmowałaś się niczym poza sobą.

- Oni wyglądają na niezłych facetów. Jeśli nawet jest wojna, to nie należy zaraz każdego traktować jak wroga.

- Ci twoi "niezli faceci" zabili małe dziecko. Właściwie porwali je, ale dziewczynka przez to umarła. Gdyby Jordan rozerwał ich na kawałki, to dostaliby tylko to, na co zasłużyli.

- Ach, tak? No to są w takim razie nędzne lotry. Ale nie podoba mi się nadal wyraz oczu tego Jordana. Wygląda na zdolnego do torturowania człowieka. I pewnie jeszcze śmiałyby się przy tym.

- Zatem uważaj na niego. Jordan tak samo cię nie lubi.

Hamilton przyglądał się Miri, która oczyściła pięć ryb, ułożyła delikatne mięso na płacie kory, przykryła go drugim, umieściła wszystko w drewnianych widelkach i zaczęła to piec nad ogniem.

- To on cię tego nauczył?

- Jego adoptowana matka, Uśmiech Poranka. Nauczyła mnie gotować - odparła Miri i wstała. - Jordan nauczył mnie innych rzeczy - dodała ze złośliwym uśmieszkiem, gdyż wyraźnie zauważyła zazdrość w oczach kuzyna.

- Powiedz, co ty w nim widzisz, Miri? On jest gorszy niż dzikusy, zupełnie niecywilizowany. Gdyby nie te jego dziwne oczy i jasne włosy, wziąłbym go za Indianina.

Potępiający ton Hamiltona dźwięczał w uszach Miri znajomym echem. Czy to ona rok temu mówiła tak samo?

- Jordan Scott jest bardziej cywilizowany, niż ty kiedykolwiek będziesz, Hamiltonie Greer. On zna pojęcie honoru i odpowiedzialności. I nigdy by nie uciekł jak spłoszony królik, zostawiając inne osoby w kłopotach, których sam narobił.

- O Boże! Aleśmy się zrobili obrażalscy!

- Tak - potwierdziła Miri. - Zrobiliśmy się.

Przez cały dzień, wiosłując w górę rzeki, Miri zastanawiała się nad słowami, które wręcz wypluła z wściekłością. Niechcący powiedziała prawdę. Może wszystkie założenia tej cywilizacji, którą znała, były fałszywe - układne maniery, reguły i zasady, i przestrzeganie ich co do joty. Jeśli cywilizacja oznacza honor, odwagę, tolerancję i uczciwość, to kto jest bardziej cywilizowany? Ona czy Jordan?

Miri wciąż rozmyślała nad tymi sprawami, gdy Jordan nakazał przerwę w podróży. Było popołudnie, ale mglista aura sprawiła wrażenie, że dopiero wschodzi słońce. Dolina rzeki zwężała się i stawała się wąwozem o wysokich ścianach.

Miri spojrzała na twarz Jordana i zaniepokoiła się.

- Co się dzieje?

- Wydaje mi się, że coś się tam poruszyło w głębi.

- Może łania albo niedźwiedź?

Wiedziała już, że nie należy wątpić w szósty zmysł Jordana, ale gwałtownie chciała wierzyć teraz, że już nic złego się nie stanie w drodze do domu.

- Nie wydaje mi się.

Jordan spojrzał podejrzliwie na dwóch agentów.

- Ktoś jeszcze miał jechać za wami?

Westin splunął.

- Nawet jeśli tak, to czy powiedzielibyśmy ci?

- Powinniście, bo bylibyście pierwszymi ofiarami tej bitwy.

Lepiej sprawdzę teren.

Skierował czołno do gliniastego brzegu i kazał Amerykanom wyjść z łodzi.

- Miri, ty zostań tutaj i pilnuj kuzyna.

Jordan skierował swe ofiary do lasu. Przez kilka minut słychać było ich kroki; byłoby to niemożliwe, gdyby Jordan szedł sam. Potem wszystko ucichło. Ona i Hamilton zostali sami w leśnej głuszy.

- Miri, wcale mi się to nie podoba. Może Michaels...

- Michaels został prawdopodobnie odesłany do Londynu. Jeśli nawet jest na wyspie, Grace nigdy by mu nie powiedziała, gdzie pojechałam. Jordan tym bardziej nie. To nie mogą być Brytyjczycy.

- Nie? To w porządku. Jeśli to Amerykanie, to sam się z nimi dogadam.

Miri rzuciła mu dziwne spojrzenie.

- Jakiego asa ukrywasz jeszcze w rękawie?

Hamilton nie miał czasu odpowiedzieć, gdyż strzał z muszkietu zabrzmiał nagle w głębi lasu. Miri chwyciła swój muszkiet,

sprawdziła ładunek i skoczyła w kierunku, skąd dobiegały odgłosy strzelaniny. Hamilton chwycił ją za rękę.

- Twój bohater kazał ci tu zostać! Pamiętasz?

- Puść mnie, ty nędzna kreaturo!

Strzelanina trwała. Hamilton zauważył, że Miri pobiegła do lasu. Z przekleństwem na ustach, rzucił się za nią.

Miri biegła przez gęstwiny. Ostre gałęzie smagały ją po twarzy, ale nie zważała na to. Hamilton przedzierał się za nią, ale choć był wyższy i miał dłuższe nogi, ona była szybsza. Pierwsza dotarła do małej polanki i osłupiała na widok tego, co tam zobaczyła. Keller i Westin leżeli zakrwawieni, ich ręce wciąż jeszcze były związane sznurami w przegubach. Westin dostał w pierś kilka kulami, zaś twarz Kellera była jedną krwawą miazgą.

- Padnijcie, do cholery! - rozkazał Jordan ostro, wyłaniając się z zarośli. Przygniótł Miri do ziemi, gdyż strzelanina znów się rozpoczęła. Hamilton dołączył do nich. Miri ukryła twarz w ramieniu Jordana.

- Kto to jest? Amerykanie?

- Tak myśleli ci dwaj - Jordan skinął głową w stronę ciał na trawie. - Zaczęli biec do nich i krzyczeć, że są Amerykanami. No i oberwali po parę kulek.

- Czy nie możemy się wycofać i znaleźć innej drogi?

- Nie ma stąd wyjścia. Nie możemy uciec wodą, bo niżej jest przełom i trzeba przenosić czołno. To oni muszą się stąd wynieść.

- Ilu ich jest?

- Nie jestem pewien. Pięciu, może sześciu.

Minęło pół godziny. Miri myślała, że to cała wieczność. Jordan od czasu do czasu wymieniał strzały z ludźmi, którzy próbowali ich okrążyć. Jeden strzał spowodował czyjś okrzyk i z krzaków wypadł jakiś człowiek, trzymając się za pierś. Miał na sobie szkarłatny żakiet.

- Brytyjczycy? Michaels. Jak on?...

- Miri - Hamilton podczołgał się do niej na łokciach.

Pomyślała, że porusza się zgodnie ze swą węzową naturą.

- Kto tam jest?

- Kapitan Michaels i jego ludzie - odparł Jordan zamiast Miri.
- Powinienem być wiedzieć, że ten buldog nie puszcza zdobyczy zbyt łatwo.

- Michaels! Chryste! Musimy stąd uciekać!

- Myślałem, że nie boisz się już Brytyjczyków, Hamiltonie Greer. - Spojrzenie Jordana było wręcz mrożące. - Powiedziałeś przecież, że wszystkie dowody przeciwko tobie są na dnie jeziora.

Hamilton zmartwiał pod spojrzeniem Jordana.

- Myślisz, że ci chłopcy będą się bawić w drobiazgi prawnicze? Będą chcieli mieć moją głowę na ostrzu.

Jordan uśmiechnął się, ciesząc się z paniki Hamiltona.

- Wydaje mi się, że bardzo szybko do nich pobiegniesz.

- Nie! Ja się stąd wydostanę!

- Hamilton, nie! Nie rób z siebie celu! - błagała Miri, gdy Hamilton zerwał się i zaczął biec.

- Ham! O Boże! Ham!

Instynktowna reakcja zmusiła Miri do zerwania się z ziemi. Podbiegła do kuzyna, który upadł wraz z odgłosem kolejnego wystrzału. Raz jeszcze Hamilton stał się dla niej małym chłopcem, towarzyszem jej pięknego dzieciństwa.

-Miri! Padnij!

Okrzykowi Jordana towarzyszył świst kolejnej kuli. Miri wyprostowała się i obejrzała. Następny strzał. Jordan zerwał się i rzucił się Miri na pomoc. Następny strzał dosięgnął go i rzucił jego ciałem o grube poszycie leśne. Bezwładny jak kukielka z teatryku, której nagle odcięto wszystkie sznurki, Jordan powoli rozłożył się na plecach i znieruchomiał.

ROZDZIAŁ XXI

Renquist trzymał Miii w mocnym uchwycie, gdy dwaj brytyjscy żołnierze odciągali ciało Jordana na bok i układali je obok Amerykanów. Hamilton siedział na ziemi, ścisnął przestrelone ramię i jęczał z bólu. Miri wcale mu nie współczuła.

Żołnierz ułożył ciało Jordana i nachylił się nad leżącymi obok Amerykanami.

- Ci dwaj nie żyją - krzyknął do porucznika.

Rzut oka na zakrwawioną pierś i głowę Jordana spowodował lekki grymas na twarzy szeregowca.

- Ten tutaj też.

Jakkolwiek spodziewała się tych słów, Miri poczuła się tak, jakby młot uderzył ją w głowę.

Nie żyje.

Słowo dudniło w jej głowie, niszcząc delikatną tkanę marzeń, która zaczęła powstawać od chwili, gdy Jordan po raz pierwszy dotknął jej ciała. Potworny, niesprawiedliwy los zabił Jordana, zostawiając ją żywą. Ona miała znieść teraz jego śmierć. Gdyby nie dziecko Jordana, które żyło w niej, natychmiast dołączyłaby do swego ukochanego, nie bacząc na śmiertelny grzech, jakim byłoby samobójstwo. Ból, który nią szarpał, był gorszy niż wszystkie męki piekielne.

- Zakopać ich? - spytał żołnierz.

- Zostaw ich - rozkazał Renquist. - Niech się szakale nacieszą. Amerykańscy agenci i renegat, żaden nie zasłużył na chrześcijański pochówek.

Miri szarpnęła się w jego uścisku.

- Ty sukinsynu!

- Ależ pani ma wyrażenia, panno Sutcliffe. I pomyśleć tylko, że uważałem panią za prawdziwą damę. Teraz pani dziki kochanek nie będzie pani już mógł bronić.

Miri splunęła na Renquista. Spojrzała na Michaela, który leżał ranny. Dobrze wymierzona kula z muszkietu Jordana zakrwawiła jego ramię i pierś. Człowiek, który go opatrywał, był jej znajomy, choć Gage Delacrouc nie odpowiadał na jej rozpaczliwe spojrzenia.

Miri i Hamilton zostali związani razem za przeguby dłoni i zaprowadzeni na plażę. Delacrouc i żołnierz zwany Petersem układali Michaela w czółnie. Kapitan odzyskał przytomność i szybko przesłuchał porucznika. Miri słyszała gniewną wymianę zdań między mężczyznami. Nie mogła zrozumieć dokładnie słów, ale Renquist odszedł z gniewem w oczach.

Podszedł do Hamiltona i szarpnął nim.

- Devlin! Obszukajcie tego człowieka! I jego odzież - dodał. - Każdy kawałek wyróćcie do góry dnem.

- Jej nie rewidujcie. Zostawcie ją Renquistowi - dobiegł rozkaz z czółna.

Cienkie wargi Renquista zacisnęły się w wąską linię. Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał ją uderzyć, ale Miri nie przejmowała się tym. Jej dusza była martwa i nie dbała o swe ciało, dopóki dziecku nic nie groziło. Renquist nie mógł już zranić jej bardziej.

- Sir? - Szeregowiec Peters stanął obok Miri.

Słyszał rozkaz kapitana i podejrzewał, że Renquist nie ma zamiaru być mu posłuszny.

- Sprawdź jej więzy - warknął porucznik. - Jeśli ona ucieknie, ty za to odpowiesz.

- Tak jest, sir. - Żołnierz wykrzywił się za plecami porucznika, gdy ten odszedł.

Do wiosłowania było tylko trzech niedoświadczonych żołnierzy, więc podróż w górę Wisconsin zajęła pięć dni. Trzeba było też przenosić czółno przez przełomy rzeki Fox. Dwaj szeregowcy nieśli bagaże, trzeci ciągnął na plecach Michaela. Delacrouc otwierał pochód, wyraźnie unikając Renquista, który bez prze-

rwy narzekał i kłął. Upał we dnie, chłód w nocy, insekty i prymitywne pożywienie, wszystko to irytowało nieznośnie porucznika.

Miri kroczyła obok Hamiltona, zatrzymując się, gdzie jej kazano, ruszając, gdy jej kazano. Nie czuła ciepła sierpniowego słońca i zapachu lasu. Nie słyszała pocieszających słów Hamiltona ani narzekań Renquista. Gdy jej ciało kroczyło wzdłuż brzegu Green Bay, dusza jej podróżowała w przeszłość. Myślała o dniu, w którym Jordan wyciągnął ją z jeziora. Nie mogła uwierzyć, że jego piękne ciało jest martwe i wraz z nim umarła cała jego siła, odwaga i czułość, piękno jego uśmiechu, oczy, które raz były jak srebrzyste kulki lodu, a raz gorące z pożądania. Cała jego uroda była teraz żerem dla szakali. Miri nie rozumiała kiedyś, dlaczego kobiety Czipewejów ranią się same z powodu żałoby. Pojęła teraz, że fizyczny ból może ukoić cierpienie duszy.

Trzeciego wieczoru wędrownicy znaleźli się nad rzeką Fox. Peters i Devlin ulokowali czółno na wodzie, umocowali je i zajęli się rozkładaniem obozu w głębi lasu. Po dwóch godzinach czółno zniknęło. Żołnierze przysięgali, że przywiązali je mocno. Renquist obrzucił ich takimi wyzwiskami, że nawet Delacroix się skrzywił z niesmakiem.

Cały następny dzień minął na poszukiwaniu czółna.

Renquist i Devlin szperali wzdłuż północnego brzegu, a Delacroix i szeregowy Hayes wzdłuż południowego.

Gdy tylko Renquist zniknął z pola widzenia, Peters, pozostawiony na straży, zajął się rozwiązywaniem rąk Miri. Poprosił ją, by się zachowywała spokojnie i pozwolił jej na poruszanie się po obozie. Podobna grzeczność nie spotkała Hamiltona. Miri zajęła się rannym Michaelsem. Kapitan był, mimo wszystko, porządnym człowiekiem i Grace nie myliła się co do niego.

Samopoczucie Michaelsa pogarszało się. Zaczynał czasami tracić przytomność i miał gorączkę. Patrzył teraz sceptycznie na Miri, która odwijala bandaż z jego piersi.

- Masz ukryty nóż w ubraniu? - spytał słabym głosem.

- Niestety, nie. Wygląda na to, że dożyje pan powrotu na Michilimackinac, choć ja nie cieszę się z tego.,... .

Michaels syknął, gdy Miri przemywała mu rany wodą. Zamknął oczy i zbierał siły, aby coś powiedzieć

- Nie mam pani niczego za złe, panno Sutcliffe. Nie chciałem tego wszystkiego. Chciałem tylko pani kuzyna. I miałem usunąć tych amerykańskich agentów od was. To wszystko, przysięgam. Ale zostałem ranny i Renquist przejął dowodzenie.

Przerwał i zaczerpnął tchu. Twarz miał zlaną potem.

- Dopilnuję, żeby został ukarany. Daję słowo honoru.

- Pański przeklęty honor nie pomoże już Jordanowi Scottowi, kapitanie. Prawda?

Zamknął oczy, nie mogąc wytrzymać jej oskarżycielskiego spojrzenia.

Poszukiwacze powrócili o zachodzie słońca i Renquist polecił Petersowi przywiązać Miri do drzewa na skraju obozu. Żołnierz niechętnie spełnił polecenie.

- Kapitan by na to nie pozwolił, panienko. On jest honorowy. I widzę, że pan Delacroix też nie jest zachwycony - szepnął żołnierz, sprawdzając więzy.

- Znam honor Michaela, a lojalność Delacrouca doceniam niezmiernie - warknęła Miri.

Twarz szeregowca zrobiła się purpurowa i Miri pożałowała go natychmiast.

- To nie wasza wina. Proszę tylko tak nie mówić.

Uśmiechnął się do niej przepraszająco.

- Dopilnuję, żeby pani dostała dobrą kolację i przed snem rozluźnię pani sznury.

Miri pomyślała, że zasłużyła sobie na kolację. To ona zastawiła sidła na króliki i wiewiórki, które jedli teraz żołnierze. Żaden z tych Brytyjczyków - od kiedy to zaczęła myśleć pogardliwie o rodakach? - nie umiałby przeżyć w lesie jednego dnia. Gdyby nie Delacroix, nigdy by nie uszli tak daleko.

Miri spędziła niewygodnie całą noc. Ostra kora drzewa drapała ją i zabierała ciepło z jej ciała. Rano była zupełnie sztywna. Peters przyszedł zdjąć jej pęta i polecił, by przygotowała śniadanie z rozkazu Renquista. Miri gwałtownie rzuciła się w zarośla, gdyż ogarnęły ją mdłości. Renquist natychmiast zauważył jej nieobecność i ruszył gniewnie w stronę szeregowca.

- Żołnierzu, gdzie jest więzień?

- Ona jest obok, w lesie. Ona...

Dźwięki dobiegające zza krzaków odpowiedziały Renquistowi, który skrzywił się i odszedł.

- A gdzie jest Hayes? - zawrócił nagle. - Powinien już budować ognisko.

- Myślę, że Hayes jeszcze śpi.

- Cholerny nierób...

Hayes ulokował swe posłanie daleko od ogniska. Nie ruszył się od chwili, gdy cały obóz zaczął się budzić. Porucznik podszedł teraz do posłania Hayesa i szarpnął za koc, chcąc równocześnie kopnąć śpiocha.

- A to co, do diabła! - Renquist zerwał cały koc. Posłanie było pogniecione, ale nikogo na nim nie było. Nóż zaginionego żołnierza był wbity obok w ziemię. Wzdłuż ostrza rysowała się za schnięta smuga krwi.

Wszyscy w obozie ucichli naraz. Gage Delacrouc wrócił z gęstwiny, gdzie spał osobno i upychał teraz koszulę w spodnie. Zatrzymał się przy grupce otaczającej koc Hayesa.

- Coś mnie ominęło? - spytał żartobliwie, ale spochmurniał na widok noża. Rzucił Miri szybkie spojrzenie.

- Indianie? To na pewno Indianie - zwrócił się Renquist do Delacrouca.

- Jak banda dzikusów mogła się zakraść do takiego obozu? Miałeś być naszym przewodnikiem! A teraz mamy piknik z udziałem czerwonoskórych sukinsynów, którzy zechcą zapolować na nasze skalpy.

- Powinien pan wystawić straż, poruczniku - *wzfuszył* tylko ramionami Francuz.

- Powinniście nas ostrzec, że na tym terenie są wrodzy nam Indianie!

- W całym kraju są Indianie, mój przyjacielu, i oni zawsze są wrodzy względem tych lub owych - zachichotał Delacrouc i odszedł, zupełnie nie przejmując się niebezpieczeństwem.

Renquist zaczął wyrzaskiwać komendy do pozostałych dwóch żołnierzy. Kazał też przewodnikowi związać obóz.

- A gdzie pan chce iść, poruczniku?

- Skoro nie mamy czółna, pójdziemy pieszo.

- Skoro pan sobie tego życzy... Ale nie dotrzemy do fortu przed zimą. To bardzo długa droga - ostrzegł przewodnik.

- Więc co proponujecie?

- Musimy zbudować łódź. Jedną dużą, żeby wytrzymała ciężar siedmiu osób. To zajmie tylko parę dni.

Renquist zacisnął wargi.

- Doskonale. Proszę się tym zająć.

Peters i Devlin pilnowali obozu, gdy Renquist pomagał przewodnikowi ściągać korę z brzoza, ciąć gałęzie cedru i zbierać sosnową żywicę. Miri siedziała obok Hamiltona, który był mocno przywiązany do drzewa. Oboje obserwowali ze złośliwą uciechą wysiłki porucznika, któremu Delacroix nie szczędził najbrudniejszych robót. Renquist wiedział, że go obrażają, ale nie bardzo rozumiał, jak. Odnosił się do przewodnika z szacunkiem, gdyż on jeden mógł ich doprowadzić do domu przed spadnięciem śniegu.

O zmiernych Delacroix obiecał, że wystarczą jeszcze dwa, trzy dni pracy. Mrugnął do Miri, która podsycala właśnie ogień. Spojrzała na mieszańca lodowato.

- Czy kolacja wreszcie gotowa? - wściekał się porucznik.

- Proszę samemu oprawiać króliki - odparła Miri.

- Czy ciągle musimy jeść te przeklęte króliki?

- Jeśli ma pan ochotę na coś innego, proszę wysłać kogoś na polowanie. Nie mogę złapać sarny na królicze sidła.

- A pewnie! Chciałabyś nas wszystkich wysłać z obozu, żeby nas wyłapali ci brudni Indianie? Co ty...

Przerwały mu odgłosy tratowania poszycia i okrzyki strachu. Devlin wyłonił się z zarośli i biegł w stronę ogniska ile sił w nogach.

- Co jest, do jasnej cholery? - Renquist ruszył w stronę żołnierza, zaś Delacroix i Peters chwycili za broń.

Usta Devlina poruszały się bezgłośnie. Był w szoku.

- Duch! - wyjąkał wreszcie. - Chryste, ratuj!

Delacroix roześmiał się i opuścił muszkiet.

- Duchy?

Mrugnął znów do Miri. W jego oczach migotały iskierki wesołości.

Renquist potrząsał mocno szeregowcem.

- Co za bzdury? Kogo widzieliście?

- Martwego człowieka. Scotta.

Na dźwięk nazwiska Miri zadrżała. Ten człowiek widział Jordana. Czy to możliwe, że on żyje? Czy to on zabrał ich czółno? Niemożliwe.

Devlin łapał gwałtownie powietrze drżącymi wargami.

- Myłem się w jeziorze. Odwróciłem się i on tam był. Jego twarz była cała we krwi! I śmiał się. Nigdy nie słyszałem okropniejszych dźwięków. Chryste! On nas wszystkich pozabija!

Renquist popchnął silnie Devlina.

- Scott nie żyje. Masz przywidzenia.

- To był duch, przysięgam!

- Zamknij się!

Miri była w rozterce. To niemożliwe, żeby Jordan żył i śledził ich. Tyle było na nim krwi. A teraz... "Twarz pomazana krwią" - powiedział Devlin. To było podobne do Jordana. Chciał, żeby Brytyjczycy pogubili portki ze strachu. Chichot Delacrobca dotarł wreszcie do niej.

- No, to teraz ścigają nas duchy. Muszę się sam chyba rozejrzeć, poruczniku. Chyba zabiorę się stąd.

- Co to znaczy? - Renquist chwycił go za ramię. - Chyba nie wierzy pan w duchy?

- Nie, *monsieur*. Ale tu się źle dzieje, a ja dbam o siebie. Najpierw pan i pana dowódca machnął ręką w stronę Michaela - obiecaliście mi, że nikomu nie stanie się żadna krzywda. Potem pan zabił Jordana Scotta. Wydaje się, że nie zrobił pan tego dokładnie. A ja wiem, jak niebezpieczny potrafi być Jordan Scott. Nie chciałbym być na pana miejscu, poruczniku. Każde miejsce jest dobre, byle daleko od pana.

- Ale my nie damy sobie rady bez czółna! I tylko pan wie, jak je zbudować!

- To idźcie - poradził Francuz.

Zebrał swoje rzeczy, mrugnął do Miri i zniknął w zaroślach.

Renquist stał bez ruchu i tylko zaciskał pięści. Potem spojrzenie jego padło na Miri. Szybko chwycił ją za ramiona, odwrócił i

ustawił przed sobą. Usiłowała walczyć, ale uderzył ją po rękach i przytrzymał je mocno.

- Jordan Scott! - ryknął w ciemność. - Pokaż się, ty bękarcie! Pokaż się albo poderżnę gardło tej dziwce!

Jedyną odpowiedzią był świst wiatru między drzewami. Miri przestała walczyć. Czują na sobie czyjeś spojrzenie, jakby las był żywy. Usłyszała krzyk Hamiltona.

- Puść ją, ty brutalu! Ja tu jestem przestępcą, nie ona, zapomniałeś?

Renquist zignorował go.

- Proszę ją puścić, poruczniku - sekundował Hamiltonowi Michaels. - To jest rozkaz!

- Jak cholera - odparł Renquist - Pan jest chory i ja teraz rozkazuje.

- Renquist, jesteście szalony. Puśćcie ją natychmiast.

- Scott! Liczę do dziesięciu. Potem zacznę kroić tę twoją wywłokę po kawałku! - krzyknął Renquist, nie słuchając wcale Michaelsa.

- Do diabła! Nie! - wrzeszczał Hamilton.

Renquist zaczął liczyć, wykrzykując każdą liczbę w ciemność lasu. Miri poczuła na gardle ostrze noża. Myśli o Jordanie, o niej samej, o nie narodzonym dziecku wirowały w jej głowie. Czują gniew, strach i smutek. Nie wiedziała, o co się modlić, chyba tylko o to, by Bóg mógł ich troje wziąć w Swe dłonie.

- Osiem! - krzyknął Renquist.

Cisza. Kompletna cisza.

- Dziewięć! - Renquist ścisnął mocniej rękojeść noża.

Spokojny głos Michaelsa przerwał ciszę przed ostatnim wyliczeniem.

- Pomyśl, Renquist. Delacrobc odszedł i teraz tylko ona potrafi dać sobie radę w tej głuszy. Kto nas stąd wyprowadzi? Jak jej podetniesz gardło, to podetniesz gardła nam wszystkim.

Renquist zaczął się wahać, jego usta już uformowały się, by wymówić wyraz "dziesięć".

- Jeśli nawet tu jest, Scott się nie pokaże. Ten człowiek jest bardziej dzikusiem niż białym, poruczniku. Pozwoli ci zabić dziewczynę i będzie się mścił później. Będzie cię torturował do

dnia Sądu Ostatecznego i nie daruje niczego. Nie masz do czynienia z cywilizowanym człowiekiem, Renquist.

Spokojna perswazja kapitana dotarła wreszcie do szalonego umysłu porucznika. Puścił Miri.

- Proszę nam coś zrobić do jedzenia - spokojnie powiedział Michaels.

Miri pośpieszyła do ogniska, gdzie czekały na oczyszczenie króliki. Bacznie obserwowała las wokoło. Nic się nie poruszyło. Nic nie zaszeleściło. Ale czuła czyjeś spojrzenie, była tego pewna.

Miri zrobiła kolację, posprzątała po posiłku i zajęła się opatrywaniem rany Michaela. Nie zważała na ponury wzrok porucznika, który śledził każdy jej ruch. Rana Michaela wydawała się goić. Miri nie myślała, że któregoś dnia będzie się modlić o zdrowie kapitana, ale teraz robiła to.

Gdy skończyła opatrywanie kapitana, Renquist polecił Peterowi ułożyć posłanie Miri na skraju polany i związać jej dłonie i kostki. Następnie dłonie zostały przywiązane do jednego drzewa, a nogi do drugiego. Dodatkowo Devlin został postawiony na straży.

- Zobaczmy, czy nasz duch chwyci przynętę. Jeśli usłyszycie cokolwiek, strzelajcie - rozkazał porucznik, wskazując na Miri i uśmiechając się demonicznie.

Miri nie dała się przestraszyć. Niedługo będzie po wszystkim. Jordan żył. Czuła jego obecność przy sobie. To nie mściwy duch porwał czółno i wyeliminował nieszczęsnego Hayesa. Renquist nie był przeciwnikiem godnym Jordana. Zastanawiała się tylko nad jednym. Pamiętała dotyk noża na gardle. Czy Jordan pozwoliłby Renquistowi zabić ją? Patrzyłby na to? Zamknęła oczy i usiłowała odpędzić od siebie złe myśli. Jordan ją kochał. Nie pozwoliłby jej skrzywdzić. I niedługo się zjawi na ratunek. Upierała się przy tej nadziei. Bez niej nie mogłaby przetrwać meki następnego dnia.

Zaczęła snić o Jordanie. Przypomniła sobie jego twarz i oczy, patrzące na nią z miłością. Jeden sen był tak wyraźny, że chciała wezwać jego imię, żeby zatrzymać obraz ... Wtedy obraz zachmurzył się i twarda dłoń zacisnęła się na jej ramionach.

- Spokojnie - wyszeptał Jordan.

Miri zorientowała się, że wcale nie śni. Twarz majacząca nad nią nie była marzeniem sennym. Jordan nachylał się nad nią. Był prawie nagi, miał tylko przepaskę na biodrach i mokasyny. Jego twarz była pomalowana jak na wojnę - własną krwią bez wątplenia. Zakrwawione opatrunki - kawałki koszuli - owijały jego głowę i pierś. Potrząsał teraz głową, nakazując jej absolutną ciszę. Gdy pojął, że Miri rozumie jego myśli, zdjął dłoń z jej ust.

- Ssz! - wymruczał, gdy próbowała się poruszyć.

Więzy uciskały jej przeguby, ale Jordan nie miał zamiaru ich zdejmować. Zamiast tego wsunął się pod jej koc i okrył nim ich oboje. Jego usta dotknęły jej ust w głodnym pocałunku. Przez chwilę pozwoliła sobie na luksus chwilowej utraty zmysłów, spowodowanej bliskością jego ciała. Musiała użyć całej siły woli, żeby się odsunąć.

- Straż - wyszeptała.

- Już się nimi zająłem.

Miri nie pytała, jak. Żal jej było Devlina, bo odnosił się do niej grzecznie. Najważniejszą rzeczą było jednak to, że Jordan żyje i trzyma ją teraz w ramionach. Jej życie zostało odbudowane.

- On i Hayes robią sobie spacer z moimi indiańskimi przyjaciółmi. Nie są zbyt zachwyceni, ale nic im nie grozi - wyjaśnił Jordan.

- Dziękuję - wyszeptała Miri z uśmiechem. -

Za co?

- Ze ich nie zabiłeś.

Przesunął pieszczotliwie palcem po jej policzku.

- Nie są moimi wrogami.

Miri prawie fizycznie czuła, że myśli Jordana wracają do Renquista.

- Zabierz mnie stąd - poprosiła.

- Nie teraz, kochanie. Zagram w tę grę do samego końca.

Poczuł jej niezadowolenie, gdy napięła więzy.

- W porządku - wyszeptał, przyciskając usta do jej czoła i końcówki nosa. - Nie zrobią ci krzywdy, nie pozwolę im.

Miri nie odpowiedziała, raz jeszcze myśląc o nożu Renquista na swoim gardle. Wyczuwając jej myśli, Jordan nachylił się nad nią i spojrzał jej prosto w oczy.

- Moja strzała rozwalilaby mu czaszkę, nim zdążyłby użyć tego noża. Nie pozwoliłbym cię zranić, Miri.
Potarł kciukiem jej policzek.
- Czy mi wierzysz?
- Tak. Wierzę.
Jeśli jeszcze wąpiła w jego miłość, to jego dotyk przekonywał ją na pewno o jego sile.
- Nie pozwolę, żeby ci się coś stało.
- Wiem.
- Grzeczna dziewczynka. Czy jesteś gotowa na małą zabawę?
- wyszeptał do jej ucha.
- Czego chcesz, ty przeklęty renegacie? - zażartowała.
- Jest taki mały grzbiet górski niedaleko stąd. Nazywany jest Grzbietem Królika. Zobaczysz, że szczyt wygląda jak para króliczych uszu. Poprowadź ich tą drogą, żeby weszli między te uszy. Trzeba trochę obejść drogę, ale powiesz, że zrobiło się bagnisto i tak się wytłumaczysz przed nimi.
- Co się wtedy stanie?
- Ci przekłęci Brytyjczycy nauczą się, że opowieści o duchach są nie tylko w bajkach dla dzieci.
- Będziesz ostrożny? Jordan zachichotał bezgłośnie.
- Tylko oni powinni być ostrożni.
Pocałował ją w krótkiej obietnicy namiętności. Wysunął się spod koca i odszedł bezszelestnie.
Miri żał się zrobiło prawie swych dręczycieli. Prawie, ale nie całkiem.

Rozdział XXII

Grzbiet Królika wyglądał tak, jak go Jordan opisał. Miri poprowadziła całe towarzystwo ku przesmykowi między uszami królika.

- Zaczynam sądzić, że droga przez bagno byłaby łatwiejsza - narzekał Renquist.

Peters zamruczał potwierdzająco. On jeden został do niesienia Michaela, gdyż o poranku nie było w obozie Devlina. Żadne poszukiwania nie pomogły. Brytyjczycy byli przerażeni. Chyba nawet porucznik zaczął wierzyć w duchy. Miri czuła zupełnie niechrześcijańską radość, gdy widziała spojrzenie Renquista, rzucane na każde mijane drzewo.

- Proszę się uspokoić, poruczniku - powiedział Michaels. - Ostatecznie panna Sutcliffe jest z nami.

"On wie" - pomyślała Miri, gdy uchwyciła jego spojrzenie. Musiał wiedzieć. W co on grał? Czyżby mu zależało na skórze Jordana aż tak, że gotów był wejść w pułapkę? A może liczy na jakieś zwycięstwo? Może nienawidził Renquista tak bardzo, że gotów był zginąć wraz nim? Miri zaczęła żałować Michaela i Petersa. Dla Renquista nie miała żadnych litościwych uczuć.

Weszli w przesmyk. Po obu stronach wznosiły się kamienne ściany. Miri zatrzymała się i wskazała na dolinę w kształcie misy, o trawiastym podłożu, z gęstwiną sosen po bokach. Jedyną drogą wyjścia była ta, którą przyszli. Renquist i Peters mogli się nie orientować, ale Miri wiele się nauczyła od Czipewejów. Zastanawiała się, czy Michaels się odezwie. Orientował się przecież, że są w pułapce. Kapitan jednak nic nie mówił.

- Ta droga zaraz zrobi się stroma - narzekał Hamilton.

Jeszcze jeden, którego Miri nie żalowała. Ramię Hamiltona było ledwie draśnięte, ale tak wydziwiał i jęczał, jakby był śmiertelnie ranny. I omal go nie poślubiła!

Potrząsnęła głową i wysunęła się na czoło kolumny.

- Tam jest woda w dole, jak sądzę. Możemy odpocząć i zjeść coś.

- Widzę strumień. Może nałapię ryb - powiedział Peters.

- Stójcie! - dobiegł ich głos. - Albo nie będzie już żadnego obiadu dla was.

Był to głos Jordana. Dobiegał skądś zza drzew. Renquist wyciągnął pistolet. Głos rozległ się znowu.

- Poddaj się, Renquist. Jesteś zgubiony!

- Do diabła, ty przeklęty dzikusie!

Porucznik podniósł broń, ale nim nacisnął spust, strzała wbiła się w ziemię obok jego buta. Porucznik spojrział na śmiercionośne ostrze i roześmiał się.

- Chybiłeś, Scott!

- Nie, nie chybiłem. Następnym razem strzelę ci w łeb.

Miri szybko podeszła do Hamiltona. Zaczęła mu rozwiązywać pęta na rękach.

- Poddaj się, poruczniku! - zawołał znów Jordan. - Nie możesz się ruszyć do przodu ani do tyłu, a ja mogę cię zabić z łatwością.

- Zaofiaruj coś - rozkazał Michaels. - Może wziąć pannę Sutcliffe, jeśli my zatrzymamy Greera.

Renquist zignorował radę kapitana. Wolał użyć metod, których Michaels nie pochwalał. Obejrzał się i chwycił Miri, zajęta rozwiązywaniem Hamiltona. Odepchnął ją gwałtownie i sprawdził więzy jeńca. Trzymały się.

- Wpakowałaś nas w zasadzkę, ty suko. I wyciągniesz nas z niej.

Popchnął ją przed siebie.

- Jeśli strzelisz, renegacie, to twoja strzała najpierw dosięgnie jej. - Przyłożył lufę pistoletu do skroni Miri. - Teraz ty się poddaj albo jej mózg opryska tę dolinę.

- Tego nie zrobisz!

Hamilton rzucił się na zaskoczonego Renquista, ale ten szybko zbił go z nóg.

- Wątpisz w moje słowa, renegacie? Patrz!

Porucznik podniósł pistolet i strzelił. Hamilton zawył, gdy kula zrobiła mu dziurę w ramieniu. Jordan znów się odezwał.

- Powiniennem być wiedzieć, że będziesz się chował za kobietę i walczył z bezbronnym mężczyzną.

Zasłaniając się całym ciałem dziewczyny, Renquist podał Petersowi pistolet do naładowania. Zignorował kompletnie rozkaz Michaela, który kazał mu przerwać to wszystko.

- Jesteś tchórzem, Renquist. Boisz się walczyć jak mężczyzna z mężczyzną.

- Jestem dżentelmenem, Scott! Nie gram w gry dzikusów.

- Graj, w co chcesz. Zawsze cię pobiję. Renquist milczał chwilę, potem wyciągnął rękę.

- Peters, podajcie mi szablę Michaela.

Peters zamrugał nerwowo, ale spełnił polecenie. Renquist podniósł szablę nad głową.

- Zobaczymy zatem dzikusa w walce. Oto broń dżentelmena, Scott!

Nastała cisza. Palce porucznika ścisnęły ramię Miri.

- Spotkamy się w pół drogi - padło zza drzew.

Renquist roześmiał się i ruszył, cały czas prowadząc Miri przed sobą. Przed nimi zjawiała się wysoka postać. Serce Miri zaczęło bić gwałtownie. Co ten Jordan robi? Przecież szermierka wymaga lat praktyki i nie wątpiła, że Renquist ją posiada.

- Ciągłe się chowasz za kobietę? - spytał Jordan, gdy się spotkali.

Renquist odsunął Miri na bok.

- Ty jesteś tym, który powinien się chować, Scott.

Rzucił Jordanowi szablę Michaela i sięgnął po swoją. Jordan złapał broń z taką wprawą, że porucznik zdziwił się.

- En garde! - powiedział Jordan, podnosząc szablę w tradycyjnym salucie.

Walka rozpoczęła się. Miri pomyślała, że nigdy nie widziała tak niezwykłej sceny - ubrany w szkarłatny mundur brytyjski arystokrata i półnagi, umazany krwią dzikus, walczący ze sobą w odległym kącie Ameryki. Była jednak zbyt przejęta, by się dziwić czemukolwiek.

Jordan odparował pierwszy atak z łatwością i zaczął nacierać. Porucznik zaklął cofając się.

- W Bostonie są mistrzowie szermierki, jeśli ma się pieniądze na ich wynajęcie. A moja matka była bardzo bogata - wykrzywił się Jordan złośliwie.

Renquist ruszył naprzód i został znów zmuszony do odwrotu. Jordan nie tracił czasu. Był dość wyćwiczony, ale wiedział, że na dłuższą metę nie dorówna wypraktykowanemu stylowi Renauista. Jego przewaga leżała w szybkości, sile i determinacji.

Pojedynek trwał. Miri wodziła oczami za walczącymi. Oczy Renquista lśniły szaleństwem. Miri postanowiła za wszelką cenę położyć kres temu szaleństwu. Już raz przeżyła śmierć Jordana i nie miała zamiaru zaznać czegoś podobnego po raz drugi. Zaczęła szukać jakiejś broni

Niech diabli porwą uczciwą grę! Jej spojrzenie padło na pistolet Renquista, który leżał na trawie. Zbliżała się powoli do niego. Gdy broń była już prawie w zasięgu jej ręki, nowy zwrot akcji przyciągnął znów jej uwagę. Renquist upadł na nierównym gruncie, szybko porwał garść pyłu i rzucił go w twarz Jordanowi. Ten otarł oczy i chwila przerwy pozwoliła Renquistowi stanąć na nogi. Miri nabrała gwałtownie powietrza do płuc i skoczyła naprzód. Zatrzymał ją Michaels, który chwycił ją w ostatniej chwili za nogę.

- Proszę ich zostawić, panno Sutcliffe. Jeśli chcą, niech się pozabijają.

- To taka jest dżentelmeńska gra? - spytał Jordan, ignorując strużkę krwi płynącą mu spod bandaża.

- Gdy się walczy z kundlem, stosuje się psie metody - odparł Renquist, nacierając z furją.

- Ach, kundel, doprawdy? - Głos Jordana był podejrzenie łagodny.

Renquist znów zaatakował, Jordan się cofnął, ale zauważył lukę w osłonie przeciwnika. Jego szabla szybko zanurzyła się w prawym ramieniu porucznika. Renquist zatoczył się i Jordan cofnął zakrwawione ostrze. Oficer z jękiem chwycił się za bezwładne ramię, szabla wypadła mu z dłoni.

- Trzeba umieć odróżniać kundle od wilków - spokojnie stwierdził Jordan. Oparł zakrwawione ostrze na grdyce porucznika.

- No i co teraz będzie, mój przyjacielu dżentelmenie? Poddasz się, czy masz ochotę przyjąć zaproszenie do piekła?

- Poddaję - wykrztusił Renauist.

- Więc idź do damy i błagaj ją o wybaczenie. Pięknie prosź, jak przystało dżentelmenowi.

Porucznik ruszył w stronę Miri.

- Proszę o wybaczenie - powiedział z oczami utkwionymi w stopy Miri.

- Możesz to zrobić lepiej - doradzał Jordan, naciskając równocześnie ostrzem szabli plecy Renauista.

Porucznik podskoczył, potem upadł ciężko na kolana.

- Panno Sutcliffe, proszę o wybaczenie mi mego... mego karygodnego postępowania. Pokornie proszę, n aj pokorniej proszę.

- Nie chcę jego przeprosin.

Miri myślała, że widok Renauista u jej stóp będzie widokiem satysfakcjonującym ją, ale teraz poczuła mdłości.

- Nie chcę go widzieć koło siebie. Jordan, zabierz go. Skończ z tym, proszę.

- Tak, skończ to wreszcie - odezwał się nagle Michaels.

Kapitan zauważył pistolet Renauista i trzymał go teraz, celując w pierś Jordana.

- Proszę zabrać pannę Sutcliffe i znikajcie oboje, Scott. Nie chcę was tu widzieć. Potrzebny mi tylko Greer.

Jęki Hamiltona przypomniały Miri, że jej kuzyn wciąż leży w trawie, ściskając przestrzelone ramię. Michaels na moment odwrócił uwagę i to wystarczyło Jordanowi. Jeden kopniak i pistolet wyleciał z dłoni Michaelsa. Peters skoczył naprzód, ale zatrzymał się, gdy szabla Jordana dotknęła szyi kapitana.

- Michaels, każ odejść swemu człowiekowi. Grace zedrze ze mnie skórę, jeśli nie przyniosę cię do domu w jednym kawałku.

Michaels machnął ręką do szeregowca, nakazując mu odejść. Uśmiechnął się ze skrucą.

- Nie chcemy rozżłościć wdowy, prawda?

Jordan polecił Petersowi opatrzeć ranę Renquista. Miri tymczasem podbiegła do kuzyna. Uklękła obok niego i zerwała mu z ramienia zakrwawioną koszulę.

- Oooo! Aaaa! Ostrożnie, Miri!

- Przestań jęczeć, Ham. Nie jest tak źle. Będziesz niedługo jak nowo narodzony.

- Och! Miej litość, dziewczyno - jęczał, gdy Miri go opatrywała. - Zrobiłem to w twojej obronie.

- Po tym, jak usiłowałeś zrujnować moje życie. No, dobrze. Jestem ci wdzięczna. Byłeś bardzo dzielny.

Rozpromienił się jak mary chłopczyk.

- Wiesz, Miri, że cię kocham. Zawsze cię kochałem na swój sposób.

- Znalazłeś świetny sposób, żeby to okazać, Ham.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Och! Uważaj!

- Bądź mi wdzięczny, że nie jestem naprawdę zła. Wtedy miałbyś powody do narzekania.

Hamilton rzucił jej spojrzenie męczennika.

- Nie wszyscy mężczyźni muszą być bardzo dzielni. Nie potrafię być bohaterem.

Miri spojrzała na Jordana, który sprawdzał więzy Renquista i Petersa. To był człowiek, którego odwagę wypróbowała. Teraz zaczynała rozumieć miłość matki do Davida Sutcliffe'a i jej żal po jego stracie. Jej matka nie popełniła błędu, zakochując się w człowieku z lasów. Popelniła błąd, usiłując go zatrzymać w klatce. Tego błędu Miri nie zamierza popełnić.

Jordan poczuł na sobie spojrzenie Miri i podszedł do niej.

- Będzie żył? - spytał, wskazując na Hamiltona.

- Nie jest tak ciężko ranny. Będzie dobrze.

- No to świetnie - Jordan usiadł obok nich.

Uśmiech Jordana zaniepokoił Miri i przeraził Hamiltona.

- Nie chciałbym, żeby pan Greer umarł - na razie. Mam do niego pewną sprawę.

Miri nie słyszała takiego tonu przedtem, ale wiedziała, że nie wróży on nic dobrego jej kuzynowi.

- Jordan... On jest członkiem mojej rodziny.

- Tak, kochanie. I włos mu z głowy nie spadnie. Musi mi jednak coś powiedzieć.

Hamilton przestał się opierać. Błysk oczu Jordana kazał mu pomyśleć o brytyjskim więzieniu jak o raj.

- Gdzie jest ta przeklęta lista, Greer?

- Na dnie jeziora Huron.

- Jedna z list - zgodził się Jordan. - A gdzie druga?

- Była... Była w moim lewym bucie - zaszyta w podeszwę. Porucznik mi ją zabrał, gdy mnie obszukiwał. Jego ludzie byli bardzo dokładni.

- Tak myślałem, bo nie byłoby tych kłopotów. - Jordan zwrócił się do Renquista. - Masz zamiar mi powiedzieć, przyjacielu, czy mam obszukać twoje martwe ciało?

Renquist pobladł.

- Jest w kieszeni płaszcza. W lewej.

Jordan sięgnął po płaszcz Renquista i wyciągnął zeń pognieciony kawałek papieru. Usta Michaelsa zacisnęły się, gdy Jordan rozłożył papier i zaczął czytać. Po chwili Jordan złożył papier i schował go do małej torebki, którą nosił na piersiach. Renquist westchnął z wyraźną ulgą.

- Jak się domyśliłeś, że są dwie? - spytała Miri.

- Ludzka natura, moja droga. Człowiek, który sprzedaje swój kraj za pieniądze, nie powierza fortuny tylko okładce Biblii. Myślał, że Michaels znajdzie jedną listę i będzie zadowolony, gdy tymczasem on sam sprzedałby Amerykanom drugą listę.

- Hamiltonie! - Miri spojrzała ze wstrętem na kuzyna.

- Lista! - krzyknął Michaels. - Co pan ma zamiar zrobić z tą listą?

Jordan uśmiechnął się do Michaelsa.

- Proszę mi dać trochę czasu. Coś wymyślę.

Jesień była piękna na farmie Grace, zdecydowała Miri. Klony, wiązy i dęby stały w bogactwie kolorowych liści. W powietrzu unosił się zapach dymu.

Mary Beth wróciła z zabudowań gospodarskich i zbudziła Miri, która siedziała w sennym rozmarzeniu na bujanej ławce i patrzyła na ogród.

- Mama znowu krzyczy na kapitana - zachichotała Mary.

Miri usłyszała głos O race wewnątrz domu.

- W tej chwili marsz do łóżka, Ocraldzie. Albo oddam cię znów w ręce tego rzeźnika, którego nazywacie chirurgiem wojakowym. Chryste! Człowiek z dwiema kulami w ciele powinien mieć trochę rozumu i leżeć w łóżku!

Miri uśmiechnęła się. Gerald Michaels zajął jej miejsce w małej sypialni, zaś Miri przeniosła się do Lucy. Ody tylko powrócili na wyspę, Grace dowiedziała się, że Michaela jest ranny. Nie dawała spokoju nikomu tak długo, dopóki Michaels nie przeniósł się na farmę.

- Lubię Geralda - powiedziała Mary Beth. - On jest miły, nawet jak się zachmurza. Założę się, że ożeni się z mamą.

Miri roześmiała się, gdyż dziewczynka przemawiała tonem wielkoświatowej damy.

- Ja też się o to zakładam, Mary Beth.

"Coś musi być w tym pokoju" - pomyślała Miri. Pewnego dnia obudziła się w nim i jedną nogą znalazła się na drodze, która prowadziła ją do stania się Amerykanką. Teraz to samo dzieje się ze straszliwie zasadniczym i oficjalnym kapitanem Michaelsem. Służy mu to wyraźnie.

Zaczęła szanować tego człowieka. Powiedział jej i Jordanowi o obietnicy danej Wierzbowej Pieśni. Wyraźnie starał się dotrzymać słowa danego indiańskiej dziewczynie. MacDouall nie dowiedział się od Michaelsa o miejscu pobytu Jordana. Kapitan wienien był Jordanowi życie. Jordan mógł pozostawić go w głuszy, ale opatrzył mu rany i przywiózł na wyspę. Michaels uświadomił sobie, że czasami prywatne względy są ważniejsze od obowiązku wobec ojczyzny. To był właśnie taki przypadek.

- Czy się dobrze czujesz, Miri? Nic nie mówisz. Czy to dziecko ci dokucza? - dopytywała się Mary Beth.

- Nie - odparła Miri łagodnie.

Dziewczynka paplała bezustannie i nie mogła zrozumieć czy jegoś milczenia.

- Czuję się świetnie, Mary Beth. Tak dobrze nie czułam się już od dawna.

- To ja w takim razie pójde pomóc Margaret w ogrodzie. Ona wczoraj rozmawiała w miasteczku z Gavinem MacFee i pewnie umiera z chęci opowiedzenia o tym komuś.

Miri oparła się o ławkę i patrzyła za odchodzącą dziewczynką. Czula się tu jak w domu. Wreszcie miała spokój. Była wolną kobietą; Renquist siedział w więzieniu, czekając na sąd wojenny; kuzyn Ham otrzymał to, na co zasłużył.

Miri omal nie roześmiała się głośno, bo przypomniła sobie twarz Hamiltona, gdy Ottawowie, zachęceni przez Wierzbową Pieśń, zaprosili go do pozostania w ich wiosce. Hamilton miał do wyboru spotkanie z brytyjskim wymiarem sprawiedliwości lub ukrywanie się wśród Indian do końca wojny. Niechętnie wybrał gościnę u Indian. Miri zauważyła błysk w oku Wierzbowej Pieśni. Wątpliwe było, że Hamilton - zdrajca, dżentelmen i hazardzista - rozpozna samego siebie po otrzymaniu od Indianki odpowiedniej lekcji. Miri sama przebyła tę drogę i wiedziała, jakie są na niej zakręty.

Wszystko się wyjaśniło, oprócz jednego problemu. I właśnie mężczyzna uosabiający ten problem kroczył ku niej od strony plaży.

Jordan przyśpieszył kroku, gdy zobaczył Miri. Od czasu powrotu zostawił ją samą. Miała tydzień na uporządkowanie swych myśli. Był czas, gdy siłą zmusiłby ją do pozostania, pewny, że potrafi zmusić ją do pokochania go tak mocno jak domu za oceanem. Teraz jednak wiedział lepiej, co znaczy miłość i uświadamiał sobie, że nie ma w niej miejsca na przymus, choćby w najlepszej intencji.

- Halo, cudzoziemcze - powitała go Miri. - Jakoś dawno cię nie było.

Patrzyła na niego uważnie. Znowu był ubrany jak Czipewej, ale nosił długie włosy, które wiły mu się wokół uszu i szyi. Usadowił się naprzeciwko niej i próbował coś wyczytać z jej twarzy. Zastanawiał się nad znaczeniem błysku w jej oczach. Czy cieszy się z możliwości powrotu do Anglii, czy z jego widoku? Po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że jej miłość może nie być aż tak wielka, by powstrzymać ją przed powrotem do domu.

- Myślałam, że usiłujesz oddać władzom amerykańskim tę ceną listę - powiedziała Miri.

- Spaliłem ją. Nie lubię intryg pod stołem. Już dość było nieszczęścia przez tę listę.

Miri spuściła powieki i wyszeptała z niespotykaną u niej skromnością.

- Nie wszystko było nieszczęściem, Jordan.

- Nie - wyszeptał chrapliwie. - Nie wszystko.

Jej słowa i spojrzenie dodały mu odwagi.

- Już czas, żeby rodzina się stąd wyniosła. Jadę z nimi na zimowe łowisko. Brytyjczycy wciąż mnie szukają za ten mój udział w ataku na fort. Będę Czipewejem aż do końca wojny.

- A potem? - spytała spokojnie.

- Wtedy postaram się znów być białym człowiekiem. Wciąż czeka na mnie w Bostonie niezła fortuna. Za te pieniądze mógłbym kupić ranczo, może dalej na zachód stąd. W tym kraju jest wiele możliwości dla człowieka, który chce ciężko pracować - nawet dla syna bogatej prostytutki.

Miri milczała przez chwilę. Potem uśmiechnęła się.

- Jesteś teraz wolną kobietą, Miri. Możesz jechać do domu, jeśli chcesz. Ostatni transport w górę rzeki odpływa w tym tygo dniu. Możesz dotrzeć do Montrealu przed terminem porodu.

Tak. Pozostawiał jej decyzję.

- Próbujesz mnie odepchnąć od siebie, Jordanie Scott? Na liłość Boga, wydaje się, że ilekroć chcę związać się z jakimś mężczyzną, ten mnie zostawia.

- Wiesz, że to nieprawda.

Nie potrafił się uśmiechnąć. Mówiła to tak lekko. Przez cały tydzień obawiał się tej chwili. Nie mógł się uśmiechnąć, gdy ona trzymała jego serce nad ogniem.

- To dobrze. Bo musiałbyś użyć łomu, żeby odepchnąć mnie od siebie.

Twarz Jordana aż zbladła z zaskoczenia. Potem powoli zaczął na nią wracać uśmiech.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Jordanie, nawet jeśli chodzi ci tylko o dziecko, to zmuszę cię w końcu, żebyś pokochał także i mnie.

Roześmiał się głośno.

- Miriam Sutcliffe! Czy ty sądzisz, że zadawałbym się z tobą - upartą nadętą wiedźmą - dla dziecka? Ojcowskie poświęcenie nie jest aż tak wielkie.

Miri była zupełnie zaskoczona. Potem zmarszczyła czoło z irytacją.

- Uparta nadęta wiedźma?

- Jesteś taka. Ale kocham cię, ty mała czarownico. Bardziej niż samo życie. Gdyby ci przyszło do tej upartej głowy, żeby wyjechać, to po wojnie ścigałbym cię tak długo, aż bym cię znalazł. Wtedy zmusiłbym cię, żebyś mnie pokochała i wróciła do mnie.

Podniosła sceptycznie brwi.

- Powiedziałeś kiedyś, że gdybym nosiła twoje dziecko, musiałabym wyjść za ciebie bez względu na wszystko.

- Chryste! Posłuchaj, kobieto. Byłem wtedy szalony. Spędziwszy z tobą ten ostatni rok, przekonałem się, że prędzej niedźwiedzicę nauczyłbym tańczyć, niż zmusiłbym cię do zrobienia czegoś, na co nie masz ochoty!

Spojrzała na niego łagodnie i pogłaskała go po twarzy.

- Jedyne, czego pragnę, to zostać z tobą na zawsze, Jordan. Życie z tobą może być ciężkie, ale życie bez ciebie byłoby niemożliwe. Pojęłam to, gdy myślałam, że cię straciłam.

Okrzyk przerwał ciszę, jaka zapadła po tych słowach, a potem dały się słyszeć chichoty. Gdy Miri i Jordan nachylili się ku sobie, Mary Beth i Margaret wyskoczyły spod ławki ogrodowej. Teraz obejmowały się i tańczyły, naśladując gest Miri.

- Wy małe, wścibskie smarkate! - krzyknęła Miri rozbawiona i oburzona równocześnie.

Margaret udała zawstydzoną, ale nie Mary Beth. Ta pognęła do domu, krzycząc na całe gardło:

- Mamo! Lucy! Zgadnijcie!

Miri wydała rozpaczliwe westchnienie, ale wtuliła się chętnie w ramiona Jordana. Margaret uciekła do ogrodu, purpurowa ze wstydu.

- Czy możemy wysłać Mary Beth po pastora Carrola? Będziemy mieli chwilę spokoju od tej smarkuli.

- Chcesz wziąć ślub dzisiaj?

- Wyruszamy jutro.
- Zatem dzisiaj.

Jordan pocałował Miri. Mogła wyczuć jego powstrzymaną żądzę. "Jak dawno już nie byliśmy sami razem" - myślała Miri. Oparła głowę o pierś Jordana. Od strony domu dobiegły okrzyki Grace i pisk Mary Beth, ale głośniejsze było bicie serca Jordana, który obejmował ją mocno.

Aż trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek, który potrafił posmarować się własną krwią i zawzięcie terroryzować Renquista. Ale sama Miri też nie bardzo przypominała sztywną pannicę, która przeszło rok temu przyплыnęła z Anglii.

Ludzie jednak nie zmieniają się całkowicie. W nim tkwił nadal dzikus, a w niej sztywna dama. Zanosilo się zatem na interesujące małżeństwo. Ale czyż nie jest to najlepszy rodzaj małżeństwa?